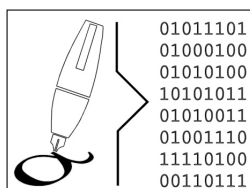


Fannie Flagg

Smażone zielone pomidory

Tłumaczyła Aldona Biała

1997



„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

12 czerwca 1929

Otwarcie kawiarni

W zeszłym tygodniu, tuż obok mojej poczty, została otwarta The Whistle Stop Cafe. Jej właścicielki, Idgie Threadgoode i Ruth Jamison, twierdzą, że jak dotąd interesy idą dobrze. Idgie mówi, że nie gotuje dla ludzi, którzy znają ją z tego, że nie martwi się specjalnie ewentualnym zatruciem. Gotowaniem zajmują się dwie czarnoskóre kobiety, Sipsej i Onzell, a pieczeń wieprzową przyrządza Duży George, który jest mężem Onzell.

Tych, którzy tam jeszcze nie byli, Idgie informuje, że śniadanie podaje się od 5.30 do 7.00 i można na nie dostać jajka, kaszę, biszkopty, bekon, kiełbaski, szynkę z sosem i kawę — wszystko za 25 centów.

Na lunch i kolację można zamówić: smażonego kurczaka, kotlety wieprzowe z sosem, zębaczka, kurczaka z kluskami lub porcję pieczeni, trzy rodzaje warzyw do wyboru, biszkopty lub chleb z mąki kukurydzianej, coś do picia i deser — za 35 centów.

Idgie mówi, że z warzyw mają: kukurydzę ze śmietanką, smażone zielone pomidory, smażony piżmian, kapustę lub rzepę, groszek, kandyzowane słodkie ziemniaki lub fasolkę szparagową.

I placek na deser.

Moja druga połowa, Wilbur, i ja jedliśmy tam wczoraj i wszystko było tak pyszne, że Wilbur powiedział, że może już nigdy nie będzie stołować się w domu. Ha. Ha. Chciałabym, żeby to była prawda. Całymi dniami gotuję dla tego wieloryba i ciągle nie mogę go nakarmić do syta.

A przy okazji, Idgie mówi, że jedna z jej kura zniosła jajko z dziesięciodolarowym banknotem w środku.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

15 grudnia 1985

Evelyn Couch przyjechała do Rose Terrace ze swym mężem, Edem, by odwiedzić jego matkę zwaną Dużą Mamą, która zamieszkała tam niedawno i dosyć niechętnie. Evelyn wymknęła się im i schroniła w znajdującym się na tyłach budynku saloniku dla gości, by tam w ciszy i spokoju rozkoszować się smakiem batonika, który ze sobą przyniosła. Kiedy tylko usiadła, siedząca obok niej staruszka zaczęła trąkotać:

— Można mnie spytać, w którym roku ktoś wziął ślub... za kogo wyszedł... albo jak była ubrana matka panny młodej — i w dziewięciu przypadkach na dziesięć potrafię powiedzieć, ale za Boga nie mogę sobie przypomnieć, kiedy się tak zestarzałam. Starość po prostu spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Pierwszy raz ją zauważyłam w czerwcu tego roku, kiedy leżałam w szpitalu na woreczek żółciowy, który pewnie trzymają do tej pory, a może zresztą już wyrzucili... kto to wie. Taka ciężkawa pielęgniarka właśnie mi zrobiła jedną z tych lewatyw, które tam tak lubią, kiedy spostrzegłam, że mam coś na ręce. Była to biała tasiemka z napisem: „Pani Cleowa Threadgode... 86 lat”. Patrzcie no!

Kiedy wróciłam do domu, powiedziałam swojej przyjaciółce, pani Otis, że jedyne, co nam pozostało, to usiąść i czekać, aż wykitujemy... Ona na to, że woli określenie „przejść na drugą stronę”.

Biedactwo, nie miałam serca jej mówić, że jak go zwał, tak go zwał, a i tak wszyscy wykitujemy...

To zabawne. Kiedy jesteś dzieckiem, myślisz, że nigdy nie umrzesz, ale kiedy tylko stuknie ci dwudziestka, czas zaczyna pędzić jak ekspres do Memphis. Tak sobie myślałam, że życie dopadnie każdego. A już na pewno było tak u mnie. Jednego dnia byłam małą dziewczynką, a już następnego — dojrzałą kobietą z biustem i włosami na intym-

nych częściach ciała. Brakowało mi dzieciństwa. A zresztą, nigdy nie byłam zbyt bystra w szkole i tak w ogóle...

Pani Otis i ja jesteśmy z Whistle Stop, małego miasteczka leżącego jakieś dwadzieścia kilometrów stąd, koło stacji rozrządowych... Przez ubiegłe trzydzieści lat, czy coś koło tego, mieszkała jedną ulicę ode mnie, a kiedy umarł jej mąż, jej syn i synowa uparli się, żeby zamieszkała w domu spokojnej starości, i poprosili mnie, żebym tu z nią przyjechała. Powiedziałam, że zostanę z nią przez jakiś czas — ona jeszcze nie wie, ale wracam do domu, jak tylko się tu zagospodaruje.

Nie jest tu tak źle. Któregoś dnia dali nam wszystkim świąteczne kostiumy. Na moim były malutkie, błyszczące bombki choinkowe, a na tym, który miała pani Otis — twarz świętego Mikołaja. Ale szkoda mi było, że musiałam zostawić swoją kotkę. Nie pozwalała tutaj trzymać zwierząt, więc tęsknię za nią. Całe życie miałam jednego, dwa kotki. Oddałam ją takiej dziewczynce z sąsiedztwa, która podlewa mi geranium. Na ganku mam cztery cementowe donice całe aż zarośnięte geranium.

Moja przyjaciółka, pani Otis, ma dopiero siedemdziesiąt osiem lat i jest naprawdę urocza, ale strasznie nerwowa. Przy łóżku trzymałam w słoiku swoje kamienie żółciowe, a ona kazała mi je schować. Powiedziała, że ją przygnębiają. Pani Otis to takie małeństwo, ale ja, jak widać, jestem kawał baby. Duże kości i w ogóle.

Nigdy nie prowadziłam samochodu... Przez większość życia zostawałam w tyle. Zawsze trzymałam się blisko domu. Musiałam czekać, aż ktoś przyjdzie i mnie zabierze do sklepu, do lekarza czy do kościoła. Wiele lat temu do Birmingham można było dojechać trolejbusem, ale nie jeżdżą już od dawna. Gdybym mogła się cofnąć w czasie, to zmieniłabym w swoim życiu tylko tyle, że zrobiłabym prawo jazdy.

Wiesz, to dziwne, za czym się tęskni poza domem. Na przykład brakuje mi zapachu porannej kawy... i smażonego bekonu. Tego, co tu gotują, nie da się wachać. Na dodatek nie można dostać nic smażonego. Wszystko tu gotują i to bez szczypty soli! Nie dałabym złamanego grosza za gotowane potrawy, a ty?

Staruszka nie czekała na odpowiedź.

— Ja tam lubiłam po południu zjeść sobie krakersy z maślanką albo maślankę z chlebem kukurydzianym. Rozgniatałam to wszystko w szklance i jadłam łyżką, ale przy ludziach nie można jeść tak jak w domu, prawda...? I brakuje mi drewna.

Mój dom to tylko stary domek kolejarski z salonem, sypialnią i kuchnią. Ale jest drewniany, a ściany w środku są z sosnowych desek. Dokładnie tak jak lubię. Nie cierpię gipsowych ścian. Są takie... och, nie wiem, jakieś takie zimne i nieprzyjemne.

Przywiozłam z domu obraz dziewczyny na huśtawce, z zamkiem i takimi ładnymi niebieskimi banieczkami w tle, i chciałam go tu powiesić, ale pielęgniarza powiedziała, że dziewczyna jest naga do pasa i że to nieprzyzwoite. Wiesz, mam ten obraz od pięćdziesięciu lat i nawet nie wiedziałam, że ona jest goła. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to

nie wydaje mi się, by tutejsi mężczyźni mieli na tyle dobry wzrok, by dojrzeć, że ona ma gołe piersi. No, ale to dom metodystów, więc musiałam ją schować do szafy razem z kamieniami żółciowymi.

Cieszę się, że wrócę do domu... Oczywiście jest tam straszny bajzel. Przez pewien czas nie mogłam zamiatać. Kiedyś rzuciłam szczotką w jakieś stare, skrzeczące sójki, które się biły i, wyobraź sobie, że szczotka utknęła na drzewie. Kiedy wrócę, muszę znaleźć kogoś, kto mi ją zdejmie.

W każdym razie tamtej nocy, kiedy syn pani Otis zabrał nas do domu ze świątecznej herbatki w kościele, zawiózł nas do torów kolejowych, tam, gdzie kiedyś była kawiarnia, a potem na Pierwszą Ulicę, koło starego domu Threadgoode'ów. Oczywiście prawie cały dom jest teraz pozabijany deskami i już się wali, ale kiedy jechaliśmy ulicą, światło reflektorów padło na okna w taki sposób, że przez minutkę dom wyglądał tak jak kiedyś, jakieś siedemdziesiąt lat temu, cały rozświetlony, pełen śmiechu i wrzawy. Prawie słyszałam ten śmiech i jak Essie Rue w saloniku bębni w pianino *Buffalo Gal*, *Won't You Come Out Tonight* albo *The Big Rock Candy Mountain*, i prawie widziałam, jak Idgie Threadgoode siedzi na wiśni, wyjąc jak pies za każdym razem, kiedy Essie Rue zaczyna śpiewać. Zawsze mówiła, że Essie Rue tak samo umie śpiewać, jak krowy tańczyć. Pewnie to przez tę przejażdżkę koło domu i tęsknotę wszystko zaczęło mi się przypominać...

Pamiętam wszystko, zupełnie jakby to było wczoraj, ale w końcu nie ma takiej rzeczy dotyczącej rodziny Threadgoode'ów, której bym nie pamiętała. Dobry Boże, powinnam mieszkać koło nich od dnia, kiedy się urodziłam, i wyjść za jednego z ich chłopców.

Dzieciaków było dziewięcioro, a trzy dziewczynki, Essie Rue i bliźniaczki, były mniej więcej w moim wieku, więc ciągle tam przesiadywałam, bawiłam się z nimi i chodziłam na całonocne przyjęcia. Moja matka umarła na suchoty, kiedy miałam cztery lata, a kiedy mój tatuś umarł w Nashville, zostałam u nich na dobre. Można by powiedzieć, że któreś z całonocnych przyjęć nigdy się nie skończyło...

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP, ALABAMA)

8 października 1929

Meteoryt spada na dom w Whistle Stop

Pani Biddie Louise Otis, mieszkająca na Pierwszej Ulicy numer 401, donosi, że w czwartek w nocy przez dach do jej domu wpadł kilogramowy meteoryt, który co prawda w nią nie trafił, ale roztrzaskał radio, którego właśnie słuchała. Powiedziała, że siedziała na kanapce, bo fotel zajęty był przez psa, i właśnie nastawiła radio na *Godzinę Fermentu Fleischmanna*, kiedy to się stało. Powiedziała, że w dachu ma teraz metrową dziurę, a jej radio jest przełamane na pół.

Bertha i Harold Vick obchodzili rocznicę ślubu — na trawniku przed domem, by wszyscy sąsiedzi widzieli. Gratulacje również dla pana Earla Adcocka seniora, dyrektora Kolei Żelaznej L & N, który z zarządzenia numer 37 właśnie został nazwany Wielkim Rządcą Benevolent and Protective Order of the Elks*, którego członkiem jest moja druga połowa.

A przy okazji, Idgie mówi, że jeżeli chcecie sobie coś upiec, wyślijcie to do kawiarni, a Duży George już wszystkim się zajmie. Kurczaki za 10 centów i wieprze wielkością stosowne do waszego rozmiaru.

...Dot Weems.

*Benevolent and Protective Order of the Elks – organizacja wspierająca akcje charytatywne (Przypisy pochodzą od tłumaczki)

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

15 grudnia 1985

Godzinę później pani Threadgoode wciąż mówiła. Evelyn Couch zjadła trzy Milky Way i zabrała się do rozwijania drugiego Butterfinger, zastanawiając się, czy ta starszka obok niej kiedykolwiek się zamknie.

— Wiesz, to straszna szkoda, że dom Threadgoode'ów tak podupadł. Tyle się tam wydarzyło, urodziło się tyle dzieci, przeżyliśmy tyle szczęśliwych chwil. To był duży, piętrowy, biały drewniany dom z dużym gankiem, który biegł wzdłuż całego frontu... a we wszystkich sypialniach były tapety w różyczki, które wyglądały tak ślicznie, kiedy wieczorem zapalało się lampy.

Tory kolejowe szły przez podwórko na tyłach, które w letnie wieczory było pełne świetlików i przesycone zapachem kapryfolium rosnącego dziko między szynami. Tatuś zasadził tam figowce i jabłonki i wybudował dla mamy prześliczną białą altankę oplecioną winoroślą i wistarią... no i wszędzie rosły małe różowe różyczki. Och, żałuj, że tego nie widziałas.

Mama i tata Threadgoode'owie wychowywali mnie jakbym była ich prawdziwą córką. Lubiłam ich wszystkich, a zwłaszcza Buddy'ego. Wyszłam jednak za Cleo, jego starszego brata, kręgarza i, wyobraź sobie, później się okazało, że mam kłopoty z plecami, więc świetnie się złożyło.

Tak więc przez całe życie przestawałam z Idgie i Threadgoode'ami. I, słowo daję, było to o wiele lepsze od kina... słowo daję. Zawsze byłam taka przylepna. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie byłam zbyt rozmowna, dopóki nie stuknęła mi pięćdziesiątka — no, a wtedy jak zaczęłam gadać, to nie mogę przestać do tej pory. Kiedyś Cleo powiedział mi: „Ninny” — mam na imię Virginia, ale wołali na mnie Ninny — więc mówi: „Ninny, ciągle tylko słyszę Idgie to, Idgie tamto. Nie masz nic lepszego do roboty, tylko cały czas

przesiadują w tej kawiarni?”

Myślałam i myślałam, i w końcu mówię: „Nie, nie mam...” — nie, żeby w jakiś sposób zmniejszać wartość Cleo, ale taka była prawda.

W lutym minęło trzydzieści jeden lat, jak pochowałam Cleo, i od tamtej pory często się zastanawiam, czy mówiąc to, zraniłam jego uczucia, ale nie wydaje mi się, bo przecież kochał Idgie tak samo jak cała nasza reszta i nieraz niezłe się uśmieł z tego, co wy- czyniała. Była jego ulubioną siostrzyczką, a do tego prawdziwą zgrywuską. Ona i Ruth były właścicielkami Whistle Stop Cafe.

Idgie zawsze wyczyniała rozmaite zwariowane rzeczy — ot tak, dla śmiechu. Kiedyś w kościele baptystów położyła na tacę parę chipsów. Niezły był z niej numer, ale nie mieści mi się w głowie, jak ktoś mógł uwierzyć, że to ona zabiła tamtego faceta.

Evelyn po raz pierwszy przerwała jedzenie i zerknęła na tę miło wyglądającą staruszkę w wypłowiałej sukience w niebieskie kwiaty i ze srebrzystymi włosami ułożonymi w fale, która nawet się nie zająknęła:

— Niektórzy uważali, że wszystko się zaczęło tego dnia, kiedy poznała Ruth, ale ja myślę, że zaczęło się od tamtego niedzielnego obiadu, pierwszego kwietnia 1919 roku — w tym samym roku, kiedy Leona wyszła za Johna Justice’a. Pamiętam, że był pierwszy kwietnia, bo tamtego dnia Idgie przysłała do stołu i pokazała wszystkim białe pudełeczko z ludzkim palcem w środku na kawałku waty. Twierdziła, że znalazła je na podwórku. Okazało się jednak, że to jej własny palec, który wsadziła przez dziurę w dnie pudełka. PRIMA APRILIS!!!

Wszyscy oprócz Leony uważali, że to śmieszne. Była najstarszą i najładniejszą z sióstr i tata Threadgoode strasznie ją rozpieszczał... zresztą jak wszyscy.

Idgie miała z dziesięć, jedenaście lat, kiedy włożyła nowiuteńką białą sukienkę z organdy, w której wyglądała naprawdę ślicznie. Bawiliśmy się świetnie i właśnie piliśmy sok z czarnej porzeczki, kiedy nagle, ni z tego, ni z owego, Idgie wstała i obwieściła głośno: „Dopóki żyję, już nigdy więcej nie włożę sukienki!” I, kochana, powiedziawszy to, pomaszerowała na górę i przebrała się w stare spodnie Buddy’ego i koszulę. Do- tąd nie mam pojęcia, co w nią wstąpiło. Nikt nie mógł tego zrozumieć. Ale Leona, która wiedziała, że Idgie nigdy nie rzuca słów na wiatr, zaczęła jęczeć. „Och, tatusiu — mówi — Idgie zniszczy mi cały ślub. Wiem, że tak będzie!” A tatuś na to: „Ależ, dzieciątko moje, to nieprawda. Będiesz najpiękniejszą panną młodą w całej Alabamie”. Tatuś miał takie wspaniałe, sumiaste wąsy... Potem spojrział na nas i spytał: „Prawda, dzieciaki?”, a my wtrąciliśmy swoje trzy grosze, żeby się uspokoiła i wreszcie zamknęła. Znaczący się wszyscy, poza Buddym, który siedział i nic, tylko się śmiał. Idgie była jego ulubienicą, więc uważał, że wszystko było w porządku. W każdym razie Leona dokończyła swój sok i kiedy już myśleliśmy, że się uspokoiła, zaczęła się drzeć tak głośno, że Sipsey, Murzynka, coś upuściła w kuchni. „Och, tatusiu!” — krzyknęła Leona. „Co się stanie, jeżeli któ-

reś z nas umrze?”

...To dopiero myśl, co?

Wszyscy spojrzeliśmy na mamę, która tylko odłożyła widelec na stół. „Słuchajcie dzieci, jestem pewna, że wasza siostra zrobi ten jeden mały wyjątek i włoży odpowiednią sukienkę, kiedy, i w ogóle jeżeli, nadejdzie czas. W końcu jest uparta, ale nie nierozsądna”.

Potem, parę tygodni później, usłyszałam, jak mama powiedziała Idzie Simms, krawcowej, która szyła suknię ślubną dla Leony, że będzie jej potrzebny zielony, aksamitny garnitur z muszką dla Idgie. Ida spojrzała jakoś dziwnie na mamę i spytała: „Garnitur...?” A mama na to: „Och, wiem, Ida, wiem. Zrobiłam, co mogłam, żeby ją namówić na coś bardziej odpowiedniego na ślub, ale to dziecko ma własny pomysłuńek”.

I rzeczywiście tak było, chociaż Idgie była jeszcze taka mała. Tak sobie myślę, że chciała być taka jak Buddy... Och, to dopiero były rozrabiaki! — Staruszka się zaśmiała.

Kiedyś mieli takiego szopa-pracza, którego nazwali Herbatnik. Całymi godzinami mogli patrzeć, jak usiłuje wyprać krakersa. Stawiali na podwórku małą patelnię z wodą, potem dawali mu krakersa, a on prał krakersa za krakersem i za każdym razem się dziwił, że herbatnik znika. Patrzył wtedy na swoje maleńkie łapki i był taki zdziwiony. Nie mógł zrozumieć, co się dzieje z krakersem. Większą część życia spędził na praniu krakersów. Prał też ciasteczka, ale to już nie było takie śmieszne... kiedyś uprał nawet wafelek od lodu...

Och, lepiej przestanę rozmyślać o tym szopie, bo jeszcze sobie pomysła, że jestem taka stuknięta jak pani Philbeam z drugiego końca korytarza. Boże dopomóż, wydaje się jej, że jest na „Statku Miłości” płynącym na Alaskę. Wielu nieszczęśników przebywających tu nie wie, kim jest.

Mąż Evelyn, Ed, podszedł do drzwi saloniku i kiwnął na nią ręką. Evelyn zmięła opakowania po batonikach, wsadziła je do torebki i wstała.

— Przepraszam, to mój mąż. Chyba będziemy już się zbierać.

Pani Threadgoode ze zdziwieniem podniosła wzrok i powiedziała:

— Och? Musicie?

— Tak, chyba tak. On już jest gotowy do wyjścia.

— Miło mi się z tobą rozmawiało... Jak masz na imię, kochana?

— Evelyn.

— No, to wracaj szybko i przyjdź do mnie, słyszysz? Dobrze mi się z tobą rozmawiało... Pa, pa! — zawołała za Evelyn i zaczęła wypatrywać następnego gościa.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

15 października 1929

Właściciel meteorytu kwestionowany

Pani Vesta Adcock i jej syn, Earl junior, twierdzą, że to oni są prawnymi właścicielami meteorytu. Pani Adcock mówi, że dom, w który uderzył meteoryt, państwo Otis od niej wynajęli, więc to jej dom i jej meteoryt.

Pytaliśmy o zdanie panią Biddie Louise Otis, która stwierdziła, że meteoryt należy do niej, gdyż uderzył w jej radio. Jej mąż, Roy, który jest hamulcowym na Southern Railroad, pracował wtedy na nocną zmianę i nie było go w domu, lecz powiedział, że nie ma w tym wydarzeniu nic niezwykłego, jako że w 1833 roku w ciągu jednej nocy na ziemię spadło dziesięć tysięcy meteorytów i nikt nie robił wokół tego tyle zamieszania. Biddie mówi, że chce go sobie zatrzymać jako pamiątkę.

A przy okazji, czy to tylko moja wyobraźnia, czy rzeczywiście czasy są coraz cięższe? Moja druga połowa mówi, że w zeszłym tygodniu w kawiarni pojawiło się czterech nowych włóczków w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

...Dot Weems.

DAVENPORT, IOWA

OBOZOWISKO WŁÓCZĘGÓW

15 października 1929

Pięciu mężczyzn siedziało skulonych wokół małego ogniska, które rzucało pomarańczowe i czarne cienie na ich twarze, gdy pili ciekawą kawę z blaszanych puszek: byli to Jim Smokey Phillips, Elmo Inky Williams, BoWeevil Jake, Crackshot Sackett i Chattanooga Red Barker — pięciu z około dwustu tysięcy mężczyzn i chłopców wędrujących tego roku po kraju w poszukiwaniu pracy.

Smokey Phillips podniósł wzrok, lecz nic nie powiedział, a reszta zrobiła to samo. Byli tej nocy zmęczeni i znużeni, gdyż chłód nocnego powietrza oznaczał początek kolejnej surowej, bezlitosnej zimy, a Smokey wiedział, że wkrótce razem z wielkimi kluczami dzikich gęsi będzie musiał ruszyć na południe — tak jak to czynił już od tylu lat.

Urodził się w mroźny poranek w Smoky Mountains w Tennessee. Jego tata, człowiek o guzowatych kolanach, bimbrownik w drugim pokoleniu, który zakochał się we własnym produkcie, popełnił fatalny błąd, poślubiając „dobrą kobietę”, prostą wiejską dziewczynę, której życie kręciło się wokół kościoła baptystów Free Willa w Pine Grove. Większość swego dzieciństwa Smokey spędził, przesiadując godzinami ze swą siostrą, Bernice, na drewnianych ławach, śpiewając całymi dniami i myjąc stopy. Na mszy jego matka była jedną z tych kobiet, które niekiedy nagle wstają i zaczynają gadać od rzeczy, w nieznanym języku. W końcu, gdy Duch zaczął ją coraz bardziej przepełniać, coraz bardziej wyciekał z ojca, który wreszcie w ogóle przestał chodzić do kościoła. „Wierzę w Boga — powiedział dzieciom — ale myślę, że nie trzeba zwariować, żeby to udowodnić”.

Pewnej wiosny, kiedy Smokey miał osiem lat, sprawy jeszcze bardziej się pogorszyły. Matka mu oznajmiła, że Pan jakoby jej powiedział, że jej mąż jest zły i opętany przez diabła, więc doniosła na niego do urzędu skarbowego.

Smokey pamiętał dzień, kiedy przyprowadzili jego tatę z destylarni, trzymając pistolet przytknięty do pleców. Kiedy mijał żonę, spojrzął na nią, oniemiały, i powiedział: „Kobieto, czy ty wiesz, co zrobiłaś? Odjęłaś sobie chleb od ust”.

Wtedy Smokey widział go po raz ostatni.

Kiedy ojca zabrano, matka już doszczętnie sfiksowała i zaczęła się zadawać z leśną bandą zaklinaczy węży pod przewodnictwem Holy Roller. Pewnej nocy, po godzinie skandowania i czytania Biblii, czerwonolicy kaznodzieja z rozwichrzonymi włosami doprowadził swą bosonogą kongregację do szału. Wszyscy jęli skandować i tupać nogami, gdy nagle kaznodzieja sięgnął do worka na kartofle, wyciągnął dwa ogromne grzechotniki i zaczął nimi wymachiwać w powietrzu. Zatracił się w Duchu.

Smokey zamarł na swym miejscu i ścisnął siostrę za rękę. Kaznodzieja tańczył wokół, wzywając wiernych do tego, by wzięli węża i oczyścili swe dusze w wierze Abrahama, gdy ni z tego, ni z owego podbiegła do niego matka Smokeya, wyrwała jednego z węży i spojrzała mu prosto w oczy. Zaczęła coś bełkotać w nieznanym języku, cały czas wpatrując się w żółte ślepie węża. Wszyscy w pomieszczeniu zaczęli się kiwać i jęczeć. Kiedy ruszyła z wężem po sali, ludzie zaczęli padać w drgawkach na podłogę, krzycząc i turłać się pod ławkami j tam i z powrotem po nawach. Wszyscy szaleli, a ona mamrotała: „HOSSA... HELAMNA... HESSAMIA...”

Zanim się zorientował, co się dzieje, jego siostrzyczka, Bernice, wyszarpnęła się mu, podbiegła do matki i zaczęła ją ciągnąć za rąbek sukienki, wołając: „Mamo, przestań...!”

Wciąż pogrążona w transie, matka na ułamek sekundy spojrzała szeroko rozwartymi oczami na swe dziecko i w tej sekundzie grzechotnik wystrzelił do przodu i uderzył kobietę zębami w policzek. Oszołomiona, z powrotem spojrzała na węża, a on uderzył znowu, tym razem szybko i mocno, kłami wpijając się w żyłę szyjną. Grzmotnęła rozwścieczonym wężem o podłogę, a on z oburzeniem poczołgał się wzdłuż nawy. Matka ze zdziwioną miną rozejrzała się po sali, w której teraz zapadła grobowa cisza, oczy jej się zaszklily i powoli osunęła się na podłogę. Umarła w niespełna minutę.

W tej chwili wujek Smokeya wziął go na ręce i ruszył w stronę drzwi. Bernice zamieszkała u sąsiadów, a Smokey został w domu wujka. Potem, kiedy skończył trzynaste lat, ruszył wzdłuż torów kolejowych, gdzie go oczy poniosą, i nigdy już nie wrócił.

Jedyną rzeczą, jaką ze sobą zabrał, było zdjęcie siostry. Wyjmował je co jakiś czas. Na wyblakłej fotografii oboje mieli uróżowane usta i policzki: pucołowata dziewczuszka z grzywką, różową wstążką opasującą główkę i krótkim sznurkiem pereł na szyi i on za nią, z brązowymi włosami luźno opadającymi w dół, policzkiem mocno przytulony do niej. Często się zastanawiał, jak się miewa Bernice, i planował, że jak tylko stanie na nogach, zajrzy do niej.

Kiedy miał jakieś dwadzieścia lat, zgubił to zdjęcie, gdy kolejowy detektyw-łobuz wy-

kopał go z pociągu towarowego do zimnej, żółtej rzeki gdzieś w Georgii. Teraz więc prawie o niej nie myślał. Wyjątkiem było, gdy niekiedy przejeżdżał nocą pociągiem przez Smoky Mountains, w drodze do jakiegoś innego miejsca...

Tamtego ranka Smokey Phillips jechał towarowo-pasażerskim pociągiem z Georgii na Florydę. Od dwóch dni nic nie miał w ustach, lecz przypomniało mu się, że znajomy, Elmo Williams, powiedział mu, że tuż pod Birmingham dwie kobiety prowadzą lokal, gdzie zawsze można dostać coś na ząb. Po drodze parę razy widział nazwę tej kawiarni wypisaną na ścianach wagonów towarowych, więc kiedy zobaczył tablicę WHISTLE STOP, ALABAMA, wyskoczył z pociągu.

Kawiarnię znalazł tuż za torami — tak jak mu wytłumaczył Elmo. Był to mały, zielony budynek z zielono-białą markizą pod znakiem Coca-Coli, z napisem WHISTLE STOP CAFE. Zaszedł od tyłu i zapukał do siatkowych drzwi. W środku mała, czarna kobieta smażyła kurczaka i kroїła zielone pomidory. Spojrzała na niego i zawołała:

— Panienko Idgie!

Wkrótce potem do drzwi podeszła ładna, wysoka, piegowata blondynka o kręconych włosach, w czystym, białym podkoszulku i męskich spodniach. Mogła mieć nieco ponad dwadzieścia lat.

Smokey zdjął kapelusz.

— Przepraszam, psze pani, może ma pani na zbyciu jakąś robotę. Ostatnio mi się nie wiedzie.

Idgie popatrzyła na przybysza w znoszonej, brudnej kurtce, wystrzępionej brązowej koszuli i spękanych skórzanych butach bez sznurowadeł i zrozumiała, że mężczyzna ów nie kłamie.

Otworzyła drzwi i powiedziała:

— Wejdz, bracie. Chyba coś się dla ciebie znajdzie.

Spytała go, jak się nazywa.

— Smokey, psze pani.

Zwróciła się do kobiety za ladą. Smokey od miesięcy nie widział zadbanych i czystych kobiet, a ta była najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. Miała na sobie sukienkę w kropki z organdy, a jej kasztanowate włosy były ściągnięte do tyłu i związane czerwoną wstążką.

— Ruth, to jest Smokey. Będzie u nas trochę pracować.

Ruth spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

— Doskonale. Miło mi cię poznać.

Idgie wskazała na męską toaletę i zaproponowała:

— Może byś tam poszedł i się odświeżył, a potem coś przekąsisz.

— Tak, psze pani.

Łazienka była duża; z sufitu zwisała żarówka. Kiedy ją zapalił, zobaczył w kącie dużą,

pionowo stojącą wannę na szponiastych łapach i z czarnym, gumowym korkiem na łańcuszku. Na umywalce, już przygotowana, leżała maszynka i mydło do golenia oraz pędzel. Kiedy przejrzał się w lustrze, zrobiło mu się wstyd, że go widziały takiego brudnego, ale już od dłuższego czasu nie używał mydła. Wziął do ręki dużą kostkę mydła Oxydol i jął zeskrobywać z twarzy i rąk brud i pył węglowy. Od dwudziestu czterech godzin nie miał w ustach kropli wody, a ręce tak mu się trzęsły, że nie mógł się porządnie ogolić, ale zrobił, co mógł. Kiedy już ochlapał się płynem do golenia Old Spice i uczesał grzebieniem Acego, który znalazł na półce nad urny walką, wrócił na salę. Iddie i Ruth nakryły dla niego do stołu. Zasiadł przed talerzem smażonego kurczaka, groszku, rzeppy, smażonych zielonych pomidorów, chlebem z mąki kukurydzianej i mrożoną herbatą. Uniósł widelec i spróbował coś na niego nabrać. Ręce wciąż mu się trzęsły, więc nie mógł donieść jedzenia do ust. Wylał sobie herbatę na koszulę. Miał nadzieję, że mu się nie przyglądają, ale po chwili blondynka powiedziała:

— Smokey, chodź, wyjdziemy na dwór.

Wziął kapelusz i wytarł się serwetką, sądząc, że go wyrzucają.

— Tak, psze pani.

Zaprowadziła go na tył kawiarni, gdzie było pole.

— Nerwus z ciebie, co?

— Przepraszam, żem rozlał jedzenie, psze pani, ale prawdę mówiąc... no to... chyba pójdę dalej, ale dziękuję...

Iddie sięgnęła do kieszeni w fartuszku, wyjęła ćwiartkę whisky Old Joe i podała mu ją.

Był jej za to wielce wdzięczny.

— Niech to pani Bóg wynagrodzi w niebie, psze pani — powiedział i usiadł na beli drewna koło szopy.

Kiedy Smokey koił swoje zszargane nerwy, Iddie mówiła.

— Widzisz ten pusty kawałek ziemi?

Spojrzał we wskazanym kierunku.

— Tak, psze pani.

— Wiele lat temu było tam najpiękniejsze jezioro w Whistle Stop... Latem pływalimy w nim, łowiliśmy ryby, a kto chciał, mógł się przejechać łódką. — Ze smutkiem potrząsnęła głową. — Okropnie mi go brakuje, okropnie.

Smokey patrzył na pustą ziemię.

— Co się z nim stało? Wyszło?

Zapaliła dla niego papierosa.

— Nie, jeszcze gorzej. Któregoś dnia w listopadzie wielkie stado kaczek, och, chyba ze czterdzieści, albo i więcej, wylądowało na samym środku tego jeziora, no i kiedy tam sobie siedziały, stało się coś okropnego. Temperatura tak spadła, że całe jezioro zamarz-

ło na kamień — dosłownie w trzy sekundy. Raz, dwa, trzy — i już.

Smokey zdumiał się.

— Poważnie?

— No.

— To pewnie te kaczkę pozdychały.

— Nie, kurczę — powiedziała Idgie. — Odfrunęły i zabrały jezioro ze sobą. Teraz jest gdzieś w Georgii...

Odwrócił się i spojrzał na nią, a kiedy zrozumiał, że się z niego nabija, zmrużył swe niebieskie oczy i zaczął się śmiać tak strasznie, że jednocześnie dostał ataku kaszlu, aż musiała go walić po plecach. Jeszcze ocierał oczy, kiedy wrócili do kawiarni, gdzie czekała kolacja. Kiedy z powrotem usiadł do stołu, jedzenie było ciepłe. Ktoś je dla niego trzymał w piekarniku.

O, gdzie jest dziś w nocy mój maty wędrowiec

Matczyna duma...

Liczy podkłady kolejowe

Idąc z łóżkiem na plecach

A może uwieszony poręczy wagonu

Odjeżdża gdzieś w dal...

O, gdzie jest dziś w nocy mój chłopiec?

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

22 października 1929

Meteoryt na wystawie w kawiarni

Pani Biddie Louise Otis obwieściła dzisiaj, że zamierza zabrać do kawiarni meteoryt, który w zeszłym tygodniu wpadł przez dach do jej domu, by ludzie wreszcie przestali ją o niego wypytywać, bo ona jest zajęta przeprowadzką. Powiedziała, że to tylko kawał szarej skały, ale jeżeli ktoś ją chce sobie obejrzeć, to proszę bardzo. Idgie zaprasza do kawiarni, gdzie meteoryt będzie wystawiony na kontuarze. Przepraszam, że w tym tygodniu tylko tyle, ale moja druga połowa, Wilbur, ma grypę, więc muszę przez cały tydzień chodzić koło niego.

Czy istnieje coś gorszego od chorego mężczyzny?

Z przykrością zawiadamiamy, że nasza ukochana dziewięćdziesięcioośmioletnia Bessie Vick, teściowa Berthy, zmarła wczoraj w wieku, który się powszechnie uważa za sędziwy.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

22 grudnia 1985

Kiedy w następną niedzielę Evelyn przyszła do pokoju odwiedzin, pani Threadgoode siedziała na tym samym krześle, w tej samej sukience, czekając na nią. Wesoła jak skowronek podjęła opowieść o domu Thredagoode'ów, jakby się w ogóle nie rozstawały, i Evelyn nie mogła począć nic więcej, jak tylko odwinąć z papierka batonik Almond Joy i przeczekać.

— Na podwórku przed domem rosło wielkie, stare drzewo mydleńca*. Pamiętam, że zrywaliśmy jego owocki przez cały rok, a na Boże Narodzenie nanizywaliśmy je na sznurek, którym owijaliśmy drzewo od samego czubka aż po ziemię. Mama zawsze nas ostrzegała, byśmy nie wkładali tych owoców do nosa, no i oczywiście pierwszą rzeczą, jaką Idgie zrobiła, kiedy nauczyła się chodzić, było wyjście na podwórko i wsadzenie paru owoców do nosa, a także do uszu. Do tego stopnia, że trzeba było wezwać doktora Hadleya! Powiedział mamie: „Pani Threadgoode, wygląda na to, że trzyma pani na rękach prawdziwego urwisa”.

Buddy'emu oczywiście było w to graj. Zachęcał ją do wszystkiego, co robiła. Ale tak to już jest w dużych rodzinach. Wszyscy mają swojego ulubieńca. Naprawdę miała na imię Imogene, ale Buddy zaczął na nią mówić „Idgie”. Kiedy się urodziła, miał osiem lat. Nosił ją po całym miasteczku, zupełnie jakby była lalką. Kiedy dorosła na tyle, że mogła chodzić, dreptała za nim jak kaczuska, ciągnąc za sobą takiego małego, drewnianego kogucika.

Ten Buddy to był istny gwiazdor z tymi swoimi czarnymi oczami i białymi zębami... potrafił każdego oczarować w ciągu sekundy. Nie znam takiej dziewczyny z Whi-

*Mydleniec – drzewo pochodzenia azjatyckiego, uprawiane dla ozdobnych, żółtych owoców

stle Stop, która prędzej czy później by się w nim nie zakochała.

Podobno nigdy się nie zapomina swoich szesnastych urodzin i to prawda. Wciąż pamiętam ten różowo-biały tort z karuzelą na wierzchu i blady, cytrynowozielony poncz, jaki mama wlała do kryształowej wazy. I wszystkie te papierowe lampiony rozwieszona na podwórku. Ale najbardziej mi utkwiło w głowie, jak Buddy Threadgoode skradł mi całusa za altanką obrośniętą dzikim winem. Och, naprawdę to zrobił! Jednakże byłam tylko jedną z wielu...

Idgie dzień i noc była zajęta przekazywaniem miłosnych liścików od i do Buddy'ego. Zaczęliśmy nawet mówić na nią „Kupidynek”. Idgie była blondyneczką; miała krótkie, kręcone jasne włosy, niebieskie oczy i piegi. Wrodziła się w rodzinę ze strony mamy. Nazwisko panięskie mamy brzmiało: Alice Lee Cloud. Zawsze mówiła: „Byłam Chmurą*, zanim wyszłam za mąż”. Była przeuroczym stworzeniem. Prawie wszyscy w rodzinie mieli niebieskie oczy, poza Buddym i biedną Essie Rue, która jedno oko miała niebieskie, a drugie — brązowe. Mama twierdziła, że to dlatego ma taki talent muzyczny. We wszystkim potrafiła dostrzec coś dobrego. Pewnego razu Idgie i Buddy ukradli staremu Sockwellowi cztery wielkie arbuzy i ukryli je w jej krzakach czarnej porzeczki. No i, złotko, kiedy następnego dnia rano, zanim zdążyli je stamtąd zabrać, mama je znalazła, była przekonana, że wyrosły tam w ciągu nocy. Cleo mówił, że potem nie było roku, żeby nie była rozczarowana, że nie wyrosły znowu. Nikt nie miał serca jej powiedzieć, że te arbuzy pochodziły z kradzieży.

Mama była baptystką, a tata — metodystą. Mówił, że ma awersję do zanurzania się w wodzie. Więc co niedziela tata szedł na lewo, do Pierwszego Kościoła Metodystów, a cała nasza reszta skręcała na prawo do kościoła baptystów. Buddy czasami chodził z tatą, ale po jakimś czasie przestał. Twierdził, że baptystki są ładniejsze.

Wszyscy przyjezdni zawsze zatrzymywali się u Threadgoode'ów. Któregoś lata u mamy był taki wielki, gruby duchowny baptystów, który przyjechał do naszego miasteczka na zlot. Zatrzymał się u nas, a kiedy dokąś wyszedł, bliźniaczki zakradły się do jego pokoju i zaczęły się bawić jego spodniami. Patsy Ruth weszła w jedną nogawkę, a Mildred — w drugą. Świetnie się bawiły, dopóki nie usłyszały, że wchodzi po schodach... Tak się zlekły, że Mildred ruszyła w jedną stronę, a Patsy Ruth — w przeciwną. Rozdarły te spodnie dokładnie na pół. Mama powiedziała, że tata tylko dlatego nie sprawił im lania, że ten kaznodzieja był baptystą. Ta różnica przekonań nigdy jednak nie powodowała poważniejszych problemów, bo po kościele wszyscy spotykaliśmy się w domu na niedzielnym obiedzie.

Tata Threadgoode nie był bogaty, ale wtedy nam się wydawało, że jest. Należał do niego jedyny sklep w miasteczku. Można tam było dostać wszystko, czego tylko dusza za-

*Cloud (ang.) – chmura

pragnie. Ot, choćby tarę do prania albo sznurowadła czy gorset lub kiszzonego ogórka prosto z beczki.

Buddy pracował w dziale drogerijnym. Oddałabym całą chińską herbatę za taką wodę sodową z truskawkowymi lodami, jaką przyrządzał Buddy. Wszyscy z Whistle Stop robili tam zakupy. Dlatego tak się zdziwiliśmy, kiedy w dwudziestym drugim sklep został zamknięty.

Cleo mówił, że powodem bankructwa sklepu było to, że tata nikomu nie potrafił odmówić — czy to białemu, czy czarnemu. Jak ktoś czegoś potrzebował, on to po prostu wkładał do torby i dawał na kredyt. Cleo mówił, że majątek taty wyszedł przez frontowe drzwi w papierowych torbach. No, ale żaden z Threadgoode'ów nie potrafił powiedzieć „nie”. Złotko, zdjęliby z grzbietu ostatnią koszulinę i dali ci ją, gdybyś o nią poprosiła. A i Cleo nie był lepszy. Nigdy się u nas nie przelewało, mieliśmy to, co Bóg nam raczył dać i wszystko, czego potrzebowaliśmy. Myślę, że biedni ludzie są dobrzy — poza tymi, którzy są źli... bo ci zostaną źli, nawet gdyby stali się bogaci. Większość osób, które mieszkają tu, u Rose Terrace, to biedacy. Mają tylko opiekę społeczną, a większość z nich korzysta z bezpłatnej opieki lekarskiej.

Zwróciła się do Evelyn.

— Kochanie, przede wszystkim trzeba korzystać z bezpłatnej opieki lekarskiej. Lepiej ją sobie załatwić.

Jest tu parę bogatych kobiet. Parę tygodni temu pani Vesta Adcock, ta mała kobieta o ptasiej klatce piersiowej, która też jest z Whistle Stop, przyjechała w czterech futrach z lisa naraz i miała na ręku wszystkie swoje diamentowe pierścienie. Ona jest z tych bogatych. Ale bogaci nie wydają mi się szczęśliwi. I powiem ci coś jeszcze — dzieci nie odwiedzają ich częściej niż innych.

Norris i Francis, syn i córka pani Otis, przyjeżdżają do niej co tydzień, deszcz nie deszcz. Dlatego właśnie w niedzielę przychodzę tu, do pokoju odwiedzin, żeby im dać trochę prywatności, by mogli pobyć ze sobą sami... ale, och, aż serce boli, gdy się patrzy na tych, którzy czekają, aż ich ktoś odwiedzi. W sobotę każą sobie czesać włosy, cały niedzielny ranek się stroją, a tu nikt nie przyjeżdża. Tak mi wtedy przykro, ale co mogę zrobić? Posiadanie dzieci nie jest gwarancją na to, że cię ktoś odwiedzi... Oj, nie, nie jest.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

12 lipca 1930

**Kawiarnia Whistle Stop rozwija się
w zawrotnym tempie**

Opal Threadgoode, żona Juliana, wynajęła budynek dwa numery od mojej poczty i otwiera tam własny salon piękności. Do tej pory czesała klientki w kuchni, ale Julian powiedział, żeby przestała, bo przez tylne drzwi codziennie wchodziło i wychodziło tyle kobiet, że jego kury przestały znosić jajka. Opal mówi, że ceny pozostaną te same: mycie i układanie za pięćdziesiąt centów i trwała za dolara pięćdziesiąt.

Ja przynajmniej jestem zachwycona tą nowością na naszej ruchliwej ulicy. Pomyślcie tylko, teraz możecie wysłać list, coś przekazać i pójść do fryzjera na tej samej ulicy. Jeszcze potrzebne nam jest tylko kino, żebyśmy już nie musieli jeździć do Birmingham.

Państwo Royowie Glass na podwórku za domem zorganizowali coroczny zjazd rodzinny, na który przybyli wszyscy Glassowie z całego stanu. Wilma twierdzi, że tort smakował lepiej, niż wyglądał.

A przy okazji — moja druga połowa, łowiąc wczoraj ryby, nabiła sobie na haczyk własny palec, więc teraz znowu siedzi w domu, jęczy i stęka.

...DotWeems...

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

18 listopada 1931

Nazwa kawiarni została wypisana na setkach wagonów — od Seattle do Florydy. Splinter Belly Jones powiedział, że widział ją aż w Kanadzie.

Ten rok był szczególnie ciężki. Nocami lasy wokół Whistle Stop jarzyły się od ognisk w obozach włóczęgów i nie było ani jednego człowieka stamtąd, którego Idgie i Ruth by nie nakarmiły.

Cleo, brat Idgie, bardzo się tym martwił. Przyszedł do kawiarni po swoją żonę, Ninny, i synka, Alberta. Napił się kawy i pojadł orzeszków ziemnych.

— Idgie, mówię ci, nie musisz karmić każdego, kto przychodzi pod twoje drzwi. Musisz prowadzić interes. Julian mi powiedział, że któregoś dnia widział tu siedmiu włóczęgów. Mówi, że pewnie odejmujesz Ruth i dziecku od ust, żeby nakarmić tych włóczęgów.

Idgie próbowała odwieść go od tej myśli.

— Och, Cleo, co taki Julian może wiedzieć? Umarłby z głodu, gdyby Opal nie miała tego salonu piękności. Po co ty go słuchasz? Nie ma nawet tyle rozumu, co osioł.

Co do tego Cleo nie mógł się sprzeczać.

— Ale to nie tylko o Juliana chodzi, kochana. Martwię się o ciebie.

— Wiem.

— Chcę tylko, żebyś była mądra, nie wygłupiała się i nie rozdawała na prawo i lewo swoich dochodów.

Idgie spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

— Słuchaj, Cleo, wiem, że połowa ludzi w tym mieście od pięciu lat nie zapłaciła ci ani grosza. Jakoś nie widzę, żebyś ich wyrzucał za drzwi.

— Właśnie, Cleo — wypaliła Ninny, która zazwyczaj siedziała cicho.

Cleo zjadł fistaszka. Idgie wstała i żartobliwie otoczyła ramieniem jego szyję.

— Słuchaj, ty stary dziadku do orzechów, nigdy, ani razu w całym swoim życiu, nikogo nie odprawiłeś od drzwi.

— Nigdy nie musiałem. Wszyscy byli tutaj — powiedział i odchrząknął. — A teraz poważnie, Idgie. Nie próbuję za ciebie prowadzić interesu, czy coś, tylko po prostu chcę wiedzieć, czy masz jakieś oszczędności — i to wszystko.

— A po co? — zdziwiła się Idgie. — Słuchaj, pieniądze zabijają, dobrze o tym wiesz. Właśnie dzisiaj przyszedł do mnie pewien człowieki opowiedział mi o swoim wujku, który miał dobrą pracę w mennicy państwowej w Kentucky. Robił pieniądze dla rządu i wszystko było w porządku do dnia, w którym pociągnął nie za tę dźwignię, co trzeba, i przywaliło go trzysta pięćdziesiąt kilogramów dziesięciocentówek.

Ninny była przerażona.

— Och, nie. Jakie to straszne.

Cleo spojrzał na żonę, jakby zwariowała.

— Matko boska, kobieto, ty chyba uwierzyłybyś we wszystko, co by ci opowiedziała ta moja zwariowana siostrzyczka.

— Ale to się mogło zdarzyć, prawda? Idgie, te dziesięciocentówki naprawdę go przygniotły na śmierć?

— Pewnie. Dziesięciocentówki albo sto pięćdziesiąt kilogramów dwudziestopięciocentówek — dokładnie nie pamiętam, ale w każdym razie zabiły go.

Cleo pokręcił głową, ale nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

29 stycznia 1986

Co niedziela, w dniu odwiedzin, Ed Couch i jego matka, Duża Mama, przez całe popołudnie siedzieli w jej zagraconym, malutkim pokoiku i patrzyli na telewizję. Dzisiaj Evelyn pomyślała, że jeżeli natychmiast stamtąd nie wyjdzie, zacznie krzyczeć. Przepręsiła i powiedziała, że idzie do łazienki w korytarzu. Tak naprawdę chciała posiedzieć w samochodzie, ale zapomniała, że Ed ma kluczyki, więc znowu znalazła się w saloniku z panią Threadgoode. Otworzyła paczkę kokosowych Snow Balls firmy Hostess, a pani Threadgoode zaczęła opowiadać o ostatniej kolacji u Rose Terrace.

— No i usiadła w końcu do stołu... cała nadęta i napuszczona.

— Kto?

— Pani Adcock.

— Pani Adcock?

— Pani Adcock! Pamiętasz, pani Adcock w lisach. Pani Adcock!

Evelyn przez chwilę się zastanawiała.

— Aha, ta bogata.

— Zgadza się, pani Adcock z pierścieniami.

— Właśnie.

Evelyn podała jej otwartą torebkę.

— Och, dziękuję. Uwielbiam Snow Balls. — Ugryzła kawałek i po chwili powiedziała: — Evelyn, nie chciałabyś tego splukać Coca-Colą? Mam trochę drobnych w pokoju. Jeżeli chcesz, kupię ci coś do picia. Na korytarzu jest automat.

— Nie, proszę pani — powiedziała Evelyn. — Mnie się nie chce pić, ale może coś pani przynieść?

— Och, nie, kochana. Kiedy indziej chętnie bym skorzystała, ale dzisiaj chyba mam

wzdęcie, więc może po prostu napiję się wody, jeśli mogłabyś mi ją podać.

Evelyn wyszła i wróciła z dwoma białymi kubeczkami zimnej wody.

— Dziękuję pięknie.

— No i co z tą panią Adcock?

Pani Threadgoode spojrzała na nią.

— Pani Adcock? Znasz ją?

— Nie, nie znam jej, ale przed chwilą pani powiedziała, że czymś się przechwalała.

— A tak, rzeczywiście... No więc wczoraj wieczorem pani Adcock opowiadała nam, że ma w domu same antyki... że mają ponad pięćdziesiąt lat... że wszystko, co ma, jest warte mnóstwo pieniędzy. „Zawsze mi się wydawało, że nie jestem zbyt wiele warta — mówię do pani Otis — a tu się okazuje, że jestem bezcennym antykiem. Na rynku może kosztowałabym fortunę”. — Pani Threadgoode roześmiała się, ubawiona tym pomysłem, po czym na chwilę się zamyśliła. — Ciekawe, co się stało z tym maleńkim serwisem dla lalek z chińskiej porcelany i wózkiem ciągniętym przez osła?

W niedzielę jeździliśmy na przejażdżki tym powozikiem, który zrobił dla nas tata, i wolałyśmy to od podróży do Paryża. Nie zdziwiłabym się, gdyby ten stary osioł jeszcze żył. Miał na imię Harry... Osioł Harry! Jadł wszystko! — Roześmiała się. — Któregoś razu Idgie nakarmiła go całym słoikiem dezodorantu mamy Leony, a on go wy chleptał, jakby to były lody...

Bawiliśmy się w rozmaite zabawy, ale nikt nie lubił się przebierać bardziej niż Threadgoode'owie. Któregoś roku na konkurs, który miał się odbyć w kościele, mama przebrała naszą czwórkę za karty — każda w innym kolorze. Ja byłam treflem, bliźniaczki — kierem i karo, a Essie Rue — pikiem, a za nami ciągnęła się Idgie jako joker. Zdobyliśmy pierwszą nagrodę!

Pamiętam, że w któreś święto czwartego lipca wszystkie miałyśmy na sobie papierowe korony i sukienki w gwiazdki i paski. Siedzimy sobie za domem, jedząc lody domowej roboty i czekając na fajerwerki, kiedy ze schodów schodzi Buddy Threadgoode ubrany w jedną z sukienek z marynarskim kołnierzem Leony i z wielką kokardą związaną na głowie. Zaczął się wdzięczyc i mizdrzyć. Naśladował Leone, wiesz? Potem, na domiar złego, Edward czy Julian, czy też któryś z chłopców, wyniósł na podwórko fonograf i zaczął kręcić korbką, grając *Szejka z Arabii*, a Buddy w tym czasie tańczył taniec brzucha po całym podwórku. Śmiałyśmy się później z tego jeszcze ze cztery lata. Potem Buddy dał Leonie soczystego całusa. Jemu wszystko uchodziło na sucho. Kiedy się ściemniło, tata wynajął ludzi od fajerwerków, żeby dali pokaz dla wszystkich mieszkańców miasteczka... i przyjechali wszyscy kolorowi z Troutville. Co za widok! Fajerwerki strzelały i rozświetlały całe niebo. A wszyscy chłopcy oczywiście strzelali petardami jak szaleni: Potem, kiedy już było po wszystkim, wróciliśmy, usiedliśmy w salonie i słuchaliśmy, jak Essie Rue katuje pianino. Zagrała *Posłuchaj drozda, Nolę* czy jakąś inną popu-

larną wtedy piosenkę... a Idgie siedziała na drzewie i wyła jej do wtóru.

Idgie chyba zawsze chodziła w kombinezonie i boso. Zresztą to i dobrze. Zniszczyła-by każdą elegancką sukienkę, łażąc tak po drzewach. Zawsze też chodziła na polowania i na ryby z Buddym i swymi braćmi. Buddy mówił, że Idgie umie strzelać nie gorzej niż którykolwiek z nich. Była śliczniutka, ale kiedy Buddy obciął jej włosy na krótko, można by przysiąc, że to chłopaczek.

No, ale wszystkie dziewczyny Threadgoode'ów były ładne. Och, nie żeby w ogóle nie pracowały. Zwłaszcza Leona była śliczna. Była najładniejsza i nie potrafiła się śmiać sama z siebie.

Ja oczywiście zawsze byłam z wyglądu tylko trójkowa — z powodu wysokiego wzrostu. Garbiłam się trochę, żeby to ukryć, ale mama Threadgoode mawiała wtedy: „Ninny, nasz łaskawy Pan stworzył cię taką wysoką, żebyś miała bliżej do nieba...” Teraz już nie jestem taka wysoka jak kiedyś. Na starość człowiek się kurczy.

Czyż włosy to nie zabawna rzecz? Tyle osób wariuje na punkcie swoich włosów. Oczywiście to rzecz naturalna. Nawet w Biblii jest mowa o włosach: Samson, ta Saba i dziewczyna, której włosami Jezus umył sobie stopy... Czy to nie dziwne, że czarni chcą sobie prostować włosy, a my zawsze marzymy o lokach? Kiedyś miałam brązowe włosy, ale teraz używam Silk and Silver numer piętnaście... Próbowałam też numeru szesnaście, ale włosy mi od niego ciemniały i wyglądały jak farbowane. W tamtych czasach wiązałam je w węzeł i niczym się nie przejmowałam. W przeciwieństwie do panny Leony. Jej włosy zawsze były kością niezgody między nią a Idgie. Idgie miała wtedy z dziewięć czy dziesięć lat. Poszła do Troutville, żeby się pobawić z tamtejszymi dziećmi i wróciła do domu z zawsoną głową. Wszyscy musieliśmy więc wyszorować sobie głowy mieszaniną siarki, nafty i smalcu. Nigdy nie słyszałam takich wrzasków i pisków jak wtedy. Leona się darła, jakby ją palono na stosie. Potem nie chciała rozmawiać z biedną Idgie. W tym czasie Buddy wrócił ze szkoły do domu i zobaczył, że Idgie jest przygnębiona. Miał tego wieczoru iść na piłkę i kiedy wychodził, powiedział: „Chodź, mała” i zabrał ją na mecz, i pozwolił siedzieć na ławce z resztą graczy. Taki już był ten Buddy...

Myślę, że Leona wybaczyła Idgie dopiero po ślubie. Leona była bardzo próżna aż do samej śmierci. Kiedyś przeczytała w magazynie „McCall”, że gniew i nienawiść mogą powodować zmarszczki. Od tamtej pory kiedy groziła Idgie, zawsze robiła to z uśmiechem na twarzy.

Oczywiście Leona znalazła sobie najbogatszego męża, a jej wesele było nadzwyczajne. Strasznie się bała, że Idgie je zepsuje, ale niepotrzebnie, bo Idgie większość dnia spędziła z rodziną pana młodego i tak ich oczarowała, że jeszcze przed końcem dnia doszli do wniosku, że jest najwspanialszym stworzeniem, jakie tylko można znaleźć na drzewie czy krzaku. Już w tym wieku miała ten urok Threadgoode'ów. A nikt w świecie nie

potrafił tak czarować jak Buddy Threadgoode.

Pani Threadgoode zamilkła na chwilę, by upić łyk ze swojego kubka i zamyśliła się.

— Wiesz, ten batonik kokosowy przypomina mi o tamtym strasznym pikniku.

Byłam już wtedy zaręczona z Cleo, więc musiałam mieć siedemnaście lat. Było niedzielne, czerwcowe popołudnie, a my znajdowaliśmy się w samym środku pikniku zorganizowanego przez nasz kościół. Na ten dzień zjechała pociągiem grupa młodzieży z Andaluzyjskiego Kościoła Baptystów i mama z Sipsej upiekły na tę okazję z dziesięć kokosowych ciast. Chłopcy mieli na sobie białe letnie garnitury, a Cleo kupił w sklepie taty nowiutki kapelusz słomkowy, ale z jakiegoś powodu Buddy namówił go, by mu ten kapelusz pożyczył na piknik.

Po pikniku wróciliśmy z Essie Rue do domu, obładowane talerzykami po cieście, a wszyscy chłopcy Threadgoode'ów jak zawsze poszli na stację, żeby odprowadzić grupę z Andaluzji. Mama była na podwórku i zrywała figi z drzewa, a ja byłam z nią, kiedy to się stało...

Usłyszałyśmy odgłos ruszającego pociągu i gwizd, kiedy lokomotywa szarpnęła do przodu. Potem dobiegł nas zgrzyt hamujących kół i w tej samej chwili rozległ się krzyk dziewcząt. Spojrzałam na mamę, która nagle złapała się za serce, padła na kolana i krzyknęła: „Och, nie, tylko nie moje dziecko! Dobry Boże, tylko nie moje dziecko!”

Tata Threadgoode był w sklepie, gdy usłyszał hałas. Od razu pobiegł na stację. Stałam z mamą na ganku, kiedy zjawili się mężczyźni. W tej samej chwili, kiedy zobaczyłam słomkowy kapelusz, który niósł Edward, zrozumiałam, że to Buddy.

Tego dnia zalecał się do tej ładnej Marie Miller i kiedy rozległ się gwizd pociągu, wszedł na tory, nasunął na oczy kapelusz i posłał jej uwodzicielski uśmiech. Podobno nawet nie usłyszał nadjeżdżającego z tyłu pociągu. Och, jak bardzo bym chciała, żeby Cleo nie pożyczył mu wtedy tego kapelusza.

Nie masz pojęcia, jak cierpieliśmy. — Pokręciła głową. — Ale najciężej to zniosła Idgie. Musiała mieć wtedy ze dwanaście, trzynaście lat i kiedy to się stało, grała w piłkę w Troutville. Cleo poszedł po nią. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak cierpiał. Myślałam, że umrze razem z nim. Aż mnie serce bolało, jak na nią patrzyłam. W dniu pogrzebu uciekła. Nie mogła tego znieść. A kiedy wróciła do domu, od razu poszła na górę i przesiedziała w pokoju Buddy'ego wiele godzin. Po prostu siedziała tam po ciemku. A kiedy już nie mogła wytrzymać siedzenia w domu, zabierała się i szła do Sipsej, do Troutville... Nigdy nie płakała. Za bardzo cierpiała, żeby płakać... Wiesz, serce może pęknąć, ale i tak bije dalej.

Mama Threadgoode zamartwiała się o nią na śmierć, ale tata powiedział, że trzeba ją puścić i pozwolić robić to, co chce. Oczywiście potem już nigdy nie była taka sama — ale gdy poznała Ruth, zaczęła wracać do siebie. Ja jednak wiem, że nigdy się nie otrząsnęła po śmierci Buddy'ego... jak my wszyscy.

Nie chcę jednak się zatrzymywać nad smutnymi rzeczami. To nie w porządku. Poza tym, jak to widać po spotkaniu Idgie z Ruth, Bóg nigdy nie zamyka jednych drzwi, jeżeli nie chce otworzyć drugich, i wierzę, że celowo tamtego lata przysłał do nas Ruth... „Nasz Pan baczy na każdego wróbelka, więc wiem, że ma pieczę i nade mną.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

1 grudnia 1931

Radiowa gwiazda w Whistle Stop

Hollywood niczym nam nie może zaimponować. Naszą Essie Rue Limeway, która jest organistką w kościele baptystów i akompaniuje Kwartetowi Salonu Fryzjerskiego Dla Pań Jolly Belles, można w tym miesiącu usłyszeć co rano o szóstej trzydzieści w audycji „King Biscuit Time” w rozgłośni W.A.P.I., gdzie gra na pianinie reklamówkę, którą skomponowała dla Fabryki Organów i Pianin Stanleya Charlesa. Kiedy pan Charles mówi: „Pamiętajcie, zatrzymam wasze pianino czy organy do Gwiazdki”, Essie Rue gra w tle Jingle Bells. Posłuchajcie jej koniecznie.

Essie powiedziała mi, że Stanley Charles ma w tym roku na składzie zbyt dużo organów i pianin i pragnie je na gwałt sprzedać. Essie mówi, że jeżeli się na nią powołacie, dostaniecie zniżkę. Sklep jest położony w centrum Birmingham, tuż koło przystanku tramwajowego, naprzeciwko budki z hot dogami Gusa.

A przy okazji, z Salonu Piękności Opal znowu spadło „O” i o mało co nie uderzyło Biddie Louise Otis w głowę. Opal mówi, że cieszy się, że Biddie nic się nie stało, ale czy to nie niesamowity zbieg okoliczności, że nazwisko pani Otis również zaczyna się na „O”? Julian mówi, że naprawi szyld w tym tygodniu, ale Biddie uprzedza, że od tej pory będzie wchodziła od tyłu.

...Dot Weems.

PS. Opal mówi, że właśnie dostała przesyłkę z treskami... Jeśli! więc macie jakieś miejsce w którym przydałoby się więcej włosów... to Opal zaprasza...

212 RHODES CIRCLE
BIRMINGHAM, ALABAMA

5 stycznia 1986

Evelyn Couch zamknęła się w swoim pokoju do szycia i dobrała się do drugiego pojemnika lodów z kawałkami czekolady od Baskina-Robbinsa, patrząc na stół zavalony wysoką stertą wykrojów, których nie tknęła od dnia, kiedy to kupiła je w napadzie dobrych chęci. Ed siedział w swojej norce, zajęty oglądaniem meczu futbolowego, co jej zresztą odpowiadało, gdyż ostatnio spoglądał na nią znacząco, kiedy jadła coś tuczącego, i mówił z pełnym ironii zdziwieniem: „To też jest w twojej diecie?”

Okłamała sprzedawcę w Baskin-Robbins. Powiedziała mu, że lody są na przyjęcie dla jej wnuków, a ona nie miała wnuków.

Evelyn miała czterdzieści osiem lat i gdzieś po drodze się zagubiła. Wszystko tak szybko się zmieniało. Kiedy wychowywała wymaganą dwójkę dzieci — „chłopiec dla niego i dziewczynka dla mnie” — świat stał się jakimś innym miejscem, którego w ogóle nie znała. Nie rozumiała już dowcipów. Wydawały się jej takie tępe, raził ją też język. Nigdy w życiu nie powiedziała słowa na „D”. Oglądała głównie stare filmy i powtórki *The Lucy Show*. Podczas wojny wietnamskiej wierzyła w to, co jej mówił Ed, że ta wojna jest konieczna, a każdy, kto się jej sprzeciwia, jest komunistą. Ale potem, dużo później, kiedy doszła do wniosku, że może wcale nie była potrzebna wojna, Jane Fonda stworzyła swoją grupę gimnastyczną i nikogo nie obchodziło, co sobie myśli Evelyn. Ciągle miała żal do Jane Fondy i pragnęła, by ta zniknęła z telewizji i przestała wymachiwać tymi swoimi kościstymi nogami.

Nie, żeby Evelyn się nie starała. Próbowwała wychować syna na wrażliwego człowieka, ale Ed tak ją przeraził, twierdząc, że wyrośnie z niego pedał, że natychmiast się wycofała i straciła z nim kontakt. Nawet teraz jej własny syn wydawał się jej obcym człowiekiem. Dzieci ją prześcignęły: Jej córka, Janice, mając lat piętnaście, wiedziała więcej o seksie

niż Evelyn w tej chwili. Coś poszło nie tak. Kiedy była w szkole średniej, wszystko było takie proste. Były dobre dziewczęta i złe dziewczyny i każdy wiedział, kto jest kto. Albo byłaś członkiem grupy, albo nie. Evelyn znajdowała się w złotym kręgu — była *cheerleader**. Nie znała imienia ani jednej osoby ze szkolnego zespołu muzycznego, ani chłopców w bryczesach i ich dziewczyn w nylonowych, przezroczystych bluzkach i bransoletkach na nogach. Jej znajomi chłopcy mieli mocno podgolone włosy, chodzili w zapiętych pod szyję koszulach z madrasu i spodniach w kolorze khaki, wyprasowanych na kant, a dziewczęta — w bluzkach z okrągłymi zapinkami. Ona i jej koleżanki wypalały na spotkaniach żeńskiego koła studenckiego jednego kenta, a na przyjęciach piżamowych czasami wypijały jedno piwko, ale to wszystko. I żadnych pieszczot poniżej szyi.

Potem czuła się jak idiotka, idąc z własną córką do ginekologa na dopasowanie spirali. Evelyn czekała aż do nocy poślubnej. Przeżyła szok. Nikt jej nie uprzedził, że będzie tak bolało. Nadal nie lubiła seksu. Za każdym razem, kiedy zaczynała się rozluźniać, stawał jej przed oczami wizerunek złej dziewczyny. Ona była dobrą dziewczyną, zachowywała się jak dama, nigdy nie podnosiła głosu, ustępowała wszystkim i wszystkiemu. Zakładała, że gdzieś po drodze czeka na nią za to nagroda. Kiedy jednak córka spytała ją, czy kiedykolwiek uprawiała seks z kimś poza mężem, a ona odparła: „Nie, oczywiście, że nie”, odpowiedź córki brzmiała: „Och, mammo, jakie to głupie. Nawet nie wiesz, czy jest dobry. Co za beznadzieja”.

To była prawda. Nie wiedziała.

A tak więc na dłuższą metę nie miało znaczenia, czy byłaś dobra, czy też nie. Dziewczyny ze szkoły średniej, które „poszły na całość”, nie skończyły w rysztołku, we wstydzie i pohańbieniu, jak się jej kiedyś wydawało. Jak cała reszta tkwiły w szczęśliwych lub nieszczęśliwych małżeństwach. Cała ta walka, by pozostać czystą, lęk przed skalaniem, lęk przed tym, że jakimś gestem doprowadzi chłopca do szaleństwa i lęk największy — przed ciążą — wszystko to okazało się zmarnowaną energią. W dzisiejszych czasach gwiazdy filmowe całymi tuzinami rodziły nieślubne dzieci i nadawały im takie imiona jak Moonbeam albo Sunfeather*.

I jaka była jej nagroda za trzeźwość? Zawsze słyszała, że nie ma nic gorszego od pijanej kobiety i dlatego nigdy nie pozwalała sobie na więcej niż jedną whisky. Teraz zaś wszyscy najlepsi ludzie tanecznym krokiem udawali się do Centrum Betty Ford*, gdzie robiono im mnóstwo zdjęć, po czym wychodzili i rzucali się w wir przyjęć. Często się zastanawiała, czy Betty przyjęłaby kogoś, kto musi zrzucić dwanaście kilo.

Córka raz dała jej się zaciągnąć marihuanę, ale kiedy nagle podstawki pod garnki na stole zaczęły maszerować w jej stronę, przestraszyła się i już nigdy więcej nie próbowa-

*Cheerleaders (ang.) – grupa dziewcząt zagrzewających zawodników do walki

*Moonbeam (ang.) – księżycowy promień. Sunfeather (ang.) – słoneczne piórko

*Centrum Betty Ford – ekskluzywny ośrodek odwykowy

ła. Prochy więc odpadały.

Evelyn zastanawiała się, gdzie jest jej grupa, miejsce, do którego by pasowała...

Jakieś dziesięć lat temu, kiedy Ed zaczął się spotykać z kobietą, która pracowała z nim w firmie ubezpieczeniowej, Evelyn zaczęła chodzić na spotkania grupy Spełniona Kobieta, by spróbować ocalić swe małżeństwo. Nie była wcale pewna, czy aż tak kocha Eda, ale kochała go wystarczająco silnie, by nie chcieć go stracić. Poza tym, cóż innego mogła zrobić? Mieszkała z nim równie długo, co z własnymi rodzicami. Organizacja, do której się zwróciła, uważała, że kobiety mogą osiągnąć całkowite szczęście, jeżeli poświęcą całe życie uszczęśliwianiu swych mężczyzn. Przewodnicząca poinformowała je, że wszystkie te bogate kobiety, które osiągnęły sukces i wyglądają na takie szczęśliwe, są w istocie potwornie samotne i nieszczęśliwe i w cichości serca zazdroszczą im rodzinnych świąt.

Trudno jej było sobie wyobrazić, że Barbara Walters mogłaby rzucić wszystko dla Eda Coucha, ale Evelyn starała się, jak mogła. Oczywiście, chociaż nie była wierząca, pocieszające dla niej było to, że Biblia popiera pozycję kobiety jako podnóżka. Czyż święty Paweł apostoł nie powiedział, że kobiety nie powinny uzurpować sobie prawa do sprawowania władzy nad mężczyznami, a mają jedynie milczeć?

Tak więc, mając nadzieję, że znajduje się na właściwym szczeblu, Evelyn jęła wspinać się po drabinie „Dziesięciu kroków do osiągnięcia całkowitego szczęścia”. Wypróbowała krok numer jeden, otwierając Edowi drzwi nago, owinięta jedynie w przejrzystą materię. Ed jednak się przeraził. Wskoczył do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. „Jezus Maria, Evelyn! A gdyby to był dostawca gazet? Czyś ty zwariowała?”

Nie wypróbowała więc kroku numer dwa, jakim miało być wejście do jego biura w przebraniu prostytutki.

Wkrótce jednak przewodnicząca grupy, Nadine Fingerhutt, rozwiodła się i musiała pójść do pracy, więc grupa się rozpadła. Jakiś czas później Ed przestał się spotykać z tamtą kobietą i wszystko się ułożyło.

Jeszcze później, wciąż poszukując, próbowała się zaangażować w działalność Centrum Społeczności Kobiet. Podobało jej się to, co mówiły jego członkinie, ale w głębi duszy wolałaby, żeby chociaż troszkę się malowały i goliły sobie nogi. Była na sali jedy- ną w pełnym makijażu, w rajstopach i z kolczykami w uszach. Chciała się zaciągnąć, ale kiedy padła propozycja, żeby w następnym tygodniu każda przyniosła lusterko, by obejrzeć sobie pochwę, nigdy już tam nie wróciła.

Ed stwierdził, że te kobiety to banda sfrustrowanych starych panien, zbyt brzydkich, by znaleźć sobie faceta. No i na tym się skończyło: za bardzo się nudziła na przyjęciach u Tupperware'ów, a za bardzo się bała oglądać sobie pochwę.

Tego wieczoru, kiedy poszli z Edem na trzydziestą rocznicę ukończenia szkoły średniej, miała nadzieję, że znajdzie kogoś, z kim będzie mogła porozmawiać o tym, co czu-

je. Niestety reszta kobiet była tak samo zagubiona jak ona i kurczowo trzymała się swoich mężów i drinków, by nie zniknąć. Zupełnie jakby ich pokolenie siedziało na płocie, nie wiedząc, na którą stronę zeskoczyć. Po spotkaniu przez wiele godzin oglądała zdjęcia ze szkoły i zaczęła w kółko powracać myślami do miejsc, w których kiedyś mieszkała.

Ed nie mógł jej w niczym pomóc. Ostatnio zaczął coraz bardziej zachowywać się jak własny ojciec, sądząc, że tak właśnie winna postępować głowa rodziny. W miarę upływu lat coraz bardziej się od niej oddalał, a w soboty całymi godzinami łąził po Centrum Wyposażenia Domu, szukając czegoś, nie wiedząc jednak czego. Jak inni mężczyźni chodził na polowania, na ryby, oglądał w telewizji mecze futbolowe, ale Evelyn zaczęła podejrzewać, że i on tylko gra swoją rolę.

Evelyn patrzyła w puste pudełko po lodach, zastanawiając się, gdzie się podziała tamta uśmiechnięta dziewczyna ze zdjęć.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

2 listopada 1932

W Whistle Stop rusza Klub Hodowców Świń

Dzięki słowom zachęty centrali telefonicznej w Alabamie, powstał miejscowy Klub Hodowców Świń. Zainteresowani proszeni są o skontaktowanie z panią Berthą Vick. Bertha mówi, że niejaka panna Zula Hight z Kittrel w Północnej Karolinie w ciągu zaledwie siedmiu dni zarobiła na rasową rodowodową chińską świnię i według Berthy wam może się udać to samo, jeżeli tylko weźmiecie się do dzieła. Mówi, że posiadanie rasowej świni to dla was i waszej społeczności powód do dumy oraz pierwszy krok do bogactwa. Oznacza to położenie podwaliny pod dostatnie życie — również w sędziwym wieku.

Idgie kupiła do kawiarni nowiuteńkie radio Philco i mówi, że każdy, kto ma ochotę posłuchać „Amos’n’Andy”, czy jakiejś innej audycji, może przyjść i nawet nie musi zamawiać niczego do jedzenia. Mówi, że dźwięk jest doskonały, zwłaszcza w nocy.

A przy okazji, czy ktoś wie, jak się pozbyć śladów psich łap w cemencie? Jeżeli tak, proszę dzwonić albo przyjść do mnie na pocztę.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

12 stycznia 1986

Evelyn otworzyła torebkę i podała pani Threadgoode jedną z kanapek z serem pieprzowym, które owinęła w papier woskowany i przyniosła z domu.

Pani Threadgoode była zachwycona.

— Och, dziękuję! Uwielbiam kanapki z serem pieprzowym. Prawdę mówiąc, lubię jeść wszystko, co ma ładny kolor. Ser z pieprzem ma ładny kolor, nie uważasz? Jest taki wesoły. Lubię też czerwony pieprz, a kiedyś lubiłam jabłka w cukrze, ale z powodu moich zębów już ich nie mogę jeść. Pomyśleć tylko, lubię wszystko, co czerwone. — Na chwilę się zamyśliła.

Kiedyś mieliśmy czerwoną kurę, która się nazywała Siostrzyczka, i za każdym razem, kiedy wchodziłam na podwórko, mówiłam: „Siostrzyczko, nie dziob mnie, mała, w palce, bo cię usmażę z kluskami”, a ona zadzierała głowę i odchodziła na bok. Dziobała każdego poza mną i moim synkiem, Albertem. Jakoś nigdy nie mieliśmy serca zjeść tej kury, nawet podczas Wielkiego Kryzysu. Umarła ze starości. Mam nadzieję, że kiedy pójdę do nieba, a ze mną wszyscy bliscy, spotkam tam Siostrzyczkę i szopa Herbatnika. Wiem na pewno, że będzie tam stara Sipsej.

Nie mam pojęcia, skąd pochodziła Sipsej... Nigdy nie wiadomo, skąd pochodzą kolorowi. Miała jakieś dziesięć czy jedenaście lat, kiedy zaczęła pracować dla mamy Threadgoode. Przyszła z Troutville, murzyńskiej dzielnicy za torami, powiedziała, że nazywa się Sipsej Peavey i szuka pracy, a mama po prostu ją zatrzymała. Sipsej pomagała przy wychowaniu wszystkich dzieci Threadgoode'ów.

Sipsej była koścista, mała i zabawna. Wierzyła we wszystkie te staroświeckie murzyńskie przesady. Jej matka była niewolnicą i śmiertelnie się bała rzucania uroku... Sipsej powiedziała mamie, że jej sąsiadka z Troutville co noc wkładała magiczny żółty

proszek do butów jakiegoś mężczyzny i ten wkrótce stracił swą męską moc. Ale najbardziej w świecie Sipsey bała się zwierzęcych głów. Jak się jej przyniosło kurczaka, rybę, albo kiedy Duży George ubił wieprza, nie tknęła zwierzęcia i nie ugotowała go, dopóki nie zakopała jego głowy w ogrodzie. Mówiła, że jeżeli się nie pogrzebie głowy, duch zwierzęcia może wstąpić w ciało człowieka i doprowadzić go do szaleństwa. Któregoś razu tata zapomniał i przyniósł do domu świński łeb. Sipsey wybiegła z domu, wrzeszcząc jak strzyga, i nie chciała wrócić, dopóki jej znajoma nie odczyniła uroków. Sipsey pochowała w ogrodzie chyba całe tysiące zwierzęcych głów. Ale, wiesz co? Dzięki temu mamy największe pomidory, piżmiany i dynie w całym miasteczku! — Roześmiała się. — Buddy nazywał go rybiogłowym ogrodem.

Ale, pomimo tych jej zabobonów, w całej Alabamie nie było lepszej kucharki. Podobno już jako jedenastolatka umiała robić przepyszne biszkopty i sos, lemoniadę, smażonego kurczaka, przyrządzać rzepę i groszek. A jej kluski były tak leciutkie, że prawie unosiły się w powietrzu i trzeba je było łapać na widelec. Wszystkie dania w karcie kawiarni były jej autorstwa. Nauczyła Idgie i Ruth wszystkiego, co wiedziała o gotowaniu.

Nie wiem, dlaczego Sipsey nie miała własnych dzieci. Nie znałam osoby, która by tak kochała dzieci jak ona. Wszystkie Murzynki z Troutville zostawiały swoje dzieci na noc z Sipsey, kiedy chciały wyjść i trochę się zabawić. Wiedziały, że troskliwie się nimi zajmie. Sipsey mówiła, że nic jej tak nie uszczęśliwia jak kołysanie maleńkiego dzieciaczka. Kołysała te dzieci, często po dwoje naraz, i śpiewała im całymi nocami, i po prostu usychała z tęsknoty za własnym.

Któregoś popołudnia w listopadzie, jakoś tak koło Święta Dziękczynienia — mama mówiła, że był straszny mróz, a drzewa były огоłocone z liści — Sipsey słała łóżka na górze, kiedy na podwórko wbiegła, wrzeszcząc, jej znajoma z kościoła dla kolorowych. Była strasznie podniecona. Powiedziała, że na stacji jest jakaś dziewczyna z Birmingham i chce oddać dziecko. Sipsey musiała się śpieszyć, bo pociąg lada chwila miał odjechać. Zbiegła więc na dół tak szybko, jak tylko mogła, w samej cienkiej sukience i fartuszku. Kiedy wybiegała przez tylne drzwi, mama Threadgoode krzyknęła za nią, żeby włożyła płaszcz, ale Sipsey odkrzyknęła: „Nie mam czasu, psze pani. Muszę zdążyć po tego dzieciaka” i pomknęła jak strzała. Mama stała na ganku, czekając, i wkrótce zobaczyła, że pociąg odjeżdża, a Sipsey wraca, szczerząc zęby od ucha do ucha, z nogami całymi podrapanymi i krwawiącymi od biegu przez chaszczki i niosąc czarnego jak smoła, tłusciutkiego chłopaczka zawiniętego w ręcznik z napisem HOTEL DIXIE, MEMPHIS, TENNESSEE. Sipsey powiedziała, że matka dziecka wracała do domu i nie śmiała pokazać się z dzieciakiem, bo jej mąż od trzech lat siedział w więzieniu.

Nigdy więc nie poznaliśmy prawdziwego imienia dziecka. Sipsey stwierdziła, że skoro dziecko przybyło z pociągu, to nazwie je po prostu George Pullman Peavey — po

człowieku, który wynalazł wagon pulmanowski. Kimkolwiek był prawdziwy tatuś, niewątpliwie był dużym mężczyzną, bo George wyrósł na olbrzyma wzrostu metr dziewięćdziesiąt i ważył sto dwadzieścia pięć kilogramów.

Kiedy był malutki, tata zabierał go do sklepu i uczył na rzeźnika. George bił wieprze, mając zaledwie dziesięć lat, a Sipsej była z niego taka dumna... nie mogłaby go kochać bardziej, gdyby był jej prawdziwym dzieckiem. Często go przytulała i mówiła: „Kochanie, nie jesteśmy krewniaki, ale przecie to nie znaczy, że do mnie nie należysz”.

A później, kiedy Duży George poszedł na rozprawę, stroiła się i chodziła do sądu — deszcz, nie deszcz... Musiała mieć wtedy z dziewięćdziesiąt lat. Oczywiście zawsze trudno powiedzieć, ile czarni mają lat.

Zawsze śpiewała gospelsy... *W wagonie bagażowym i Jadę do domu porannym pociągami...* ciągle śpiewała o pociągach. W noc przed śmiercią powiedziała George'owi, że miała sen, w którym zobaczyła Jezusa całego ubranego na biało. Był konduktorem pociągu-widma i przyszedł po nią, żeby ją zabrać do nieba.

Nie przesadzę, jeżeli powiem, że gotowała w kawiarni już dobrze po osiemdziesiątce. Ludzie przychodzili z powodu jej kuchni. Na pewno nie dlatego, że im się podobało to miejsce. Kiedy Idgie i Ruth je kupiły, był to jeden wielki, stary pokój. Budynek stał po drugiej stronie ulicy, tuż koło torów kolejowych, za pocztą, gdzie pracowała Dot Weems.

Pamiętani ten dzień, kiedy wprowadziły się do kawiarni. Wszyscy im pomagaliśmy. Sipsej zamiatała podłogę, kiedy zauważyła, że Ruth wiesza obraz z Ostatnią Wieczerzą. Sipsej przestała zamiatać, przez chwilę przyglądała się obrazowi i wreszcie spytała: „Panienko Ruth, kto tam siedzi przy stole z panem Jezusem?”

Ruth przez delikatność odpowiedziała: „Sipsej, przecież to Pan Jezus i Bracia”. Sipsej spojrzała na nią i powiedziała: „Aha. Myślałam, że święta panienska miała tylko jednego syna”, po czym wróciła do zamiatania. Mało nie umarłyśmy ze śmiechu. Sipsej dobrze wiedziała, kto jest na obrazie, tylko po prostu lubiła się nabijać z ludzi.

Julian i Cleo wybudowali drewniane przegródki między stolikami i pokój na tyłach, żeby Idgie i Ruth miały gdzie mieszkać. W kawiarni ściany były z sękatych sosnowych desek z Georgii, a podłoga — z nie oheblowanego starego drewna.

Ruth chciała jakoś urządzić to miejsce. Powiesiła obraz ze statkiem w świetle księżyca, ale Idgie zaraz go zdjęła i powiesiła na jego miejsce znaleziony gdzieś obraz, na którym była banda psów siedzących przy karcianym stoliku, palących cygara i grających w pokera. A pod spodem napisała: „The Dill Pickle Club”. Tak się nazywał taki jeden zwariowany klub, w którym zaczynała ze swoją znajomą, Grady Kilgore. Wisiały tam jeszcze gwiazdkowe dekoracje, które powieszono w pierwszym roku działalności kawiarni i których Idgie nigdy nie zdjęła, i stary kolejowy kalendarz. I to wszystko. Były tam tylko cztery stoliki i kupa krzeseł na chwiejnych nogach. — Roześmiała się. — Nig-

dy się nie było pewnym, czy cię utrzymają, czy nie. No i Idgie z Ruth nigdy sobie nie sprawiły kasy. Pieniądze trzymały po prostu w pudełku po cygarach Roy Tan i z niego wydawały resztę. Na kontuarze stały chipsy ziemniaczane, na półce leżały siodła, tytoń do żucia, przynęta na ryby i małe fajeczki z kaczana kukurydzy.

Idgie otwierała kawiarnię o brzasku, a zamykała ją dopiero, jak mówiła, „kiedy ostatni klient zwał się pod stół”.

Duża stacja przetokowa L & N była zaledwie dwie przecznice dalej. Jadali więc u Idgie wszyscy kolejarze, kolorowi i biali. Kolorowym wносиła jedzenie na zewnątrz przez tylne drzwi. Oczywiście wielu osobom nie podobało się, że sprzedaje jedzenie kolorowym, i miała z tego powodu spore kłopoty, ale powiedziała, że nikt jej nie będzie mówił, co wolno, a czego nie. Cleo twierdził, że sama sprzeciwiła się Ku-Klux-Klanowi i nie pozwoliła, by ją powstrzymali. Z natury tak dobroduszna, kiedy było trzeba, Idgie przemieniała się w lwicę...

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

22 marca 1933

Iddie piła kawę, rozmawiając o niczym ze swym przyjacielem włóczęgą, Smokeyem. W kuchni Sipsy i Onzell były zajęte smażeniem sterty zielonych pomidorów dla tłumu, który miał o wpół do dwunastej przyjść na lunch, i słuchały *Wings Over Jordan Gospel Hour* na stacji W.A.P.I., kiedy do kuchennych drzwi zapukał Ocie Smith.

Sipsy wyszła na salę, wycierając ręce w fartuch.

— Panienko Iddie, jakiś czarny chłopak chce z panią gadać.

Iddie podeszła do siatkowych drzwi i natychmiast rozpoznała Ociego Smitha, znajomego z Troutville, który pracował na kolei.

— Cześć, Ocie. Co słyhać?

— W porządku, panienko Iddie.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Panienko Iddie, będzie ze dwa miesiące, jak ja i chłopaki ze stacji codziennie czujemy, jak się piecze u pani pieczeń, i mało od tego nie zwariujemy, i tak żeśmy się zastanawiali, czy by pani nam nie sprzedała trochę kanapek z tą pieczenia. Mam forszę.

Iddie westchnęła i pokręciła głową.

— Coś ci powiem, Ocie. Wiesz, że gdyby to zależało ode mnie, wpuściłabym was przez frontowe drzwi i posadziła przy stole, ale wiesz, że nie mogę tego zrobić.

— Tak, psze pani.

— W miasteczku jest banda, która by mi w jednej chwili spaliła dom, a ja przecież muszę z czegoś żyć.

— Tak, psze pani, przecie wiem.

— Wróć na stację i powiedz chłopakom, że jakby czegoś chcieli, to niech przyjdą pod kuchenne drzwi.

— Tak, psze pani. — Wyszczrzył zęby.

— Powiedz Sipsej, czego chcesz, a ona ci to przygotowuje.

— Tak, psze pani. Dziękuję, psze pani.

— Sipsej, daj mu trochę pieczeni i co tam jeszcze będzie chciał. Ukrój mu też kawał placka.

— Wpakuje się pani w tarapaty z temi Ku-Kluxami i będzie po mnie — wymamrotała Sipsej. — Już mię tu pani nie zobaczy.

Ale przygotowała kanapki, napój winogronowy i placek, i włożyła z serwetką do papierowej torby.

Jakieś trzy dni później Grady Kilgore, miejscowy szeryf i kolejowy detektyw na pół etatu, cały nadęty wszedł do kawiarni. Był to chłop jak dąb, niegdyś przyjaciel jej brata, Buddy'ego. Położył kapelusz na półce, jak to zawsze robił, i powiedział Idgie, że ma do niej jakąś ważną sprawę. Przyniosła kawę do boksu i usiadła. Grady przechylił się nad stołem i zabrał się do swego nieprzyjemnego zadania.

— Słuchaj no, Idgie, dobrze wiesz, że nie powinnaś sprzedawać jedzenia tym czarnuchom. W mieście jest paru chłopców, którym nie bardzo się to podoba. Nikt nie chce jeść w tym samym miejscu co czarnuchy. Po prostu nie powinnaś tego robić.

Idgie przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami i na znak zgody pokiwała głową.

— Masz rację, Grady. Wiem, że nie powinnam tego robić. Grady odchylił się z powrotem. Wyglądał na zadowolonego.

— Tak, Grady — mówiła dalej. — Jakie to dziwne, że ludzie robią rzeczy, których nie powinni robić. Na przykład ty. Pewnie mnóstwo ludzi by uważało, że w niedzielę po kościele nie powinienes chodzić nad rzekę i spotykać się z Evą Bates. Gladys chyba też by tak myślała.

Grady, który był wtedy pomocnikiem proboszcza w kościele baptystów i mężem Gladys z domu Moats, znaną z porywczosci, nieco się zdenerwował.

— Oj, daj spokój, Idgie, to nie jest śmieszne.

— Ja myślę, że jest. Tak samo jak cholernie śmieszne jest, kiedy banda dorosłych mężczyzn się upija i zakłada sobie na głowy jakieś szmaty.

— Ruth, mogłabyś tu przyjść i przemówić jej do rozumu? — Grady zawołał do Ruth, która stała za barem. — Ona mnie nie chce słuchać. Ja tylko próbuję jej pomóc wybrnąć z tarapatów — i to wszystko. Nie będę wymieniał nazwisk, ale jest w mieście parę osób, którym się nie podoba, że sprzedaje jedzenie czarnuchom.

Idgie zapaliła camela i się uśmiechnęła.

— Wiesz, Grady, coś ci powiem. Kiedy następnym razem tych „parę osób”, czyli na przykład Jack Butts, Wilbur Weems i Pete Tidwell, tu przyjdzie, spytam je, dlaczego, skoro nie chcą, by je rozpoznano, gdy maszerują w tych swoich głupich pochodach, nie

mają na tyle rozumu, by zmienić buty?

— Czekaaj, czekaaj, Idgie...

— Cholera, Grady, nikogo nie zrobicie w konia. Wszędzie bym rozpoznała te kajaki rozmiar czternaście, które nosicie.

Grady spojrział na swoje stopy. Raptownie przegrywał w tym starciu.

— Słuchaj, Idgie, ja im muszę coś powiedzieć. Przystaniesz czy nie? Ruth, chodź tutaj i pomóż mi z tą upartą mulicą.

Ruth podeszła do stołu.

— Och, Grady, co się stanie, jeżeli wydamy przez tylne drzwi parę kanapek? Przecież oni tu nie wejdą i nie będą siedzieć.

— No, nie wiem, Ruth... Będę musiał pogadać z chłopakami.

— Oni nikomu nie robią krzywdy, Grady.

Zastanawiał się przez chwilę.

— No... dobra, na razie niech będzie.

Wskazał palcem na Idgie.

— Ale będziesz ich trzymać przy tylnych drzwiach, słyszysz?

Wstał, włożył kapelusz i już miał wyjść, lecz jeszcze się odwrócił do Idgie,

— Ale gramy w pokera w piątek?

— Tak. O ósmej. I przyniesiesz dużo pieniędzy. Czuję, że będę miała fart.

— Powiem Jackowi i reszcie... Cześć, Ruth.

— Cześć, Grady.

Idgie pokręciła głową, patrząc, jak Grady odchodzi ulicą.

— Ruth, szkoda, że nie widziałaś tego byka nad rzeką, pijanego przez trzy dni jak świnia i płaczącego jak dziecko, bo Joe, ten stary Murzyn, który go wychował, umarł. Słowo daję, nie mam pojęcia, do czego dzisiaj ludzie używają swoich mózgów. Wyobraź sobie tych chłopców: boją się jak cholera siedzieć koło czarnucha i jeść przy nim, a zjadają jajka, które wychodzą kurze prosto z tyłka.

— Och, Idgie!

Idgie się roześmiała.

— Przepraszani, ale to mnie czasami strasznie wkurza.

— Wiem, kochanie, ale nie powinnaś się tak denerwować. Ludzie już tacy są i za nic w świecie się nie zmienią. Tak to już jest.

Idgie uśmiechnęła się do niej i pomyślała, co to by było, gdyby się nie mogła wyładować przed Ruth. Ruth odwzajemniła jej uśmiech. Obie wiedziały, że muszą postanowić, co robić. I postanowiły. Po tamtym dniu jedyna rzecz, jaka się zmieniła, dotyczyła menu wiszącego na tylnych drzwiach: wszystko było o pięć albo dziesięć centów tańsze. Doszły do wniosku, że uczciwie będzie postąpić uczciwie...

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

6 kwietnia 1933

Zmiana menu w kawiarni

Stali klienci kawiarni nieco się zdziwili, kiedy przeczytali w zeszłym tygodniu menu, w którym między innymi były wymienione: filet z oposa... żeberka tchórza... koźleca wątróbka z cebulką... pudding z ropuchy i paszteciki z sępa w sosie.

Pewna nic nie podejrzewająca para, która przyjechała na kolację aż z Gate City, przeczytała menu i rzuciła się do ucieczki, kiedy Idgie otworzyła drzwi i krzyknęła za nimi: „Prima aprilis!” Następnie para z Gate City zamówiła dania z normalnego menu i dostała za darmo kawałek ciasta z kremem kokosowym.

A przy okazji, moja druga połowa wpuściła wczoraj do domu jednego ze swych psów myśliwskich, który przywłókł ze sobą kość i, wiecie co? Potknęłam się o nią i złamałam sobie palec u nogi. Doktor Hadley zabandażował mi go, ale będę musiała chodzić do pracy w kapciach, no i nie mogę teraz zbierać wiadomości jak przedtem. Jeżeli więc doszły was jakieś słuchy, przyjdźcie do mnie na pocztę.

...Dot Weems.

212 RHODES CIRCLE
BIRMINGHAM, ALABAMA

19 stycznia 1986

Znowu była niedziela. Evelyn i Ed Couch szykowali się do wyjścia do domu spokojnej starości. Evelyn wyłączyła ekspres do kawy. Wołałaby nie iść, ale Ed był tak przewrażliwiony na punkcie swojej matki, że nie ważyła się nie pójść, by choćby przywitać się ze swą wiecznie jęczącą, wymagającą teściową. Wizyty te były dla niej istną torturą. Nienawidziła zapachu chorób, lizolu i śmierci. Przypominało jej to własną matkę, lekarzy i szpitale.

Evelyn miała czterdzieści lat, kiedy umarła jej matka, i od tej chwili zaczęła się lękać. Teraz, kiedy czytała poranną gazetę, w pierwszej kolejności, jeszcze przed horoskopem, przeglądała strony z nekrologami. Zawsze była zadowolona, kiedy zmarły miał siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat, a już była zachwycona, kiedy ktoś odszedł, mając ponad dziewięćdziesiątkę — to sprawiało, że czuła się bezpiecznie. Kiedy jednak czytała, że umarł jakiś czterdziesto czy pięćdziesięciolatek, cały dzień później miała zmarnowany, zwłaszcza jeżeli w nekrologu była zawarta prośba rodziny o dotacje na towarzystwa walki z rakiem. Najbardziej wszakże denerwowała się, kiedy przyczyna śmierci nie była podana.

Po jakiej krótkiej chorobie?

Zmarł nagle na co?

Jaki wypadek?

Chciała znać wszystkie szczegóły, mieć to czarno na białym. Żadnych domysłów. Dostawała gęziej skórki, kiedy rodzina prosiła o dotacje na towarzystwa opieki nad zwierzętami. Co to miało oznaczać? Wścieklizna...? Ugryzienie psa...? Nosówka...?

Ostatnimi czasy jednak najwięcej dotacji szło na towarzystwa walki z rakiem. Zastanawiała się, dlaczego musi żyć w ciele, które się zestarzeje, popsuje i będzie cier-

pieć? Dlaczego nie może żyć w biurku, w dużym, mocnym biurku? Albo w piecu? Albo w pralce? Woląaby już, żeby ją reperował zwykły fachowiec, elektryk czy hydraulik, niż lekarz. Kiedy ją rozdzierały bóle porodowe, doktor Clyde, jej położnik, stał obok i kłamał w żywe oczy: „Pani Couch, zapomni pani o tych bólach, jak tylko pani zobaczy swoje dziecko. Więc proszę przeć trochę mocniej. Nawet nie będzie pani tego pamiętać, proszę mi wierzyć”.

NIEPRAWDA! Zapamiętała każdą chwilę bólu, wszystko po kolei, i nie zgodziła by się na drugie dziecko, gdyby Ed tak bardzo nie chciał chłopca... Kolejne kłamstwo: za drugim razem bolało tak samo jak za pierwszym, a może nawet jeszcze bardziej, bo wiedziała, czego się może spodziewać. Przez całe dziewięć miesięcy była wściekła na Eda i dzięki Bogu, że urodziła Tommy'ego, bo jeśli chodzi o nią, to ma już dość.

Całe życie bała się lekarzy. Najpierw była ostrożna, ale teraz wręcz ich nienawidziła, brzydziła się nimi i pogardzała. Odkąd tamten napuszony lekarz wszedł pamiętnego dnia do szpitalnego pokoju jej matki... Taki mały, blaszany bożek w poliestrowym kitlu i butach ważących półtora kilograma. Taki zadowolony z siebie, taki zarozumiały, otoczony pielęgniarkami uwijającymi się wokół niego niczym gejsze. Nawet nie był lekarzem jej matki, tego dnia zastępował innego lekarza. Evelyn stała, trzymając matkę za rękę. Kiedy wszedł, nawet nie zadał sobie trudu, żeby się przedstawić.

— Witam pana, doktorze — powiedziała. — Jestem jej córką. Nazywam się Evelyn Couch.

— Pani matka ma gwałtownie rozwijającego się raka płuca z przerzutami do wątroby, trzustki i śledziony, a także do szpiku kostnego — powiedział, nie spuszczać wzroku z karty.

Do tamtej pory jej matka nawet nie wiedziała, że ma raka. Evelyn nie chciała jej powiedzieć, bo matka była taka przestraszona. Do końca życia zapamięta ten wyraz przerażenia na jej twarzy i lekarza, który poszedł dalej korytarzem, by kontynuować obchód.

Dwa dni później jej matka zapadła w śpiączkę.

Nie mogła też zapomnieć tych szarych, sterylnych, betonowych ścian w poczekalni na oddziale intensywnej terapii, gdzie spędziła tyle tygodni, przerażona i oszołomiona — podobnie jak reszta tam czekających. Cały czas myślała o tym, że jej ukochana matka leży tam, w zimnym, pozbawionym słońca pokoju, czekając na śmierć. Krewni chorych, absolutnie dla siebie obcy, czekali w tym małym pomieszczeniu, dzieląc prawdopodobnie najbardziej intymne i najboleśniejże chwile swego życia, nie wiedząc, jak się zachowywać i o czym mówić. Nie istniały tam żadne zasady etykiety. Nikt ich do tego nie przygotował. Ci biedni ludzie; zalęknieni jak ona sama, usiłowali zachować odwagę, gawędząc o codziennym życiu, całkowicie pogrążeni w szoku, lecz udający, że wszystko jest w porządku. Członkowie jednej rodziny byli tak przerażeni, że nie mogli pogodzić

się z faktem, że kobieta umierająca w końcu korytarza, jest ich matką. Zawsze mówili o niej „nasza pacjentka” i pytali Evelyn, jak się czuje jej pacjentka”. Chcieli w ten sposób jak najbardziej oddalić prawdę i złagodzić ból. Codziennie czekali razem, wiedząc, że kiedyś nadejdzie ta chwila, ta straszna chwila, kiedy będą musieli „zadecydować”, czy wyłączyć aparaturę...

— Tak będzie dla nich najlepiej.

— Nic więcej nie można zrobić.

— Chcieliby tego.

— Lekarz mówi, że już odeszli.

— To tylko kwestia szczegółów technicznych.

S z c z e g ó ł ó w t e c h n i c z n y c h ?

Wszystkie te spokojne, dorosłe dyskusje. A przecież wszyscy mieli ochotę płakać za swoją mamą, za najśłodszą mamą, jedyną osobą na świecie, która ich kochała tak, jak nikt nigdy nie pokocha.

Tamtej soboty do poczekalni zajrzał lekarz. Wszystkie oczy skierowały się na niego i rozmowy ustały. Rozejrzał się po pokoju.

— Pani Couch, czy mógłbym panią na chwilę prosić do mojego gabinetu?

Kiedy drżącymi rękami i z mocno bijącym sercem zabierała torebkę, inni patrzyli na nią ze współczuciem, a jedna kobieta dotknęła jej ramienia, ale wszyscy w skrytości ducha poczuli ulgę, że nie na nich trafiło. Miała wrażenie, że śni, więc starała się słuchać uważnie, co mówi lekarz. A on powiedział to tak po prostu i zwyczajnie.

— Nie ma sensu tego przedłużać...

Trafił w samo sedno. Wstała jak zombie i poszła do domu.

Myślała, że jest gotowa to zaakceptować, pozwolić matce odejść. Ale przecież, choćby nie wiadomo co, nikt nie byłby gotów wyłączyć aparatury podtrzymującej życie matki, wyłączyć światła dzieciństwa i odejść — tak jak się gasi światło i wychodzi z pokoju. Nigdy nie mogła sobie wybaczyć, że nie miała tej odwagi, by wrócić do szpitala i być przy matce. Ciągle budziła się z płaczem i wyrzutami sumienia i nie było możliwości naprawienia tego.

Być może to, co wtedy przeszła Evelyn, stało się zaczątkiem lęku przed wszystkim, co związane z lekarzami i szpitalami. Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że na myśl o pójściu do lekarza dosłownie oblewa się zimnym potem i zaczyna cała się trząść. A na dźwięk słowa „rak” czuła, jak włoski na rękach jeżą się. W ogóle przestała dotykać swoich piersi, bo raz wyczuła jakieś zgrubienie i o mało co nie zemdlała. Na szczęście okazało się, że to chusteczka higieniczna, która podczas prania utknęła w jej biustonoszu. Wiedziała, że ten lęk jest irracjonalny i że naprawdę powinna zacząć chodzić do kontroli. Podobno trzeba się badać co roku. Wiedziała, że powinna to zrobić, jeżeli nie dla własnego dobra, to dla dobra swoich dzieci. Wiedziała o tym wszystkim, ale to niczego nie zmie-

niało. W przyływie odwagi nawet umawiała się na badania, ale zawsze odwoływała je w ostatniej chwili.

Ostatnio była u lekarza przed sześcioma laty z powodu zapalenia pęcherza. Chciała tylko, żeby lekarz telefonicznie przepisał jej jakieś antybiotyki, ale on kazał jej przyjść i nalegał na badanie przez cewkę moczową. Leżąc tam z nogami w uchwytach, zastanawiała się, czy istnieje coś gorszego, niż kiedy jakiś obcy mężczyzna grzebie ci w środku, szukając czegoś, zupełnie jakby się było workiem z prezentami.

Lekarz spytał, kiedy ostatnio robiła sobie badanie piersi. Evelyn skłamała: „Trzy miesiące temu”.

„No, ale skoro już tu pani jest, mogę je zrobić” — powiedział.

Zaczęła gadać, żeby rozproszyć jego uwagę, ale w środku badania lekarz powiedział: „Oho! Coś mi się tu nie podoba”.

Dni, jakie musiała przeczekać do wyników badania, były prawie nie do zniesienia. Chodziła jak w jakiejś koszarnej mgle, modląc się i targując z Bogiem, co do którego istnienia nawet nie była pewna. Przynęcała, że jeżeli tylko pozwoli jej nie mieć raka, nigdy już nie będzie na nic narzekać. Przez resztę życia będzie zadowolona z tego, że żyje, zacznie pomagać biednym i codziennie chodzić do kościoła. Jednakże w dniu, kiedy się okazało, że jest zdrowa i nie umrze tak prędko, jak sobie wyobrażała, znowu zaczęła żyć po dawnemu. Z tą tylko różnicą, że teraz, po tym strachu, była przekonana, że każdy ból zwiastuje raka i jeżeli szła do lekarza, była pewna, że okaże się to prawdą i że lekarz posłucha przez stetoskop jej serca, i zanim Evelyn zdąży uciec, zostanie wysłana do szpitala na operację na otwartym sercu. Zaczęła żyć, jakby była już jedną nogą w grobie. Kiedy patrzyła na swą dłoń, miała wrażenie, że jej linia życia robi się coraz krótsza. Wiedziała, że nie zniosłaby kolejnych dni oczekiwania na wyniki badań i postanowiła, że nie chce wiedzieć, czy coś jej jest. Już wolałaby któregoś dnia paść trupem, niż się dowiedzieć, że jest chora.

Tego ranka, kiedy jechali do domu spokojnej starości, uświadomiła sobie, że jej życie stało się nie do zniesienia. Co rano udawała sama przed sobą, żeby tylko jakoś przebrnąć przez kolejny dzień. Mówiła sobie, że dzisiaj wydarzy się coś cudownego... że kiedy zadzwoni telefon, odbierze dobrą wiadomość, która zmieni jej życie... albo że w skrzynce na listy znajdzie jakąś niespodziankę. Zawsze jednak przychodziły same reklamówki, telefon dzwonił pomyłkowo, a kiedy rozlegało się pukanie, to sąsiad czegoś potrzebował.

Cicha histeria i straszna depresja zaczęły się, kiedy uświadomiła sobie, że nic się nigdy nie zmieni, że nikt nie przyjdzie, żeby ją stąd zabrać. Zaczęła się czuć tak, jakby była na dnie studni i krzyczała, lecz nikt nie mógł jej usłyszeć. Długie, szare noce i szare poranki następowały po sobie bez końca. Uczucie porażki przetaczało się po niej niczym dwustupięćdziesięciokilowa fala. Bała się. Nie śmierci jednak. Zbyt często spogląda-

ła w tę czarną czeluść, jaką była śmierć, i chciała weń skoczyć. Prawdę powiedziawszy, ta myśl zaczęła się dla niej stawać coraz bardziej kusząca. Wiedziała nawet, w jaki sposób się zabije. Zginie od srebrnej kuli. Okrągłej i gładkiej jak lodowato zimne niebieskie martini. Na parę godzin przedtem włoży rewolwer do zamrażarki, by poczuć szron i chłód, gdy przyłoży go do głowy. Niemal czuła, jak ta lodowato zimna kula przelatuje przez jej gorący, skołatany mózg, na dobre uśmierzając ból. Odgłos wystrzału będzie ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszy. A potem... już nic. Może tylko cichutki szmer, jaki słyszy ptak fruujący w czystym, chłodnym powietrzu, wysoko nad ziemią. Słodki, czysty powiew wolności.

Nie, to nie śmierci się bała. Bała się własnego życia, które zaczynało jej przypominać tamtą szarą poczekalnię na oddziale intensywnej terapii.

„TYGODNIK DOT WEEMS’
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

16 maja 1934

Zgłoszono pogryzienie przez szczura

Bertha Vick zgłosiła, że kiedy w piątek w nocy, około drugiej nad ranem, poszła do łazienki, została ugryziona przez szczura, który przedostał się do jej sedesu przez rury kanalizacyjne. Pobiegła obudzić Harolda, który jej nie uwierzył, ale poszedł do łazienki, wszystko sprawdził i okazało się, że w muszli klozetowej rzeczywiście pływa sobie szczur.

Moja druga połowa uważa, że szczur musiał się przedostać do góry z powodu powodzi. Bertha mówi, że nic ją nie obchodzi przyczyna i że od tej pory zanim gdzieś usiądzie, dokładnie wszystko sprawdzi.

Harold oddał szczura do wypchania.

Czy ktoś jeszcze zapłacił w tym miesiącu tak wysoki rachunek za światło? Mój był bardzo wysoki, co wydaje mi się dziwne, bo moja druga połowa pojechała na tydzień ze swoim bratem Altonem na ryby, a to on zawsze zostawia zapalone światło. Dajcie mi znać.

A przy okazji, Essie Rue dostała pracę w Birmingham, gdzie gra na organach w „Audycji radiowej spółki ubezpieczeniowej” w rozgłośni W.A.P.I. Koniecznie musicie jej posłuchać.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

19 stycznia 1986

Pani Threadgoode domyśliła się, że Evelyn tej niedzieli nie przyjechała do domu spokojnej starości, poszła więc na spacer bocznym korytarzem, gdzie trzymają balkони i fotele na kółkach. Kiedy skręciła za róg, ujrzała Evelyn siedzącą samotnie w jednym z foteli, jedzącą batonik Baby Ruth i zalewającą się łzami. Pani Threadgoode podeszła do niej.

— Kochana, co tu się wyprawia?

Evelyn podniosła wzrok na panią Threadgoode i powiedziała:

— Nie wiem. — I wróciła do płakania i zajadania swojego batonika.

— Daj spokój, kochana. Weź torebkę i przejdźmy się trochę. — Pani Threadgoode wzięła ją za rękę, wyciągnęła z fotela i zaczęła ją tam i z powrotem prowadzić po korytarzu.

— No, powiedz mi, kochana, co się dzieje? O co chodzi? Czym się tak zamartwiasz?

— Nie wiem — powiedziała Evelyn i znowu wybuchnęła płaczem.

— Och, złotko, na pewno nie jest aż tak źle. Powolutku, powolutku opowiesz mi o tym, co cię martwi.

— No... po prostu wydaje mi się, że moje dzieciństwo zostało gdzieś w college'u i nikt mnie nie potrzebuje.

— To zrozumiałe, kochana, wszyscy przez to przechodzą.

— I... i nie mogę przestać jeść — ciągnęła dalej Evelyn. — Próbuję i próbuję, codziennie budzę się i myślę sobie, że tym razem będę się trzymać diety i codziennie mi się nie udaje. Chowam batoniki po całym domu i garażu. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Ależ, kochana, od jednego batonika nic ci się nie stanie.

— Zgadza się, ale od sześciu czy siedmiu? Szkoda, że nie mam odwagi zupełnie się roz-

tyć i mieć to z głowy, albo na tyle silnej woli, żeby stracić na wadze i naprawdę schudnąć. Czuję, że utknęłam... dokładnie pośrodku. Ruch wyzwolenia kobiet pojawił się dla mnie za późno... Byłam już mężatką z dwojgiem dzieci, kiedy odkryłam, że w ogóle nie powinnam wychodzić za męża. Kiedyś myślałam, że tak trzeba. Co ja wtedy mogłam wiedzieć? A teraz jest za późno na zmianę... Czuję się łak, jakby życie przeszło obok. — Odwróciła się do pani Threadgoode; łzy wciąż ciekły jej po policzkach. — Och, proszę pani, jestem za młoda, żeby być starą, i za stara, żeby być młodą. Ja po prostu nigdzie nie pasuję. Chciałabym się zabić, ale nie starczą mi odwagi.

Pani Threadgoode była wstrząśnięta.

— Ależ, Evelyn Couch, nie powinnaś tak myśleć. To tak jakbyś przebijała mieczem bok Jezusa! To tylko głupie gadanie, kochana — musisz po prostu wziąć się w garść i otworzyć serce przed naszym Panem. On ci pomoże. A teraz pozwól, że zadam ci pytanie. Czy twoje piersi są bolesne?

Evelyn spojrzała na nią.

— No, czasami.

— Bolą cię plecy i nogi?

— Tak. Skąd pani wie?

— To proste, złociutka. Masz po prostu trudny przypadek menopauzy — i to wszystko. Musisz brać hormony, codziennie wychodzić z domu, spacerować na świeżym powietrzu, a pozbędziesz się tego. Ja tak zrobiłam, kiedy miałam menopauzę. Wybuchalam płaczem nad stekiem, myśląc o tej biednej krowie. Doprowadzałam Cleo do szewskiej pasji, płacząc cały czas i powtarzając, że nikt mnie nie kocha. Kiedy już miał tego dosyć, mówił: „Ninny, chyba czas na zastrzyk z witaminy B12”. I robił mi zastrzyk w pupę.

Codziennie chodziłam na spacerzy wzdłuż torów — tam i z powrotem — zupełnie jak chodzimy teraz i wkrótce wybiłam sobie te fochy z głowy, i wróciłam do normalności.

— Ale ja jeszcze jestem na to za młoda — powiedziała Evelyn. — Mam dopiero czterdzieści osiem lat.

— O, nie, kochana, mnóstwo kobiet przechodzi przez to wcześniej. Była w Georgii taka kobieta, która miała zaledwie trzydzieści sześć lat. Któregoś dnia wsiadła do samochodu, wjechała na schody sądu rejonowego, opuściła szybę w oknie, wyrzuciła prosto na policjanta głowę własnej matki, którą dopiero co zarabiała w kuchni, wrzasnęła: „Macie, czego chcieliście!” i zjechała z powrotem ze schodów sądu. Oto, do czego może doprowadzić wczesna menopauza, jeżeli się nie uważa.

— Naprawdę pani myśli, że już mnie dopadła? To dlatego jestem taka drażliwa?

— Jasne. Och, to gorsze niż huśtawka... w górę i w dół, w górę i w dół... A jeśli chodzi o wagę, to przecież chyba nie wolałabyś być koścista. Spójrz na tych staruszków tutaj — większość z nich to sama skóra i kości. Albo przejdź się do szpitala baptystów i odwiedź

oddział chorych na raka. Wszyscy tam chcieliby przytyć choć parę kilo. Ci nieszczęśnicy wprost marzą o tym, żeby utrzymać wagę. Więc przestań się martwić o swoją wagę i dziękuj Bogu, że jesteś zdrowa! Czytaj codziennie słowo Boże i co rano Psalm 90, a pomoże ci to tak, jak pomogło mnie.

Evelyn spytała panią Threadgoode, czy kiedykolwiek wpadła w depresję.

Pani Threadgoode odpowiedziała szczerze.

— Nie, kochana, nie pamiętam, żeby mi się to ostatnio zdarzyło, jestem zbyt wdzięczna za Boże błogosławieństwa — jest ich tak wiele, że nie mogę ich zliczyć. Nie zrozum mnie źle, wszyscy mamy swoje smutki, a niektórzy więcej niż inni.

— Ale pani zawsze wygląda na taką szczęśliwą, jakby pani się niczym nie martwiła.

Pani Threadgoode roześmiała się na tę myśl.

— Och, kochana, przeszłam swoje, a za każdym razem bolało równie silnie co poprzednio. Zdarzało się, że się zastanawiałam, dlaczego dobry Bóg dał mi tak ciężki krzyż do dźwigania — do tego stopnia, że myślałam, że nie wytrzymam już ani dnia dłużej. Ale Pan daje ci tylko tyle, ile możesz znieść — nie więcej... i mówi ci tak: Nie można zatrzymać się nad smutkiem, to cię wpędzi w chorobę szybciej niż cokolwiek innego.

— Ma pani rację — powiedziała Evelyn. — Wiem, że pani ma rację. Ed mówi, że może powinnam pójść do psychiatry.

— Kochana, nie musisz tego robić. Zawsze kiedy będziesz chciała z kim pogadać, możesz po prostu przyjść do mnie. Będę bardzo wdzięczna za towarzystwo.

— Dziękuję, pani Threadgoode. — Evelyn spojrzała na zegarek. — No, chyba już pójde. Ed będzie wściekły.

Otworzyła torebkę i wytarła nos w chusteczkę higieniczną, która wcześniej była pełna orzeszków w czekoladzie.

— Wie pani, czuję się lepiej, naprawdę!

— No, to się cieszę i będę się modliła za twoje nerwy, kochana. Musisz iść do kościoła i prosić Pana, żeby pomógł ci w dźwiganiu twego krzyża i przeprowadził przez ten trudny okres — tak jak wiele razy pomógł mnie.

— Dziękuję... No, to do zobaczenia za tydzień — powiedziała Evelyn i ruszyła korytarzem.

— A tymczasem kup sobie tabletki uspokajające numer dziesięć! — krzyknęła za nią pani Threadgoode.

— Numer dziesięć?!

— Tak! Numer dziesięć!

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

8 czerwca 1935

Przebój kółka dramatycznego

Kółko dramatyczne Whistle Stop w piątek wieczorem dało coroczne przedstawienie. Dobra robota, dziewczyny. Sztuka była zatytułowana *Hamlet* i została napisana przez angielskiego dramaturga, pana Williama Szekspira, który w Whistle Stop jest już znany jako autor sztuki wystawianej w zeszłym roku.

Hamleta grał Earl Adcock junior, a jego ukochaną — siostrzenicą doktora Hadleya, Mary Bess, która przyjechała do nas z wizytą spoza miasta. Jeżeli nie widzieliście tej sztuki, to na koniec Mary Bess się zabija. Z przykrością muszę donieść, że miałam kłopoty z dosłyszeniem jej, ale w każdym razie uważam, że ten dzieciak i tak jest za mały na podróżowanie.

Matkę i tatę Hamleta grali wielbny Scroggins i Vesta Adcock, która jest prezesem kółka dramatycznego i, jak wszyscy wiemy, prawdziwą matką Earla juniora.

Muzykę do tego przedstawienia wykonywała nasza Essie Rue Limeway, dzięki której scena walki na miecze była jeszcze bardziej ekscytująca.

A przy okazji, Vesta mówi, że w przyszłym roku zamierzają wystawić *Historię Whistle Stop*, więc jeżeli ktoś ma jakieś materiały, prosimy je przynieść.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

26 stycznia 1986

Evelyn została na tyle długo, by uprzejmie przywitać się ze swoją teściową, po czym skierowała się do saloniku, gdzie czekała na nią przyjaciółka.

— No, jak się dzisiaj masz, kochana?

— Dobrze, pani Threadgoode. A pani?

— Świetnie. Kupiłaś sobie te tabletki uspokajające, które ci poleciłam?

— Jasne.

— Pomogły?

— A wie pani, że chyba tak.

— To się cieszę.

Evelyn zaczęła grzebać w torebce.

— Co dziś przyniosłaś?

— Trzy pudełka rodzynek, jeżeli je znajdę.

— Rodzynki? Pycha. — Przez chwilę przyglądała się poszukiwaniom Evelyn. — Kochana, czy ty się nie boisz, że ci się od tych wszystkich słodkości zalęgną w torebce mrówki?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam — powiedziała Evelyn i znalazła to, czego szukała, plus pudełko miętówek Juniora.

— Dziękuję, kochana, uwielbiam słodczyce. Kiedyś przepadałam za Tootsie Rolls, ale, wiesz, jeżeli się nie uważa, mogą od tego powyłazić zęby — tak samo jest z Bit-O-Honey!

Weszła czarna pielęgniarka imieniem Geneene. Szukała pana Dunaway, żeby mu dać środki uspokajające, ale w saloniku jak zwykle siedziały tylko te dwie kobiety. Po jej wyjściu pani Threadgoode zauważyła, że to takie dziwne, że kolorowi ludzie potrafią

mieć tak różne odcienie skóry.

— Na przykład Onzell, żona Dużego George’a... miała skórę koloru orzecha laskowego, rude włosy i piegi. Mówiła, że kiedy wyszła za George’a, jej mamie prawie serce pękło, bo był taki czarny. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Onzell powiedziała, że kocha tego dużego, czarnego jak smoła mężczyznę, a George z pewnością był największym i najczarniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Onzell urodziła bliźniaki: Jasper był tak jasny jak ona, a Artis był strasznie czarny i miał niebieskie dziąsła. Onzell mówiła, że nie może uwierzyć, że wyszło z niej coś tak czarnego.

— Niebieskie dziąsła?

— O, tak, kochana, a to znaczy, że już nie można być czarniejszym! Potem urodził się Willie Boy — równie jasny jak ona, z zielonymi oczami. Oczywiście naprawdę nazywał się Cudowny Pocieszyciel — imię wzięte prosto z Biblii — ale my go wołaliśmy Willie Boy.

— Cudowny Pocieszyciel? Nie pamiętam tego imienia. Jest pani pewna, że to z Biblii?

— O, tak... jest tam. Onzell pokazała nam: „I będzie zwany cudownym pocieszycielem”. Była bardzo religijną osobą. Zawsze mówiła, że kiedy coś ją zaczyna martwić, musi tylko pomyśleć o słodkim Jezusie i to ją podnosi na duchu — zupełnie jak te biszkopty na maślanec, które piekła. Była jeszcze Ptaszyca, czarna jak jej tata, z takimi śmiesznymi postrzępionymi włosami, ale już bez niebieskich dziąseł...

— Niech mi tylko pani nie mówi, że i to się wzięło z Biblii!

Pani Threadgoode się roześmiała.

— Mój Boże, nie. Sipsej mówiła, że wygląda jak wychudzony, mały ptaszek. Kiedy była mała, ciągle biegała po kuchni i ściągała ze stołu maślane biszkopty, które robiła jej matka, potem chowała się pod kawiarnią i je zjadała. Sipsej więc zaczęła na nią mówić „Ptaszyca”. Pomyśleć tylko, rzeczywiście wyglądała jak mały drozd... No i tak — w tej samej rodzinie była dwójka czarnych i dwójka jasnych.

Jakie to dziwne, teraz, kiedy o tym myślę, że u Rose Terrace w ogóle nie ma kolorowych — poza paroma sprzątaczkami i pielęgniarkami... a jedna z nich w niczym nie ustępuje pełnowartościowej, dyplomowanej pielęgniarce. Ma na imię Geneene, jest słodka i szykowna i mówi tak ładnie i mądrze, aż miło. Przypomina mi nieco Sipsej, ten sam niezależny typ. Stara Sipsej mieszkała sama aż do śmierci. Kiedy na mnie przyjdzie ta chwila, chcę być we własnym domu. Nie chcę wracać do szpitala. Kiedy będziesz w moim wieku, za każdym razem, gdy pójdziesz do szpitala, będziesz się zastanawiać, czy jeszcze z niego wyjdiesz. Zresztą myślę, że szpitale nie są bezpieczne. Moja sąsiadka, pani Hartman, opowiadała mi, że jej kuzynka, która jest w szpitalu w Atlancie, powiedziała jej kiedyś, że jakiś pacjent wyszedł z sali, żeby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, i znaleźli go dopiero pół roku później, zamkniętego na dachu na szóstym pię-

trze. Podobno kiedy go znaleźli, został z niego już tylko szkielet w szpitalnej piżamie. Pan Dunaway opowiadał mi, że kiedyś leżał w szpitalu. Podczas gdy był na operacji, ukradli mu ze szklanki sztuczną szczękę. Co to musiał być za człowiek, żeby ukraść starszkowi sztuczną szczękę?

— Nie wiem — powiedziała Evelyn.

— Ja też nie.

TROUTYILLE, ALABAMA

2 czerwca 1917

Kiedy Onzell wzięła od Sipsej bliźnięta, które przed chwilą urodziła, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Starszy syn, któremu nadała imię Jasper, był koloru kawy ze śmietanką, a drugi, Artis, był czarny jak węgiel.

Kiedy później zobaczył je Duży George, mało nie umarł ze śmiechu.

Sipsej zajrzała Atrisowi do buzi.

— Patrzaj, George, ten dzieciak ma niebieskie dziąsła. — Pokręciła głową z przerażeniem. — Boże, dopomóż.

Ale Duży George, który nie był przesądny, śmiał się aż do rozpuku...

Dziesięć lat później już nie uważał, że to takie śmieszne. Sprawił baty Artisowi za to, że ten dziabnął swego brata scyzorykiem. Dźgnął go pięć razy w rękę, zanim jakiś starszy chłopak go nie odciągnął i nie rzucił na ziemię. Jasper wstał i pognął do kawiarni, trzymając się za krwawiącą rękę i wołając mamę. Duży George był właśnie z tyłu domu, robiąc pieczeń, pierwszy zobaczył Jaspера i zaniósł go do lekarza. Doktor Hadley umył i opatrzył ranę, a kiedy Jasper mu powiedział, że zrobił mu to jego własny brat, Dużego George'a ogarnął wstyd. Tej nocy obaj bracia cierpieli ból i nie mogli usnąć. Leżeli w łózkach, patrząc przez okno na księżyc w pełni i słuchając nocnych odgłosów żab i świerszczy. Artis odwrócił się do brata, który w świetle księżyca wydawał się prawie biały.

— Wiedziałem, że nie trza mi było tego robić... ale to było takie fajne, że normalnie się nie mogłem opanować.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

1 lipca 1935

Spotkanie grupy biblijnej

W zeszłym tygodniu, w środę rano odbyło się spotkanie żeńskiej Grupy Badaczy Pisma Świętego kościoła baptystów w Whistle Stop. Na spotkaniu tym, które miało miejsce u pani Vesty Adcock, dyskutowano, jak studiować Pismo Święte i jak można łatwiej je zrozumieć. Przedmiotem dyskusji był „Noe i Arka” oraz „Dlaczego Noe wpuścił na Arkę dwa węże, skoro miał okazję pozbyć się ich raz na zawsze?” Jeżeli ktoś zna wytłumaczenie, prosimy skontaktować się z Vestą.

W sobotę Idgie i Ruth wydały przyjęcie urodzinowe dla swego synka. Wszystkim gościom podobała się zabawa polegająca na przyczepianiu ogona osła, smakował też tort i lody, a każdy dostał szklaną lokomotywkę z kolorowymi cukierkami w środku.

Idgie mówi, że w piątek wieczorem wybierają się do kina, więc, jak ktoś chce, może się do nich przyłączyć.

A jeśli już mowa o przedstawieniach, to któregoś wieczoru, kiedy wróciłam z poczty, moja druga połowa, Wilbur właśnie się wybierał do Birmingham do kina. Chciał zdążyć, zanim zmienią ceny biletów, więc tak się śpieszył, że w biegu chwycił płaszcz i mnie za rękę i wybiegliśmy z domu. A potem, kiedy już siedzieliśmy na miejscu, przez cały film narzekał, że go strasznie bołą plecy. Kiedy wróciliśmy do domu, okazało się, że w całym tym pośpiechu zapomniał wyjąć wieszak z płaszczem. Powiedziałam mu, że następnym razem zapłacimy wyższą cenę za bilet, bo zepsuł mi całą przyjemność, nieustannie wierząc się w fotelu.

A przy okazji, czy ktoś nie chciałby kupić lekko zużytego męża? Tanio!

Tylko żartowałam, Wilbur.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

2 lutego 1986

Kiedy Evelyn weszła, jej przyjaciółka powiedziała:

— Och, Evelyn, szkoda, że nie przyszedłś dziesięć minut wcześniej. Zobaczyłabyś moją sąsiadkę, panią Hartman. Przyniosła mi to. — Pokazała Evelyn małą roślinkę zwaną językami teściowej w ceramicznej doniczce koloru białego cocker-spaniela. — A dla pani Otis przyniosła prześliczną lilię tygrysią. Strasznie chciałam, żebyś poznała panią Hartman, od razu byś się w niej zakochała. To jej córka podlewała dla mnie geranium. Opowiedziałam jej o tobie...

Evelyn powiedziała, że szkoda, że jej nie spotkała, i podała pani Threadgoode różową babeczkę, którą kupiła tego ranka w piekarni Waitesa. Pani Threadgoode podziękowała jej uprzejmie i wzięła się do jedzenia, podziwiając przy okazji rośliny.

— Uwielbiam cocker-spaniele, a ty? Nie ma na świecie weselszego widoku niż cocker-spaniel. Synek Ruth i Idgie miał kiedyś cocker-spaniela, który za każdym razem, kiedy cię widział, tak kręcił ogonem i uderzał nim o wszystko dookoła, jakby cię nie było lata całe, choć przecież tylko wyszedł na chwilę do sklepu. Kotki natomiast zachowują się tak, jakby w ogóle im na tobie nie zależało. Niektórzy ludzie są tacy sami... uciekają, nie pozwalają się kochać. Idgie taka była.

— Naprawdę? — zdziwiła się Evelyn, wgryzając się w babeczkę.

— O, tak, kochana. Kiedy była w szkole średniej, wszystkich doprowadzała do białej gorączki. Przeważnie w ogóle nie chodziła do szkoły, a jak już się w niej pojawiła, to zawsze miała na sobie taki znoszony, stary kombinezon po Buddym. Połowę czasu spędzała w lesie z Julianem i znajomkami, polując i łowiąc ryby. Ale, wiesz co? Wszyscy ją lubili. Chłopcy i dziewczyny, kolorowi i biali — wszyscy chcieli być blisko Idgie. Uśmiechała się, jak tylko Threadgoode'owie potrafili, a kiedy chciała, tak potrafiła człowieka

rozśmieszyć...! Jak mówiłam, miała ten wdzięk Buddy'ego. Było w niej jednak coś z dzikiego zwierzęcia. Nie pozwalała nikomu się zbliżyć. Kiedy dochodziła do wniosku, że ktoś ją za bardzo lubi, uciekała do lasu. Łamała serca na prawo i lewo. Sipsej mówiła, że kiedy mama Idgie była z nią w ciąży, zjadła dzikie ptactwo i dlatego Idgie teraz zachowuje się jak jakiś pohaniec!

Ale kiedy zamieszkała z nami Ruth, Idgie zmieniła się nie do poznania.

Ruth pochodziła z Valdosta w Georgii i tamtego lata przyjechała, żeby się zaangażować w działalność kościoła baptystów, do którego chodziła mama. Musiała mieć nie więcej niż dwadzieścia jeden, dwa lata. Miała jasnobrązowe włosy i piwne oczy z długimi rzęsami i była tak słodka i delikatna, że ludzie po prostu zakochiwali się w niej od pierwszego wejrzenia. Normalnie nic nie można było na to poradzić — była przeuroczą dziewczyną, a im bliżej się ją poznawało, tym wydawała się ładniejsza. Nigdy przedtem nie wyjeżdżała z domu, więc początkowo była nieśmiała i nieco przestraszona. Oczywiście nie miała rodzeństwa. Jej rodzice byli już dość starzy, kiedy się urodziła. Tata był kaznodzieją w Georgii i myślę, że otrzymała dosyć surowe wychowanie.

Jak tylko chłopaki w miasteczku ją zobaczyły, wszyscy zaczęli co niedziela chodzić do kościoła, choć nigdy przedtem tego nie robili. A ona chyba nawet nie miała pojęcia, jaka jest śliczna. Dla każdego była miła, a Idgie po prostu się w niej zakochała... Musiała mieć wtedy jakieś piętnaście, szesnaście lat.

Podczas pierwszego tygodnia Idgie całymi dniami siedziała na drzewie mydleńca, wypatrując, czy Ruth nie wychodzi z domu. Potem, dosyć szybko, zaczęła się popisywać: zwieszała się z gałęzi głową w dół, rzucała piłką po podwórku i wracała do domu z wielkim naręczem ryb akurat wtedy, gdy Ruth wracała z kościoła. Julian twierdził, że Idgie wcale nie łowiła tych ryb, tylko kupowała je od jakichś kolorowych znad rzeki. Popęłnił błąd, mówiąc o tym Ruth, co go kosztowało parę butów, które Idgie tej samej noc napełniła krowim łajnem.

Któregoś dnia mama powiedziała Ruth: „Czy mogłabyś pójść i wpłynąć na moje najmłodsze dziecko, żeby usiadło jak człowiek i zjadło kolację?”

Ruth poszła i poprosiła Idgie, która siedziała na drzewie, czytając „Detektywa”, by zeszła i zjadła kolację przy stole. Idgie nawet na nią nie spojrzała, ale powiedziała, że to przemyśli. Wszyscy siedzieliśmy już i właśnie kończyliśmy modlitwę, kiedy do domu wchodzi Idgie i kieruje się na górę. Słyszeliśmy, jak puszcza wodę do wanny. Za jakieś pięć minut Idgie, która prawie nigdy z nami nie jadała, pojawiła się na schodach. Mama spojrzała na nią i wyszeptła: „No, dzieciaki, wasza siostra się zakochała i proszę, żeby nikt się nie śmiał. Zrozumiano?” Przymykaliśmy, że nie będziemy się śmiać, a tu wchodzi Idgie z twarzą porządnie wyszorowaną i włosami przylizanymi jakąś starą wazeliną, którą znalazła w apteczce. Próbowaliśmy się nie śmiać, ale trzeba było ją wtedy zobaczyć! Ruth spytała ją tylko, czy chciałaby jeszcze trochę fasolki szparagowej, a wtedy

Idgie spiekła straszego raka... Pierwsza nie wytrzymała Patsy Ruth, potem parsknęła śmiechem Mildred. A ja, jak już mówiłam, ponieważ zawsze byłam trochę w tyle, zaczęłam się śmiać po nich, a wtedy Julian, który już nie mógł wytrzymać ani minuty, zapłuł tłuczonymi kartoflami biedną Essie Rue, która siedziała naprzeciw niego.

To było coś okropnego, ale takie rzeczy się zdarzały. Mama powiedziała: „Możecie już iść”, a my pognaliśmy do salonu, padliśmy na podłogę i turlaliśmy się ze śmiechu. Patsy Ruth zsiusiała się w majtki. Ale najśmieszniejsze było to, że Idgie była tak oszołomiona tym, że siedzi koło Ruth, że nawet się nie zorientowała, z czego się śmiejemy, bo kiedy przechodziła koło salonu, zajrzała i powiedziała: „Ładnie się zachowujecie w towarzystwie”. A my oczywiście znowu zaczęliśmy zrywać boki...

Wkrótce potem Idgie zaczęła się zachowywać jak uległy szczeniaczek. Myślę, że Ruth tamtego lata czuła się osamotniona... no a Idgie potrafiła ją rozśmieszyć, och, Idgie zrobiłaby wszystko, żeby ją rozbawić. Mama mówiła, że pierwszy raz mogła na niej wymóc wszystko, co tylko chciała — musiała tylko poprosić Ruth, by ta na nią wpłynęła. Była przekonana, że Idgie skoczyłaby tyłem z góry, gdyby Ruth ją o to poprosiła. I ja w to wierzę! Po raz pierwszy od śmierci Buddy'ego poszła do kościoła.

Idgie chodziła za Ruth krok w krok. Zresztą wzajemnie. Po prostu przywiązały się do siebie; często się słyszało, jak siedzą nocą na ganku, chichocząc. Nawet Sipsej się z niej nabijała. Na widok Idgie mówiła: „Chyba opiała się lubczyku”.

Świetnie się bawiliśmy tamtego lata. Ruth, która trzymała się nieco na dystans, najpierw nauczyła się wygłupiać i grać w różne gry. A niedługo potem, kiedy Essie Rue grała na pianinie, przyłączała się do naszych śpiewów. Wszyscy byliśmy szczęśliwi, ale któregoś popołudnia mama mi powiedziała, że boi się, co się stanie, kiedy skończy się lato i Ruth wróci do domu.

WHISTLE STOP, ALABAMA

18 lipca 1924

Ruth była w Whistle Stop już od jakichś dwóch miesięcy, kiedy któregoś sobotniego ranka, o szóstej, ktoś zapukał w okno jej sypialni. Ruth otworzyła oczy i zobaczyła, że to Idgie siedzi na mydleńcu i macha, żeby jej otworzyć okno.

Ruth wstała, na wpół śpiąc.

— Po co tak wcześnie wstałaś?

— Obiecałaś, że dziś pojedziemy na piknik.

— Wiem, ale musimy tak wcześnie? Jest sobota.

— Proszę. Obiecałaś. Jeżeli natychmiast nie wyjdiesz, zeskoczę z dachu i się zabiję.

I co wtedy zrobisz?

Ruth się roześmiała.

— No, a co z Patsy Ruth, Mildred i Essie Rue? Nie jadą z nami?

— Nie.

— Nie uważasz, że powinniśmy je o to spytać?

— Nie. Proszę, chcę cię mieć dla siebie. Proszę. Chcę ci coś pokazać.

— Idgie, nie chcę zranić ich uczuć.

— Och, nie zranisz niczyich uczuć. One zresztą i tak nie chcą jechać. Już je pytałam.

Wolą zostać w domu, na wypadek gdyby mieli wpaść ci ich głupi chłopcy.

— Jesteś pewna?

— Jasne, że tak — skłamała.

— A co z Ninny i Julianem?

— Powiedzieli, że mają dziś coś do załatwienia. Daj spokój, Ruth, Sipsej już przygotowała dla nas lunch, tylko dla nas obu. Jeżeli nie pójdziesz, zeskoczę, a wtedy będziesz miała mnie na sumieniu. Będę leżeć w zimnym grobie, a ty pożałujesz, że nie pojecha-

łaś na ten jeden głupi piknik.

— No, dobrze. Ale chociaż daj mi się ubrać.

— Pośpiesz się! Nie strój się, wychodź. Czekam w samochodzie.

— Jedziemy samochodem?

— Jasne. Dlaczego nie?

— Świetnie.

Idgie zapomniała nadmienić, że o piątej rano wkradła się do pokoju Juliana i wyjęła mu z kieszeni w spodniach kluczyki do jego Modelu T, i że niesłychanie istotne jest, by wyjechały, zanim Julian się obudzi.

Pojechały w miejsce, które Idgie odkryła parę lat temu, przy jeziorze Double Springs, gdzie był wodospad wpadający do krystalicznie czystego strumienia pełnego prześlicznych brązowych i szarych kamieni, okrągłych i gładkich jak jajka. Idgie rozłożyła koc i przyniosła z samochodu koszyk. Zachowywała się bardzo tajemniczo.

— Ruth, jeżeli ci coś pokażę, to czy przysięgniesz, że nikomu o tym nie powiesz?
— odezwała się w końcu.

— Co mi pokażesz? Co to jest?

— Przysrzekasz? Nie wygadasz się?

— Przysrzekam. Co to takiego?

— Pokażę ci.

Idgie sięgnęła do koszyka, wyjęła pusty słoik i powiedziała:

— Chodźmy.

I zagłębiły się jakieś pół kilometra w las.

— Jest! — Idgie wskazała na drzewo.

— Co to?

— Ten wielki dąb.

— Aha.

Idgie wzięła Ruth za rękę i odprowadziła ją jakieś trzydzieści metrów od drzewa.

— A teraz, Ruth, zostań tutaj i nie ruszaj się, choćby nie wiadomo co.

— Co ty chcesz zrobić?

— Nieważne. Po prostu mnie obserwuj, dobrze? I bądź cicho. Nie rób żadnego hałasu.

Idgie, która była boso, ruszyła w stronę wielkiego dębu i w połowie drogi zatrzymała się, by sprawdzić, czy Ruth patrzy. Kiedy była jakieś trzy metry od drzewa, znowu się upewniła, czy Ruth patrzy. I wtedy zrobiła coś zdumiewającego. Bardzo powoli, cicho mruczając, podeszła na palcach do drzewa i włożyła rękę ze słoikiem do dziupli w samym środku pnia. Nagle Ruth usłyszała jakieś bzyczenie i w jednej chwili niebo poczerwiano, gdy z dziupli wyfrunęła horda rozwścieczonych pszczół. W ciągu paru sekund Idgie od stóp do głów pokryła się tysiącami pszczół. Po minucie ostrożnie wyjęła rękę z dziupli

i powoli ruszyła z powrotem do Ruth, wciąż mruczając. Kiedy wróciła na miejsce, niemal wszystkie pszczoły odleciały i czarna postać przemieniła się w Idgie, szczerzącą zęby od ucha do ucha, ze słoikiem dzikiego miodu w ręce. Podała go Ruth.

— Proszę, madame, to dla pani.

Ruth, która przestraszyła się nie na żarty, osunęła się na ziemię i wybuchnęła płaczem.

— Myślałam, że nie żyjesz! Dlaczego to zrobiłaś? Mogłaś umrzeć!

— Och, nie płacz. Przepraszam. Nie chcesz miodu? Przyniosłam go tylko dla ciebie... proszę, nie płacz. Wszystko jest w porządku, często to robię. Jeszcze nigdy mnie nie użądliły. Poważnie. Pomogę ci wstać, cała się ubrudziłaś.

Podała Ruth starą, niebieską chustkę, którą miała w kieszeni kombinezonu. Ruth wciąż jeszcze była roztrzęsiona, ale wstała, wytarła nos i otrzepała sobie sukienkę.

Idgie chciała ją jakoś rozweselić.

— Ruth, zrobiłam to tylko dla ciebie. Nikt oprócz ciebie nie wie, że potrafię to zrobić. Chciałam tylko, żebyśmy miały wspólną tajemnicę, to wszystko.

Ruth nic nie odpowiedziała.

— Przepraszam, Ruth, proszę, nie wściekaj się na mnie.

— Wściekać się na ciebie? — Ruth otoczyła Idgie ramieniem i powiedziała: — Och, Idgie przecież ja się na ciebie nie wściekam. Po prostu nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś ci się stało. Naprawdę nie wiem.

Serce Idgie zaczęło tak walić, że o mało co się nie przewróciła. Kiedy już zjadły kurczaka, sałatkę ziemniaczaną, wszystkie herbatniki i większość miodu, Ruth oparła się o drzewo, a Idgie położyła głowę na jej kolanach.

— Wiesz, Ruth, dla ciebie mogłabym zabić. Gdyby ktoś cię skrzywdził, bez namysłu bym go zabiła.

— Och, Idgie, to straszne, co mówisz.

— Nie, nieprawda. Wolałabym zabić z miłości niż z nienawiści. A ty?

— Ja uważam, że w ogóle nie wolno zabijać.

— No dobrze, to w takim razie mogłabym dla ciebie umrzeć. Nie wydaje ci się, że można umrzeć z miłości?

— Nie.

— Biblia mówi, że Jezus Chrystus umarł z miłości.

— To co innego.

— Wcale nie. Mogłabym umrzeć w tej chwili i w ogóle bym tego nie żałowała. Byłabym trupem z uśmiechem na twarzy.

— Nie wygłupiaj się.

— Dziś mogłam umrzeć, prawda?

Ruth wzięła ją za rękę i uśmiechnęła się.

— Moja Idgie jest zaklinaczem pszczół.
— Naprawdę?
— Naprawdę. Słyszałam, że są ludzie, którzy potrafią to robić, ale do dzisiaj nikogo takiego nie znałam.
— Czy to coś złego?
— Niiieeee... To cudowne. Nie wiedziałaś?
— Nie, myślałam, że zwariowałam, czy coś.
— Skąd, jesteś cudowna.
Ruth pochyliła się i szepnęła jej do ucha:
— Idgie Threadgoode, jesteś starym zaklinaczem pszczół, ot co...
Idgie uśmiechnęła się do niej i spojrzała na czyste, błękitne niebo, które odbijało się w jej oczach i poczuła się tak szczęśliwa, jak każdy, kto się zakochał latem.

WHISTLE STOP, ALABAMA

29 sierpnia 1924

Jakie to dziwne, często się zdarza, że spędza się z kimś dużo czasu i stopniowo, nawet nie wiadomo kiedy, człowiek zaczyna kochać tę osobę. Ruth jednak wiedziała, co do sekundy. Kiedy Idgie szczerząc zęby, podawała jej ten słoik miodu, wszystkie uczucia, które chciała w sobie pohamować, przeszły przez nią jak burza i w tej samej chwili zrozumiała, że kocha ją całym sercem. To dlatego wtedy się rozpłakała. Nigdy dotąd się tak nie czuła i wiedziała, że najprawdopodobniej już nigdy więcej się tak nie poczuje.

A teraz, miesiąc później, płakała, bo kochała ją tak bardzo, że musiała wyjechać. Idgie była szesnastoletnim dzieciakiem, który się zadurzył, i pewnie nie rozumiała, co mówi. Nie miała pojęcia, o co prosi, kiedy błagała, by Ruth została i zamieszkała z nimi. Ruth jednak wiedziała i uświadomiła sobie, że musi wyjechać. Nie miała zielonego pojęcia, dlaczego pragnie być z Idgie bardziej niż z kimkolwiek na świecie, a jednak tak było. Modliła się i płakała, ale nie dostała żadnej odpowiedzi poza tą, że ma wracać do domu i poślubić Franka Bennetta, młodego mężczyznę, z którym była zaręczona, że ma postarać się zostać dobrą żoną i matką. Ruth była pewna, że Idgie, choćby nie wiadomo co mówiła, opamięta się i da sobie radę. Ruth zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić. Kiedy powiedziała Idgie, że następnego dnia rano wyjeżdża do domu, Idgie zupełnie oszalała. Zaczęła rozbijać przedmioty w swoim pokoju i tak się wydzierać, że słychać ją było w całym domu.

Ruth siedziała na swoim łóżku, załamując ręce, kiedy weszła mama.

— Ruth, błagam, idź i porozmawiaj z nią. Nie chce wpuścić mnie ani tatusia do swojego pokoju, a inni boją się tam wchodzić. Proszę, kochanie, boję się, że ona coś sobie zrobi.

Usłyszały kolejny łoskot.

— Och, Ruth, ona się zachowuje jak ranne zwierzątko. Czy mogłabyś pójść i zobaczyć, czy można ją trochę uspokoić?

W drzwiach stanęła Ninny.

— Mamo, Essie Rue mówi, że teraz Idgie stłukła lampę... — Spojrzała przeproszająco na Ruth. — Chyba denerwuje się tym, że wyjeżdżasz.

Ruth ruszyła długim korytarzem. Julian, Mildred, Patsy Ruth i Essie Rue schowali się za drzwiami do swoich pokoi. Wystawały im tylko głowy. Patrzyli szeroko rozwartymi oczami na przechodzącą Ruth. Mama i Ninny stały w drugim końcu korytarza. Ninny wsadziła sobie palce do uszu.

Ruth delikatnie zapukała do drzwi Idgie.

— DAJCIE MI SPOKÓJ, DO JASNEJ CHOLERY! — wrzasnęła Idgie i rzuciła czymś w drzwi.

Mama odchrząknęła i powiedziała miłym głosem:

— Dzieci, może byśmy zaczekali w salonie i zostawili je na trochę same.

Cała szóstka czym prędzej zbiegła do salonu. Ruth znowu zapukała do drzwi.

— Idgie, to ja.

— Wynoś się!

— Chcę z tobą porozmawiać.

— Nie! Daj mi spokój!

— Proszę cię, przestań.

— Wynoś się do diabła! Ja nie żartuję! — Coś znowu roztrzaskało się o drzwi.

— Proszę cię, wpuść mnie.

— NIE!

— Kochanie, proszę cię.

— NIE!

— IDGIE, W TEJ CHWILI OTWÓRZ TE PRZEKLĘTE DRZWI! SŁYSZYSZ MNIE?

Na chwilę zapadła cisza. Drzwi powoli się otworzyły.

Ruth weszła i zamknęła je za sobą. Zobaczyła, że Idgie zniszczyła wszystko, co znajdowało się w pokoju. Niektóre rzeczy połamała dwa razy.

— Dlaczego się tak zachowujesz? Wiedziałaś, że kiedyś będę musiała wyjechać.

— To dlaczego nie zabierasz mnie z sobą?

— Już ci mówiłam, dlaczego.

— To zostań tu.

— Nie mogę.

— DLACZEGO?! — wrzasnęła Idgie ile sił w płucach.

— Może byś przestała się wydzierać? Kompromitujesz mnie i matkę. Słyszać cię w całym domu.

— Co mnie to obchodzi.
— Ale mnie obchodzi. Dlaczego się zachowujesz jak dziecko?
— BO CIĘ KOCHAM I NIE CHCĘ, ŻEBYŚ JECHAŁA!
— Idgie, czyś ty zupełnie zwariowała? Co sobie ludzie pomyślą? Taka duża dziewczyna i zachowuje się jak nie wiadomo co?
— NIC MNIE TO NIE OBCHODZI!
Ruth zaczęła zbierać porozrzucane rzeczy.
— Dlaczego wychodzisz za tego człowieka?
— Już ci mówiłam, dlaczego.
— DLACZEGO?
— Bo chcę.
— Nie kochasz go.
— A właśnie, że kocham.
— Nie, nieprawda. Kochasz mnie... dobrze o tym wiesz. Dobrze wiesz!
— Idgie, kocham go i zamierzam wyjść za niego za mąż.
Wtedy Idgie zupełnie się wściekła, zaczęła płakać i krzyczeć z gniewu:
— JESTEŚ KŁAMCZUCHĄ I NIENAWIDZĘ CIĘ! NIE CHCĘ CIĘ WIDZIEĆ NA OCZY! NIENAWIDZĘ CIĘ!
Ruth wzięła ją za ramiona i potrząsnęła nią tak mocno, jak tylko mogła. Po policzkach Idgie ciekły łzy, kiedy krzyczała:
— NIENAWIDZĘ CIĘ! MAM NADZIEJĘ, ŻE ZGNIJESZ W PIEKLE!
— Przestań! Słyszysz mnie?! – wrzasnęła Ruth i zanim zdołała się opanować, z całej siły uderzyła ją w twarz.
Idgie oniemiała. Stały tak, patrząc na siebie. W tej chwili Ruth najbardziej w świecie pragnęła chwycić Idgie i przytulić ją mocno. Wiedziała jednak, że gdyby to zrobiła, już nigdy nie potrafiłaby jej puścić.
Zrobiła więc najtrudniejszą rzecz w swoim życiu: odwróciła się, wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

9 lutego 1986

Evelyn przyniosła z Taco Bell pudełko tacos z restauracji trzy ulice od jej domu, a pani Threadgoode, była zachwycona.

— Po raz pierwszy jem zagraniczne jedzenie, nie licząc franko-amerykańskiego spaghetti. Pyszne. – Spojrzała na jej tacos. – Jest chyba wielkości hamburgera od Chrystala, prawda?

Evelyn bardzo chciała się dowiedzieć więcej o Ruth, spróbowała więc zmienić temat.

— Pani Threadgoode, czy Ruth tamtego lata wyjechała z Whistle Stop, czy została?

— Były wielkości biszkopta i miały na wierzchu siekaną cebulkę.

— Co?

— Hamburgery od Christala.

— Tak, miały na wierzchu siekaną cebulkę, ale co z Ruth?

— Jak to, co?

— Wiem, że później wróciła, ale czy tamtego lata pojechała do domu?

— O, tak. Wiesz, za dwadzieścia pięć centów można było kupić pięć. Nadal tak jest?

— Chyba nie. Kiedy wyjechała?

— Kiedy? Pomyślmy. W lipcu albo sierpniu. Nie, w sierpniu. Teraz pamiętam. Jesteś pewna, że chcesz o niej słuchać? Nigdy nie daję ci dojść do głosu. Nic tylko gadam i gadam.

— Nie, pani Threadgoode, wszystko w porządku. Niech pani mówi.

— Na pewno chcesz słuchać o tych starociach?

— Tak.

— No więc, kiedy nadszedł koniec sierpnia, mama i tata błagali Ruth, żeby została

i pomogła im przeprowadzić Idgie przez ostatnią klasę szkoły średniej. Powiedzieli, że zapłacą jej każdą cenę. Ale Ruth powtarzała, że nie może. Mówiła, że jest zaręczona z jakimś mężczyzną z Valdosty i że tej jesieni mają się pobrać. Sipsej jednak powiedziała mamie, że choćby nie wiadomo co Ruth mówiła, to i tak nie chce wracać do Georgii. Twierdziła, że co rano poduszka Ruth jest mokra od łez po przepłakanej nocy.

Nie wiem, co na dzień przed wyjazdem Ruth powiedziała Idgie, ale usłyszeliśmy, że Idgie poszła do swojego pokoju i po paru minutach rozległ się straszny łoskot — zupełnie jakby osioł tłukł się po blaszanej zagrodzie. Wzięła jeden z pucharów piłkarskich Buddy'ego, potłukła wszystkie okna i co jej tam jeszcze wpadło pod rękę. To było okropne.

Nie zbliżyłabym się do tego pokoju — ani z miłości, ani dla pieniędzy... Następnego dnia rano Idgie nawet nie wyszła na ganek, żeby się pożegnać z Ruth. Najpierw Buddy, potem Ruth... Po prostu nie mogła tego znieść. Dzień później Idgie zniknęła. Nigdy już nie wróciła do szkoły. Do zrobienia dyplomu zabrakło jej jednego roku. Och, raz na jakiś czas pokazywała się w domu... kiedy tata miał zawał i kiedy Julian się żenił, a dziewczęta wychodziły za mąż. Tylko Duży George wiedział, gdzie jest Idgie, ale on nigdy by jej nie wydał. Za każdym razem, kiedy mama czegoś potrzebowała od Idgie, mówiła George'owi, a on odpowiadał, że przekaże jej, jeżeli gdzieś ją spotka. Idgie zawsze dostawała wiadomość i przychodziła do domu.

Oczywiście mam swoją teorię co do tego, gdzie się wtedy podziewała...

KLUB WĘDKARSKI WAGON WHEEL

WARRIOR RIVER, ALABAMA
WŁAŚCICIEL J. BATES

30 sierpnia 1924

Jeżeli zboczysz osiem mil na południe od Whistle Stop, skręć w lewo na nadrzeczną drogę, pojedź jeszcze ze dwie mile dalej, a zobaczysz przybitą do drzewa tablicę całą podziurawioną śrutem. Jest na niej napis KLUB WAGON WHEEL I OBOZOWISKO oraz strzałka wskazująca na piaszczystą drogę.

Idgie jeździła tam z Buddym, odkąd skończyła osiem lat. Kiedyś przyjechała tam pierwsza, żeby powiedzieć Evie, że Buddy nie żyje, bo Idgie wiedziała, że Buddy ją kochał.

Buddy poznał Evę, kiedy miał siedemnaście, a ona dziewiętnaście lat. Wiedział, że od dwunastego roku życia spała z wieloma mężczyznami i za każdym razem jej się podobało, ale nic go to nie obchodziło. Eva szafowała swoim ciałem równie hojnie, co wszystkim innym, zupełnie nie jak dziewczęta z kościoła baptystów w Whistle Stop. Kiedy pierwszy raz poszła z nim do łóżka, sprawiła, że poczuł się jak prawdziwy mężczyzna.

Duża, hoża dziewczyna o burzy rdzawych włosów i zielonych jak jabłuszko oczach. Eva zawsze przyozdabiała się kolorowymi paciorkami i jaskrawoczerwoną szminką — nawet, kiedy szła na ryby. Nie znała słowa „wstyd” i była prawdziwym przyjacielem mężczyzny. Nie należała do tych dziewcząt, które większość mężczyzn chciałaby przedstawić swojej matce, Buddy jednak zdecydował, że zabierze ją do domu. Którejś niedzieli przyprowadził ją do Whistle Stop na kolację, a potem oprowadził po sklepie ojca i zrobił jej wodę sodową z lodami. Buddy nie był snobem, ale Leona niewątpliwie tak i niemal zemdląła przy stole, kiedy zobaczyła Evę. Eva, która nie była głupia, powiedziała później Buddy’emu, że podobało jej się u niego w domu, ale woli swoją rzekę.

Wszyscy chłopcy w miasteczku stroili sobie z niej żarty i za każdym razem, kiedy padało jej imię, mówili na jej temat nieprzyzwoite rzeczy — ale nie wtedy, gdy w pobliżu

był Buddy. To prawda, że spała, z kim tylko chciała i kiedy chciała, ale choćby nie wiadomo co ludzie mówili, to kiedy kogoś kochała, stawała się monogamistką. Eva należała do Buddy'ego i choć Buddy lubił flirtować na prawo i lewo, to i on należał do Evy. On to wiedział i ona wiedziała, i nic więcej nie miało znaczenia.

Luksus Evy polegał na tym, że nie dbała o to, co o niej myślą ludzie. Podobnie jak jej ojciec, Duży Jack Bates, bimbrownik na pół etatu, który ważył jakieś sto pięćdziesiąt kilo i lubił się zabawić. Nie było równego mu żarłoka i pijaka.

Idgie często błagała Buddy'ego, żeby ją wziął nad rzekę, co czasami robił. River Club i obóz wędkarski to była tylko stara, drewniana szopa z gankiem obwieszonym niebieskimi lampkami, paroma zardzewiałymi szyldami Royal Crown Cola i wyblakłą reklamą opon Goodyear przybitą do drzwi, oraz parę domków z osłoniętymi siatką przeciw owadom gankami na tyłach — ale Idgie się tam spodobało.

Podczas weekendów zawsze przesiadywała tam spora grupa osób. Przez całą noc grano muzykę country, tańczono i pito. Idgie siedziała z Buddym i Dużym Jackiem i przyglądała się Evie, która potrafiła w tańcu każdego wykończyć.

Któregoś razu Buddy wskazał na Evę i powiedział: „Spójrz na nią, Idgie. To prawdziwa kobieta. Dla tej rudej warto żyć”.

Duży Jack, który miał hopla na punkcie Buddy'ego, poklepał go po plecach i powiedział:

— Synu, myślisz, że jesteś wystarczająco męski, żeby sobie poradzić z tą dziewczuchą?
— Próbuję, Duży Jacku — odparł Buddy. — Może się od tego przekrećę, ale próbuję.

Wkrótce podeszła Eva i zabrała Buddy'ego do swojego domku, a Idgie została z Dużym Jackiem i czekała, obserwując go, jak je. Jednej nocy zjadł siedem steków i cztery miski tłuczonych ziemniaków. Po jakimś czasie wrócili i Buddy zabrał Idgie do domu. W drodze powrotnej zawsze mówił: „Kocham tę kobietę, Idgie, nie ma dwóch zdań”, a Idgie nigdy w to nie wątpiła.

Minęło dziewięć lat i tamtego dnia Idgie zabrała się z jakimiś wędkarzami, którzy wysadzili ją przy tablicy na drzewie. Poprzedniego dnia Ruth wyjechała do Georgii i Idgie już nie mogła wytrzymać w domu. Było już prawie zupełnie ciemno, kiedy dotarła do białej furtki z dwoma wielkimi kołami pociągowymi. Idąc drogą, słyszała muzykę. Przed klubem stało pięć czy sześć samochodów, a niebieskie lampki już były zapalone. Mały piesek o trzech nóżkach podbiegł do niej i zaczął skakać wokół. Idgie była pewna, że należy on do Evy, która nigdy nikogo nie odtrąciła. W okolicy włóczyło się ze dwadzieścia bezdomnych kotów, które dokarmiała. Otwierała tylne drzwi i wyrzucała na podwórko jedzenie dla nich. Buddy mawiał, że jeżeli w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów znajduje się jakiś bezdomny zwierzak, to na pewno w końcu trafi do Evy. Idgie od jakiegoś czasu nie była nad rzeką, ale przekonała się, że nic się nie zmieni-

ło. Blaszane znaki były nieco bardziej zardzewiałe, a parę niebieskich lampek się przepaliło, ale w środku jak zwykle rozbrzmiewał śmiech.

Kiedy weszła, Eva, która siedziała przy stole, pijąc piwo z paroma mężczyznami, z miejsca ją dostrzegła i krzyknęła:

— Boże! Patrzcie, co kot tu przywlókł!

Eva miała na sobie różowy sweter z angory, koraliki i klipsy, a usta umalowała jaszkrawoczerwoną szminką. Wrzasnęła do taty w kuchni:

— Tato! To Idgie!

— Chodź tu, ty psiaku, ty! — Podskoczyła do niej i chwyciła ją w objęcia, prawie dusząc ją na śmierć. — Gdzieś ty była tyle czasu? Dziewczyno, myśleliśmy, że psy cię zżarły!

Z kuchni wyszedł Duży Jack. Był jakieś dwadzieścia pięć kilo cięższy niż wtedy, gdy Idgie go widziała po raz ostatni.

— Patrzcie tylko, kogo tu mamy! Przecie to Mała. Fajnie, że przyszaś.

Eva chwyciła ją za ramiona i spojrzała na nią.

— O kurczę, ale wyrosłaś i schudłaś. Podtuczymy cię trochę, co tato?

Duży Jack, który też na nią patrzył, powiedział:

— Niech mnie diabli, jeżeli ona z dnia na dzień nie przypomina coraz bardziej Buddy'ego. Patrz Eva, nie?

— Kurde, no jasne! — przytaknęła Eva.

Potem zaciągnęła Idgie do stołu.

— Chłopaki, to moja znajoma. Poznajcie Idgie Threadgoode, siostrzyczkę Buddy'ego. Usiądź, kochana, i napij się czegoś.

Po chwili dodała:

— Zaraz, zaraz, czy aby na pewno już możesz pić? — Zastanowiła się. — A co tam! Jeden kieliszeczek jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodził, co, chłopaki?

Zgodzili się z nią.

Jak tylko Eva nieco ochłonęła po ujrzeniu Idgie, zorientowała się, że coś jest nie tak. Po chwili powiedziała:

— Hej, chłopaki, może tak byście przesiedli się do innego stolika? Muszę pogadać z moją kumpelką... Co jest, kochana? Wyglądasz, jakbyś dopiero co straciła najlepszego przyjaciela.

Idgie odparła, że wszystko w porządku, zaczęła zamawiać drinki i usiłowała być zabawna. Wstawiła się i zaczęła tańczyć po całej sali, robiąc z siebie głupka. Eva tylko się przyglądała.

Około dziewiątej Duży Jack zmusił ją, żeby usiadła i coś zjadła, ale przed dziesiątą znowu ruszyła w tany.

Eva odwróciła się do swego taty, który siedział zaniepokojony.

— Może ją zostawić samą i pozwolić robić, co jej się żywnie podoba?

Jakieś pięć godzin później Idgie, która nawiązała mnóstwo znajomości, stała się dużą towarzystwa i sypała dowcipami jak z rękawa. I wtedy ktoś zagrał smutną piosenkę country o utraconej miłości i Idgie zamilkła w samym środku kolejnej historyjki, oparła głowę na stole i się rozpłakała. Eva, która sama była nieźle wstawiona i przez całą noc myślała o Buddym, zaczęła płakać razem z nią. Towarzystwo zostawiło je i przeniosło się do weselszego stolika. Gdzieś o trzeciej rano Eva powiedziała: „No, chodźmy już” i podpierając Idgie, zaprowadziła ją do swojego domku i położyła do łóżka. Nie mogła znieść widoku takiego cierpienia. Usiadła koło Idgie, która ciągle płakała, i powiedziała:

— No, złotko, nie wiem, po kim płaczesz, i naprawdę to nie ma znaczenia, bo nic ci nie będzie. Cicho, cicho... po prostu potrzebujesz, żeby ktoś cię pokochał i już... wszystko będzie dobrze... Eva jest z tobą.... — I zgasła światło.

Eva nie znała się na wielu rzeczach, ale na miłości znała się na pewno.

Idgie mieszkała nad rzeką z przerwami pięć lat. Eva zawsze była przy niej w potrzebie — tak jak kiedyś była przy Buddym.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

28 listopada 1935

Prawdziwy przyjaciel

Wczoraj w nocy Kolejowy Bill wyrzucił z pociągu wiozącego dostawy rządowe siedemnaście szynek, więc domyślałam się, że nasi przyjaciele z Troutville mieli wspaniałe Święto Dziękczynienia.

Przedstawienie *Historia Whistle Stop* wystawione w szkole przypomniało nam, że Indianie, którzy kiedyś tu żyli, byli odważnymi i gwałtownymi ludźmi, co szczególnie żywo sportretowała Vesta Adcock, grająca wodza Czarnych Stóp, Syacagga, do którego należała ta ziemia.

Moja druga połowa twierdzi, że jest w jednej trzeciej Indianinem z plemienia Czarnych Stóp, ale przecież nie jest tak dziki... tylko żartowałam, Wilbur.

PS. Na wypadek gdybyście się zastanawiali, kto siedział w tekturowym pociągu, który przejechał przez scenę, to nie był to nikt inny, tylko sam Peanut Limeway.

Idgie mówi, że Sipsey, jej Murzynka, w ogrodzie koło domu Threadgoode'ów wyhodowała łodygę piżmiana długości metra osiemdziesięciu, która teraz jest w kawiarni.

Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci śmiercią Willa Rogersa. Bardzo go kochaliśmy i teraz się zastanawiamy, kto może zastąpić naszego ukochanego Doktora Sok Jabłkowy. Ilu z nas pamięta te szczęśliwe wieczory w kawiarni, kiedy to słuchaliśmy go w radiu? W tych ciężkich czasach sprawał, że na chwilę zapominaliśmy o kłopotach i uśmiechaliśmy się. Składamy najszczerze wyrazy współczucia jego żonie i dzieciom, a Sipsey wysyła im placek orzechowy, więc możecie wpaść na pocztę i podpisać się na kartce, która będzie do niego dołączona.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY
BIRMINGHAM, ALABAMA

16 lutego 1986

Evelyn przyniosła mieszankę ciasteczek z firmy Nabisco, mając nadzieję, że rozweseli tym trochę swoją teściową, ale Duża Mama podziękowała i powiedziała, że nie ma na nie ochoty, więc Evelyn zabrała je do pani Threadgoode, która była zachwycona.

— Mogłabym jeść herbatniki imbirowe i wafelki waniliowe przez cały dzień, a ty?

Evelyn niestety musiała przytaknąć. Żując swoje ciasteczko, pani Threadgoode spojrzała na podłogę.

— Wiesz, Evelyn, nie cierpię linoleum. Tutaj jest po prostu pełno brzydkich podłóg wyłożonych szarym linoleum. A przecież jest tu tylu staruszków, którzy biegają w filcowych kapciach i tak są narażeni na poślizgnięcie, upadek i złamanie biodra, że powinno się tu położyć jakieś chodniki. Ja miałam w swoim salonie pleciony dywan. Poprosiłam Norrisa, żeby zabrał do sklepu z obuwiem moje czarne, sznurowane buty i kazał przybić gumowe podeszwy, i teraz je noszę od samego rana aż do nocy. Ja sobie nie złamię biodra. Jak już raz do tego dojdzie, to już po tobie.

Wszyscy ci staruszkowie tutaj są w łóżkach już o wpół do ósmej albo o ósmej. Ja nie jestem do tego przyzwyczajona. Nigdy nie chodziłam spać przed dziesiątą trzydzieści, czyli wtedy, kiedy pociąg z Atlanty przejeżdżał koło mojego domu. Och, kładę się o ósmej i gaszę światło, żeby nie przeszkadzać pani Otis, ale nie usnę, dopóki nie usłyszę gwizdu tego o dziesiątej dwadzieścia. Słysząc go w całym mieście. A może tylko tak mi się wydaje, że go słyszę, ale to nie ma znaczenia. I tak wcześniej nie mogę usnąć.

To dobrze, że lubię pociągi, bo Whistle Stop zawsze było kolejowym miasteczkiem, a Troutville to była tylko garstka chatynek i jeden kościół baptystów prymitywistów Mount Zion, do którego chodziła Sipsej i cała reszta. Tory kolejowe biegły obok mojego domu. Gdybym miała wędkę, mogłabym ją zarzucić i dotknąć nią pociągu — tak to

było blisko. No i przez ubiegłe pięćdziesiąt lat siedziałam na leżaku na frontowym gan-ku, patrząc, jak te pociągi przejeżdżają, i nigdy nie miałam dosyć. Zupełnie jak ten szop, który prał krakersa. Najbardziej lubię na nie patrzeć w nocy. Uwielbiam wagony restauracyjne. Teraz mają tam tylko bar przekąskowy, gdzie ludzie siedzą, pijąc piwo i paląc papierosy, ale zanim wycofali naprawdę dobre pociągi, to akurat w porze kolacji, o siódmej czterdzieści, przejeżdżał „Srebrny Półksiężyc” z Nowego Jorku do Nowego Orleanu i, och, szkoda, że tego nie widziałas, ci czarni kelnerzy wystrojeni w wykrochmalone białe marynarki i czarne, skórzane muszki, najlepsza zastawa i srebrne imbryki do herbaty, a na każdym stoliku — świeża róża z kropelką rosy. I malutka lampka z abażurem. Oczywiście były to czasy, kiedy kobiety ubierały się w swoje najlepsze kreacje, kapelusze i futra, a mężczyźni wyglądali tak przystojnie w swych niebieskich garniturach. W każdym oknie „Srebrnego Półksiężyc” były nawet maleńkie żaluzje. Tam to dopiero można było sobie siedzieć, jak w jakiejś restauracji, i sunąć tak przez noc. Zawsze mówiłam Cleo, że zachwyca mnie jednoczesne jedzenie i podróżowanie.

Idgie mawiała: „Ninny, ty to chyba tylko po to jeździsz tym pociągiem, żeby sobie pojeść...” i miała rację. Uwielbiałam befsztyk z polędwicy, który tam podawali, no i nigdzie nie jadłam tak pysznej jajecznicy na szynce, jak w tym właśnie pociągu. Za każdym razem, kiedy zatrzymywał się w jakimś miasteczku po drodze, mieszkańcy sprzedawali kucharzom świeże jajka, szynkę i węgorki. Wtedy wszystko było świeże.

Nie gotuję już tyle, co kiedyś... och, od czasu do czasu odgrzeję sobie puszkę zupy pomidorowej Campbella. Nie, żeby nie lubiła sobie podjeść. Lubię. Ale teraz trudno znaleźć coś dobrego do jedzenia. Kiedyś pani Otis skorzystała z akcji Jedzenie Na Kółkach, organizowanej przez kościół, ale ich jedzenie było takie okropne, że zabroniłam im więcej przyjeżdżać. Może i jest na kółkach, ale w niczym nie przypomina tamtego jedzenia, które kiedyś można było dostać w pociągu.

Oczywiście mieszkanie tak blisko torów ma i swoje złe strony. Potłukły mi się wszystkie naczynia, nawet ten zielony serwis, który wygrałam, kiedy wszyscy podczas Wielkiego Kryzysu pojechaliśmy na film do Birmingham. Pamiętam, co wtedy grali: było to *Witajcie wszyscy* z Kate Smith. — Spojrzała na Evelyn. — Pewnie jej nie pamiętasz. Była znana jako Słowik Południa. Duża, gruba dziewczyna o gołęmbim sercu. Nie uważasz, że grubasy zawsze mają pogodne usposobienie?

Evelyn uśmiechnęła się lekko, mając nadzieję, że to prawda, jako że jadła już drugą paczkę Lorna Doones.

— Ale nie zamieniłabym tych pociągów na nic innego. Co ja bym robiła przez wszystkie te lata? Wtedy nie było jeszcze telewizji. Próbowалам zgadywać, skąd i dokąd jadą ci wszyscy ludzie. Co jakiś czas, kiedy Cleo wyskrobał parę dolarów, zabierał mnie i dziecko do pociągu i jechaliśmy aż do Memphis i z powrotem. Jasper, syn Dużego George’a i Onzell, był w tym czasie portierem i traktował nas, jakbyśmy byli kró-

lem i królową Rumunii. Jasper został później prezesem Związku Zawodowego Portierów w Wagonach Sypialnych. On i jego brat Artis przenieśli się do Birmingham, kiedy byli bardzo młodzi... ale Artis dwa czy trzy razy wylądował w więzieniu. Jakie to dziwne, nigdy nie wiadomo, co wyrośnie z dziecka... Na przykład synek Ruth i Idgie. Miał takie życie, że niejeden by się załamał, ale nie on. Nigdy nie wiadomo, co drzemie w ludzkim sercu, dopóki się tego nie sprawdzi, prawda?

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

16 czerwca 1936

W chwili kiedy Idgie usłyszała głosy przy torach, zrozumiała, że komuś coś się stało. Wyrzała i zobaczyła, że do kawiarni biegnie Biddie Louise Otis.

Sipsej i Onzell wyszły z kuchni akurat wtedy, gdy Biddie z łoskotem otworzyła drzwi i krzyknęła:

— Waszego chłopaka przejechał pociąg!

Serce Idgie na moment przestało bić.

Sipsej zakryła dłońmi usta.

— O Jezu!

— Zatrzymaj Ruth na tyłach. — Idgie zwróciła się do Onzell i pobiegła na tory. Kiedy znalazła się na miejscu, jej synek, który miał wtedy sześć lat, leżał na plecach i szeroko rozwartymi oczami patrzył na grupkę ludzi, którzy przyglądali mu się z przerażeniem. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się i mało brakowało, żeby i ona się uśmiechnęła, myśląc, że nic mu się nie stało, ale wtem zobaczyła jego rękę leżącą metr dalej w kałuży krwi. Duży George, który był na tyłach kawiarni, przyrządzając pieczeń, przygnał tuż za nią i w tej samej chwili zobaczył krew. Podniósł chłopczyka i pędem ruszył do domu doktora Hadleya. Onzell stała w drzwiach, blokując przed Ruth wyjście z tylnego pokoju.

— Nie, panienko Ruth, nigdzie pani nie pójdzie. Zostaniesz tutaj, złociutka.

Ruth była przestraszona i dezorientowana.

— O co chodzi? Co się stało? Coś z dzieckiem?

Onzell zaprowadziła ją na kanapę, posadziła i zamknęła jej dłonie w mocnym uścisku.

— Cśś, kochanie... posiedź tutaj i zaczekaj, złotko, wszystko będzie dobrze.

Ruth była przerażona.

— Co się stało?

Sipsey stała w kawiarni, wznosząc palec ku sufitowi.

— Nie rób tego, Boże... nie rób tego panience Idgie i panience Ruth... nie rób czegoś takiego! Słyszysz mnie, Boże? Nie rób tego!

Idgie pobiegła za Dużym George'em i słyhać było, jak oboje wrzeszczą trzy domy dalej:

— Panie doktorze! Panie doktorze!

Żona doktora, Margaret, usłyszała ich pierwsza i wyszła na ganek. Zobaczyła, jak wyłaniają się zza rogu i krzyknęła do męża:

— Chodź tu szybko! Idgie niesie Buddy'ego juniora!

Doktor Hadley wyskoczył zza stołu i wybiegł do nich na chodnik, trzymając jeszcze w ręce serwetkę. Kiedy zobaczył krew tryskającą z ręki chłopca, rzucił serwetkę i powiedział:

— Do samochodu. Musimy go zawieźć do Birmingham. Potrzebna jest transfuzja.

Biegąc do swojego starego Dodge'a, krzyknął do żony, żeby zadzwoniła do szpitala i uprzedziła, że jadą. Pobiegła do telefonu, a Duży George, który był już cały we krwi, usiadł na tylnym siedzeniu, tuląc do siebie chłopca. Idgie usiadła z przodu i mówiła do niego przez całą drogę, opowiadała mu historyjki, żeby go uspokoić, choć jej samej trzęsły się nogi.

Kiedy podjechali pod izbę przyjęć, w drzwiach już czekała na nich pielęgniarka z noszowym.

Kiedy wchodzili do szpitala, powiedziała do Idgie:

— Przykro mi, ale pani Murzyn musi zostać na zewnątrz. To szpital dla białych.

Chłopiec, który przez cały ten czas nie powiedział ani słowa, gdy go nieśli korytarem, nie spuszczał wzroku z Dużego George'a, aż wreszcie stracił go z oczu, kiedy skręcili za róg... Duży George, wciąż cały we krwi, usiadł na ceglany murku, ukrył twarz w dłoniach i czekał. Przeszli koło niego dwaj przyszczaci chłopcy i jeden z nich warknął na niego:

— Patrz, następny czarnuch, którego pocięli w bójce na noże.

Drugi zawołał:

— Hej! Lepiej byś poszedł do szpitala dla czarnuchów!

Jego kolega, któremu brakowało przednich zębów i miał zeza, podciągnął spodnie i chwackim krokiem potoczył się ulicą.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

24 czerwca 1936

Tragedia przed kawiarnią

Z przykrością zawiadamiam, że w zeszłym tygodniu synek Idgie i Ruth stracił rękę, bawiąc się na torach przed kawiarnią. Biegł koło pociągu, kiedy poślizgnął się i upadł na tory. Konduktor Barney Cross powiedział, że pociąg jechał wtedy z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Chłopiec jest jeszcze w szpitalu w Birmingham i chociaż stracił dużo krwi, czuje się dobrze i wkrótce ma wrócić do domu.

W tym roku w Whistle Stop straciliśmy już jedną stopę, rękę i palec wskazujący. Zginął też jeden Murzyn. Dostaliśmy nauczkę: powinniśmy być na przyszłość ostrożniejsi. Mamy już dość, nie chcemy, by nasi bliscy tracili kończyny i inne rzeczy.

A ja przynajmniej mam dość pisania o tym.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

23 lutego 1986

Pani Threadgoode zajadała się masłem orzechowym Reese, które przyniosła Evelyn, i wracała myślami do swego najwyraźniej ulubionego okresu, czyli do czasów, kiedy koło jej domu przejeżdżały pociągi.

Jednak coś, co powiedziała tydzień wcześniej, zainteresowało Evelyn, która teraz umierała z ciekawości.

— Pani Threadgoode, powiedziała pani, że Idgie i Ruth miały synka?

— O, tak, Kikutka. Nigdy nie widziałam bardziej męskiego chłopaczka. Nawet wtedy, gdy stracił rękę.

— Dobry Boże, co się stało?

— Wypadł z pociągu i ucięło mu rękę, tuż nad łokciem. Naprawdę nazywał się Buddy Threadgoode junior, ale wszyscy mówili na niego Kikutek, dlatego że po rękę został mu tylko kikut. Cleo i ja chodziliśmy go odwiedzać w szpitalu. Był taki dzielny, nie płakał, nie użalał się nad sobą. No, ale tak go wychowała Idgie – na twardziela, który umie przyjmować mocne uderzenia.

Poszła do znajomego, który był właścicielem zakładu kamieniarskiego, i zamówiła dziecięcy nagrobek z napisem:

TU LEŻY RĘKA BUDDY'EGO JUNIORA

1929-1936

ŻEGNAJ, STARA

Postawiła go na polu za kawiarnią, a kiedy Buddy wrócił do domu, zaprowadziła go tam i urządzili jego rękę pogrzeb. Obecni byli wszyscy. Dzieci Onzell i Dużego George'a, Artis i Jasper, mały Willie Boy i Ptaszyca, i wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa. Idgie sprowadziła jakiegoś skauta, który zagrał na rogu capstrzyk.

Idgie pierwsza zaczęła mówić na niego „Kikutek”. Ruth prawie dostała jakiegoś ataku, mówiła, że to podłość. Ale Idgie stwierdziła, że tak będzie najlepiej, bo nikt nie zacznie przezywać go za plecami. Doszła do wniosku, że Kikutek powinien pogodzić się z faktem, że nie ma jednej ręki, i nie rozczulać się nad sobą. No i okazało się, że miała rację, bo nigdy nie widziałam, żeby ktoś potrafił zrobić tyle rzeczy jedną ręką... Słuchaj, on potrafił grać w kulki, polować i łowić ryby, wszystko, czego tylko dusza zapagnie. Był najlepszym strzelcem w Whistle Stop.

Kiedy był mały, a w kawiarni pojawiał się ktoś nowy, Idgie go przyprowadzała i kazała mu opowiadać długą historię o tym, jak to poszedł łowić zębaczę w Warrior River, a kiedy wszystkich zaintrygowała ta opowieść, Idgie go pytała: „Jak duży był ten zębacz, Kikutek?” A on wyciągał rękę, jak to robią wędkarze, by pokazać długość ryby, i mówił: „A gdzie taki”. I potem śmiali się z min ludzi, którzy próbowali się domyślić, jak długa była ta ryba.

Oczywiście teraz nie twierdzę, że był jakimś świętym, miał swoje napady wściekłości, jak to zwykle bywa z małymi chłopcami. Ale w ciągu całego życia tylko raz słyszałam, żeby narzekał albo był zdenerwowany. Było to pewnego popołudnia podczas świąt Bożego Narodzenia. Siedzieliśmy w kawiarni, pijąc kawę i jedząc ciasto owocowe, kiedy ni z tego, ni z owego zaczął wariować i niszczyć wszystkie swoje zabawki. Ruth i Idgie poszły do tylnego pokoju, gdzie Kikutek się bawił, i w czasie, którego potrzeba, by powiedzieć „Posmaruj masłem krakersy”, Idgie wsadziła mu płaszcz i wyprowadziła z domu. Ruth, zdenerwowana i zmartwiona, pobiegła za nimi i spytała, dokąd idą, ale Idgie powiedziała tylko, że to nic takiego, że zaraz wracają. Wrócili po jakiejś godzinie i Kikutek był roześmiany i w dobrym nastroju.

Wiele lat później, kiedy kosił trawnik przy moim domu, zawołałam go na ganek i podałam szklankę mrożonej herbaty. „Kikutek, pamiętasz te święta, kiedy tak się wściekłeś i rozwaliłeś ten zestaw do Małego Budowniczego, który dostałeś od Cleo?” — spytałam.

A on tylko się roześmiał i powiedział: „Och, ciociu Ninny — bo tak do mnie mówił — jasne, że pamiętam”.

„Dokąd cię Idgie zabrała tamtego popołudnia?” — pytam.

„Nie mogę ci powiedzieć, ciociu Ninny” — mówi. „Obiecałem, że nikomu nie powiem”.

Do tej pory więc nie wiem, gdzie byli, ale Idgie musiała mu coś powiedzieć, bo potem już nigdy się nie martwił, że brakuje mu jednej ręki. W czterdziestym szóstym został mistrzem w strzelaniu do dzikich indyków... a nie wiem, czy wiesz, jak trudno ustrzelić dzikiego indyka?

Evelyn przyznała, że nie wie.

— No to, kochana, powiem ci tylko, że trzeba im strzelać między oczy, a głowę mają

nie większą od mojej pięści! Trzeba mieć pewną rękę!

Uprawiał nawet różne sporty... to, że nie miał ręki, w niczym mu nie przeszkadzało... I taki był słodki. Nigdy nie widziałam słodsze­go chłopaka.

Oczywiście Ruth była dobrą matką, a on ją ubóstwiał. Wszyscy ją uwielbialiśmy. Ale Kikutek i Idgie to zupełnie co innego. Wybierali się na polowanie albo na ryby i zostawiali nas w domu. Chyba woleli swoje towarzystwo od jakiegokolwiek innego.

Pamiętam, że któregoś razu Kikutek włożył do kieszeni kawałek ciasta orzechowego i pobrudził sobie nowe spodnie, więc Ruth trochę go obsztorcowała, ale Idgie uznała, że to najśmieszniejsza rzecz na świecie. Ale Idgie potrafiła też być dla niego surowa. To ona wrzuciła go do rzeki, kiedy miał pięć lat, i nauczyła go pływać. Ale coś ci powiem: nie odszczekiwał się swojej matce jak niektórzy chłopcy. Przynajmniej nie wtedy, gdy Idgie była w pobliżu. Ona by mu na to nie pozwoliła. Mowy nie ma. Szanował swoją matkę, nie tak jak Artis, syn Onzell. Na tego nie było mocnych, prawda?

— Pewnie nie — przytaknęła Evelyn i w tej samej chwili zauważyła, że pani Threadgoode włożyła sukienkę na lewą stronę.

WHISTLE STOP, ALABAMA

Boże Narodzenie 1937

Prawie wszyscy w mieście sprawili sobie na Gwiazdkę pistolety na kapiszony i tego popołudnia większość zgromadziła się na podwórku doktora Hadleya, żeby sobie postrzelać. Całe podwórko pachniało siarką z kapiszonów, które przez całe popołudnie pękały w zimnym powietrzu. Wszyscy już ze sto razy zostali zabici. Bach! Bach! Bach! Nie żyjesz!

Bach! Bach!

— Aaa! Trafiłeś mnie...! Aaaa!

Ośmioletni Dwane Kilgore chwycił się za klatkę piersiową, padł na ziemię i umierał przez trzy minuty. Kiedy wstrząsnął nim ostatni dreszcz, Dwane poderwał się, rozwinął kolejną paczkę kapiszonów i gorączkowo przeładował swój pistolet.

Kikutek Threadgoode spóźnił się na strzelaninę; przybiegł prosto z kawiarni ze świątecznej kolacji, którą zjadł z rodziną i Smokeyem Samotnikiem. Jak strzała przemknął przez podwórko i trafił w samą porę, gdyż wszyscy mieli naładowane pistolety i byli gotowi do walki. Schował się za drzewo i wziął na cel Vernona Hadleya. Bach! Bach!

BACH — BACH — BACH... Vernon, który był za krzakiem, podskoczył i wrzasnął:

— Chybiłeś, ty śmierdzielu!

Kikutek, który wystrzelał już wszystkie kapiszony, przeładowywał swój pistolet, kiedy Bobby Lee Scroggins, starszy chłopiec, podbiegł do niego i wystrzelił.

BACH — BACH — BACH...

— Trafiony!

I zanim Kikutek się zorientował, już nie żył... Ale Kikutek nie stchórzył. Przeładowywał pistolet raz za razem, tylko po to, by w trakcie zostać zabitym.

Peggy Hadley, siostrzyczka Vernona, która chodziła z Kikutkiem do jednej klasy,

wyszła na podwórko, cała zawinięta w nowy rudawobrazowy płaszczyk, z nową lalką i usiadła na schodach, żeby sobie popatrzeć. Ciągłe umieranie przestało się podobać Kikutkowi, który teraz rozpaczliwie próbował dorwać któregoś z przeciwników, lecz było ich zbyt wielu i nie nadążał z przeładowywaniem pistoletu.

BACH — BACH — BACH... znowu został zabity! Próbował jednak dalej. Wykonał desperacki skok i schował się za wielki dąb stojący pośrodku podwórka, skąd mógł robić wypady do przodu, strzelać i gdzie mógł z powrotem się ukryć. Szczęśliwym trafem zabił już Dwane'a i teraz pracował nad Vernonem, kiedy zza sterty cegieł z tyłu wyskoczył Bobby Lee. Kikutek odwrócił się, ale było już za późno.

Bobby Lee wyciągnął dwa pistolety i wystrzelił do niego z obu luf naraz.

BACH — BACH — BACH — BACH — BACH — BACH — BACH — BACH — BACH — BACH!

Bobby Lee krzyknął:

— Nie żyjesz! Podwójnie nie żyjesz! Nie żyjesz!

Kikutek nie miał innego wyjścia, jak umrzeć na oczach Peggy. Była to cicha, szybka śmierć. Potem wstał i powiedział:

— Muszę iść do domu po kapiszony. Zaraz wracam.

Miał przy sobie mnóstwo kapiszonów, ale chciał umrzeć naprawdę. Peggy widziała, jak umierał raz za razem. Kiedy poszedł, Peggy wstała i krzyknęła do brata:

— Gracie nie fair. Biedny Kikutek ma tylko jedną rękę i to nie fair. Wszystko powiem mamie, Vernon!

Kikutek pobiegł do pokoju na tyłach, rzucił pistolet na podłogę, a potem tak kopnął swoją elektryczną kolejkę, aż ta uderzyła o ścianę. Był wściekły i płakał ze zdenerwowania. Kiedy wróciły Idgie i Ruth, właśnie deptał zestaw do Małego Budowniczego, który już i tak był roztrzaskany.

Kiedy je zobaczył, zaczął płakać i krzyczeć:

— Przez to nic nie mogę zrobić! — I zaczął się bić po kikucie ręki.

Ruth go chwyciła.

— Co się stało, kochanie? O co chodzi?

— Wszyscy oprócz mnie mają dwa futerały na pistolety! Nie mogę ich pokonać, zabijali mnie przez całe popołudnie!

— Kto?

— Dwane, Vernon i Bobby Lee Scroggings.

— Och, kochanie... — powiedziała wstrząśnięta Ruth.

Wiedziała, że ten dzień kiedyś nadejdzie, ale kiedy w końcu to się stało, nie wiedziała, co powiedzieć. Bo i co można było powiedzieć? Jak wytłumaczyć siedmiolatce, że wszystko będzie dobrze? Zwróciła się do Idgie po pomoc.

Idgie przez minutę przyglądała się Kikutkowi, po czym chwyciła swój płaszcz, ścia-

gnęła Kikutka z łóżka, włożyła mu płaszcz i zaprowadziła do samochodu.

— No, mój panie, pojedziesz ze mną.

— Dokąd jedziemy?

— Nieważne.

Siedział cicho, kiedy wywiozła go na drogę nad rzeką. Kiedy dotarli do znaku z napisem OBÓZ WĘDKARSKI WAGON WHEEL, skręciła. Wkrótce dojechali do bramy zrobionej z dwóch dużych kół pociągowych. Idgie wysiadła i otworzyła bramę. Przejechali przez nią do domku nad rzeką. Kiedy znaleźli się na miejscu, przycisnęła klakson i po chwili jakaś rudowłosa kobieta otworzyła drzwi. Idgie kazała Kikutkowi zostać w samochodzie, a sama wysiadła i poszła porozmawiać z kobietą. Pies w domu wychodził ze skóry, skakał i szczekał — tak był podekscytowany jej widokiem. Idgie rozmawiała przez parę minut, po czym kobieta na chwilę zniknęła w domu, wróciła i podała Idgie gumową piłkę. Kiedy otworzyła siatkowe drzwi, piesek wyskoczył i o mało co z radości nie zamachał się ogonem na śmierć.

Idgie zeszła z ganku i powiedziała:

— Chodź, Lady! Chodź tu, mała! — I rzuciła piłkę w powietrze. Biały terierek wyskoczył w górę przynajmniej półtora metra i złapał piłkę w locie, po czym przybiegł do Idgie i oddał ją. Potem Idgie rzuciła piłką o ścianę domu, a Lady wyskoczyła i znowu ją złapała.

Wtedy właśnie Kikutek zauważył, że piesek ma tylko trzy nóżki.

Pies skakał i biegał za piłką jakieś dziesięć minut i ani razu nie stracił równowagi. Po jakimś czasie Idgie zaprowadziła pieska do domu, weszła, żeby się pożegnać z rudowłosą kobietą. Potem wróciła do samochodu, odjechała kawałek drogą i zaparkowała nad rzeką.

— Kikutek, synu, chciałabym cię o coś spytać.

— Słucham, ciociu.

— Czy ten pies wyglądał na zadowolonego?

— Tak, ciociu.

— Czy sprawiał wrażenie zadowolonego z tego, że żyje?

— Tak, ciociu.

— Czy miałeś wrażenie, że się użala nad sobą?

— Nie, ciociu.

— Słuchaj, jesteś moim synem i kocham cię, choćby nie wiadomo co. Wiesz o tym, prawda?

— Tak, ciociu.

— Ale wiesz, Kikutek, jak jasna cholera nie chciałabym sobie pomyśleć, że masz mniej rozumu niż ten biedny, głupi piesek, którego dzisiaj widzieliśmy.

Spojrzał na podłogę samochodu.

— Tak, ciociu.

— Więc nie chcę więcej słyszeć, co możesz, a czego nie możesz robić, zgoda?

— Zgoda.

Idgie otworzyła schowek i wyjęła butelkę whisky Green River.

— A poza tym, twój wujek Julian i ja w przyszłym tygodniu zamierzamy cię nauczyć strzelać z prawdziwej broni.

— Naprawdę?

— Naprawdę! — Odkręciła nakrętkę i upiła łyka. — Do diabła, zrobimy z ciebie najlepszego strzelca w całym stanie i wtedy niech tylko który próbuje cię pobić... masz, napij się.

Oczy Kikutka zrobiły się wielkie jak spodki, kiedy sięgał po butelkę.

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę. Ale nie mów swojej matce. Te chłopaki jeszcze będą żałowały, że w ogóle wstawali rano z łóżka.

Kikutek upił łyk, usiłując udawać, że whisky nie smakuje mu jak płonąca benzyna i spytał:

— Kim była tamta kobieta?

— To moja przyjaciółka.

— Już tu kiedyś byłaś, prawda?

— No, parę razy. Ale nie mów swojej matce.

— Okay.

BIRMINGHAM, ALABAMA

(SLAGTOWN)*

30 grudnia 1934

Onzell zawsze powtarzała swojemu synowi, Artisowi, że nie chce, żeby jechał do Birmingham, a jednak tej nocy pojechał. Wyskoczył z tyłu pociągu towarowego, który przyjechał na stację końcową L & N mniej więcej o ósmej. Kiedy wszedł na dworzec, zaniemówił. Dworzec, z nie kończącymi się rzędami mahoniowych ławek z grubych desek i wielobarwną mozaiką pokrywającą podłogę i ściany gmachu, wydawał mu się ogromny jak Whistle Stop i Troutville razem wzięte.

PUCYBUT... KANAPKI... CYGARA... SALON PIĘKNOŚCI... GAZETY... FRYZJER... PACZKI I SŁODYCZE... PAPIEROSY... WHISKY... KAWA... KSIĘGARNIA... CZY WYPRASOWAŁEŚ SOBIE GARNITUR... UPOMINKI... NAPOJE ORZEŻWIAJĄCE... LODY...

To dopiero miasto! Aż roiło się od żandarmów, portierów i pasażerów pod szklanym dachem zawieszonym na wysokości dwudziestu pięciu metrów. To było zbyt wiele dla siedemnastoletniego czarnego chłopaka w kombinezonie, który nigdy dotąd nie wystawiał nosa poza Whistle Stop. Wydawało mu się, że ujrzał cały świat wewnątrz tego budynku. Wytoczył się, oszołomiony.

I wtedy go zobaczył. Największy neon elektryczny na świecie — wysoki na dwadzieścia pięter, o dziesięciu tysiącach złotych żarówek skrzących się na tle czarnego nieba: WITAJCIE W BIRMINGHAM... MIEŚCIE CZARÓW...

I rzeczywiście były w tym jakieś czary. Okrzyknięte „najszybciej rozwijającym się miastem Południa” (nawet teraz Pittsburgh nazywano „Birmingham Północy”), Birmingham, ze swymi niebosiężnymi drapaczami chmur, hutą stali, która rozświetlała

*Slagtown (ang.) — żuźłowe miasto

niebo czerwono-fioletową łuną, i zatłoczonymi ulicami jazgoczącymi setkami samochodów i tramwajów dzień i noc mknących tam i z powrotem...

Artis szedł ulicą jak w jakimś transie. Minął St. Clair (najnowocześniejszy hotel Birmingham), kawiarnię L & N i hotel Terminal. Zapуścił żurawia między żaluzje w oknach kawiarni i zobaczył tam białych zajadających się rozmaitymi daniami, i zrozumiał, że to miejsce nie dla niego. Minął bar z grillem Red Top i wiadukt Rainbow, kawiarnię Melba i, wiedziony jakimś pierwotnym instynktem, odnalazł czwartą Avenue North, gdzie ni stąd, ni zowąd zmieniła się karnacja przechodniów.

Znalazł to, czego szukał: tych dwanaście przecznic znanych lepiej jako Slagtown... Harlem Południa Birmingham, miejsce, o którym marzył.

Mijały go pary, wszyscy wystrojeni, rozmawiający, śmiejący się i śpieszący dokądś, a on ciągnął za nimi niczym bałwan niesiony na grzbiecie fali. Za wszystkimi drzwiami i oknami tętniła muzyka, wylewając się po schodach na ulice. Z jakiegoś okna na górze zawodził głos Bessie Smith: „O, nieostrożna miłości... o nieostrożna miłości...” Gorący jazz i blues stopiły się razem, gdy mijał Frolic Theater, który uchodził za najlepszy murzyński teatr Południa, wystawiający tylko musicale i dobre komedie. A ludzie szli i szli... Ethel Waters śpiewała, zadając pytanie rodem z musicalu: „Co ja takiego zrobiłam, że jestem taka czarna i smutna?”, a drzwi dalej Ma Rainey wykrzykiwała: „Hej, strażniku, powiedz mi, co zrobiłam?”... A ludzie w klubie Silver Moon Blue Note tańczyli shimmy przy dźwiękach *Gorącej melodii* Arta Tatum.

On tu był — w Slagtown w sobotnią noc — a zaledwie jedną ulicę dalej białe Birmingham trwało w całkowitej nieświadomości, że istnieje to miejsce w kolorze egzotycznej sepii. Slagtown, gdzie dziewczyna pracująca po południu jako sprzątaczką na Highland Avenue, wieczorem stawiała się królową Avenue, a żandarmi i pucybuci po zapadnięciu zmroku przemieniali się w slagtownowych dyktatorów mody. Byli tu wszyscy — obnosząc swe czarne, lśniące, przylizane włosy i złote zęby, które połyskiwały i rzucały iskierki, gdy przechodzili pod kolorowymi światełkami migającymi i płynącymi po neonach. Czarni, brązowi, cynamonowi, Mulaci i czerwoni nieśli Artisa ulicami: mężczyźni ubrani w kanarkowozielone i fioletowe garnitury, dźwigający dwutonowe żółto-brązowe buciorę i przyozdobieni w wąskie, czerwono-białe jedwabne krawaty, i pannie o lśniących ciemnobrązowych i mandarynkowych ustach, kołyszące biodrami, parujące w spodniach i rudych lisach...

Światełka mrugały do niego. SALON BILARDOWY CZARODZIEJSKIEGO MIASTA DLA PANÓW; GRILL ŚWIĘTEGO JAKUBA; GRILL NIEBIESKI RAJ; SZKOŁA PIĘKNOŚCI ALMY MAE... na Teatrze Champion, Gdzie Szczęście Kosztuje Tak Mało, 10 centów... Dwa wejścia dalej zobaczył tańczące pary na sali balowej Black and Tan, gdzie bursztynowe reflektory leniwie błędziły po pomieszczeniu, oblewając przepływające pary jasnym fioletem. Skręcił za róg i dał się ponieść tłumowi, coraz szybciej i szyb-

kiej, tętniącą ulicą, koło używanej odzieży Obłoki Radości, kawiarni Mała Dalilah, bilar-du Pandora i schodów ruchomych do Stars Coctail Lounge reklamowanego jako „Dom mieszanych drinków”, koło Teatru Rozrywki, wystawiającym w tym tygodniu *Edna Mae Harris w występach kolorowych*. Tuż obok, w Teatrze Wielkim występowały Mary Marble i Little Chips. Minął kawiarnię Mały Savoy i dostrzegł jeszcze kilka tańczących par widocznych przez okna sali balowej hotelu Dixie Carlton, w której ogromna obracająca się lustrzana kula rzucała srebrzyste iskierki światła... Pary tańczące fokstrota nie były świadome obecności młodego czarnego chłopaka w kombinezonie, patrzącego szeroko rozwartymi z zachwytu oczami, którego tłum poniósł koło grilla Pracowita Pszczółka dla pań i panów, oferującego *Elektrycznie opiekane wafle i ciastka na ciepło o każdej porze oraz wasze ulubione opiekane kanapki podawane z najlepszą kawą w mieście, hot dogi za pięć centów, chili domowej roboty, hamburgery, wieprzowinę, szynkę, kanapki ze szwajcarskim serem — wszystko za dziesiątkę...* koło spółki ubezpieczeniowej Viola Crumbely Ponad Tęczą, specjalizującej się w polisach pogrzebowych, z szyldem na wystawie, zachęcającym swych potencjalnych klientów: *Zdobądźcie wszystko, póki jesteście młodzi*, i koło hotelu De Luxe z pokojami dla panów.

Nieopodal Casino Club przy Masonie Tempie jakaś piękność o ogromnym biuście, oślepiająca barwami swej satynowej sukienki w kolorze kukurydzy i cytrynowożółtego boa, coś zaskrzeczała i zamachnęła się torebką na chyżonogiego gentlemana, lecz nie trafiła. Mężczyzna się roześmiał i Artis też się zaśmiał, idąc dalej za tłumem. Wiedział, że wreszcie jest w domu.

„WIADOMOŚCI SLAGTOWN”
FLOTSAM & JETSAM
(GAZETA SEPII BIRMINGHAM
REDAGOWANA PRZEZ PANA MILTONA JAMESA)

6 maja 1937

W sobotę wieczorem do szpitala uniwersyteckiego przyjęto pana Artisa O. Peaveya, który przypadkowo zadał sobie wiele ran, usiłując, jak zeznała jego towarzyszka, otworzyć butelkę szczególnie kosztownego wina. Rocznik i marka nie znane.

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy rzeczywiście wczoraj w nocy widziałem pannę Idę Doizer jadącą nocnym tramwajem kierującym się do Ensley i skrzyżowania Tuxedo na tańce z Benniem Upshawem, a potem wracającą z panem G.T. Williamsem?

Dzięki mistrzowskiemu uprawianiu muzyki naszego ukochanego profesora Fessa Watleya, w każdym zespole muzycznym w całym kraju jest ze dwóch, trzech chłopaków z Birmingham. Jesteśmy dobrze przyjmowani na scenie muzycznej. Nie zapomnijcie, że wkrótce nasze czarodziejskie miasto ma zaszczyścić swoją obecnością stary przyjaciel, Cab Calloway.

W tym tygodniu Frolic Theater ma dobrą passę...

Poniedziałek — Czwartek: Program pięciu gwiazd
„Gabriel dwudziestego wieku” — Erskine Hawkins

w

OSTRO PRZYPRAWIONYCH SZYNKACH
oraz — WIADOMOŚCI SPORTOWE
DLA WSZYSTKICH KOLOROWYCH

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

2 marca 1986

Jedząc łyżeczką lody waniliowe, pani Threadgoode opowiadała Evelyn o Wielkim Kryzysie...

— Umierało mnóstwo ludzi — w taki czy inny sposób. Było ciężko. Zwłaszcza kolorowym, którzy nigdy nie mieli zbyt wiele. Sipsey mówiła, że połowa ludzi z Troutville zamarłaby albo umarła z głodu, gdyby nie Kolejowy Bill.

Dla Evelyn było to nowe imię.

— Kim był Kolejowy Bill?

— Nigdy ci nie opowiadałam o Kolejowym Billu? – Pani Threadgoode wyglądała na zdziwioną.

— Nie, chyba nie.

— No, to był słynny bandyta. Podobno był Murzynem, który wkładał się do pociągów i nocą wyrzucał żywność i węgiel z pociągów wiozących dostawy rządowe, a kolorowi, którzy mieszkali przy torach, przychodzili o świcie, zbierali wszystko, po czym uciekali do domu, ile sił w nogach.

Chyba nigdy go nie złapali... nigdy nie odkryto, kim był... Grady Kilgore, który był kolejowym detektywem i przyjacielem Idgie, codziennie przychodził do kawiarni, a Idgie się śmiała i mówiła: „Podobno stary Kolejowy Bill ciągle jest na wolności. Co z wami, chłopaki?” Grady strasznie się wściekał. Do każdego pociągu dołożyli dodatkowo dwudziestu ludzi i proponowali darmowe przejazdy do końca życia koleją L & N każdemu, kto miałby jakieś informacje na jego temat, ale nikt się nie zgłosił. Idgie okropnie się z tego nabijała! Ale zawsze byli dobrymi przyjaciółmi. Grady należał do tego klubu Dill Pickle...

— Jakiego klubu?

Pani Threadgoode się roześmiała.

— Do Dill Pickle, takiego zwariowanego klubu, który założyła z Gradym i Jackiem Buttsem.

— Co to był za klub?

— Twierdzili, że to klub towarzyski, ale tak naprawdę byli tylko bandą znajomków Idgie, którzy zebrali się do kupy. Było w nim jeszcze paru kolejarzy, Eva Bates i Smokey Samotnik. Nic, tylko pili whisky i opowiadali same kłamstwa. Patrzyli ci prosto w oczy i kłamali, choć lepiej by wyszli, mówiąc prawdę.

Opowiadanie niestworzonych historii było ich ulubioną rozrywką. Któregoś razu, kiedy Ruth właśnie wróciła z kościoła, Idgie, która siedziała z nimi, powiedziała: „Ruth, przykro mi mówić ci o tym, ale kiedy cię nie było, Kikutek połknął kulę kaliber .22”. Ruth się zdenerwowała, a Idgie na to: „Nic się nie martw, nic mu nie jest. Zabrałam go do doktora Hadleya. Dał mu pół butelki oleju rycynowego i powiedział, że można go odprowadzić do domu, tylko trzeba uważać, żeby go na nikogo nie kierować”.

Evelyn się roześmiała.

— No, wyobrażasz sobie chyba, że Ruth nie miała o tym klubie najlepszego mniemania — powiedziała pani Threadgoode. — Idgie była prezesem i ciągle organizowała tajne spotkania. Cleo mawiał, że te sekretne zebrania to nic innego jak pokerek. Twierdził jednak też, że klub robił i różne dobre rzeczy, ale nigdy by się do tego nie przyznali, wszystkiemu zaprzeczali. Nabijali się z naszego księdza baptystów, wielbnego Scrogginsa, który był abstynentem, i za każdym razem, kiedy jakiś nieszczęsny głupek ich pytał, gdzie tu można dostać whisky albo żywą przynętę, odsyłali go do domu Scrogginsa. Lubili go doprowadzać do szewskiej pasji.

Sipsey była jedyną kolorową w klubie, bo potrafiła kłamać równie dobrze jak oni. Opowiedziała im o pewnej kobiecie, której pomagała przy trudnym porodzie i jak to jej dała łyżeczkę tabaki. Twierdziła, że kobieta kichnęła tak potężnie, że dziecko wystrzeliło aż do drugiego pokój u...

— Nie! — powiedziała Evelyn.

— Tak! Potem im opowiedziała historię swojej przyjaciółki Lizzy z Troutville, która spodziewała się dziecka i nagle zachciało jej się krochmalu. Zaczęła go wyjadać pełnymi garściami prosto z pudełka, no i oczywiście, kiedy dziecko się urodziło, było białe jak śnieg i sztywne jak dykta...

— Jezus Maria.

— Ale wiesz, Evelyn, rzeczywiście tak mogło być. Wiem dobrze, że niektóre Murzynki jadły glinę prosto z ziemi.

— Nie wierzę.

— No, kochana, tak słyszałam. A może to była kreda. Nie pamiętam już co. W każdym razie albo kreda, albo glina.

Evelyn pokręciła głową, uśmiechając się do przyjaciółki.

— Och, pani Threadgoode, jaka pani zabawna.

Pani Threadgoode przez chwilę się zastanawiała, po czym przyznała jej rację, zadowolona z siebie:

— No, tak. Chyba tak.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

1 grudnia 1938

Śnieg w Whistle Stop

Cóż za zaszczyt dla nas, prawdziwy śnieg. W zeszłym tygodniu Whistle Stop z powodzeniem mogło uchodzić za Biegun Północny. Czy jest coś ładniejszego niż czerwone ostrokrzewy pokryte śniegiem? Chyba nie, ale dzięki Bogu, że śnieg u nas pada tylko raz na dziesięć lat. Moja druga połowa, która myśli, że potrafi prowadzić samochód przy każdej pogodzie, postanowiła zabrać na przejażdżkę swoje stare psy myśliwskie i utknęła w zaspie śnieżnej na Pierwszej Ulicy. Tak więc ta paniusia, którą przez następny miesiąc, czyli dopóki nie naprawią nam samochodu, będziecie widzieli próbującą złapać autostop, to będę ja.

Tak, moja druga połowa to ten sam człowiek, który wybrał się na przejażdżkę podczas burzy z gradem jak piłki do baseballu. Wymiana przedniej szyby potrwała wtedy trzy tygodnie. To jego trafił piorun, kiedy łowił ryby w łodzi. Więc kiedy następnym razem zobaczycie, że zbliża się brzydka pogoda i zobaczycie też Wilbura, wyślijcie go domu, a ja go wsadzę do szafy i zamknę na klucz. Boję się, że mogłoby go porwać jakieś tornado... i z kim ja bym wtedy walczyła?

Wróble na dachu ćwierkają, że Kolejowy Bill obrobił pięć pociągów w ciągu tygodnia. W salonie piękności wpadłam na Gladys Kilgore, która mi powiedziała, że jej mąż, Grady, który pracuje na kolei, dostaje białej gorączki.

A przy okazji, jeżeli Kolejowy Bill czyta te słowa, to, zanim go Grady złapie, może by wyrzucił z pociągu jakiś nowiuieńki samochód... Przydałby mi się!

...Dot Weems.

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

1 grudnia 1938

Słońce ledwo wyszło zza kawiarni, kiedy Idgie potrząsnęła Kikutkiem za ramię, krzy-
cząc:

— Wstawaj, Kikutek! Wstawaj! Zobacz! — Zaciągnęła go do okna.

Całe pole pokryte było śniegiem. Szczęka mu opadła.

— Co to takiego?

— Śnieg. — Idgie się roześmiała.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Był w trzeciej klasie i po raz pierwszy w życiu widział prawdziwy śnieg. Ruth w noc-
nej koszuli stanęła za nimi i wyjrzała przez okno, tak samo zdziwiona. Cała trójka ubra-
ła się tak szybko, jak tylko mogła i w ciągu pięciu minut wybiegła na podwórko. War-
stwa śniegu miała zaledwie pięć centymetrów grubości, ale oni z uciechą zaczęli się
po nim tarzać i obrzucać śnieżkami. W całym miasteczku otwierały się drzwi i słychać
było piski podnieconych dzieciaków. Do siódmej rano Kikutek i Idgie ulepili niskiego,
grubego bałwana, a Ruth zrobiła lody ze śniegu z mlekiem i cukrem.

Idgie postanowiła odprowadzić Kikutka do szkoły. Kiedy szli wzdłuż torów, wokół,
jak okiem sięgnąć, nie widać było nic oprócz śniegu. Kikutek był tak podekscytowany,
że ciągle skakał i dwa razy się wywrócił. Idgie postanowiła mu coś opowiedzieć, żeby
się trochę uspokoił.

— Opowiadałam ci o tych czasach, kiedy ja i Smokey graliśmy w pokera z Samem
Żelazna Świnia?

— Nie. Kto to jest Sam Żelazna Świnia?

— Chcesz mi wmówić, że nigdy nie słyszałeś o Samie Żelazna Świnia, najokropniej-

szym pokerzyście w Alabamie?

— Nie.

— No więc któregoś razu graliśmy z Samem przez całą noc w pokera w Gate City i ja zaczęłam wygrywać. Wygrywałam chyba przez godzinę, czy jakoś tak, i Żelazna Świnia zaczął się coraz bardziej wściekać, ale co miałam zrobić? Nie mogłam zrezygnować, nie wtedy, kiedy miałam taką dobrą passę... tu nie obowiązują zasady etykiety. A im bardziej wygrywałam, tym bardziej się pienił i w końcu naprawdę się zdenerwował, wyciągnął pistolet, położył go na stole i powiedział, że zabije tego, kto mu w następnym rozdaniu da słabe karty.

Kikutek słuchał z otwartymi ustami.

— Kto miał wtedy rozdawać?

— Co za ironia losu. Zapomniał, że to jego kolej, i wyobraź sobie, sam sobie dał parę dwójek. Więc po prostu wziął pistolet i zastrzelił się na miejscu... człowiek słowny aż po grób.

— Jejku. Widziałaś to?

— Jasne. To była para dwójek jak malowanie.

Kikutek zamyślił się, lecz nagle wypatrzył coś wystającego ze śniegu przy torach. Pobiegł i wyciągnął to coś.

— Patrz, ciociu Idgie, to puszka kiszzonej kapusty Deer Brand, nawet nie otworzona! I wtedy pewna myśl spadła na niego jak grom z jasnego nieba.

— Ciociu Idgie, to jedna z tych puszek, które Kolejowy Bill wyrzucił z pociągu — powiedział, trzymając puszkę z nabożeństwem. — Jak myślisz?

Idgie obejrzała puszkę.

— Możliwe, synu, bardzo możliwe. Połóż ją tam, gdzie znalazłeś, żeby odszukali ją ludzie, dla których jest przeznaczona.

Kikutek położył puszkę dokładnie tam, gdzie ją znalazł, ostrożnie, jakby była świętą relikwią.

— Jejku.

Jego pierwszy śnieg, a teraz ta puszka, która mogła pochodzić od Kolejowego Billa. To było zbyt wiele. Poszli dalej. Po paru minutach Kikutek powiedział:

— Kolejowy Bill jest chyba najodważniejszym człowiekiem na ziemi, co, ciociu Idgie?

— Jasne, że jest odważny.

— Myślisz, że jest najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek będziemy znali?

Idgie się zastanowiła.

— No, nie powiedziałabym, że jest najodważniejszą osobą, jaką znam. Nie, chyba bym tak nie powiedziała. Jedną z najodważniejszych, ale nie najodważniejszą.

Kikutek był zdumiony.

— Kto mógłby być odważniejszy od Kolejowego Billa?

— Duży George.

— Nasz Duży George?

— No.

— A co on takiego zrobił?

— Przede wszystkim nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie on.

— To znaczy — tutaj, teraz?

— Nie, tak w ogóle. Zeżarłyby mnie wieprze.

— Poważnie?

— Tak jest. Kiedy miałam jakieś dwa czy trzy latka, ja, Buddy i Julian ciągle się kręciliśmy koło zagrody dla wieprzy. Raz wlałam na ogrodzenie i wpadłam głową prosto do koryta.

— Naprawdę?

— Naprawdę. No i wtedy wszystkie wieprze zaczęły się zbiegać — wiesz, świnia zje wszystko... podobno zjadły już wiele dzieci.

— Naprawdę?

— Jasne. W każdym razie wyskoczyłam z tego koryta i zaczęłam uciekać, ale się przewróciłam i zanim się pozbierałam, prawie mnie dopadły, kiedy zobaczył mnie Duży George. Wskoczył do tej zagrody, w sam środek wieprzy, i zaczął je usuwać z drogi. Mowa o stu pięćdziesięciokilowych wieprzach. Łapał je, jeden za drugim, i rzucał na drugi koniec zagrody, jakby były workami z kartoflami. Trzymał je z dala ode mnie wystarczająco długo, by Buddy zdążył przeczołgać się pod płotem i mnie wyciągnąć.

— Naprawdę?!

— Naprawdę. Zauważyłeś kiedyś te blizny na rękach Dużego George'a?

— No.

— To ślady ugryzień tych wieprzy. Ale Duży George nigdy nie powiedział tacie ani słowa, bo wiedział, że tata by zabił Buddy'ego za to, że mnie tam zabrał.

— Nie wiedziałem o tym.

— Wiem.

— Jejku... Znasz jeszcze jakichś odważnych ludzi? A co powiesz na to, że wujek Julian w zeszłym tygodniu ustrzelił tego jelenia z porożem o dwunastu odnogach? Do tego też potrzeba dużo odwagi.

— No, jest odwaga i odwaga — powiedziała Idgie. — Nie trzeba być odważnym, żeby zastrzelić jakiegoś biednego jelenia ze strzelby kaliber dwadzieścia.

— Kogo odważnego jeszcze znasz oprócz Dużego George'a?

— Pomyślmy — zadumała się Idgie. — Muszę powiedzieć, że poza Dużym George'em twoja matka jest jedną z najodważniejszych osób, jakie znam.

— Mama?

— Tak. Twoja mama.

— Nie wierzę. Przecież ona się wszystkiego boi, nawet malutkiego robaczka. Co takiego zrobiła?

— Coś. Kiedyś coś zrobiła.

— Co?

— Nieważne. Spytałeś, więc powiedziałam. Twoja matka i Duży George to dwie najodważniejsze osoby, jakie znam.

— Naprawdę?

— Słowo daję.

Kikutek był oszołomiony.

— Ale numer...

— Zgadza się. I chciałabym, żebyś zawsze pamiętał jeszcze jedno. Na tej ziemi są cudowne istoty, synu, które chodzą, udając ludzi. I proszę, żebyś o tym nie zapomniał. Zrozumiano?

Kikutek spojrział na nią z poważną miną i powiedział:

— Nie, ciociu, nigdy nie zapomnę.

Kiedy tak szli wzdłuż torów, z pokrytego śniegiem drzewa wystrzelił jaskrawoczerwony kardynał i niczym gwiazda betlejemska poszybował nad białym horyzontem.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

9 marca 1986

Do tej pory, podczas tych nie kończących się, czarnych nocy, kiedy Evelyn czuwała, pocąc się ze strachu i zmagając z wizjami śmierci, rurek i rozrastających się guzów, chciało jej się wołać o pomoc do śpiącego obok Eda. Ale aż do rana leżała tylko w tej czarnej dziurze swego prywatnego piekła.

Ostatnio, żeby przestać myśleć o tym zimnym rewolwerze i naciskaniu spustu, zamykała oczy i przypominała sobie głos pani Threadgoode, a jeżeli oddychała wystarczająco głęboko i udało jej się skoncentrować, wkrótce widziała się w Whistle Stop. Szła sobie ulicą, wstępowała do salonu piękności Opal i prawie czuła, jak jej włosy są myte w wodzie ciepłej, potem chłodnej, coraz chłodniejszej. Po fryzjerze wstępowała do Dot Weems na pocztę, a potem do kawiarni, gdzie wszystkich widziała tak wyraźnie: Kikutka, Ruth i Idgie. Zamawiała lunch, a Wilbur Weems i Grady Kilgore machali do niej. Sipsej i Onzell uśmiechały się, a z kuchni dobiegały ją dźwięki radia. Wszyscy pytali, jak się ma, słońce świeciło i zawsze było jakieś jutro... Ostatnio coraz więcej spała i coraz mniej myślała o rewolwerze...

Kiedy się obudziła tego ranka, uświadomiła sobie, że już nie może się doczekać wizyty w domu spokojnej starości. Te snute już od tyłu tygodni opowieści o kawiarni i Whistle Stop stały się dla niej bardziej realne niż jej własne życie z Edem w Birmingham.

Kiedy przyjechała, jej przyjaciółka była jak zwykle w dobrym nastroju i z radością przyjęła batonik Hersheya — zgodnie z jej specjalną prośbą — bez migdałów. Jedząc go, pani Threadgoode zamyśliła się nad pewnym włóczęgą, którego znała wiele lat temu.

— Panie święty, ciekawe, co się stało ze Smokeyem Samotnikiem. Trudno powiedzieć, gdzie się teraz podziewa, pewnie już nie żyje.

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy przyszedł do kawiarni. Właśnie siedziałam nad ta-

lerzem smażonych zielonych pomidorów, kiedy zapukał do tylnych drzwi, szukając jedzenia. Idgie poszła do kuchni i po chwili wróciła z tym biedakiem, który aż się lepił z brudu od jazdy pociągami, i powiedziała mu, żeby poszedł do łazienki, umył się, a dostanie coś na ząb. Zaczęła mu przygotowywać jedzenie, mówiąc, że to chyba najbardziej samotna postać, jaką kiedykolwiek widziała. Powiedział, że nazywa się Smokey Phillips, ale Idgie przezwała go Samotnikiem i odtąd za każdym razem, kiedy widziała, jak nadchodzi drogą, mawiała: „O, idzie stary Smokey Samotnik”.

Biedaczysko, chyba nie miał żadnej rodziny. Ruth i Idgie zrobiło się go żal, bo był ledwo żywy, więc pozwoliły mu zostać na tyłach kawiarni. Och, jakieś dwa, trzy razy do roku ogarniała go mania wędrowania, ale zawsze, prędzej czy później, pojawiał się z powrotem, zazwyczaj pijany i wyczerpany. Szedł wtedy do swojej szopy i zostawał tam przez jakiś czas. Nigdy nie miał niczego na własność. Jego całym majątkiem był nóż, widlec i łyżka, które nosił w kieszeni płaszczka, oraz otwieracz do puszek, który trzymał za wstążką przy kapeluszu. Mawiał, że nie chce się za bardzo obładowywać. Myślę, że tamta szopa na tyłach kawiarni była jedynym miejscem, które mógł nazwać swoim domem, a gdyby nie Ruth i Idgie, mógłby umrzeć z głodu. Wydaje mi się jednak, że tak naprawdę to wracał dlatego, że się kochał w Ruth. Nigdy się do tego nie przyznał, ale można się było domyślić po tym, jak na nią patrzył.

Wiesz, jestem wdzięczna za to, że Cleo odszedł pierwszy. Myślę, że mężczyzna nie może żyć bez kobiety. Dlatego większość z nich umiera wkrótce po śmierci żony. Po prostu się gubią. Jakie to przykre... na przykład stary Dunaway, który jest tutaj. Od śmierci jego żony nie minął nawet miesiąc, a on już zaczął się uganiać za kobietami... Dlatego mu dają te środki uspokajające. Wydaje mu się, że jest Romeo, wyobrażasz sobie? A powinnaś zobaczyć, jak wygląda: jak jakiś stary myszołów z tymi wielkimi, obwisłymi uszami i w ogóle. Ale jakim prawem ja tak mówię? Nieważne, jak się wygląda, zawsze znajdzie się ktoś, kto powie, że jesteś najprzystojniejszym człowiekiem na świecie. Kto wie, może Dunaway jeszcze kiedyś poderwie którąś z nich...

WEST MADISON STREET CHICAGO, ILLINOIS

3 grudnia 1938

West Madison Street w Chicago niczym się nie różniła od Pratt Street w Baltimore, South Main Street w Los Angeles czy Third Street w San Francisco. Była to ulica domów misyjnych, domów z tanimi pokojami do wynajęcia, hoteli, sklepów z używaną odzieżą, kolejek po cienką zupę, lombardów, sklepów monopolowych i burdeli rojących się od mężczyzn, których się zwykło uprzejmie nazywać „rozczarowanymi”.

Jedynie, co w tamtym roku odróżniało Chicago od innych miast, był Smokey Samotnik, który choć zwykle podróżował w pojedynkę, tym razem wziął sobie towarzysza podróży. Właściwie był to tylko dzieciak, ale zawsze to towarzystwo. Poznali się ponad miesiąc temu w Michigan.

Był to przystojny chłopak o świeżej twarzy i skórze delikatnej jak pupcia niemowlaka, ubrany w cienki, niebiesko-szary pulower, brązową, wystrzępioną koszulę i znoszone brązowe spodnie. Choć miał jeszcze mleko pod nosem, to już zadarł w Detroit z facetami, którzy próbowali go uwieść, więc spytał Smokeya, czy nie mógłby z nim przez jakiś czas podróżować.

Smokey powiedział mu to samo, co usłyszał kiedyś od pewnego starego:

— Wracaj do domu, mały, póki jeszcze możesz. Trzymaj się z daleka od takiego życia, bo jak raz zaczniesz spieprzać z wagonów towarowych, to już po tobie.

Na nic się jednak zdały te słowa, tak samo, jak kiedyś nie pomogły jemu samemu, więc Smokey postanowił zabrać dzieciaka ze sobą. Zabawny był ten mały. Raz mało co nie ściągnął spodni w poszukiwaniu dziesiątaka. Chciał zobaczyć Sally Rand tańczącą przy *Białych ptakach w świetle księżyca*, jak reklamował plakat. Nie znalazł ani grosza, ale kobieta w szklanej kasie ulitowała się nad nim i wpuściła go za darmo. Smokey wyłuskał dwadzieścia pięć centów, czekając na jego powrót, i pomyślał sobie, że kupi ste-

ka za dziesiątkę w Tile Grill. Tego dnia nie jedli nic poza puszką wiedeńskich kiełbasek i paroma starymi krakersami. Palił właśnie Lucky Strike'a, którego znalazł pokruszonego w wyrzuconej paczce, kiedy mały wyleciał z teatru jak na skrzydłach.

— Och, Smokey, szkoda, że jej nie widziałeś! To najpiękniejsze i najdelikatniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem. Była jak anioł, jak prawdziwy anioł, który zstąpił z nieba.

Przez całą kolację nie mógł przestać o niej mówić.

Po stekach zabrakło im trzydziestu centów na pokój w hotelu, więc skierowali swe kroki ku parkowi Granta, gdzie mieli nadzieję się przespać w jednej z tych szop ze smolowanego papieru, dykty i paru kawałków drewna, które niekiedy można tam znaleźć, jeżeli się ma szczęście. Tej nocy mieli szczęście.

Zanim poszli spać, mały poprosił, jak co noc:

— Smokey, opowiedz mi, gdzie byłeś i co robiłeś.

— Już ci opowiadałem.

— Wiem, ale opowiedz jeszcze raz.

Smokey opowiedział mu, jak to był w Baltimore i pracował w barze z hamburgerami Biała Wieża, i jak tam było czysto, i wszystko lśniło tak, że można było jeść prosto z czarno-białych kafelków na podłodze, oraz o czasach, kiedy był górnikiem koło Pitsburgha.

— Wiesz, niektórzy faceci jedli szczury, ale ja bym nie mógł. Zbyt często widziałem, jak komuś uratowały życie. Mnie też kiedyś ocaliły. Szczury pierwsze wyczuwają gaz w kopalni...

Któregoś razu byłem z takim jednym starym na dole, kopiąc węgiel, kiedy ni z tego, ni z owego przebiegło koło nas ze dwieście szczurów — z prędkością chyba ze sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, a tu nagle ten Murzyn rzuca swój kilof i krzyczy: „Chodu!”

Posłuchałem go i to uratowało mi życie. Teraz, kiedy widzę szczura, nie wtrącam się w jego szczurze sprawy. Tak jest, są u mnie w pierwszej dziesiątce.

Mały, który już prawie usnął, wymamrotał:

— Jaką miałeś najgorszą robotę, Smokey?

— Najgorszą robotę? Niech no się zastanowię... Robiłem wiele rzeczy, do których by się nie wziął uczciwy człowiek, ale najgorszą robotę miałem chyba w dwudziestym ósmym, w kopalni terpentyny w Vinegar Bend w Alabamie. Przez dwa miesiące na okrągło jadłem wieprzowinę z fasolą i byłem na takim dniu, że dziesiątak wydawał mi się wielki jak naleśnik — inaczej nigdy bym nie wziął tej roboty. Jedynymi białymi, którzy się zgodzili na pracę tam, byli Akadowie*, a nazywano ich terpentynowymi czarnuchami. Ta ro-

*Akadowie — mieszkańcy Akadu, byłej francuskiej kolonii w Kanadzie

bota wykończyłaby białego. Ja wytrzymałem tam tylko pięć dni i potem przez trzy tygodnie robiło mi się niedobrze od samego zapachu. Przesiąkły nim moje włosy, skóra... Musiałem spalić swoje ciuchy...

Nagle Smokey przestał mówić i usiadł. W chwili gdy usłyszał bieganinę i krzyki, wiedział, że to Legion. Od paru miesięcy Amerykański Legion robił najazdy na obozy włóczęgów, niszcząc wszystko po drodze, zdecydowany zrobić porządek z hołotą, która zalała ich miasto.

— Chodu! Zjeżdżajmy stąd! — Smokey krzyknął do chłopaka.

I puścili się biegiem, podobnie jak pozostałych stu dwudziestu dwóch rezydentów tego obozowiska. Słysząc było tylko odgłosy łamanego drewna, rozdieranej dykty i uderzeń łomów i żelaznych rurek. Smokey pobiegł na lewo i kiedy tylko dopadł zarosli, rzucił się na ziemię, wiedział bowiem, że ze swymi słabymi płucami nie ma szansy przegonić napastników. Przywarł do ziemi i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie było po wszystkim. Mały pewnie uciekł; dogoni go gdzieś po drodze. Smokey wrócił do obozu, by sprawdzić, czy coś jeszcze stoi. To, co kiedyś było miasteczkiem złożonym z szop, teraz stało się stertą smołowanego papieru, dykty i drewna porzrzucanych i zmiażdżonych tak, że cieńsze były od naleśników. Odwrócił się i już miał odejść, kiedy usłyszał jakiś głos.

— Smokey...?

Mały leżał jakieś sześć metrów od miejsca, gdzie stała ich szopa. Smokey, zdumiony, podszedł do niego.

— Co się stało?

— Wiem, że mówiłeś, że bym nigdy nie rozwiązywał butów, ale były ciasne. No i się potknąłem.

— Jesteś ranny?

— Chyba mnie zabili.

— Smokey ukucnął koło niego i zobaczył, że mały ma z prawej strony wgniecioną czaszkę. Chłopak spojrzał na niego.

— Wiesz, Smokey... myślałem, że włóczenie się będzie fajne... ale nie jest...

Potem zamknął oczy i umarł.

Następnego dnia Smokey skrzyknął paru znajomych i pochowali małego na cmentarzu dla włóczęgów na obrzeżach Chicago, a Elmo Williams przeczytał cytat, który znalazł na stronie 301 małego, czerwonego śpiewnika Armii Zbawienia, który zawsze nosił ze sobą.

Radujmy się, że towarzysz nasz skonał,

Niech nam śmierć ta doda otuchy.

Jego dusza z więzienia wyzwolona,

I zrzuciła z siebie cielesne łańcuchy.

Żaden z nich nie znał jego imienia, więc postawili na grobie drewnianą tabliczkę zrobioną ze skrzyni i napisali na niej MAŁY. Kiedy wszyscy już poszli, Smokey został jeszcze na chwilę, żeby się pożegnać.

— No, chłopie — powiedział. — Przynajmniej zobaczyłeś Sally Rand. To już coś...

Potem odwrócił się i skierował swe kroki na stację rozrządową, by wskoczyć do pociągu jadącego na południe, do Alabamy. Chciał się wydostać z Chicago. Wiatr, który hulał między domami, był tak zimny, że chwilami aż łzawiły od niego oczy.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

8 grudnia 1938

Uwaga na spłonki

Powiedzcie swoim dzieciakom, żeby się nie bawiły przy stacji rozrządowej, gdzie używany jest dynamit. Moja druga połowa, Wilbur, twierdzi, że kiedy parę dni temu był w Nashville, słyszał, że jeden facet przez pomyłkę ugryzł spłonkę i urwało mu wargę.

Opal mówi, że wczoraj w jej salonie był straszny tłok: wszyscy szykowali się na Bankiet Wschodniej Gwiazdy i ktoś omyłkowo zabrał niebieski damski płaszcz. Prosimy o zwrot.

Kościół baptystów zorganizował przejażdżkę, podczas której Peggy Hadley przez pomyłkę zostawiono na parkingu. Potem jednak udało jej się dogonić resztę.

W zeszłą sobotę Idgie i Ruth uszczęśliwiły parę dzieciaków, zabierając je do parku Avondale, by złożyć wizytę Pannie Fancy, słynnej słonicy, która jest lubiana zarówno przez młodzież, jak i starszych. Wszyscy zrobili sobie z nią zdjęcia, które są do odebrania we czwartek.

Doktor Cleo Threadgoode wrócił w piątek w nocy do domu z wizyty w klinice Mayo, dokąd zabrał małego Alberta na badania. Przykro nam, że nie przywiózł Ninny dobrych wieści. Możemy tylko mieć nadzieję, że lekarze się mylą. Cleo wraca do swego gabinetu w poniedziałek.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

15 marca 1986

Tego dnia panie były zajęte jedzeniem ciastek z niespodzianką i rozmową. A przynajmniej pani Threadgoode.

— Wiesz, miałam nadzieję, że do Wielkanocy będę już w domu, ale nie wygląda na to, żeby mi się udało. Pani Otis nie czuje się jeszcze dobrze, ale zapisała się na zajęcia z malarstwa i rzemiosła, które tu zorganizowali. Twoja teściowa też się przyłączyła. Geneene powiedziała, że w tym roku na Wielkanoc będą chować jajka i mają zaprosić jakieś dzieciaki, żeby ich szukały. Może być fajnie...

Zawsze uwielbiałam Wielkanoc — odkąd byłam małą dziewczynką. Uwielbiałam wszystko, co się z nią łączyło. W dzieciństwie w Wielką Sobotę malowaliśmy w kuchni jajka. A mama Threadgoode zawsze malowała złotą pisanekę.

W wielkanocny poranek wkładaliśmy nowe ubrania i nowe buty w stylu Bustera Browna* ze sklepu taty. Po kościele mama i tata wsadzali nas do tramwaju i jechaliśmy do Birmingham i z powrotem, a oni w tym czasie chowali po całym podwórku dwieście jajek. Nagrody były rozmaite, ale nagroda główna była przeznaczona dla tego, kto znalazł złotą pisanekę.

Miałam trzynaście lat tego roku, gdy ją znalazłam. Biegaliśmy po podwórku przez dwie godziny i nikomu nie udało się znaleźć złotej pisanki. Stałam na środku podwórka, odpoczywając, i nagle przypadkowo zobaczyłam coś błyszczącego pod huśtawką. No i oczywiście była to złota pisanka, ukryta w trawie, zupełnie jakby czekała specjalnie na mnie. Essie Rue wściekła się jak wszyscy diabli. Zależało jej, żeby ją w tym roku znaleźć, bo główną nagrodą było wielkie, cytrynowe, przezroczyste jajko z porcelany posypane

*Buster Brown — postać z popularnego na początku wieku komiksu

brokatem. Jeżeli się zajrzało do środka, można było zobaczyć miniaturową scenkę małej rodziny: mama, tata, dwie córeczki i piesek stojący przed domem, który wyglądał zupełnie jak nasz. Mogłam zaglądać do tego jajka całymi godzinami... Ciekawe, co się z nim stało. Pewnie zostało sprzedane na wyprzedaży, jaką zorganizowaliśmy podczas pierwszej wojny światowej.

Wielkanoc zawsze przynosiła mi szczęście. To tego dnia nasz dobry Pan powiedział mi, że będę miała Alberta.

Czasami, kiedy myślę o kłopotach innych ludzi, uświadamiam sobie, jakie miałam szczęście, że wyszłam za Cleo. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego męża. Nie oglądał się za kobietami, nie pił, no i jaki był mądry. Nie chwalebę się, bo nigdy tego nie robię, po prostu taka jest prawda. Miał z natury swojej bystry umysł. Nigdy nie musiał niczego sprawdzać. Nazywałam go moim słownikiem. Za każdym razem, kiedy się męczyłam, pisząc coś, wołałam do niego: „Tatuśku, jak się pisze to, czy tamto?” Znał pisownię każdego słowa. I znał się na historii. Można mu było podać jakąkolwiek datę, a on już miał gotową odpowiedź. Nigdy nie znałam człowieka, który chciałby być lekarzem tak bardzo, jak on pragnął... być chirurgiem. Mało mu serce nie pękło, kiedy tata umarł i Cleo musiał opuścić akademię medyczną, ale nigdy też nie słyszałam, żeby się skarżył, nigdy.

A jak go ludzie kochali. Można było zapytać każdego, kto go znał, a odpowiedziałby, że nie ma na ziemi bardziej uroczonego człowieka od Cleo Threadgoode'a.

Młode dziewczęta są dziwne. Zachciewa im się czegoś niezwykłego, przygody i romantyzmu. Cleo był taki bardziej spokojny. Początkowo nie chciałam go, ale on chciał mnie. Powiedział, że podjął decyzję tego wieczoru, kiedy wrócił z colleg'e'u i zobaczył mnie w kuchni, kiedy pomagałam Sipsej wycinać herbatniki na dużym, białym, blaszanym stole. Wszedł do salonu, gdzie była mama i tata Threadgoode'owie, i powiedział: „Zamierzam się ożenić z tą dużą dziewczyną w kuchni, która wycina herbatniki”. Zdecydował się dosłownie w mgnieniu oka. Ale w końcu wszyscy Threadgoode'owie byli tacy. Miałam wtedy dopiero piętnaście lat i powiedziałam mu, że nie mam ochoty za nikogo wychodzić, że jestem jeszcze za młoda. A on na to, że spróbuje raz jeszcze w przyszłym roku. I rzeczywiście — zrobił to, a ja znowu nie byłam gotowa. Wyszłam za niego, mając osiemnaście lat, chociaż wciąż jeszcze nie byłam gotowa.

Och, na początku bałam się, że Cleo to nie ten jedyny i płakałam przed mamą Threadgoode, że chyba wyszłam za niewłaściwego mężczyznę. Mama powiedziała, żebym się nie martwiła, bo nauczę się go kochać. — Odwróciła się do Evelyn. — Ciekawe, ilu ludzi nie trafia na tę osobę, którą sobie wymarzyli, i łąduje w małżeństwie z tą, z którą wypada być. W każdym razie, kiedy sięgam pamięcią do tych szczęśliwych lat, które przeżyłam z Cleo, i myślę, że mogłam go odrzucić, aż mnie ciarki przechodzą.

Oczywiście, kiedy wyszłam za Cleo, byłam zupełnie zielona. — Zaśmiała się. — Na-

wet ci nie powiem, jak bardzo. Nic nie wiedziałam o seksie ani co się za tym kryje i nigdy przedtem nie widziałam nagiego mężczyzny, a taki widok, kochanie, jeżeli nie jest się na niego przygotowaną, może przestraszyć na śmierć. Ale Cleo był dla mnie taki miły, no i krok po kroku, jakoś się w tym wszystkim połapałam.

Muszę uczciwie powiedzieć, że przez wszystkie te lata małżeństwa nie padło między nami ani jedno złe słowo. Cleo był moją matką, ojcem, mężem, nauczycielem. Miał wszystko, czego można żądać od mężczyzny. Och, jak nam było ciężko, kiedy przyszło się rozstać. Najpierw pierwsza wojna światowa... a potem musiałam zostać w domu z mamą, kiedy chodził do szkoły dla kręgarzy. Cleo był niezależny. Nikt nigdy mu nie pomagał. Nie narzekał, tylko robił swoje. Taki już był ten mój Cleo.

I przez wszystkie te lata, kiedy chcieliśmy mieć dziecko i nie mogliśmy, nie powiedział mi złego słowa, a wiem, jak bardzo pragnął mieć dzieci. W końcu, kiedy lekarz powiedział, że mam tyłozgięcie macicy i że nigdy nie będę mogła mieć dzieci, Cleo objął mnie i powiedział: „Wszystko w porządku, kochanie, potrzebuję tylko ciebie”. I nigdy nie dał mi odczuć, że jestem jakimś odmieńcem. Ale, och, ja tak bardzo chciałam mu dać dziecko. Modliłam się i modliłam, i mówiłam: „Panie, jeżeli zgrzeszyłam, jeżeli dlatego uczyniłeś mnie bezpłodną, to błagam, niech Cleo nie cierpi z tego powodu”. Bolałam nad tym wiele lat.

Któregoś roku, w Wielkanoc, kiedy siedziałam w kościele, a wielbny Scroggins opowiadał o tym, jak nasz Pan został wniebowzięty, zamknęłam oczy i pomyślałam sobie, jak to by było cudownie, gdybym mogła wzniesić ręce i wstąpić do nieba razem z Jezusem, i przynieść Cleo maleńkiego aniołka. I kiedy tak sobie marzyłam, przez okno wpadł promień słońca i uderzył we mnie jak smuga światła z reflektora. Światło było tak jasne, że mnie oślepiło. Pozostało na mnie już do końca kazania. Wielbny Scroggins powiedział potem, że nie mógł ode mnie oderwać oczu, że moje włosy płonęły jak ogień i cała aż promieniałam. „W tę niedzielę z pewnością wybrała pani właściwe miejsce, pani Threadgoode” — powiedział.

Ja jednak od razu się domyśliłam, że to Bóg próbuje mi powiedzieć, że wysłuchał moich modlitw. Alleluja! Chrystus zmartwychwstał. Nasz Pan zmartwychwstał.

Miałam trzydzieści dwa lata, kiedy urodził się Albert. Nigdy nie widziałam szczęśliwszego tatusia niż Cleo Threadgoode. Albert był dużym dzieckiem. Ważył ponad sześć kilo. W tym czasie mieszkaliśmy jeszcze w dużym domu. Mama Threadgoode i Sipsej były ze mną na górze, a Cleo czekał ze wszystkimi na dole w kuchni. Tamtego popołudnia Iddie i Ruth przyszły z kawiarni. Iddie przyniosła butelkę whisky Wild Turkey i przemyciła ją dla Cleo w filiżance, żeby się trochę uspokoił. To był jedyny raz, kiedy Cleo strzelił sobie kielicha. Iddie mówiła, że wie, jak się czuł. Przechodziła przez to samo, kiedy Ruth rodziła. Podobno kiedy Sipsej podała mu Alberta, Cleo wybuchnął płaczem. Ale dopiero później odkryliśmy, że coś jest nie tak.

Zauważyliśmy, że dziecko ma trudności z siadaniem. Albert próbował z całych sił, ale ciągle tylko się przewracał. Chodzić zaczął dopiero, kiedy miał rok i dziewięć miesięcy. Ciągaliśmy go po lekarzach, po całym Birmingham, ale żaden nie wiedział, co mu jest.

Wreszcie Cleo wpadł na pomysł, żeby zabrać Alberta do Kliniki Mayo i dowiedzieć się, czy można coś z tym zrobić. Ubrałam go w marynarski komplecik i czapkę. Pamiętam, że to był zimny, mokry styczniowy dzień. Kiedy Cleo wsiadł z Albertem do pociągu i pociąg ruszył, malutki odwrócił się i zaczął mnie szukać. Strasznie cierpiałam, kiedy odjeżdżali. Po powrocie do domu czułam się tak, jakby mi wyrwano serce. Zatrzymali tam Alberta na trzy tygodnie, robili test za testem, a ja ciągle się modliłam: „Błagam, Boże, niech mu nic nie będzie”.

Kiedy wrócili do domu, pierwszego dnia Cleo nie powiedział ani słowa o tym, co lekarze wykryli, a ja nie pytałam. Pewnie nie chciałam wiedzieć. Przywiózł mi prześliczne zdjęcie, na którym on i Albert siedzą na półksiężycu z gwiazdami w tle. To zdjęcie jeszcze stoi na mojej toalecie i nie oddałabym go za milion dolarów. Dopiero po kolacji posadził mnie na kanapie, wziął za rękę i powiedział: „Mamuśku, musisz być dzielna”. A mi serce podeszło do gardła. Powiedział, że lekarze wykryli, iż nasze dziecko podczas porodu miało wylew krwi do mózgu. „Umrze?” — spytałam. „Och, nie, kochanie, fizycznie jest zdrowy jak koń” — odparł. — „Sprawdzili go od stóp do głów”. Kiedy to usłyszałam, stukilowy ciężar spadł mi z piersi. „Dzięki Bogu” — powiedziałam i wstałam, ale Cleo rzekł: „Chwileczkę, kochanie, jest coś, co powinnaś wiedzieć”. Odparłam, że jeżeli dziecko jest zdrowe, nic więcej mnie nie obchodzi. Kazał mi usiąść i powiedział: „Mamuśku, musimy porozmawiać o czymś bardzo poważnym”. I opowiedział mi, że lekarze z kliniki orzekli, że chociaż Albert jest fizycznie sprawny i może w zdrowiu dożyć późnego wieku, to prawdopodobnie pod względem umysłowym nie przekroczy poziomu cztero- czy pięcioletka. Że pozostanie dzieckiem do końca życia, i że niekiedy ciężar wychowywania dziecka, które wymaga nieustannej uwagi, okazuje się zbyt wielki. Cleo powiedział, że są specjalne miejsca, gdzie... Przerwałam mu w pół słowa. „Ciężar!” — wykrzyknęłam. „Jak ten najdroższy, słodki dzieciaczek może być ciężarem?” Jak komuś coś takiego w ogóle może przyjść do głowy? Od chwili gdy się urodził, Albert był radością mojego życia. Nie było na ziemi czystszej duszyczki. A parę lat później, za każdym razem, kiedy czułam się nieco przygnębiona, spoglądałam tylko na Alberta i od razu robiło mi się weselej. Codziennie, przez całe życie, musiałam ciężko pracować, żeby być dobrym człowiekiem, a jemu przychodziło to bez żadnego trudu. Nigdy nie miał żadnych złych myśli. Nawet nie wiedział, co to znaczy „zło”.

Wiele osób martwiłoby się, że urodziło im się okaleczone dziecko, ale ja myślę, że nasz dobry Pan stworzył go takim dlatego, by Albert nie musiał cierpieć. On nawet nie wiedział, że na ziemi są źli ludzie. Po prostu kochał wszystkich, a wszyscy kochali jego.

Szczerze wierzę, że był aniołem, którego zesłał mi Bóg, i czasami nie mogę się doczekać, kiedy pójdę do nieba i się z nim spotkam. Był moim kumplem i brakuje mi go... zwłaszcza na Wielkanoc. — Pani Threadgoode spojrzała na swoje dłonie. — Wszystko wskazuje na to, że pobędę tu jeszcze jakiś czas, więc pomyślałam sobie o tym obrazie z domu, o tym z Indianką płynącą kanoe przy świetle księżyca. Jest ubrana, więc może Norris mógłby mi go przynieść.

Pani Threadgoode wyjęła z pudełka ciastko z niespodzianką i nagle oczy jej zalśniły.

— Och, Evelyn, patrz! Moja nagroda. To malutki kurczaczek... dokładnie taki, jak lubię! — I podała go swojej przyjaciółce, by go sobie obejrzała.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

30 grudnia 1939

Religijne maszyny do szycia oszustwem

Mężczyzna, który dwa tygodnie temu sprzedawał w naszym miasteczku te religijne maszyny, które miały uzdrawiać podczas szycia, został aresztowany w Birmingham. Okazuje się, że maszyny nie były z Francji, ale gdzieś spod Chattanooga w Tennessee, i w ogóle nie miały nic wspólnego z religią. Biddie Louise Otis okropnie się zdenerwowała, bo myślała, że ta, którą kupiła, bardzo jej pomogła na artretyzm.

Skauci z Whistle Stop, Duane Glass i Vernon Hadley, dostali odznaki sprawności, a Bobby Lee Scroggins awansował na skauta Eagle*. Drużynowy Julian Threadgoode zafundował im wycieczkę do Birmingham, gdzie obejrzeli żelazny pomnik Wulkana na szczycie Czerwonej Góry...

Julian twierdzi, że pomnik Wulkana jest tak ogromny, że w jego uchu może się zmieścić człowiek.

A po co komu włożyć człowiekowi do ucha — pytam ja się kogo?

Vesta Adcock wydała popołudniowe przyjęcie dla pań ze Wschodniej Gwiazdy, na którym podała ptifurki* .

A przy okazji, Opal prosi, żeby sąsiedzi nie karmili jej kotki, Boots, chociaż zawsze udaje głodną i żebrze. Ma mnóstwo jedzenia w domu, a poza tym jest na diecie, bo lekarz stwierdził, że jest za gruba.

...Dot Weems.

PS. Czy ktoś może widział grudniowy numer „National Geographic” mojej drugiej połowy? Wilbur twierdzi, że zgubił go gdzieś w mieście i wścieka się, bo go jeszcze nie skończył czytać.

*Eagle scout — skaut, który zdobył 21 sprawności

*Ptifurki — drobne, kruche ciasteczka]

TROUTYILLE, ALABAMA

8 stycznia 1938

Odkąd Idgie powiesiła w kawiarni zdjęcie słonicy Panny Fancy, najmłodsze dziecko Onzell i George'a, Ptaszyca, zupełnie straciło rozum. Ciągle błagała swojego tatusia, żeby ją zabrał do Avondale Park, żeby mogła sobie ją obejrzeć, a dzisiaj już tylko to jej było w głowie. Od miesiąca była chora. Doktor Hadley powiedział rodzicom, że wywiązało się zapalenie płuc i że jeżeli nie skłonią jej do jedzenia, to on nie widzi szans na to, by przeżyła kolejny tydzień.

Duży George pochylał się nad łóżkiem z talerzem nie tkniętej owsianki, błagając:

— Proszę, nie zjesz za tatusia? No, chociaż jedną łyżeczkę za tatusia, maleńka. Na co masz ochotę? Chcesz, żeby ci tatuś przyniósł malutkiego kiciusia?

Ptaszyca, która miała sześć lat i ważyła zaledwie piętnaście kilo, leżała nieruchomo, z błyszczącymi oczami i kręciła głową.

— Chcesz, żeby ci mamusia przyniosła parę herbatników? — spytała Onzell. — Zjadłabyś herbatniki z miodem, kochanie?

— Nie, mamusiu.

— Przyszła panienska Idgie i panienska Ruth. Przyniosły ci cukiereczki... nie spróbujesz?

Dziewczynka odwróciła głowę do ściany wyklejonej zdjęciami z gazet i coś wymruczała.

Onzell się nad nią pochyliła.

— Co, malutka? Chcesz herbatniki?

— Ja chcę zobaczyć Pannę Fancy — powiedziała Ptaszyca słabiutkim głosikiem.

Onzell się odwróciła ze łzami w oczach.

— Sama panienska widzi. Nabiła se do głowy, żeby zobaczyć tego słonia i już, i mówi,

że nie będzie jadła, póki go nie zobaczy.

Idgie i Duży George wyszli na ganek i usiedli na wyblakłych zielonych, blaszanych krzeselkach. Duży George zapatrzył się gdzieś przed siebie.

— Panienko Idgie, nie mogię pozwolić, żeby moja malutka umarła, zanim zobaczy tego słonia.

— George, przecież wiesz, że nie możesz jechać do Avondale Park. Zeszłej nocy był tam wielki zjazd Klanu. Jak tylko tam się pojawisz, w ciągu minuty odstrzelą ci głowę.

Duży George przemyślał to i powiedział:

— No, to będą musieli mię zabić, bo chodzi o moją małą i już wolę się przekreślić, niż gdyby miało jej się coś stać.

Idgie wiedziała, że George mówi poważnie.

Ten dwumetrowy olbrzym, który potrafił unieść dorosłego wieprza i zarzucić go sobie na plecy jak worek kartofli, miał taką słabość do swojej córeczki, że zawsze wychodził z domu, kiedy Onzell sprawiała jej lanie. A kiedy wracał w nocy, to Ptaszyca biegła do niego, wspinała się po nim jak po drzewie i mocno obejmowała go za szyję. Potrafiła go sobie owinać wokół małego paluszka, jakby był czerwoną wstęgą na godle fachu fryzjerskiego.

Tego roku pojechał tramwajem do Birmingham, żeby jej kupić śnieżnobiałą sukienkę na Wielkanoc i buciki do kompletu. W wielkanocny poranek Onzell zebrała kudłate włosy Ptaszyca w dwa kucyki i związała je białymi wstążkami. Kiedy Sipsej zobaczyła ją w tej białej sukience, roześmiała się i powiedziała, że Ptaszyca wygląda zupełnie jak mucha w misce z mlekiem. Ale Dużemu George'owi nie przeszkadzało to, że jest czarna jak smoła i ma takie kudłate włosy: zabrał ją do kościoła i posadził sobie na kolanach, jakby była księżniczką Margaret Rosę.

Tak więc im słabsza była Ptaszyca, tym bardziej Idgie martwiła się o Dużego George'a i zachodziła w głowę, co on pocnie.

Dwa dni później było zimno i mokro po ulewnym deszczu. Kikutek wracał ze szkoły do domu wzdłuż torów kolejowych, wdychając ostry, wilgotny zapach dymu sosnowego unoszącego się nad domami po drodze. Miał na sobie brązowe spodnie ze sztruksu i skórzaną kurtkę, która znała lepsze czasy. Przemarznął na kość. Kiedy wrócił do domu, do kawiarni, usiadł przy drewnianym piecu na tyłach i uszy zaczęły go palić z gorąca.

— Kochanie, dlaczego nie włożyłeś kapelusza?

— Zapomniałem.

— Przecież nie chcesz się rozchorować, prawda?

— Nie, mamó.

Ucieszył się, kiedy weszła Idgie. Poszła do szafy, wyjęła płaszcz i spytała, czy chciałby pojechać z nią i Smokeyem do Avondale Park. Aż podskoczył z radości.

— Tak, ciociu.
— No, to chodź.
— Chwileczkę — powiedziała Ruth. — Masz lekcje do odrobienia?
— Trochę.
— Obiecujesz, że odrobisz je, kiedy wrócisz?
— Tak, mammo.
— Idgie, wracasz potem prosto do domu, prawda?
— Jasne. Dlaczego nie? Pogadam tylko z tym facetem.
— No, dobrze, ale weź kapelusz, Kikutek.

Wybiegł.

— Na razie, mammo.

Ruth podała Idgie jego kapelusz.

— Postaraj się wrócić przed zmrokiem.

— Dobrze. Nie martw się.

Załadowali się do samochodu i pojechali do Birmingham.

O dwunastej w nocy oszalała z niepokoju Ruth odebrała telefon od Smokeya, który powiedział, żeby się nie martwiła, bo wszystko jest w porządku. Odwiesił słuchawkę, zanim zdążyła spytać, gdzie są. O piątej czterdzieści pięć następnego dnia rano Ruth i Sipsej przygotowywały śniadanie dla porannego tłumu. Onzell została w domu z Ptaszycą, której się pogorszyło. Ruth zamartwiała się na śmierć o Kikutka, Idgie i Smokeya, którzy jeszcze nie wrócili.

— Ona wróci — powiedziała Sipsej. — Już taka jest, ciągiem gdzieś ucieka. Przecie panienka wie, że Idgie nie da, żeby coś się stało temu chłopakowi.

Godzinę później, kiedy Grady Kilgore i jego chłopaki pili poranną kawę, usłyszeli dźwięk klaksonu zbliżający się do kawiarni. Potem z daleka dobiegło ich dzwonienie gwiazdkowych dzwoneczków, coraz głośniejsze i głośniejsze. Wszyscy wstali, żeby wyjrzeć przez okno i nie mogli uwierzyć własnym oczom. Obok, w salonie piękności, Opal wylewając jaskrawozielony szampon Palmolive na głowę klientki, która zawsze przychodziła o szóstej trzydzieści, wyrzała przez okno i krzyknęła tak głośno, że biedna Biddie Louis Otis nieomal umarła ze strachu.

Koło kawiarni, cała obwieszona skórzanymi bransoletami, dzwoneczkami i jaskrawo fioletowymi piórami, radośnie paradowała Panna Fancy, trąbą wywijając w powietrzu. Bardzo jej się tu podobało. Szła torami w kierunku Troutville.

Kiedy Sipsej wyszła z kuchni i zobaczyła, że za oknem przetacza się jakiś potężny zwierz, wpadła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Sekundę później do kawiarni wparował Kikutek.

— Mammo! Mammo! Chodź szybko! — I wybiegł, ciągnąc za sobą Ruth.

Kiedy Panna Fancy szła sobie spacerkiem brudnymi, nie wybrukowanymi ulicami

Troutville, wokoło otwierały się drzwi i powietrze wypełniało się głosami dzieci krzyżących z uciechy. Ich oszołomieni rodzice, wielu jeszcze w koszulach nocnych i piżamach, z włosami nakręconymi na papiloty, stali oniemiałymi.

J.W. Moldwater, treser Panny Fancy, szedł obok niej. Poprzedniej nocy wdał się w dyskurs z tą starą cwaniaczką, whisky, i przegrał. Teraz pragnął tylko jednego: żeby te dzieciaki, które biegły koło niego, podrygując jak meksykańska skacząca fasola*której ruchy wywołują efekt „skakania” ziaren] i krzyżąc przenikliwie, uciszyły się.

Odwrócił się do Idgie, która szła z nim.

— Gdzie ona mieszka?

— Niech pan idzie za mną.

Onzell, jeszcze w fartuszkach, wybiegła z domu i krzyknęła na Dużego George'a. Wyłonił się zza domu z siekierą, którą rąbał drewno, i stał przez chwilę w miejscu, nie wierząc własnym oczom. Potem spojrzał na Idgie i powiedział cicho:

— Dziękuję, panienko Idgie. Dziękuję.

Oparł siekiere o ścianę i wszedł do domu. Zaczął ostrożnie odwijać chudziutką dziewczynkę z kołdry.

— Ktoś do ciebie przyjechał aż z Birmingham, malutka... — I zaniósł ją na ganek.

Kiedy wyszli, J.W. Moldwater trącił swoją pomarszczoną przyjaciółkę patykiem i stary weteran cyrku usiadł na tylnych nogach, i przywitał Ptaszycę głośnym trąbnięciem.

Oczy Ptaszycy rozbłysły i wypełniły się zachwytem na widok gościa na podwórku.

— Ooooooch, tatusiu, to Panna Fancy... — powiedziała. — To Panna Fancy.

Ruth wzięła Onzell pod rękę i patrzyła, jak skacowany treser prowadzi słonia do krawędzi ganku. Dał Ptaszycy torebkę orzeszków za pięć centów i powiedział, że, jeśli chce, może nimi poczęstować słonice. Willie Boy tylko wyglądał przez okno. Inne dzieciaki też trzymały się w rozsądnej odległości od tego ogromnego, szarego czegoś wielkości domu. Ale Ptaszyca nie czuła lęku i, jeden po drugim, podawała Pannie Fancy orzeszki, rozmawiając z nią jak ze starą przyjaciółką. Powiedziała jej, ile ma lat i do której klasy chodzi. Panna Fancy mrugała oczami i wyglądała tak, jakby rzeczywiście słuchała. Brała orzeszki od dziewczynki po jednym na raz, tak delikatnie jak kobieca dłoń w rękawiczce wyjmując drobne z portmonetki. Po dwudziestu minutach Ptaszyca pomachała słonicy na pożegnanie i J.W. Moldwater ruszył z Panną Fancy z powrotem do Birmingham. Poprzysiągł sobie, że już nigdy nie wypije ani kropli i nigdy, przenigdy nie zgodzi się na całonocnego pokerka z nieznanymi.

A Ptaszyca weszła do domu i zjadła trzy maślane herbatniki z miodem.

*Meksykańska skacząca fasola — odmiana fasoli, w której lęgną się larwy maleńkiej ćmy,

VALDOSTA, GEORGIA

15 września 1924

Dwa tygodnie po tym jak Ruth Jamison wróciła do domu i wyszła za mąż, Idgie pojechała do Valdosty i zaparkowała samochód na głównej ulicy, przed redakcją gazety, a koło fryzjera. Jakąś godzinę później wysiadła i przeszła przez ulicę do sklepu spożywczego na rogu. Bardzo przypominał sklep jej taty, ale był większy, miał drewnianą podłogę i wysoki dach. Chodziła tam i z powrotem, przyglądając się towarom. Po paru chwilach łysiejący mężczyzna w białym fartuchu spytał ją:

— Czym mogę służyć, panienko? Co podać?

Idgie poprosiła o parę solonych krakersów i kilka plasterków tego sera, który leżał na ladzie.

— Nie orientuje się pan przypadkiem, czy Frank Bennett jest dzisiaj w mieście, co?

— Kto?

— Frank Bennett.

— A, Frank. Nie, zwykle przyjeżdża tutaj w środy do banku, a czasami do fryzjera po drugiej stronie ulicy. A co? Chce się pani z nim zobaczyć?

— Nie, nawet go nie znam. Zastanawiałam się tylko, jak wygląda.

— Kto?

— Frank Bennett.

Podał Idgie krakersy i ser.

— Chce pani coś do picia?

— Nie, to wszystko.

Wziął od niej pieniądze.

— Jak wygląda? Niech no się zastanowię... No, nie wiem, chyba jak wszyscy. Spory facet... z czarnymi włosami, niebieskimi oczami... no i oczywiście jedno oko ma szklane.

— Szklane?

— No, stracił je na wojnie. Gdyby nie to, byłby całkiem przystojnym facetem.

— Ile ma lat?

— A ze trzydzieści pięć, sześć, coś koło tego. Ojciec mu zostawił osiemset akrów ziemi jakieś dwadzieścia kilometrów za miastem, więc Frank nieczęsto tu przyjeżdża.

— Czy jest miły? To znaczy, czy ludzie go lubią?

— Franka? No, raczej tak. Dlaczego pani pyta?

— Tak się tylko zastanawiam. Moja kuzynka jest z nim zaręczona, no więc tak się zastanawiam.

— To pani jest kuzynką Ruth? Och! To przemiła osoba. Ma tu dobrą opinię. Znam Ruth Jamison od małości. Zawsze taka grzeczna... Teraz uczy moją wnuczkę w szkółce niedzielnej. Jedzie pani do niej z wizytą?

Idgie zmieniła temat.

— Chyba jednak wezmę coś do picia.

— Wiedziałem. Co sobie pani życzy? Mleko?

— Nie, nie lubię mleka.

— Coś zimnego?

— Ma pan napój truskawkowy?

— Jasne.

— Poproszę jeden.

Przyniósł jej napój.

— Cieszymy się, że Ruth wychodzi za Franka Bennetta. Jej i jej matce było bardzo ciężko, odkąd umarł jej tata. W zeszłym roku próbowaliśmy jej pomóc, ale nie chciała wziąć ani grosza. Duma... A zresztą nie mówię niczego, o czym by pani nie wiedziała. Zatrzyma się pani u nich?

— Nie, jeszcze się z nimi nie widziałam.

— Wie pani, gdzie jest ich dom, prawda? Dosłownie dwie przecznice dalej. Mogę panią zaprowadzić. Czy ona wiedziała, że pani przyjeżdża?

— Nie, ale nic nie szkodzi. Prawdę mówiąc, proszę pana, lepiej żeby nie wiedzieli, że tu byłam. Ja tylko tędy przejeżdżałam. Jestem akwizytorem z firmy perfumeryjnej Rosebud.

— Naprawdę?

— Tak. Muszę jeszcze wpaść do paru miejsc, zanim wrócę do domu, więc lepiej, jak już sobie pójdę... Chciałam tylko się upewnić, że ten Frank jest w porządku, a nie chcę, żeby Ruth się dowiedziała, że rodzina się o nią martwi. Mogłaby się zdenerwować. Pojadę więc do domu i powiem jej cioci i wujkowi, a moim rodzicom, że wszystko jest w porządku. Pewnie wrócimy tu na ślub, a ona tylko by się zdenerwowała, że o nią rozpytujemy, więc

będę się już zbierała do domu. Dzięki.

Sprzedawca popatrzył za tą dziwną młodą kobietą w kombinezonie, która wychodziła ze sklepu, i zawołał za nią:

— Hej! Nie skończyła pani napoju!

„KURIER YALDOSTY”

2 listopada 1924

Ślub Bennett-Jamison

W niedzielę panna Ruth Anne Jamison została żoną pana Franka Corleya Bennetta. Ślubu udzielił wielebny James Dodds. Panna młoda miała na sobie białą suknię z koronki i niosła bukiet z maleńkich różyczek. Świadkiem był brat pana młodego, Gerald Bennett.

Panna młoda jest córką pani Elizabeth Jamison i nieżyjącego już wielebnego Charlesa Jamisona. Była panna Jamison ukończyła z wyróżnieniem szkołę średnią w Valdoście i uczęszczała do seminarium baptystów dla kobiet w Auguście, a teraz jest dobrze znanym i poważanym pracownikiem kościelnym na tym terenie. Pan młody, pan Frank Corley Bennett, ukończył szkołę średnią w Valdoście, a ostatnio przez cztery lata służył w wojsku, gdzie odniósł ranę i został odznaczony medalem Purple Heart*

Po dwutygodniowej podróży poślubnej do Tallulah Falls w Georgii, młoda para zamieszka w domu rodzinnym pana młodego, dwadzieścia kilometrów na południe od miasta. Po powrocie pani Bennett nadal będzie uczyć w szkółce niedzielnej.

*Purple Heart (Fioletowe Serce) — medal przyznawany za rany odniesione ha wojnie

VALDOSTA, GEORGIA

1 listopada 1924

Był poranek dnia ślubu Ruth. Idgie pożyczyła samochód od Juliana i od siódmej rano stała na ulicy po drugiej stronie, naprzeciwko kościoła baptystów Morning Dove. Po czterech godzinach zobaczyła, jak Ruth i jej matka wchodzi przez boczne drzwi do kościoła. Ruth w ślubnej sukni wyglądała tak ślicznie, jak to sobie Idgie wyobrażała. Później Idgie zobaczyła, że przyjechał Frank Bennett z bratem. Siedziała w samochodzie, patrząc, jak się zjeżdżają goście, dopóki kościół nie wypełnił się po brzegi. Kiedy szwajcar w białych rękawiczkach zamknął drzwi, serce jej zamarło. Usłyszała organy grające *Marsza weselnego* i zrobiło jej się niedobrze.

Idgie od szóstej rano piła podłą żytniówkę. Zanim panna młoda powiedziała „Tak”, wszyscy w kościele zastanawiali się, kto na zewnątrz tak przyciska klakson. Po minucie Idgie znowu usłyszała organy i nagle drzwi kościoła się otworzyły i Ruth z Frankiem cali roześmiani zbiegli po schodach, a za nimi — ludzie wiwatujący i rzucający ryż. Państwo młodzi wskoczyli na tylne siedzenie czekającego samochodu i odjechali. Idgie znowu zatrąbiła. Ruth obejrzała się, gdy skręcali, lecz o sekundę za późno, by rozpoznać, kto to.

Przez całą drogę powrotną do Alabamy Idgie wymiotowała z samochodu Juliana.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

30 marca 1986

W wielkanocny poranek Ed Couch zabrał z domu spokojnej starości Dużą Mamę, która spędziła z nimi cały dzień. Evelyn chciała zaprosić panią Threadgoode, ale Ed powiedział, że Duża Mama mogłaby się zdenerwować, a wiadomo przecież, że nikt nie chce denerwować Dużej Mamy. Mogłaby wtedy nie chcieć wrócić. Tak więc Evelyn nagotowała jedzenia tylko dla nich, a po kolacji Ed i Duża Mama zeszli na telewizję do nory Eda.

Evelyn planowała pojechać do domu spokojnej starości, żeby przynajmniej złożyć świąteczne życzenia pani Threadgoode, ale, właśnie kiedy mieli wychodzić, zadzwonił jej syn. Duża Mama, która przez cały obiad jęczała, że nienawidzi Rose Terrace, była już ubrana i gotowa do wyjścia, więc Evelyn powiedziała Edowi, żeby jechali bez niej.

W związku z tym od dwóch tygodni nie widziała swojej przyjaciółki, a kiedy wreszcie się spotkały, czekała na nią niespodzianka...

— Poszłam do salonu piękności i ufarbowałam sobie włosy na Wielkanoc. No i jak ci się podobają?

Evelyn nie wiedziała, co powiedzieć. Ktoś ufarbował włosy pani Threadgoode na jaszkrawy fiolet.

— No, ufarbowała sobie pani włosy.

— Tak. Zawsze chcę wyglądać jak najlepiej na Wielkanoc.

Evelyn usiadła i uśmiechnęła się, jak gdyby nigdy nic.

— Kto to pani zrobił, kochana?

— Możesz wierzyć albo nie, ale to była uczennica ze szkoły piękności w Birmingham. Czasami tu przychodzą i dla wprawy czeszą nas za darmo. Moja fryzjerka to było takie maleństwo i tak się napracowała, że dałam jej pięćdziesiąt centów. Gdzie indziej

można sobie umyć, ufarbować i ułożyć włosy za jedyne pięćdziesiąt centów?

— Ile miała lat? — zainteresowała się Evelyn.

— Och, to była dorosła kobieta, tylko taka maleńka. Musiała stać na pudle, kiedy mnie czesała. Z pięć centymetrów mniej i byłaby karłem. Oczywiście tacy inwalidzi mi nie przeszkadzają, a karłów wręcz uwielbiam... Ciekawe, co się stało z tym karłem, który sprzedawał papierosy?

— Gdzie?

— W radiu i telewizji. Ubierali go w uniform boya hotelowego. Sprzedawał papierosy Phillipa Morrisa. Na pewno pamiętasz!

— A, tak. Już wiem, o kim pani mówi.

— Och, zawsze za nim przepadałam. Marzyłam o tym, żeby przyjechał do Whistle Stop. Brałabym go na kolana i bawiła się z nim.

Evelyn przyniosła pisanki, słodką kukurydzę i wielkanocne czekoladki i oznajmiła pani Threadgoode, że w tym tygodniu jeszcze raz zrobią sobie święta, bo nie mogła z nią być w prawdziwą Wielkanoc. Pani Threadgoode powiedziała, że to dobry pomysł, że uwielbia słodką kukurydzę i że najpierw lubi ogryzać białe czubki, a resztę zostawia sobie na później, co zademonstrowała, opowiadając o Wielkanocy.

— Och, Evelyn, szkoda, że cię nie było. Pielęgniarki wszędzie pochowały jajka. Wsadziliśmy po kilka do kieszeni i schowaliśmy w swoich pokojach. Przyszła cała trzecia klasa z Woodlawn, przesłodka dzieciaczki. Ganiały po całym korytarzu. Och, świetnie się bawiły! A to było takie ważne dla tych wszystkich staruszków tutaj, większość z nich umierała z chęci zobaczenia młodych. To rozweseliło chyba wszystkich. Starzy ludzie muszą czasami popatrzeć na dzieci — wyszeptala konfidencjonalnie. — To ich podnosi na duchu. Niektóre z tutejszych staruszek nic tylko siedzą na wózkach, całe pokurczone... ale jak im pielęgniarka da do potrzymania lalkę-niemowlaka, aż dziw jak się wtedy prostują i tulą do tych bobasków. Większość z nich wierzy, że to ich własne dzieci. A wiesz, kto tu jeszcze przyjechał na Wielkanoc?

— Kto?

— Ta dziewczyna od pogody z telewizji... Zapomniałam, jak się nazywa, ale jest sławna.

— Musiało być bardzo miło.

— O, tak... ale, wiesz, co?

— Co?

— Coś mi przyszło do głowy. Do Whistle Stop nigdy nie przyjechał nikt sławny — to znaczy poza Franklinem Rooseveltem i panem Pinto, tym przestępcą, ale obaj wtedy byli martwi, więc to się nie liczy. Biedna, stara Dot Weems nigdy nie miała żadnego eks-cytującego tematu do opisanania.

— Kto to był?

Pani Threadgoode się zdumiała.

— Nigdy nie słyszałaś o Franklinie Rooseveltcie?

— Chodzi mi o pana Pinto.

— Nigdy nie słyszałaś o panu Pinto?

— Pinto*? Jak koń łaciaty?

— Nie, kochana, jak fasola pinto*. Seymore Pinto. Był słynnym mordercą!

— No... nie, chyba żył dużo wcześniej przede mną.

— I masz szczęście, kochana, bo to był kawał drania. Był chyba półkrwi Indianinem, a może Italiańcem, w każdym razie możesz mi wierzyć, że takiego lepiej nie spotkać na ciemnej ulicy.

Pani Threadgoode skończyła swoją kukurydzę i odgryzła głowę jednemu z wielkanocnych zajączków, po czym spojrzała na niego.

— Bardzo pana przepraszam. — Po chwili dodała: — Wiesz, Evelyn, zdaje się, że jestem tutaj jedyną osobą, która ma dwie Wielkanoce. Może to grzech, ale wolałabym się do tego nie przyznawać.

*Pinto (ang.) — łaciaty koń

*Fasola pinto — odmiana fasoli o nakrapianych ziarnach

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

28 marca 1940

Do Whistle Stop przyjeżdża słynny morderca

Pan Pinto, słynny morderca, przejechał przez Whistle Stop pociągiem o siódmej piętnaście z Mobile. Pociąg zatrzymał się tylko na dziesięć minut, ale Kikutek Threadgoode i Peggy Hadley zdążyli zrobić nieboszczykowi zdjęcie. Kiedy zostanie wywołane, Idgie wywiesi je w kawiarni.

Idgie zabrała swoją drużynę zuchów do Birmingham, do Kiddyland Park, a potem do teatru Five Points na przedstawienie Byłem zbiegiem z gangu, które się wszystkim podobało.

Idgie mówi, że ma prawdziwą ususzoną główkę, którą dostała od łowców głów z Ameryki Południowej, i jeżeli chcecie ją sobie obejrzeć, to leży na kontuarze w kawiarni.

Czy ktoś zna lekarstwo na chrapanie? Jeśli tak, proszę do mnie przyjść. Moja druga połowa doprowadza mnie do szewskiej pasji. Może powinnam mu kazać spać z psami. Jeden z jego starych psów myśliwskich też chrapie. To chyba rodzinne. Ha! Ha!

Nagrodę za Kolejowego Billa znowu podwyższono. Niektórzy uważają, że Bill może pochodzić z tych stron. Pytanie brzmi: Kim jest Kolejowy Bill? Byłabym skłonna podejrzewać nawet Wilbura, ale on jest za leniwy na to, by wstawać w środku nocy.

Klub Elków wybrał Bobby’ego, syna wielebnego Scrogginsa i jego żony, na Chłopca Roku. Rodzice muszą być z niego dumni.

...Dot Weems.

PS. Moja druga połowa wróciła do domu z wyprawy wędkarskiej klubu Dill Pickle — znowu bez ryb, ale za to z trującym bluszczem. Twierdzi, że to wina Idgie, bo mu każała tam siedzieć. Ruth mówi, że Idgie sama też się pokłula.

WHISTLE STOP, ALABAMA

5 marca 1940

Kikutek zgasił wszystkie światła w pokoju na tyłach i położył się na podłodze koło radia, słuchając audycji *Cień*. Podziwiał pierścień, który zamówił, jego blask w ciemności, i machał dokoła ręką, zafascynowany niesamowitym zielonym połyskiem.

Mężczyzna w radiu mówił głębokim głosem: „Chaszcze zbrodni rodzą... cierpkie owoce... zbrodnia nie popłaca...” Po czym nastąpił szalony śmiech: „Ha! Ha! Ha!!!”

W tej chwili z kawiarni przyszła Idgie i włączyła światło, niemal przyprawiając go o atak serca.

— Wiesz co, Kikutek? Grady właśnie mi powiedział, że dziś rano, tym o siódmej piętnaście, ma przejeżdżać pan Pinto w drodze na pogrzeb i na stacji rozrządowej będą zmieniać pociągi.

Kikutek podskoczył, wciąż z mocno bijącym sercem.

— Pan Pinto? Prawdziwy pan Pinto?

— Tak. Grady powiedział, że będzie tu tylko parę minut, na tyle długo, żeby go przenieśli do innego pociągu. Poszłabym z tobą, ale muszę zawieźć twoją matkę do Birmingham na to zebranie kościelne. Ale jeżeli chcesz go zobaczyć, to Grady powiedział, że musisz tam być o wpół do siódmej i masz nikomu nie mówić, bo zleci się całe miasto.

— Dobra, nie powiem.

— I, Kikutek, na miłość boską, nie wygadaj się matce, że ci powiedziałam.

— Dobra.

Kikutek dostał na urodziny aparat fotograficzny Brownie, więc spytał Idgie, czy może zrobić panu Pinto zdjęcie.

— Zobaczysz tylko jego trumnę, ale jeżeli chcesz ją uwiecznić, to chyba możesz. Ale najpierw spytaj Grady'ego, słyszysz?

— Tak, ciociu.

Pobiegł do Peggy, żeby jej zaimponować tą poufną informacją o panu Pinto, który został pojmany po długiej i ciężkiej strzelaninie w domku w północnej Alabamie, w której zginęło trzech policjantów. Został aresztowany ze swoją dziewczyną znaną z afiszy jako Hazel, Ognistowłosa Morderczyni o Stalowym Sercu, która osobiście zabiła szeryfa w Baldwin County. Kiedy pana Pinto skazano na śmierć, nagłówki wszystkich gazet w Alabamie krzyczały: PAN PINTO ZASIĄDZIE NA „ŻÓŁTEJ MAMUŚCE”.

Imieniem tym ochrzczono wielkie żelazne krzesło elektryczne w więzieniu Folsom, które podobno odebrało życie już setkom ludzi. Ten jednak przypadek był szczególny.

Kiedy Kikutek dobiegł do domu Peggy, doktor Hadley, który siedział na leżaku, powiedział mu, że Peggy jest w środku i pomaga matce zmywać naczynia. Poszedł więc na podwórko za domem, żeby poczekać.

Kiedy Peggy wyszła, Kikutek przekazał jej wiadomość, która — tak jak się tego spodziewał — zrobiła na niej ogromne wrażenie. Następnie Kikutek przeszedł do instrukcji.

— Rano przyjdę pod to drzewo tutaj i dam ci taki sygnał...

Po czym trzy razy zaskrzeczał jak przepiórka.

— Kiedy mnie usłyszysz, wyjdź, ale bądź gotowa już od piątej, bo chcę tam być, gdyby pociąg przyjechał wcześniej.

Następnego dnia rano Peggy była już ubrana i czekała na niego, kiedy przyszedł, co go zirytowało, bo podobał mu się pomysł z ptasim sygnałem. Wziął go z książki, którą wtedy czytał, *Tajemnica zbrodni gadających wróbli*. Poza tym nie spał przez całą noc, ćwicząc skrzek przepiórki — to znaczy, dopóki Idgie nie powiedziała, że go zamorduje, jeżeli się nie zamknie.

To był pierwszy element, który się nie powiódł w jego planie. Drugi był taki, że pociąg spóźnił się o godzinę, więc sterczeli na stacji bite trzy godziny. Kikutek zakładał film do aparatu i wyjmował go z powrotem chyba ze sto razy, żeby się upewnić, czy wszystko gra. Jakies pół godziny później ogromny, czarny pociąg wreszcie wtoczył się na stację i stanął. Grady i załoga złożona z czterech kolejarzy wyszli ze stycznikowni, otworzyli wagon towarowy i wynieśli wielką skrzynię z białej sosny, w której państwo ulokowało pana Pinto. Pociąg potoczył się dalej, zostawiając skrzynię na pomoście załadowniczym, i przyszli jacyś inni ludzie, żeby podstawić drugi pociąg. Grady z ważną miną stał na straży w swej koszuli koloru khaki i skórzanym futerałem na broń przypiętym do boku.

Zobaczył Kikutka i Peggy biegnących do niego po peronie, powiedział: „Cześć, dzieciaki” i kopnął skrzynię.

— No, to go mamy, tak jak powiedziałem Idgie — pan Seymore Pinto we własnej osobie, martwy jak kamień.

Kikutek spytał, czy może zrobić zdjęcie.

— Jasne.

Zaczął robić zdjęcia pod każdym kątem, a w tym czasie Grady wspominał czasy, gdy był strażnikiem w więzieniu Kilbey w Atmore w Alabamie. Peggy, której zadaniem było trzymanie zapasowych filmów, spytała go, czy widział kiedyś prawdziwego mordercę.

— Jasne, całe mnóstwo. Jak mieszkaliśmy z Gladys w Atmore, to paru nawet pracowało u nas.

— Mieliście w swoim domu prawdziwych morderców?

Grady spojrział na nią zdziwiony.

— Jasne. Dlaczego nie? Niektórzy najlepsi ludzie są mordercami. — Zsunął kapelusze z czoła i powiedział poważnie: — Tak jest. Za złodzieja nie dałbym złamanego gorsza, ale morderca przeważnie zabija tylko raz — najczęściej przez kobietę — i potem już nie powtarza swojej zbrodni. A złodziej pozostanie złodziejem aż do śmierci.

Kikutek kończył już drugą rolkę filmu, a Grady nadal opowiadał zafascynowanej Peggy:

— Nie, nie mam nic przeciwko mordercom. Większość z nich to w zasadzie łagodni, mili ludzie.

Kikutek, który trząsał zdjęcia na prawo i lewo, spytał:

— Widziałeś kiedyś kogoś na krześle elektrycznym, Grady?

Roześmiał się.

— Chyba tylko ze trzystu... To dopiero widok. Zanim pójda na Żółtą Mamuszkę, gołą ich na łyso, tak żeby nie został na ich ciele ani jeden włos. Potem moczą takie gąbki w zimnej, solonej wodzie i wkładają je im pod czapkę. Ta woda szybciej przewodzi prąd. Ostatniego, którego widziałem na krześle, musieli smażyć siedem razy. Wszyscy w Atmore się wściekali, bo przez to nie było prądu w całym mieście i nie można było słuchać radia. A potem lekarz musiał wsadzić mu igłę do serca, żeby się upewnić, czy ten czarnuch nie żyje... — Spojrzał na zegarek. — Dlaczego, cholera, to tak długo trwa? Lepiej tam pójde i zobaczę, co robią. — I zostawił ich sam na sam ze skrzynią.

Kikutek nie chciał stracić ani chwili.

— Pomóż mi odsunąć pokrywę, chcę zrobić zdjęcie jego twarzy.

Peggy była przerażona.

— Nie wygłupiaj się, to nieboszczyk! Zmarłych trzeba szanować!

— Jego nie trzeba, to przestępca, więc się nie liczy. Odsuń się, jeżeli nie chcesz pa-trzeć.

Kikutek zabrał się do odsuwania pokrywy, a Peggy odeszła na bok, schowała się za słup i powiedziała:

— Narobisz sobie kłopotów.

Kiedy pokrywa była już odsunięta, Kikutek zajrzał do skrzyni.

— Chodź tu.

— Nie, boję się.

— Chodź tu. Nic nie widać, jest przykryty prześcieradłem.

Peggy podeszła i bardzo ostrożnie zerknęła na trupa, który w istocie był cały zakryty. Kikutek, rozpaczliwie chcąc wykorzystać czas, powiedział:

— Musisz mi pomóc. Chcę mu ściągnąć z twarzy to prześcieradło i zrobić zdjęcie.

— Nie, Kikutek, ja nie chcę go widzieć.

Kikutek właściwie też nie miał ochoty zobaczyć twarzy pana Pinto, ale strasznie chciał mu zrobić zdjęcie, więc na poczekaniu wymyślił plan, który miał ich oboje uchronić przed tym widokiem.

Podał jej aparat.

— Masz. Wycelujesz aparat w to miejsce, gdzie jest jego twarz, a ja policzę do trzech. Zamkniesz oczy, ja policzę do trzech, podniosę prześcieradło, zrobisz zdjęcie, przykryję go z powrotem i w ogóle nie będziesz musiała na niego patrzeć. Zrób to dla mnie, co? Grady wróci lada chwila...

— Nie, boję się.

— Proszę... Jesteś jedyną osobą w mieście, której o nim powiedziałem.

— No, dobrze — powiedziała Peggy niechętnie. — Ale ani mi się waży podnieść to prześcieradło, zanim zamknę oczy. Przysiękasz, Kikutku Threadgoode?

Kikutek zrobił skautowski gest prawdy i honoru.

— Przysiękam. Pośpiesz się.

Peggy drżącą ręką wycelowała aparat w przykrytą prześcieradłem głowę.

— Gotowa?

— Tak.

— Dobra. A teraz zamknij oczy i kiedy policzę do trzech, zrób zdjęcie i nie patrz, dopóki ci nie powiem.

Peggy zamknęła oczy; to samo uczynił Kikutek. Ostrożnie podniósł i odsunął prześcieradło i powiedział:

— Dobra, raz, dwa, trzy, teraz!

Peggy na rozkaz, jak to było zaplanowane, zrobiła zdjęcie i w tej chwili od tyłu zaszedł ich Grady, krzycząc głośno:

— HEJ! DZIECIAKI, CO WY WYPRAWIACIE?!

Oboje gwałtownie otworzyli oczy i ich wzrok padł prosto na twarz pana Seymore'a Pinto, jeszcze ciepłego od Żółtej Mamuśki. Peggy wrzasnęła, upuściła aparat do trumny i pobiegła w jedną stronę, a Kikutek zapiszczał jak dziewczyna i pognał w drugą. Pan Pinto spalony był na skwarkę i miał szeroko otwarte oczy i usta, a gdyby zostały mu jakieś włosy, na pewno stałyby mu dęba na głowie.

Później tego samego popołudnia Peggy leżała w łóżku, przykryta kołdrą, wciąż ma-

jąc przed oczami twarz pana Pinto, a Kikutek cały roztrzęsiony siedział w pokoju na tyłach, w garderobie, w jaśniejącym w ciemnościach pasie Samotnego Strażnika, wiedząc, że już do końca życia nie zapomni twarzy tego człowieka.

Około szóstej do kawiarni przyszedł Grady z aparatem Kikutka.

— Nie uwierzycie — roześmiał się i opowiedział im, co się stało — ale złamali temu biedakowi nos!

Ruth była wstrząśnięta. Smokey wbił wzrok w kubek z kawą, żeby nie parsknąć, a Idgie, która właśnie niosła napój winogronowy swemu znajomemu, Ociememu Smithowi, oblała się nim — tak się zatrzęsała ze śmiechu.

VALDOSTA, GEORGIA

30 września 1924

Kiedy Frank Bennett dorastał, podziwiał swoją matkę do tego stopnia, że napawało to obrzydzeniem jego ojca, bysiora, dla którego niczym było zrzucenie Franka z krzesła czy skopanie go ze schodów. Matka była jedyną miękką i słodką istotą, jaką znał w dzieciństwie, kochał ją więc z całego serca.

Któregoś dnia, gdy wcześniej niż zwykle wrócił ze szkoły, symulując chorobę, i znalazł matkę z bratem ojca na podłodze w kuchni, cała ta miłość, zanim krzyknął i wybiegł z pokoju, w ciągu pięciu sekund przemieniła się w nienawiść; tych pięć sekund prześladowało go już do końca życia.

W wieku lat trzydziestu czterech Frank Bennett był próżnym mężczyzną. Jego czarne buty zawsze były wypolerowane na wysoki połysk, włosy — wyszczotkowane, ubranie — w doskonałym stanie, jako jeden z niewielu mężczyzn co tydzień robił sobie u fryzjera manikiur. Można by powiedzieć, że był dandysem. Można by powiedzieć, że był przystojny, na mroczny irlandzki sposób, z tymi gęstymi włosami i stalowoniebieskimi oczami i chociaż był równie zimny co wymuskany, to trudno było odróżnić jedno od drugiego. Ale ponad wszystko był człowiekiem, który zawsze dostawał to, czego chciał, a tym razem chciał Ruth Jamison. Miał już prawie każdą dziewczynę w okolicy, włączając w to ulubione przez niego czarne dziewczyny, które, przytrzymywane przez jego znajomków, brał siłą. Kiedy już raz jakąś zdobył, drugi raz nie miał na nią ochoty. Pewna jasnowłosa kobieta, która mieszkała na obrzeżach miasta, miała córeczkę dziwnie do niego podobną, kiedy jednak podbił jej oko i zagroził dziewczynce, przestała stawiać jakiegokolwiek żądania. Było jasne, że nie interesują go „używane” kobiety, zwłaszcza jeżeli to nie on ich używał. W mieście jednak znany był jako krzepki i jowialny facet. Postanowił, że musi mieć synów, którzy przedłużą ród Bennettów. Prawdę mówiąc, nazwi-

sko to nikomu nic nie mówiło, poza tym, że Bennett to człowiek, który ma dużo ziemi na południe od miasta.

Ruth była młoda, ładna, z pewnością nie tknięta, no i potrzebowała miejsca dla siebie i matki. Czy mógł trafić lepiej? Ruth była oszołomiona, nie mogła się nie zgodzić. Czyż nie był najlepszą partią w okolicy? Czyż nie zabiegał o jej względy jak gentleman i nie oczarował jej matki? Ruth uwierzyła, że ten przystojny młody człowiek ją kocha i że i ona powinna go kochać. I tak też się stało.

Któż jednak mógł wiedzieć, że te wypolerowane buty i trzyczęściowe garnitury nie mogą ukryć goryczy, która narastała w jego sercu przez tyle lat...?

Nikt w mieście się tego nie domyślał; dopiero trzeba było kogoś zupełnie obcego. Podczas wieczoru kawalerskiego Frank z grupą mężczyzn wpadli do baru na parę drinków w drodze do domku, gdzie czekały, wynajęte na noc, trzy prostytutki z Atlanty. Z drugiego końca sali przyglądał się im jakiś stary włóczęga, który zawędrował do baru z ulicy. Frank zrobił to, co robił ze wszystkimi obcymi; podszedł do owego mężczyzny, którego najwyraźniej okropnie suszyło, i poklepał go po plecach.

— Wiesz co, stary? Jeżeli zgadniesz, które oko mam szklane, postawię ci drinka.

Jego kumple się roześmiali, bo tego nie sposób było zgadnąć, ale stary spojrział na niego i bez mrugnięcia okiem powiedział:

— Lewe.

Kumple zaryczyli i chociaż Frank był niezadowolony, uznał to za łut szczęścia i rzucił pół dolara na ladę.

Barman przez chwilę przyglądał się wychodzącym, po czym spytał starego:

— Co panu podać?

— Whisky.

Barman nalał porcję. Nieco później spytał:

— Hej, przyjacielu, skąd tak od razu wiedziałeś, że jego lewe oko jest szklane?

Stary wypił whisky i powiedział:

— To proste. Tylko w lewym była jakaś iskierka ludzkiego współczucia.

VALDOSTA, GEORGIA

28 kwietnia 1926

Idgie, która miała wtedy dziewiętnaście lat, przez dwa i pół roku niemal co miesiąc jeździła do Valdosty, żeby zobaczyć, jak Ruth idzie, a potem wraca z kościoła. Chciała tylko się upewnić, że wszystko jest w porządku, a Ruth nigdy się o tym nie dowiedziała.

Którejś niedzieli, całkiem nieoczekiwanie, Idgie podjechała pod dom Ruth i zapukała do frontowych drzwi. Sama nie wiedziała, że to zrobi. Do drzwi podeszła, uśmiechając się, krucha kobieta — matka Ruth.

— Słucham?

— Czy Ruth jest w domu?

— Jest na górze.

— Czy mogłaby jej pani powiedzieć, że przyjechała zaklinaczka pszczoł z Alabamy?

— Kto?

— Proszę jej tylko powiedzieć, że jest tu jej przyjaciółka z Alabamy.

— Nie wejdzie pani?

— Nie, dziękuję. Zaczekam tutaj.

Matka Ruth weszła na górę i zawołała:

— Ruth, ktoś od pszczoł do ciebie!

— Co?

— Masz gościa na ganku.

Kiedy Ruth zeszła, była kompletnie zaskoczona. Wyszła na ganek, a Idgie, która próbowała zachowywać się jak gdyby nigdy nic, choć dłonie miała mokre od potu i czuła, jak ją palą uszy, powiedziała:

— Słuchaj, nie chcę ci przeszkadzać. Pewnie jesteś bardzo szczęśliwa i w ogóle... Na

pewno tak jest, ale chciałam tylko, żebyś wiedziała, że nie czuję do ciebie nienawiści i nigdy nie czułam. Nadal chcę, żebyś wróciła, a nie jestem już dzieckiem, więc się nie rozmyślę. Nadal cię kocham i zawsze będę, i nie obchodzi mnie, co inni sobie myślą...

— Kto to? — zawołał Frank z sypialni.

Idgie zaczęła się wycofywać.

— Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że... no, muszę lecieć.

Ruth, która nie powiedziała ani słowa, patrzyła, jak Idgie wsiada do samochodu i odjeżdża.

Nie było dnia, żeby o niej nie myślała.

Na ganku pojawił się Frank.

— Kto to był?

— To tylko moja znajoma, ktoś, kogo kiedyś znałam — powiedziała Ruth, wciąż patrząc na samochód, który teraz był już tylko czarną kropką na drodze, i weszła do domu.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

6 kwietnia 1986

Pani Threadgoode zaczęła mówić w chwili, gdy Evelyn zdążyła postawić nogę w pokoju.

— No, kochana, Veście Adcock kompletnie odbiło. Dziś o czwartej po południu weszła do naszego pokoju, złapała basenik z mlecznego szkła, w którym pani Otis trzyma szpilki do włosów, i rzekła: „Nasz Pan powiedział, że jeżeli twoje oko jest grzeszne, wydłub je” i wyrzuciła basenik ze szpilkami i resztą przez okno, po czym wyszła. Pani Otis strasznie się tym zdenerwowała. Po jakimś czasie przychodzi ta mała kolorowa pielęgniarka, Geneene, z basenem pani Otis, który znalazła na podwórku, i mówi, żeby się nie denerwować, bo pani Adcock przez cały dzień wyrzuca różne rzeczy z pokoiów innych... Powiedziała, że pani Adcock wariuje jak bąk i żeby nie zwracać na nią uwagi.

Mówię ci, ja to mam szczęście, że zachowałam taki jasny umysł, zważywszy na to, co się tutaj wyprawia... Żyję z dnia na dzień. Staram się ze wszystkich sił, bo co więcej mogę zrobić?

Evelyn podała jej pudełko wiśni w czekoladzie.

— Och, dziękuję, kochana, jesteś taka miła. — Przez chwilę zajadała wiśnie, zastanawiając się nad jakąś kwestią.

— Myślisz, że bąki rzeczywiście są nienormalne, czy ludzie tylko tak wierzą?

Evelyn powiedziała, że nie wie.

— Wiem, dlaczego się czasami mówi „mój ty robaczku”, bo tak się składa, że myślę, iż nie ma nic słodsze od robaczków... a ty?

— Co?

— Myślisz, że nie ma nic słodsze od robaczków?

— Nie widziałam zbyt wielu robaków, więc trudno mi powiedzieć, czy są słodkie czy

nie.

— A ja widziałam! Albert i ja oglądaliśmy je całymi godzinami. Cleo miał na biurku takie duże szkło powiększające, a my łapaliśmy krocionogi, koniki polne, żuki, stonki i mrówki... wkładaliśmy je do słoika i oglądaliśmy. Mają prześliczne maleńkie buźki i robią słodkie minki. Jak się już na nie napatrzyliśmy, wynosiliśmy je na podwórko i puszczaliśmy wolno.

Pewnego razu Cleo złapał trzmieła i wsadził go do słoika, żebyśmy go sobie mogli obejrzeć. Był niezwykły. Idgie przepadała za pszczołami, aleja najbardziej lubiłam biedronki. Przynoszą szczęście. Wiesz, każdy robaczek ma swoją osobowość. Pająki z tymi swoimi malusieńkimi główkami są trochę nerwowe i niemiłe. Zawsze lubiłam modliszki. To bardzo religijne owady. Nie potrafiłabym zabić owada — po tym, jak widziałam je z bliska. Wierzę, że myślą, tak jak my. Oczywiście ma to i swoje złe strony. Moje kaliny wokół domu były całe poharatane i zjedzone, a krzaki gardenii są przeżarte na wylot. Norris powiedział, że chciał tam pojechać i je spryskać, ale nie miałam serca mu na to pozwolić. Coś ci powiem — owad nie miałby szans na przetrwanie u Rose Terrace. Tutaj niełatwo nawet bakteriom. Tutejsze motto brzmi: „Nie wystarczy, by wyglądało czysto, musi być czysto”. Czasami mam wrażenie, że mieszkam w jednej z tych celofanowych torebek na kanapki, takich, jakie sprzedają w pociągach.

Co się tyczy mnie, to z radością wrócę do domu, do moich wstrętnych, starych robaków. Nawet mrówkę powitałabym z radością. Coś ci powiem, kochana, cieszę się, że jestem już na wylocie... „W domu mego Ojca jest wiele komnat, a ja jestem gotów do niego przybyć...”

Proszę tylko o jedno, Panie, wyrzuć wszystkie wykładziny z linoleum, zanim tam trafię.

WHISTLE STOP, ALABAMA

17 października 1940

Kiedy Vesta Adcock była młodsza, ktoś jej powiedział, żeby mówiła głośniej i tak już zostało. Vestę słyhać było przez ściany z cegły. Dudniący głos dobywający się z tej małej kobietki niósł się przez wiele ulic.

Cleo Threadgoode zauważył, że Earl Adcock niepotrzebnie płaci za telefon, bo Vesta równie dobrze mogłaby otworzyć drzwi i zwrócić się w stronę domu, do którego chciała dzwonić. Wziąwszy pod uwagę to oraz fakt, że Vesta sama siebie wybrała na prezesa klubu „Jestem lepsza niż inni”, nikogo nie zdziwiło, że Earl zrobił to, co zrobił.

Earl Adcock był cichym, przyzwoitym człowiekiem, który zawsze robił to, co należy — był jednym z nieznanym bohaterów życia, który ożenił się z dziewczyną tylko dlatego, że ona go wybrała, a on nie chciał zranić jej uczuć. Nie powiedział też ani słowa, kiedy Vesta i jego przyszła teściowa zaaranżowały wszystko, od ślubu, poprzez miesiąc miodowy, aż po wybór domu, w którym mieli zamieszkać. Kiedy urodziło się dziecko, Earl junior, miękki, puciołowaty chłopczyk o ziemistej cerze i brązowych kędziorkach, który chciał do mamy za każdym razem, kiedy widział swego ojca, Earl zrozumiał, że popełnił duży błąd. Zachował się jednak jak prawdziwy mężczyzna; został z Vestą i wychował syna, który mieszkał z nim w tym samym domu i w którego żyłach płynęła ta sama krew, lecz był dla niego zupełnie obcym człowiekiem.

Earl miał pod sobą ponad dwustu ludzi na kolei L & N, gdzie pracował, wzbudzał ogromny szacunek i był niezwykle uzdolniony. Dzielnie brał udział w drugiej wojnie światowej, w której zabił dwóch Niemców, lecz we własnym domu traktowano go jedynie jak drugie, i to wcale nie ulubione, dziecko Vesty; był na drugim miejscu po Earlu juniorze.

— WYCIERAJ NOGI, ZANIM WEJDZIESZ DO DOMU! NIE SIADAJ NA TYM

KRZEŚLE!

— ANI MI SIĘ WAŻ PALIĆ W MOIM DOMU... WYNOCHA NAGANEK!

— NIE ZNOŚ MI DO DOMU TYCH PASKUDNYCH RYB. ZABIERAJ JE NA PODWÓRKO I JE UMYJ!

— ALBO SIĘ POZBĘDZIESZ TYCH PSÓW, ALBO ZABIERAM DZIECKO I WYJEŹDZAM!

— BOŻE ŚWIĘTY, CZY TYLKO TO CI W GŁOWIE? MĘŻCZYŹNI TO BANDA ZWIERZAŃ!

Wybierała mu ubrania, wybierała mu znajomych i parę razy rzuciła się na niego jak rozwścieczony dziki indyk, kiedy próbował skarcić małego Earla. W końcu się poddał.

Tak oto przez wiele lat Earl nosił przez nią wybrany niebieski garnitur, krajał mięso, chodził do kościoła, był mężem i ojcem i nigdy nie powiedział Veście złego słowa. Ale Earl junior był już dorosły, a L & N dała staremu przyzwoitą emeryturę, którą z miejsca przepisał na Vestę, a także zegarek kolejowy Rockford. I tak, równie cicho jak żył, Earl wymknął się z miasta, zostawiając po sobie tylko liścik:

No, dosyć tego. Odchodzę, a jeżeli nie wierzysz, że wyjeżdżam, licz dni mojej nieobecności. Kiedy usłyszysz, że telefon nie dzwoni, to znaczy, że to ja nie dzwonię.

Żegnaj, stara, życzę szczęścia.

Z poważaniem

Earl Adcock

PS. Nie jestem głuchy.

Vesta uderzyła zaskoczonego Earla juniora w twarz i na tydzień położyła się do łóżka z mokrym ręcznikiem na czole, a w tym czasie wszyscy w tajemnicy wiwatowali na cześć Earla. Gdyby dobre życzenia były dziesięciodolarowymi banknotami, zostałby bogatym człowiekiem.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

18 października 1940

Ostrzeżenie dla żon

Znowu nadeszła ta pora roku i moja druga połowa aż przebiera nóżkami, żeby polecieć ze swoją zgrają na polowanie. Czyści broń, wygłupia się ze swoimi starymi psami i niedługo chyba zacznie wyc do księżycy. Więc szykujcie się na jakiś czas do rozstania ze swoimi chłopcami. Nic, co się rusza, nie jest bezpieczne... Pamiętajcie, jak w zeszłym roku Jack Butts przestrzelił na wylot łódź? Idgie twierdziła, że wszyscy poszli na dno jeziora, a tuż nad ich głowami przefrunęło dziesięć kluczy dzikich kaczek.

Gratulacje dla Kikutka Threadgoode'a za zdobycie pierwszej nagrody na szkolnych Targach Nauki, za projekt „Fasola... co to takiego?” Drugą nagrodę dostał Vernon Hadley za projekt „Eksperymenty z mydłem”.

Idgie ma na barze w kawiarni wielki słój z ziarnami fasoli i obiecuje, że każdy, kto zgadnie, ile fasolek jest w słoiku, dostanie nagrodę.

Zdjęcie pana Pinto nie wyszło tak dobrze, jak się spodziewaliśmy, widać na nim tylko jakąś rozmazaną plamę.

Ruth prosiła, żebym wszystkim powiedziała, że wyrzuciła zasuszoną główkę, bo ludziom przy jedzeniu na jej widok robiło się niedobrze. Ruth zresztą twierdzi, że to tylko gumowa główka, którą Idgie kupiła w Magicznym Sklepie w Birmingham.

A przy okazji, moja druga połowa mówi, że ktoś nas zaprosił na kolację, ale nie może sobie przypomnieć, kto. Bylibyśmy więc bardzo szczęśliwi, gdyby ta osoba zadzwoniła do mnie i dała mi znać.

...Dot Weems.

PS. Opal ponownie prosi, żeby nie karmić jej Boots.

VALDOSTA, GEORGIA

4 sierpnia 1928

Minęły dwa lata, odkąd Idgie ostatnio widziała Ruth, ale raz na jakiś czas, w środy, jeździła do Valdosty, gdyż w ten dzień Frank Bennett przyjeżdżał do miasta i szedł do fryzjera. Przesiadywała wtedy w drogerii Pucketta, bo stamtąd miała dobry widok na drzwi frontowe zakładu fryzjerskiego i widziała Franka siedzącego w fotelu. Żałowała, że nie słyszy, co Frank mówi, ale dobry był i sam widok. Frank stanowił jej jedyny łącznik z Ruth i dopóki go widziała, wiedziała, że Ruth jeszcze istnieje.

W tę środę pani Puckett, chuda, niska starsza pani w okularach w czarnych oprawkach, jak zwykle była zajęta, krzątając się po sklepie i porządkując wszystko tak, jakby jej życie zależało od tego, czy wszystko jest schludnie poukładane na swoim miejscu. Idgie siedziała przy barze, patrząc na drugą stronę ulicy.

— Ten Frank Bennett to chyba straszny gaduła, co? Facet do rany przyłóż, nie?

Pani Puckett stała odwrócona tyłem do Idgie, na pierwszym szczeblu drabiny, ustawiając słoiki kremu na piegi Stillmana.

— Niektórzy chyba tak uważają.

Idgie usłyszała w jej głosie jakąś dziwną nutę.

— Co pani ma na myśli?

— Tylko to, co powiedziałam: niektórzy chyba tak uważają. I to wszystko. — Zeszła z drabiny.

— A pani tak nie myśli?

— To, co ja myślę, nie ma żadnego znaczenia.

— Nie uważa pani, że jest sympatyczny?

— Nie powiedziałam, że nie uważam, że jest sympatyczny, prawda? Pewnie jest całkiem sympatyczny.

Pani Puckett zajęła się teraz przesuwaniem po ladzie pudełek z tabletkami Cartera na wątrobę. Idgie zeszła ze stolka i podeszła do niej.

— Jak to, całkiem sympatyczny? Czy pani coś o nim wie? Bywa niesympatyczny?

— Nie, zawsze jest całkiem miły — powiedziała, układając pudełka w rzędzie. — Po prostu nie przepadam za mężczyznami, którzy biją swoje żony.

Idgie aż serce zamarło.

— Co to znaczy?

— Dokładnie to, co powiedziałam.

— Skąd to pani wie?

Pani Puckett zajęła się przestawianiem puszek z pastą do zębów.

— Och, pan Puckett musiał tam kiedyś pójść i zanieść tej biedaczce lekarstwo — i to więcej niż raz. Bennett podbił jej oko, zrzucił ze schodów, a raz złamał jej rękę. Ona uczy w szkółce niedzielnej i nigdy nie spotkałam miłszej osoby. — Przeszła do butelek z Sal Hepatica. — Czego to wódka nie robi z człowieka. Przez nią ludzie robią rzeczy, których normalnie by nie zrobili. Pan Puckett i ja jesteśmy abstynentami...

Ale Idgie była już przy drzwiach i nie usłyszała ostatniego zdania.

Fryzjer właśnie omiatał kark Franka pudrem o słodkim zapachu, kiedy do zakładu wpadła Idgie. Była rozwścieczona. Wymierzyła palec w twarz Franka.

— POSŁUCHAJ, TY OBŚLINIONY, PARSZYWY, SZKLANOOKI SKURWY-SYNU! JEŻELI JESZCZE RAZ UDERZYSZ RUTH, ZABIJĘ CIĘ! TY SKURWIELU! PRZYSIĘGAM, ŻE WYRWĘ CI SERCE! SŁYSZYSZ MNIE, TY DUPKU?!

Po czym zamachnęła się i zmiotła wszystko z marmurowego kontuaru. Dziesiątki butelek z szamponem, tonikiem do włosów, olejkami, płynem do golenia i pudrem runęło na podłogę. Zanim się zorientowali, co się stało, Idgie była z powrotem w swoim samochodzie i z piskiem opon wyjeżdżała z miasta.

Fryzjer stał z rozdziawionymi ustami. Wszystko działo się tak szybko. Spojrzał na odbicie Franka w lustrze i powiedział:

— To był chyba jakiś wariat.

Kiedy Idgie dotarła do Klubu Wędkarskiego Wagon Wheel, ciągle jeszcze wściekła, opowiedziała Evie, co się stało. Przysięgała, że wróci tam i go dorwie.

Eva wysłuchiwała jej cierpliwie.

— Jak tam wrócisz, to cię zabiją i już. Nie możesz się wtrącać w czyjeś małżeństwo, to ich sprawa. Kochana, są takie rzeczy między kobietą a mężczyzną, do których nie należy się mieszać.

Biedna Idgie, która umierała z bólu, spytała Evę:

— Dlaczego ona od niego nie odejdzie? Co się z nią dzieje?

— To nie twoja sprawa. Kochana, musisz o tym zapomnieć. To dorosła kobieta i robi, co chce, chociaż ci się to nie podoba. Jesteś jeszcze dzieckiem, kochana, a jeżeli ten facet

jest taki jak mówisz, to mógłby ci zrobić krzywdę.

— Nie obchodzi mnie, co mówisz, Eva, któregoś dnia zatłukę tego skurwysyna. Tylko poczekaj.

Eva naląła Idgie następnego drinka.

— O, nie. Nikogo nie zabijesz i wcale tam nie wrócisz. Przyrzekasz?

Idgie przyrzekła. Obie wiedziały, że kłamie.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

27 kwietnia 1986

Pani Threadgoode była dziś szczególnie uszczęśliwiona, gdyż miała przed sobą na papierowym talerzu smażonego kurczaka i sałatkę coleslaw, a Evelyn już szła korytarem z kubkiem napoju z winogron.

— Och, dziękuję, kochana. Rozpieszczasz mnie, znosząc mi co tydzień wszystkie te pyszności. Powiedziałam pani Otis, że Evelyn nie mogłaby być dla mnie milsza, nawet gdyby była moją córką... Taka ci jestem wdzięczna. Nigdy nie miałam własnej córki... Czy twoja teściowa lubi jeść?

— Nie, wcale — powiedziała Evelyn. — Przyniosłam jej trochę kurczaka, ale go nie chciała. Jej i Edowi w ogóle nie zależy na jedzeniu, jedzą tyle, żeby przeżyć. Wyobraża sobie pani?

Pani Threadgoode powiedziała, że nie może sobie wyobrazić czegoś takiego.

Evelyn naprowadziła ją na właściwy trop.

— A więc Ruth wyjechała z Whistle Stop do Valdosty i wyszła za mąż...

— Zgadza się. Och, Idgie mało co nie umarła. Dostała jakiegoś ataku.

— Wiem, opowiadała mi pani o tym. Ale chciałabym się dowiedzieć, kiedy Ruth wróciła do Whistle Stop?

Evelyn usadowiła się wygodnie na krześle, zabrała się do kurczaka i cała zamieniła się w słuch.

— O, tak, kochana, dokładnie pamiętam ten dzień, kiedy przyszedł list. Musiało to być w dwudziestym ósmym albo dziewiątym. A może w trzydziestym? Mniejsza o to... Byłam w kuchni z Sipsej, kiedy przybiegła mama z listem w ręce. Otworzyła drzwi i zaczęła donośnym głosem wołać Dużego George'a, który był w ogrodzie z Jasperem i Artisem. „George, leć po Idgie i powiedz jej, że jest list od panny Ruth” — krzyknęła.

George polecał po nią. Po jakiejś godzinie do kuchni weszła Idgie. Mama, która właśnie łuskała groch, bez słowa wskazała jej list leżący na stole. Idgie otworzyła go, ale, co dziwne, to wcale nie był list.

Była to strona wydarta z Biblii, wersja króla Jakuba. Księga Rut 1,16-20:

„Odpowiedziała Rut: «Nie nalegaj na mnie, abym opuściła ciebie i abym odeszła od ciebie, gdyż: gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkaż, tam ja zamieszkaż, twój naród będzie moim narodem, a twój Bóg będzie moim Bogiem»,*.

Idgie stała, na okrągło czytając ten cytat, po czym podała list mamie i spytała, co o tym myśli. Mama go przeczytała, położyła na stole i wróciła do łuskania grochu. „No, kochanie, chyba sama widzisz. Myślę, że lepiej będzie, jak pojedziesz po nią z Dużym George’em, prawda? Wiesz, że bez niej nie ma dla ciebie życia. Wiesz o tym?”

I była to prawda. Nie mogła bez niej żyć. Tak więc następnego dnia pojechali do Georgii i ją przywieźli. Podziwiałam Ruth za to, że miała odwagę tak po prostu odejść. W tamtych czasach wymagało to prawdziwej odwagi, nie tak jak dzisiaj. Wtedy, jeżeli byłaś mężatką, to nią pozostawałaś do końca życia. Ale ona była o wiele silniejsza, niż się ludziom wydawało. Wszyscy ją zawsze traktowali jak laleczkę z porcelany, ale wiesz, pod wieloma względami była o wiele silniejsza od Idgie.

— Czy Ruth dostała rozwód?

— Och, tego nie wiem. Nigdy o to nie pytałam. Uważałam, że to sprawa Ruth. Nigdy nie poznałam jej męża, ale mówią, że był przystojny — poza tym szklanym okiem. Ruth powiedziała mi, że pochodził z porządnej rodziny, ale po prostu miał uraz do kobiet. Powiedziała też, że w noc poślubną upił się i wziął ją siłą, chociaż cały czas błagała, żeby przestał.

— Jakie to okropne.

— Tak, to prawda. Krwawiła przez trzy dni, a potem już nigdy nie mogła się rozluźnić i mieć z tego przyjemności. A to, oczywiście, doprowadzało go do jeszcze większej wściekłości. Mówiła też, że raz ją skopał ze schodów.

— Boże święty!

— Potem zaczął zniewalać te biedne kolorowe dziewczyny, które u niego pracowały. Ruth powiedziała, że jedna z nich miała zaledwie dwanaście lat. Zanim jednak się przekonała, jakim jest człowiekiem, było już za późno. Jej matka się rozchorowała i Ruth nie mogła wyjechać. Opowiadała, że podczas tych nocy, kiedy wracał do domu zły i pijany i brał ją siłą, leżała i modliła się do Boga albo myślała o nas, żeby nie zwariować.

— Podobno mężczyznę poznaje się dopiero wtedy, gdy się z nim zamieszka — uważała Evelyn.

*Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wyd. 3, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980

— Zgadza się. Sipsej zawsze mówiła: „Nigdy nie wiadomo, jaką rybę się złapało, dopóki się jej nie wyciągnie z wody” – dobrze więc, że Kikutek nigdy nie poznał swego tatusia. Ruth wyjechała, zanim się urodził. Właściwie to nawet nie wiedziała wtedy, że jest w ciąży. Mieszkała z Idgie już dwa miesiące, kiedy zauważyła, że ma jakiś spuchnięty brzuch. Poszła do lekarza i okazało się, że jest przy nadziei. Kikutek urodził się w dużym domu i był przesłodkim blondaskiem. Ważył trzy i pół kilo, miał brązowe oczy i złote włoski.

Kiedy mama go zobaczyła po raz pierwszy, powiedziała: „Idgie, zobacz, ma twoje włosy!”

I rzeczywiście tak było. Był rozkosznym blondynkiem. Wtedy tata Threadgoode kazał Idgie usiąść i powiedział jej, że teraz, kiedy musi się opiekować Ruth i dzieckiem, powinna się zastanowić, czym się zajmie, i dał jej pięćset dolarów na rozwinięcie jakiejś działalności. To za te pieniądze kupiła kawiarnię.

Evelyn spytała, czy Frank Bennett wiedział, że Ruth ma dziecko.

— Nie wiem.

— Nie widział jej po tym, jak wyjechała z Georgii?

— Nie mogę tego stwierdzić stanowczo, ale jedno jest pewne; przyjechał do Whistle Stop przynajmniej raz i był to o jeden raz za dużo — jeśli chodzi o niego.

— Dlaczego pani tak uważa?

— Bo został zamordowany.

— Zamordowany!

— O, tak, kochana. Umarł na amen.

VALDOSTA, GEORGIA

18 września 1928

Kiedy Ruth tego lata wyjechała do domu, żeby wyjść za mąż, Frank Bennett i jej matka wyszli po nią na stację. Ruth już zdążyła zapomnieć, jaki Frank jest przystojny i jaka jej matka jest szczęśliwa, że Ruth udało się złapać taką dobrą partię.

Niemal natychmiast zaczął się sezon przyjęć i Ruth usiłowała wymazać z pamięci wszelkie myśli o Whistle Stop. Czasami jednak, gdy była w samym środku tłumy, albo sama w nocy, nie wiadomo kiedy w jej umyśle pojawiał się obraz Idgie. Ruth tak bardzo pragnęła ją zobaczyć, że ból tęsknoty niemal zapierał jej dech w piersiach. Za każdym razem, kiedy to się zdarzało, modliła się do Boga i błagała Go, by zabrał od niej te myśli. Wiedziała, że musi być tam, gdzie powinna być, i robić to, co należy. Z czasem przestanie tęsknić za Idgie. Z pewnością On jej pomoże... z pewnością to uczucie wkrótce minie... z Jego pomocą jakoś da sobie radę.

Do łóżka małżeńskiego położyła się, postanawiając — choćby nie wiadomo co — być dobrą, kochającą żoną, która niczego nie odmawia mężowi. Dlatego właśnie przeżyła taki szok, kiedy Frank wziął ją tak brutalnie — zupełnie, jakby chciał ją ukarać. Kiedy skończył, leżała we własnej krwi, a on wstał i poszedł spać do innego pokoju. Do jej łóżka wracał tylko wtedy, gdy miał ochotę na seks, a w dziewięciu przypadkach na dziesięć był zbyt pijany lub rozleniwiony, żeby jechać do miasta. Ruth nie mogła wtedy oprzeć się myśli, że coś w niej sprawiało, że tak jej nienawidził, że w jakiś sposób — choćby nie wiadomo jak usiłowała to stłumić — Frank wyczuwał jej miłość do Idgie. Przebijająca w jej głosie, w dotyku. Nie wiedziała skąd, ale wierzyła, że on o tym wie i że za to nią pogardza. Żyła więc z tym poczuciem winy i przyjmowała razy i obelgi, gdyż myślała, że na nie zasługuje.

Lekarz wyszedł z pokoju jej matki.

— Pani Bennett, trochę zaczęła mówić, może pani na chwilę do niej wejść.

Ruth weszła i usiadła.

Jej matka, która nie mówiła od tygodnia, otworzyła oczy i zobaczyła córkę.

— Uciekaj od niego... — wyszeptwała. — Obiecuj mi, Ruth. To diabeł. Widziałam Boga i wiem, że Frank to diabeł. Słyszę różne rzeczy, Ruth... uciekaj... przyrzeknij mi...

Wtedy to po raz pierwszy ta nieśmiała kobieta powiedziała coś na temat Franka. Ruth pokiwała głową i wzięła ją za rękę. Tego popołudnia lekarz na zawsze zamknął oczy jej matki.

Ruth zaczęła po niej rozpaczać, a po godzinie poszła na górę, umyła twarz i zaadresowała kopertę do Idgie. Kiedy ją zakleiła, podeszła do okna i spojrzała na błękitne niebo. Zaczepnęła głęboko świeżego powietrza i poczuła, że jej serce wznosi się wysoko niczym latawiec puszczony przez dziecko wysoko w niebo.

VALDOSTA, GEORGIA

21 września 1928

Przed domem zatrzymał się samochód i ciężarówka. W ciężarówce siedział Duży George i Idgie. Cleo, Julian i ich dwóch przyjaciół, Wilbur Weems i Billy Limeway, byli w Modelu T. Ruth, która była już ubrana i czekała od wczesnego rana, mając nadzieję, że przyjadą tego dnia, wyszła na próg. Chłopcy i Duży George wyszli z samochodu i stanęli na podwórku, a Idgie poszła na ganek.

Ruth spojrzała na nią i powiedziała:

— Jestem gotowa.

Frank właśnie drzemał, kiedy usłyszał samochody. Zszedł ze schodów i rozpoznał Idgie stojącą za siatkowymi drzwiami.

— Co ty tu, do cholery, robisz?

Z trzaskiem otworzył drzwi i już miał do niej podejść, kiedy zobaczył pięciu mężczyzn stojących na podwórku.

Idgie, która nie spuszczała wzroku z Ruth, spytała cicho:

— Gdzie twoje bagaże?

— Na górze.

— Są na górze! — Idgie zawołała do Cleo.

Kiedy trzech mężczyzn przechodzili obok niego, Frank wybełkotał w gniewie:

— Co tu się, do diabła, wyprawia?!

Julian, który szedł ostatni, odpowiedział:

— Zdaje się, że żona od pana odchodzi, proszę pana.

Ruth wsiadła z Idgie do ciężarówki i Frank ruszył w ich stronę, kiedy zobaczył, że Duży George, który stał oparty o ciężarówkę, spokojnie wyciągnął nóż z kieszeni i jednym sprawnym ruchem wyciął z jabłka owocnię, którą potem wyrzucił przez ramię.

Julian krzyknął ze szczytu schodów:

— Na pana miejscu nie drażniłbym tego czarnucha. Jest szalony!

Bagażę Ruth powędrowały na tył ciężarówki, która ruszyła, zanim Frank się zorientował, co się dzieje. Po namyśle jednak w kierunku Jake'a Boxa, swego pomocnika, który był świadkiem całego zajścia, wrzasnął w kurz, który wzbił się po odjeździe samochodów:

— Nie waż mi się tu wracać, ty oziębła dziwko! Ty kurwo! Ty kurwo bez serca!

Następnego dnia pojechał do miasta i powiedział wszystkim, że Ruth po śmierci matki zupełnie straciła rozum. Był zmuszony oddać ją do zakładu dla obłąkanych poza Atlantą.

WHISTLE STOP, ALABAMA

21 września 1928

Mama i tata Threadgoode'owie czekali na frontowym ganku. Mama i Sipsej przez cały ranek przygotowywały pokój Ruth, a teraz Sipsej była w kuchni z Ninny, piekąc na kolację biszkopty.

— Alice, tylko się na nią nie rzucaj i jej nie przestrasz. Spokojnie, poczekamy — zobaczymy. Nie każ jej zostawać. Nie wywieraj na nią żadnego nacisku.

Mama mięła w palcach chusteczkę i skubała sobie włosy — nieomylny znak, że jest zdenerwowana.

— Dobrze, tatuśku. Powiem tylko, że się bardzo cieszę z jej przyjazdu... tak będzie dobrze, prawda? Zapewnimy ją, że jest tu mile widziana? Powiesz jej, jak bardzo się cieszysz, że przyjechała, prawda?

— Oczywiście — przytaknął tata. — Nie chcę tylko, żebyś robiła sobie zbyt wielkie nadzieje.

Po jakiejś minucie spytał:

— Alice... myślisz, że ona zostanie?

— Modlę się o to do naszego Pana.

W tej samej chwili zza rogu wyłoniła się ciężarówka wioząca Iddie i Ruth.

— Są! — wykrzyknął tata. — Ninny, Sipsej, już są!

Mama podskoczyła i sfrunęła ze schodów, a tuż za nią tata. Kiedy zobaczyli, jaka Ruth jest chuda i zmęczona, zapomnieli o swoim planie, chwycili ją i wyściskali, przekrzykując się nawzajem.

— Tak się cieszę, że wróciłaś, kochanie. Tym razem nie damy ci uciec.

— Przygotowaliśmy twój stary pokój, a Sipsej i Ninny gotują od samego rana.

Kiedy ruszyli z Ruth po schodach, mama odwróciła się i spojrzała w dół na Iddie.

— Lepiej zachowuj się tym razem, moja panno! Słyszysz?

Idgie wyglądała na zmieszaną i wymruczała pod nosem, wchodząc za nimi do domu:

— A co ja takiego robiłam?

Po kolacji Ruth poszła z mamą do salonu, a tata zamknął za nimi drzwi. Ruth usiadła naprzeciwko nich z rękami złożonymi na podolku i zaczęła:

— Nie mam pieniędzy, naprawdę nie mam nic oprócz ubrań. Ale mogę pracować. Chcę, żebyście wiedzieli, że już nigdy was nie opuszczę. Nie powinnam była wyjeżdżać te cztery lata temu, wiem. Ale teraz wynagrodzę jej to i już nigdy jej nie zranię. Macie moje słowo.

Tata, którego zawsze krępował wszelki sentymentalizm, niespokojnie wiercił się na krześle.

— No, mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz. Wiesz, że Idgie to niezły numer. Mama zaczęła go uciszać.

— Och, tatuśku, przecież Ruth o tym wie. Prawda, kochanie? Jest po prostu trochę dzika... Sipsej mówi, że to dlatego, że kiedy byłam z Idgie w ciąży, zjadłam dzikie ptactwo. Pamiętasz, tatuśku, jak tamtego roku przynieśliście z chłopcami do domu parę przepiórek i dzikich indyków?

— Mamuśku, co roku jesz dzikie ptactwo.

— No, to też prawda. W każdym razie nie o to chodzi. Tatuś i ja chcieliśmy tylko, żebyś wiedziała, że odtąd uważamy cię za członka rodziny i jesteśmy bardzo szczęśliwi, że nasza córeczka będzie miała taką wspaniałą przyjaciółkę.

Ruth wstała i ucałowała ich oboje, a potem wyszła przed dom, gdzie czekała Idgie, leżąc w trawie, słuchając cykania świerszczy i zastanawiając się, dlaczego czuje się taka pijana, chociaż nie wypiła; ani kropelki.

Kiedy Ruth wyszła z pokoju, tata powiedział:

— A nie mówiłem, że nie ma się o co martwić?

— Ja się martwiłam? To ty się martwiłeś, tatuśku, a nie ja — powiedziała mama i wróciła do swojej robótki.

Następnego dnia Ruth zmieniła nazwisko z powrotem na Jamison, a Idgie obeszała całe miasto i opowiedziała wszystkim o mężu biednej Ruth i o tym, jak to przewróciła się na niego ciężarówka Brinksa i przygniotła go na śmierć. Początkowo Ruth była przerażona, że Idgie rozpowiada takie kłamstwa, ale kiedy urodziło się dziecko, nawet była z tego zadowolona.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

31 sierpnia 1940

Mężczyzna przejechany przez samochód

Vesta Adcock przejechała swego kolorowego robotnika, Jessego Thigginsa, jadąc we wtorek na spotkanie Wschodniej Gwiazdy. Jesse drzemał sobie pod drzewem, kiedy Vesta zrobiła zakręt na swoim frontowym podwórku. Koło przejechało Jessemu po głowie i wcisnęło ją w błoto. Kiedy usłyszała krzyk, zatrzymała samochód na jego klatce piersiowej i wysiadła, by zobaczyć, kto to. Sąsiedzi, którzy akurat przechodzili obok, podbiegli i zdjęli z niego samochód. Grady Kilgore, który przyszedł na miejsce wypadku, powiedział, że dzięki Bogu, że ostatnio dużo padało, bo gdyby nie błoto, Jesse mógłby zginąć.

W chwili obecnej Jesse czuje się dobrze, ma tylko ślady po oponach. Vesta mówi, że nie powinien był spać, bo dobrze mu płaci.

Pewnie wszyscy już wiedzą, że wczoraj ten głupek, mój mąż, spalił nasz garaż. Taki był zajęty naprawianiem radia, żeby móc ze swoją kolejową bandą słuchać transmisji meczów baseballa, że upuścił papierosa na stertę moich starych „Ladies’ Home Companions”, które zbierałam, i w ciągu kilku minut nasz garaż spłonął do szczytu. Moja druga połowa była tak zaabsorbowana ratowaniem swej drogocennej piły, którą mu dałam na urodziny, że zapomniał wyprowadzić samochód.

Samochodu nie żał mi tak jak tych magazynów. Zresztą i tak nie jeździł.

Synek Essie Rue, który dzięki swoim rozmiarom zaskarbił sobie miano Maleństwa, wygrał 10 dolarów w konkursie fasolkowym. Pomylił się o 83 fasolki, ale Idgie mówi, że był najbliższym.

A przy okazji, zdechła Boots i Opal mówi, że ma nadzieję, że jesteście zadowoleni.

...Dot Weems.

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

22 listopada 1930

Był zimny, krystalicznie czysty dzień. Zbliżała się pora jednej z ulubionych przez wszystkich audycji radiowych. Grady Kilgore właśnie kończył drugą filiżankę kawy. Sipsej, która zmiatała niedopałki papierosów pozostawione przez poranny tłum, pierwsza wypatrzyła ich przez okno.

Przed kawiarnią cichutko zaparkowały dwie czarne półciężarówki, z których powoli, lecz zdecydowanie wysiadło ze dwunastu członków Klanu w pełnym rynsztunku. Ustawili się w szeregu przed kawiarnią.

— O Boże, przyszli... — powiedziała Sipsej. — Wiedziałam, po prostu wiedziałam.

Ruth, która pracowała za barem, spytała:

— Co jest? — I podeszła do okna, żeby zobaczyć.

W chwili kiedy ich zobaczyła, krzyknęła za siebie:

— Onzell, zamknij tylne drzwi i przynieś mi dziecko!

Mężczyźni nic, tylko stali na chodniku przed kawiarnią niczym jakieś białe posągi. Jeden trzymał tablicę z krwistoczerwonym napisem: STRZEŻCIE SIĘ NIEWIDZIALNEGO KRÓLESTWA... POCHODNIA I SZNUR SĄ GŁODNE.

Grady Kilgore wstał, podszedł do okna, wyjrzał i, dłubiąc w zębach wykałaczką, zaczął przyglądać się ludziom w spiczastych kapturach.

Spiker w radiu powiedział: „A teraz, dla wielu przyjaciół, którzy! na niego czekają, przedstawiamy słuchowisko *Zwykły Bill, fryzjer z Harville...* opowieść o człowieku, który może mieszka obok ciebie...”

Idgie, która była w łazience, wyszła i zobaczyła, że wszyscy wyglądają przez okno.

— Co się dzieje?

— Chodź tu, Idgie — powiedziała Ruth.

Iddie wyjrzała.

— O, cholera!

Onzell podała Ruth dziecko i stanęła u jej boku.

— O co tu, do diabła, chodzi? — spytała Iddie Grady'ego.

Grady, który wciąż dłubał w zębach, powiedział z przekonaniem:

— To nie nasze chłopaki.

— No to kto?

Grady rzucił na stół dziesiątaka.

— Zostańcie tu. Już ja się, kurczę, dowiem.

Sipsey siedziała w kącie z miotłą, mrużąc pod nosem:

— Ja tam się nie boje duchów białych ludzi. A gdzie tam.

Grady wyszedł i zagadnął mężczyzn. Po paru minutach jeden z nich pokiwał głową, powiedział coś do pozostałych i, jeden po drugim, równie cicho jak przyszli, zaczęli odchodzić.

Ruth nie była pewna, ale wydawało jej się, że jeden z mężczyzn patrzył prosto na nią i na dziecko. Potem przypomniało jej się, co kiedyś powiedziała Iddie, i spojrzała na jego buty, gdy wsiadał do ciężarówki. Kiedy zobaczyła, że to czarne, wypolerowane na wysoki połysk pantofle, nagle się przeraziła.

Grady wrócił do kawiarni całkiem spokojny.

— Niczego nie chcieli. Postanowili was tylko trochę nastraszyć i już. Jeden z nich był tu któregoś dnia i zobaczył, że sprzedajecie czarnuchom jedzenie, więc pomyślał, że da wam nauczkę. I to wszystko.

Iddie spytała, co takiego im powiedział, że tak szybko zabrali się z powrotem.

Grady zdjął kapelusz z wieszaka.

— Och, powiedziałem im tylko, że to nasze czarnuchy i nie chcemy, żeby jacyś z Georgii mówili, co nam wolno, a czego nie wolno.

Spojrzał Iddie prosto w oczy.

— I gwarantuję, że już nie wrócę. — Po czym włożył kapelusz i wyszedł.

Chociaż Grady był członkiem założycielem klubu Dill Pickle i nałogowym oszustem, tego dnia powiedział prawdę. Iddie i Ruth nie wiedziały jednak, że ci chłopcy z Georgii co prawda byli źli, ale nie na tyle głupi, by zadzierać z Klanem w Alabamie i na tyle bystry, żeby czym prędzej się wynieść i już nigdy nie wrócić.

To dlatego Frank Bennett wrócił, wrócił sam... i pod osłoną nocy.

„GAZETA VALDOSTY”

15 grudnia 1930

Zaginął jeden z mieszkańców

Dzisiaj zgłoszono zaginięcie jednego z mieszkańców Valdosty, Franka Bennetta, lat 38. Jake Box, jego pracownik, zawiadomił młodszego brata, Geralda, że Bennett nie wrócił do domu z polowania.

Ostatnio widziano go rankiem 13 grudnia, kiedy wychodził z domu i mówił panu Boxowi, że wróci wieczorem. Ktokolwiek posiada informacje na temat miejsca pobytu Franka Bennetta, proszony jest o skontaktowanie się z miejscowymi władzami.

WHISTLE STOP, ALABAMA

18 grudnia 1930

Było jedno z tych mroźnych popołudni w Alabamie. W wielkim żelaznym garze na tyłach kawiarni gotowała się wieprzowina, którą Duży George wkrótce miał polać specjalnym sosem do pieczenia. Duży George stał przy kotle z Artisem, kiedy podniósł wzrok i zobaczył, że w ich stronę idzie trzech mężczyzn z bronią przytroczoną do boku.

Grady Kilgore, miejscowy szeryf i detektyw kolejowy na pół etatu, zwykle zwracał się do niego „George”. Dzisiaj jednak chciał się popisać przed swoimi towarzyszami.

— Hej, chłopcze! Chodź tu i spójrz na to zdjęcie. Widziałeś tutaj tego mężczyznę?

Artis, którego zadaniem było mieszanie w garze długim kijem, zaczął się pocić. Duży George spojrzał na zdjęcie białego mężczyzny w meloniku i pokręcił głową.

— Nie, psze pana... Nie widziałem. — I oddał zdjęcie Grady'emu.

Jeden z mężczyzn podszedł i spojrzał do kotła na różowo-białą wieprzowinę wirującą jak na karuzeli.

Grady włożył zdjęcie z powrotem do kieszeni kamizelki i, wypełniwszy już swój obowiązek, powiedział:

— Hej, kiedy dostaniemy trochę tej pieczeni, George?

Duży George zajrzał do gara i przez chwilę przyglądał się mięsu.

— Pan przyjdzie jutro koło południa... no, gdzieś tak koło południa będzie gotowa.

— Zostaw trochę dla nas, słyszysz?

Duży George się uśmiechnął.

— Tak, psze pana, jasne, że zostawię.

Kiedy mężczyźni skierowali się do kawiarni, Grady zaczął się im chwalić.

— Ten czarnuch robi, cholera, najlepszą pieczeń w całym stanie. Jak jej spróbujecie,

to się przekonacie, co to znaczy dobra pieczeń. Wy z Georgii nie wiecie, jak smakuje dobra pieczeń.

Smokey i Idgie siedzieli w kawiarni, paląc papierosy i pijąc kawę. Grady wszedł, położył kapelusz na półce przy drzwiach i podszedł do nich.

— Idgie, Smokey, poznajcie detektywa Curtisa Smoote'a i detektywa Wendella Rigginsa. Przyjechali z Georgii. Szukają jakiegoś faceta.

Mężczyźni przywitali się i usiedli.

— Co podać? — spytała Idgie. — Może kawy?

Wszyscy z chęcią się zgodzili.

— Sipsey! — wrzasnęła Idgie w stronę kuchni.

Sipsey wytknęła głowę zza kuchennych drzwi.

— Sipsey, zrób nam trzy kawy. — Potem zwróciła się do nich: — A może kawałek placka?

— Nie, lepiej nie, jesteśmy tu służbowo — powiedział Grady.

Młodszy, mocniej zbudowany mężczyzna wyglądał na rozczarowanego.

— Te chłopaki szukają jakiegoś faceta, a ja się zgodziłem im pomagać. — Grady zgodził się, że pomoże im tylko wtedy, jeżeli to on pokazywać będzie zdjęcie.

Odchrząknął i wyjął zdjęcie, starając się wyglądać poważnie i jednocześnie nonszalancko.

— Czy któreś z was w ciągu ostatnich paru dni widziało tutaj tego mężczyznę?

Idgie spojrzała na zdjęcie i powiedziała, że nie, nie widziała go, i podała je Smokeyowi.

— Co on takiego zrobił?

Sipsey przyniosła kawę. Curtis Smoote, ten żyłasty i chudy o szyi, która wyglądała jak pomarszczona ręka wystająca z białego rękawa, powiedział piskliwym głosem:

— O ile nam wiadomo, nic nie zrobił. Próbujemy się dowiedzieć, co jemu zrobiono. Smokey oddał im zdjęcie.

— Nie, nigdy go nie widziałem. Dlaczego szukacie go tutaj?

— Parę dni temu powiedział jakiemś staremu, który pracował dla niego w Georgii, że się tu wybiera, i nie wrócił do domu.

Smokey spytał, gdzie ten facet mieszkał.

— W Valdoście.

— Ciekawe, po co tu przyjeżdżał — powiedział Smokey.

Idgie odwróciła się i zawołała do kuchni:

— Sipsey, przynieś nam tu parę kawałków tego czekoladowego ciasta. — A potem zwróciła się do Rigginsa: — Koniecznie musicie je spróbować. Ciekawe, jak wam będzie smakować. Upiekłyśmy je dosłownie parę minut temu. Zróbcie to dla mnie.

— Nie, naprawdę nie możemy... — zaprotestował Riggins.

— Och, tylko kawałek — prosiła Idgie. — Potrzebna mi opinia ekspertów.

— No, dobrze, w takim razie kawałek.

Chudy z ukosa spojrział na Idgie.

— Mówiłem im, że pewnie się gdzieś upił i pojawi się za parę dni. Nie mogę tylko zrozumieć, po co miałby tu przyjeżdżać. Przecież tu nic nie ma...

— Tak sobie kombinujemy, że może tu miał dziewczynę, czy coś — wtrącił Wendell między kęsami. Grady wybuchnął śmiechem.

— A dla której miałby przyjeżdżać aż z Georgii?! — Potem zrobił przerwę. — No, może dla Evy Bates.

Cała trójka się roześmiała, a Smokey, który również miał przyjemność znać Evę w bliższym sensie tego słowa, powiedział:

— Święte słowa.

Grady wgrzył się w drugi kawałek ciasta, wciąż jeszcze rozbawiony własnym żartem. Chudy jednak potraktował to poważnie i przechylił się nad stołem do Grady'ego.

— Kim jest Eva Bates?

— Och, to taka ruda, która ma melinę nad rzeką — odparł Grady.

— Nasza znajoma.

— Myślisz, że mógł tu przyjechać dla tej Evy?

Grady jedząc ciasto, spojrział na zdjęcie leżące na stole i odpędził od siebie tę myśl.

— Nie. Mowy nie ma.

— Dlaczego? — dopytywał się chudy.

— No, choćby dlatego, że nie jest w jej typie.

Cała trójka znowu się roześmiała.

Wendell Riggins zachichotał razem z nimi, chociaż sam nie wiedział, dlaczego.

— Jak to, nie w jej typie? — spytał Smoote.

Grady odłożył widelec.

— Nie chcę ranić twoich uczuć, czy coś, no i nawet nie znam tego faceta ze zdjęcia, ale wygląda mi na trochę zniewieściałego. Nie uważasz, Smokey?

Smokey przytaknął.

— Chłopcy, prawda jest taka, że Eva tylko rzuciłaby na niego okiem i wrzuciła do wody.

Znowu się roześmiali.

— No, chyba wiesz, co mówisz — powiedział Smoote i znowu spojrział z ukosa na Idgie.

— Taaa, takie jest życie! — ciągnął Grady. Mrugnął do Idgie i Smokeya. — Z tego, co wiem, szybkie z was chłopaki.

— Też tak słyszałem — zachichotał Smokey.

Grady odchylił się na krześle i poklepał po brzuchu.

— No, chyba będziemy się już zbierać. Musimy jeszcze załatwić parę rzeczy, zanim zrobi się ciemno. – I z powrotem włożył zdjęcie do kieszeni.

Kiedy wszyscy wstali, Riggins powiedział:

— Dzięki za ciasto, pani...

— Idgie.

— Pani Idgie, ciasto było przepyszne, dziękujemy raz jeszcze.

— Proszę bardzo.

Grady wziął z półki kapelusz.

— Jeszcze się z nimi zobaczycie. Przyprawdzą ich jutro na i pieczeń.

— Dobrze. Będzie nam bardzo miło.

Grady odwrócił się i spojrzał w stronę zaplecza.

— A przy okazji, gdzie jest Ruth?

— Pojechała do mamy. Mama bardzo choruje.

— Słyszałem — powiedział Grady. — Bardzo mi przykro. No, to do jutra.

I skierowali się do drzwi.

Chociaż było dopiero wpół do piątej po południu, niebo było już metalicznie szare z srebrnymi smugami ciągnącymi na północ, a zimowy deszcz, który właśnie zaczął padać, był tak rzadki i zimny jak woda z lodem. Drzwi obok, wystawa salonu piękności Opal już była udekorowana migającymi świątecznymi lampkami, których światelka odbijały się na mokrym chodniku. W środku pomocnica Opal zamiatała podłogę, a z radia płynęła świąteczna muzyka. Opal właśnie kończyła czesać swoją ostatnią klientkę, panią Vestę Adcock, która tego wieczoru wybierała się na bankiet L & N w Birmingham. Dzwoneczki na drzwiach zadzwoniły, kiedy wszedł Grady ze swoimi towarzyszami. Grady przybrał swój oficjalny ton.

— Opal, czy możemy chwilę z tobą porozmawiać?

Vesta Adcock, przerażona, podniosła głowę i ścisnęła kwiecisty kitel, w który była ubrana, krzyżąc:

— CO JEST?!

Opal, równie przerażona, podniosła wzrok i podbiegła do Grady'ego z zielonym grzebieniem w ręku.

— Nie wolno ci tu wchodzić, Grady Kilgore, to salon piękności! Nie wpuszczamy tu mężczyzn. Co się z tobą dzieje? Pomieszało ci się w głowie? No, wynoś się, wynoś się! Coś takiego!

Grady, który miał metr dziewięćdziesiąt, i pozostali dwaj mężczyźni, wpadając na siebie, wycofali się do drzwi i wypadli na chodnik. Opal z wściekłością patrzyła na nich przez zaparowane okno.

Grady schował z powrotem zdjęcie Franka Bennetta do kieszeni i powiedział:

— No, tu nie był na pewno.

Cała trójka postawiła kołnierze i skierowała się w stronę torów.

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

21 grudnia 1930

Trzy dni po tym, jak dwaj mężczyźni z Georgii po raz pierwszy przyjechali do miasteczka, pytając o Franka Bennetta, chudy, Curtis Smoote, wszedł sam do kawiarni i zamówił kolejny kawałek pieczeni i sok pomarańczowy.

Ruth przyniosła zamówienie i powiedziała:

— Zje mi pan całą pieczeń. Dzisiaj zjadł pan już trzy kawałki!

Spojrzał na nią z ukosa i odparł swym wysokim, nosowym głosikiem:

— Niech pani usiądzie.

Idgie rozejrzała się po sali, zobaczyła, że nie ma tłumu i usiadła naprzeciw niego.

Spojrzał na nią surowo i ugryzł kęs kanapki.

— Co tam u pana? — spytała Idgie. — Znalazł pan już tego faceta?

Tym razem to Smoote rozejrzał się po sali, po czym przechylił się nad stołem z miłą ostrą jak żyłotka.

— Nie nabierzesz mnie, panienczko. Wiem, kim jesteś. Niech ci się nie zdaje, że możesz mnie robić w konia... Musiałabyś się mocno wysilać, żeby wykiwać Curtisa Smoote'a. Tak jest, kiedy weszłaś tu po raz pierwszy, wiedziałem, że gdzieś cię już widziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Wykonałem więc parę telefonów i wczoraj w nocy mi się przypomniało.

Odchylił się z powrotem i wrócił do jedzenia, nie spuszczać wzroku z Idgie. Idgie, nawet nie mrugnawszy okiem, czekała, aż zacznie znowu mówić.

— Ten Jake, który pracował dla Bennetta, zeznał pod przysięgą, że jacyś ludzie pasujący opisem do ciebie i tego wielkiego, czarnego byka, którego trzymasz na tyłach, przyszli całą bandą i zabrali Bennettowi żonę, i że ten czarnuch groził Bennettowi nożem.

Wyjął z kanapki kawałek ciemnego mięsa, odłożył go na talerz i spojrzał na niego.

— Poza tym, tamtego dnia byłem z paroma osobami u fryzjera na zapleczu i wszyscy słyszeliśmy, jak groziłaś, że go zabijesz. Jeżeli ja to pamiętam, to możesz być pewna, że i oni też.

Wielkimi haustami wypił napój i wytarł usta papierową serwetką.

— Nie mogę powiedzieć, żeby Frank Bennett był jakimś moim dobrym kumplem... o, nie. Moja najstarsza dziewczucha przez niego mieszka z dzieciakiem w szopie pod lasem. Słyszałem też, co się wyprawiało u niego w domu. I śmiem twierdzić, że są tacy, którzy nie uronią ani jednej łzy, gdyby się okazało, że nie żyje. Ale coś mi się widzi, panienczko, że będziesz miała całą masę kłopotów, ponieważ fakt, że groziłaś mu dwukrotnie, jest zawarty w oficjalnym raporcie i mogę ci powiedzieć już teraz, że to nie wygląda najlepiej. Mówimy tu, panienczko, o morderstwie... o złamaniu prawa. A to nikomu nie ujdzie na sucho.

Odchylił się i przybrał swobodny ton.

— Oczywiście, mówiąc tylko hipotetycznie, gdybym był na twoim miejscu, kombinowałbym, że najlepiej będzie, jak to ciało nigdy nie zostanie odnalezione. Tak, tak by było najlepiej... i wszystko, co do niego należało. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś mógł udowodnić, że Frank Bennett w ogóle tu był, rozumiesz, i kombinowałbym sobie, znaczy się, gdybym był bystrym facetem, że ważne jest, żeby niczego nie znaleźli.

Zerknął na Idgie, żeby sprawdzić, czy go słucha. Słuchała.

— Tak jest, to by było fatalnie, bo musiałbym tu wrócić i zaarrestować ciebie i tego twojego czarnucha jako podejrzanych. Strasznie nie chciałbym tu wracać po ciebie, ale będę musiał, bo reprezentuję prawo i przysięgałem, że go nie złamię. Nie można postępować niezgodnie z prawem. Rozumiesz?

— Tak, proszę pana — odrzekła Idgie.

Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę, rzucił ją na stół, włożył kapelusz i powiedział, wychodząc:

— Oczywiście Grady może mieć rację. Możliwe, że Bennett niedługo pojawi się w domu. Ale ja nie będę czekał z założonymi rękami.

„GAZETA VALDOSTY”

7 stycznia 1931

Zaginiony mężczyzna prawdopodobnie nie żyje

Poszukiwania Franka Bennetta, lat 38, mieszkańca Valdosty, który wyszedł z domu wczesnym rankiem 13 grudnia zeszłego roku, zostały oficjalnie zakończone. Intensywne poszukiwania prowadzone przez detektywa Curtisa Smoote’a i detektywa Wendella Rigginsa doprowadziły ich aż do Tennessee i Alabamy. Jednakże nie odnaleziono ani Bennetta, ani ciężarówki, którą podróżował.

„Przeszukaliśmy wszystko cal po calu” — powiedział detektyw Smoote w wywiadzie udzielonym dziś rano. „Wygląda to tak, jakby po prostu rozplynął się w powietrzu”.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

19 marca 1931

Smutna wiadomość dla nas wszystkich

Po śmierci taty w zeszłym roku, Leona, Mildred, Patsy, Ruth i Edward Threadgoode'owie wybrali się w kolejną smutną podróż do domu na pogrzeb swojej mamy.

Po mszy wszyscy poszliśmy do domu Threadgoode'ów. Przybyli tam chyba wszyscy mieszkańcy Whistle Stop, by złożyć ostatni hołd mamie Threadgoode. Połowa nas właściwie wychowała się z tatą i mamą Threadgoode'ami. Nigdy nie zapomnę tych szczęśliwych chwil, które tam spędziliśmy, i jak zawsze byliśmy mile widziani. Co się mnie tyczy, to na jednym z ich wielkich przyjęć z okazji czwartego lipca poznałam moją lepszą połowę. Wszyscy przeżywaliśmy romans Cleo i Ninny i niejedną godzinę spędziliśmy, siedząc po kościele na ich ganku.

Wszystkim nam będzie jej brakować, a miasteczko bez niej już nigdy nie będzie takie samo.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

11 maja 1986

Evelyn Couch otworzyła plastikową torbę pełną marchewek i porów, które przyniosła dla siebie, i poczęstowała nimi swoją przyjaciółkę. Pani Threadgoode odmówiła i dalej jadła swoje orzeszki w pomarańczowej piance.

— Nie, dziękuję, kochana, surowe jedzenie mi nie służy. A dla czego ty jesz te surowe warzywa?

— To taka dieta. Mogę jeść wszystko, co nie zawiera tłuszczu i cukru.

— Znowu usiłujesz się odchudzić?

— Tak. Będę próbować, ale to trudne. Strasznie się roztyłam.

— Zrobisz, co zechcesz, ale ja i tak uważam, że wyglądasz świetnie.

— Och, pani Threadgoode, pani jest dla mnie taka miła, ale ja teraz noszę rozmiar szesnasty.

— Nie wyglądasz na to. Essie Rue... no, to dopiero była szafa. No, ale ona zawsze miała skłonności do tycia, od dzieciństwa. W końcu doszła do ponad stu kilo.

— Naprawdę?

— O, tak, ale jakoś nigdy się tym nie martwiła. Zawsze ubierała się w najlepsze ciuchy, a we włosy wpinała kwiatek do kompletu. Wszyscy mówili, że Essie Rue wygląda jak spod igły. Miała prześliczne rączki i stopki. Wszyscy w Birmingham podziwiali jej urocze stopki, kiedy została zatrudniona do gry na wspaniałym Wurlitzerze...

— Na czym?

— Na wielkich organach Wurlitzera. Od lat stały w kinie Alabama. Podobno to były największe organy na Południu, i pewnie to prawda. Wsiadaliśmy wszyscy do tramwaju i jechaliśmy do kina. Chodziłam na wszystkie filmy z Ginger Rogers. Była moją ulubioną aktorką. To najbardziej utalentowana dziewczyna w Hollywood. Nie obejrzę filmu, je-

żeli ona w nim nie występuje... Potrafi wszystko: tańczyć, śpiewać, grać... co tylko dusza zapragnie...

W każdym razie, między seansami gasły światła i rozlegał się męski głos: „A teraz, kino Alabama ma zaszczyt przedstawić...” — Zawsze tak mówił: „Zaszczyt przedstawić” — „...pannę Essie Rue Limeway grającą na wspaniałym Wurlitzerze”. I wtedy gdzieś z oddali zaczynały dochodzić dźwięki muzyki... a potem z nagła spod podłogi wyłaniały się te ogromne organy i Essie Rue zaczynała grać swój popisowy numer *Jestem zakochana w mężczyźnie z Księżycy*. Padały na nią światła wszystkich reflektorów, a od dźwięku organów, który wypełniał całe kino, aż drżały ściany. Potem Essie odwracała się, uśmiechała, nie myląc przy tym klawiszy, i przechodziła do następnej piosenki. Zanim się człowiek zdążył zorientować, już grała *Gwiazdy spadły na Alabamę* czy *Życie to miska czereśni*, a jej maleńkie stopki muskały klawisze jak motylki! Nosila buciki z paskami wokół kostki, które specjalnie zamówiła w sklepie Lovemana.

Można by powiedzieć, że wszędzie przybierała na wadze, ale niezupełnie tak było, bo było tylko jej ciało.

Każdy ma jakieś mocne strony, a i ona знаła swoje i umiała je wykorzystać. Dlatego nie mogę znieść, kiedy jesteś taka niezadowolona z siebie. Któregoś dnia powiedziałam pani Otis: „Evelyn Couch ma najpiękniejszą cerę, jaką kiedykolwiek widziałam”. Wygląda, jakby matka przez całe życie trzymała ją w wacie”.

— Dziękuję, pani Threadgoode.

— Ależ to prawda. Nie masz ani jednej zmarszczki. Powiedziałam też pani Otis, że powinnaś się zastanowić nad sprzedażą kosmetyków Mary Kay. Z twoją cerą i osobowością raz dwa kupiłabyś sobie różowego cadillaca. Moja sąsiadka, pani Hartman, ma siostrzenicę, która sprzedaje ich kosmetyki, zrobiła fortunę i dostała od Mary Kay różowego cadillaca jako premię. A nie jest nawet w połowie taka ładna jak ty.

— Och, pani Threadgoode, dziękuję, że pani tak mówi, ale jestem za stara, żeby się w coś takiego pakować – powiedziała Evelyn. — Oni szukają młodych kobiet.

— Evelyn Couch, jak możesz tak mówić, przecież jesteś jeszcze młodą kobietą. Czterdzieści osiem lat to betka! Masz przed sobą jeszcze pół życia! Mary Kay nie patrzy na wiek. Ona sama już nie jest dzierlatką. Gdybym była na twoim miejscu, miała twoją cerę i tyle lat, co ty, postarałabym się o tego cadillaca. Oczywiście najpierw musiałabym zrobić prawo jazdy, ale i tak bym weszła w ten interes.

Evelyn, pomyśl tylko, jeżeli dożyjesz mojego wieku, to masz przed sobą jeszcze trzydzieści siedem lat...

— Jak to jest mieć osiemdziesiąt sześć lat, pani Threadgoode? — Evelyn się roześmiała.

— Nie czuję się jakoś inaczej. Jak już mówiłam, to spada na człowieka w jednej chwili. Jednego dnia jesteś młoda, a już następnego dnia zaczyna ci zwisać biust i podbródek

i musisz nałożyć gumowy pas. Nie wiesz jednak, że jesteś stara. Oczywiście widzę to, kiedy patrzę w lustro... i czasami śmiertelnie mnie to przeraża. Moja szyja wygląda jak stara krepina, mam zmarszczkę na zmarszczce i nic nie mogę na to poradzić. Och, używałam jakichś specyfików firmy Avon na zmarszczki, ale efekty trwały tylko z godzinę, a potem zmarszczki wracały, więc w końcu przestałam się wygłupiać. Już nawet nie robię sobie makijażu. Używam tylko trochę lakieru do włosów i ołówka do brwi, żeby w ogóle je mieć... teraz są zupełnie białe, kochana... i cała jestem pokryta plamami wątrobowymi. — Spojrzała na dłonie. — Aż dziw, skąd się ich tyle bierze. — Roześmiała się. — Jestem już za stara nawet na to, żeby robić sobie zdjęcia. Kiedyś Francis chciał zrobić zdjęcie mnie i pani Otis, ale ja schowałam głowę. Powiedziałam, że aparat mógłby się zepsuć na mój widok.

Evelyn spytała, czy pani Threadgoode kiedykolwiek czuje się osamotniona.

— O, tak, czasami. Oczywiście wszyscy moi bliscy już umarli, ale niekiedy przychodzi ktoś z kościoła, żeby się ze mną przywitać i pożegnać. Tak to już jest — dzień do bry i do widzenia.

Czasami patrzę na zdjęcie Cleo i Alberta, zastanawiam się, co porabiają... i marzę o dawnych czasach.

Uśmiechnęła się do Evelyn.

— Tym teraz żyję, kochana, wspomnieniami, wspomnieniami o tym, co kiedyś robiłam.

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

18 listopada 1940

Kikutek w pokoju na zapleczu strzelał z pistoletu na gumowe kule do tekturowych kosów, a Ruth poprawiała klasówki, kiedy przez frontowe drzwi z hukiem weszła Idgie, wracając z corocznej wyprawy wędkarskiej klubu Dill Pickle.

Kikutek rzucił się na nią, o mało co jej nie przewracając.

Ruth ucieszyła się na jej widok, bo zawsze się martwiła, kiedy Idgie wyjeżdżała na tydzień czy dłużej, a zwłaszcza gdy była nad rzeką z Evą Bates. Kikutek wybiegł, żeby sprawdzić tylne schodki.

— Gdzie ryby?

— Kikutek — powiedziała Idgie — prawda jest taka, że złowiliśmy rybę, ale była taka wielka, że nie mogliśmy jej wyciągnąć z wody. Zrobiliśmy jej jednak zdjęcie, które samo waży dziesięć kilo...

— Och, ciociu Idgie, dlaczego nie złowiliście ani jednej ryby?!

W tej samej chwili usłyszeli:

— Hop-hop, to ja... ja i Albert przyszlismy w odwiedziny... — I, jak co dzień od dziesięciu lat, weszła wysoka, pełna wdzięku; kobieta z włosami związanymi w węzeł i z małym, upośledzonym chłopczykiem mniej więcej w wieku Kikutka. Zawsze witano ich, z radością.

— Hej, jak ci leci? — zapytała Idgie.

— Świetnie — odrzekła dziewczyna i usiadła. — A co u was?

— Mało brakowało, a byśmy miały na kolację parę zębaczy, ale chyba nie miały zębów, żeby złapać robaka. — Roześmiała się. — Zamiast nich mamy zdjęcia.

Ninny była rozczarowana.

— Ooch, Idgie, szkoda, że nie przyniosłaś jakiegoś zębacza... Dobry zębacz nie jest

zły. Jaka szkoda, aż mi ślinka leci.

— Ninny — powiedziała Idgie. — Zębacze nie biorą w samym, środku zimy.

— Nie? A przecież chyba są tak samo głodne zimą, jak latem, prawda?

Ruth jej przytaknęła.

— To prawda, Idgie. Dlaczego nie biorą o tej porze roku?

— Och, nie żeby nie były głodne. To musi mieć coś wspólnego z temperaturą robaków. Zębacze nie zje zimnego robaka, choćby nie wiadomo jak był głodny.

Ruth spojrzała na Idgie i pokręciła głową, jak zwykle zdumiona jej niestworzonymi historiami.

— To ma sens — powiedziała Ninny. — Sama nie cierpię zimnego jedzenia, a pewnie nawet gdybyś podgrzała te robaki, to i tak zdążyłyby wystygnąć, zanim znalazłyby się na dnie rzeki, prawda? A skoro mowa o zimnie, to czyż nie mamy w tym roku wyjątkowo mroźnej zimy? Jest zimno jak w psiarni.

Albert w drugim końcu pokoju bawił się z Kikutkiem i strzelał do tekturowych kosów. Ninny przyszło coś do głowy, gdy popijała kawę.

— Kikutek, a może byś przyszedł do mnie i postrzelał do tych wstrętnych kosów, które przesiadują na drutach telefonicznych? Nie chcę, żebyś im zrobił krzywdę, przegoń je tylko... Ciągle mi się wydaje, że podsłuchują nóżkami moje rozmowy telefoniczne.

Ruth, która uwielbiała Ninny, powiedziała:

— Och, Ninny, chyba w to nie wierzysz?

— Kochanie, tak mi powiedział Cleo.

„WIADOMOŚCI SLAGTOWN”
ROZMAITOŚCI
WYDAWANE PRZEZ PANA MILTONA JAMESA

19 listopada 1940

Rzekomy cud posłużył do wyłudzenia 50 \$ w gotówce

Pani Sallie Jinx mieszkająca przy 68-C Howell Street, S.E., wczoraj zgłosiła na policji, że padła ofiarą oszustwa. Pani Jinx zeznała, że jakaś kobieta, która przedstawiła jej się jako siostra Bell, przyszła do niej do domu i, powołując się na cudotwórstwo, zawiązała w chusteczkę 50 dolarów, którą następnie włożyła do dziupli z poleceniem, by rozwiązać chusteczkę dopiero po czterech godzinach. Kiedy chusteczka została rozwiązana, poszkodowana stwierdziła, że pieniądze zniknęły.

Toncille Robinson i E.C. Robinson uprzedzają swych znajomych, że nie odpowiadają nawzajem za swoje czyny.

Odszedł z naszej ulicy

8th Avenue już nigdy nie będzie taka sama. Artis O. Peavey, dobrze znany w całym mieście, przeniósł się do Windy City. Tęskni za nim cała żeńska część naszej populacji — tego możecie być pewni.

Panna Helen Reid była zmuszona zadzwonić na policję z powodu jakiegoś nocnego marko, który późną nocą usiłował dostać się do jej domu na Avenue F i wyrządzić jej krzywdę fizyczną... a kiedy przyjechali policjanci, aresztowali gentlemana, który chował się koło domu z kołkiem do rozbijania lodu w rękę i twierdził, że jest lodziarzem.

Czyżby to był pan Baby Shephard, niegdyś zakochany w pannie Reid?

Wiadomości muzyczne

Black and Tan Fantasy Ellingtona to nowa płyta wydana przez firmę Decca, interesująca i nowoczesna pozycja. Pianista w Creole gra w stylu boogie-woogie, co brzmi dość dziwnie, lecz efektownie.

10TH AVENUE
CHICAGO, ILLINOIS

20 listopada 1940

W Chicago padało, gdy Artis O. Peavey biegł ulicą. Zanurkował w drzwi pod szyldem z napisem OWOCE MORZA, SMAŻONA RYBA ZA 35 CENTÓW. Po drugiej stronie ulicy, w kinie RKO Alhambra grano *Handlarzy zbrodnią* i *Królestwo gangsterów*. Artis czuł się tu jak zbieg, z daleka od domu, chowając się przed śniadą panną o nazwisku Electra Greene. Stał, paląc chesterfielda i dumając o życiu i jego pułapkach. Jego matka mawiała, że za każdym razem, kiedy czuje się przygnębiona, zawsze pocieszała ją myśl o słodkim Jezusie. Nie takie jednak myśli podnosiły Artisa na duchu. Nowe siły wstępowały w niego na widok pewnej mięsistoustej czarnej piękności o jędrnych biodrach i to nie jego duch się podnosił — ku ucieście wspomnianej piękności. Jego główny problem w obecnej chwili polegał na tym, że kochał zbyt mocno i niezbyt mądrze. Zawsze ryzykował, gdy wchodziły w grę piękne żony mężów, Artis bowiem nie znał granic. Każda żywa kobieta należała do niego i z powodu tego braku poszanowania dla terytorium mężów, często był zmuszony wylizywać się z ran po nożu i składać do kupy połamane kości, co zdarzało mu się nader często.

Kiedyś, gdy został przyłapany z niewłaściwą kobietą o niewłaściwej porze, zaatakowała go śrubokrętem brązowoskóra Amazonka. Stał się o wiele ostrożniejszy po tej niefortunnej przygodzie, której rezultatem była całkiem interesująca blizna i naturalna niechęć do zadawania się z kobietami większymi od niego. Pozostał jednak wielkim uwodzicielem.

Ten chudy, mały człowieczek, tak czarny, że niemal granatowy, przysporzył wiele kłopotów płci przeciwnej.

Jedna dziewczyna wypła całą puszkę wosku do podłóg i poprawiła jeszcze kubkiem Cloroxu, usiłując zejść z tego świata, po którym chodził Artis. Kiedy ją odratowano

twierdziła, że płyny, które wypięła, zniszczyły jej wiarę w człowieka. Artis zaczął odczuwać niepokój po zmierzchu, gdyż parę razy napadła go od tyłu i walnęła w głowę torbą pełną kamieni.

Sprawa z Electrą Greene była jednak o wiele poważniejsza niż torba z kamieniami. Electra załadowała rewolwer kaliber .38, którego umiała używać, i jęła rzucać groźby dotyczące pozbawienia go męskości, kiedy się dowiedziała, że ją zdradzał. I to nie raz, ale osiem razy z panną Delilą Woods, jej zaprzysięgłym wrogiem, która również w wielkim pośpiechu musiała opuścić miasto.

Kiedy Artis stał dzisiaj w drzwiach, cierpiał tak bardzo, że wydawało mu się, że umrze. Tęsknił za Birmingham i chciał wrócić.

Codziennie po południu — jeszcze przed tym pośpiesznym wyjazdem z Birmingham — jeździł do Red Mountain swym niebieskim dwutonowym chevroletem z białymi jak ściana oponami. Parkował tam i oglądał zachód słońca.

Spoglądał z góry i widział huty żelaza i kominy, które wypluwały pomarańczowy dym aż do Tennessee. Nie istniało dla niego nic piękniejszego od tego miasta o tej porze, kiedy niebo było czerwono-fioletowe od łuny nad hut, a w całym mieście zapalały się światła neonów, migocąc i tańcząc po ulicach centrum i Slagtown.

Birmingham, miasto, które podczas Wielkiego Kryzysu Roosevelt nazwał „najciężej dotkniętym miastem w Stanach Zjednoczonych”... gdzie ludzie byli tak biedni, że Artis znał człowieka, który dałby się zastrzelić za pieniądze, i dziewczynę, która przez trzy dni moczyła sobie nogi w wodzie z solą i octem, pragnąc wygrać maraton tańca... gdzie był najmniejszy dochód na osobę... i gdzie znajdował się najlepszy cyrk na Południu...

Birmingham, które niegdyś miało najwyższy odsetek piśmienności, więcej przypadków chorób wenerycznych niż w jakimkolwiek innym mieście w Ameryce i jednocześnie szczyliło się największą liczbą uczniów szkoły niedzielnej, gdzie ciężarówki Pralni Królewskiej objechały kiedyś miasto z tablicami PIERZEMY TYLKO DLA BIAŁYCH i gdzie ciemnoskórzy obywatele siedzieli w tramwajach za drewnianymi przegródkami z napisem KOLOROWI, a w magazynach jeździli windami towarowymi.

Birmingham, Stolica Zbrodni Południa, gdzie tylko w 1931 roku zamordowano 131 osób. Mimo wszystko Artis kochał swoje Birmingham nie słabnącą miłością — od południa na północ, w mroźne, deszczowe zimy, kiedy czerwona glina spływała ze wzgórz i pokrywała ulice, i w zielone lata, kiedy zielona winorośl porastała stoki gór, zarastała pnie drzew i słupy telefoniczne, a powietrze było wilgotne i ciężkie od zapachu gardenii i pieczonej wieprzowiny. Artis zjechał cały kraj — od Chicago do Detroit, od Savannah do Charlestonu i do Nowego Jorku, lecz zawsze z radością wracał do Birmingham. Jeżeli istnieje coś takiego jak szczęście całkowite, to jest nim świadomość, że jest się na właściwym miejscu, a Artis był absolutnie szczęśliwy od momentu, kiedy przy-

był do Birmingham.

Dzisiaj więc postanowił wracać do domu, wiedział bowiem, że prędzej umrze, niż jeszcze choć trochę wytrzyma bez Birmingham. Tęsknił za nim tak, jak większość mężów tęskni za swoimi żonami. A nią właśnie miała zostać panna Electra Greene... to znaczy, jeżeli pozwoli mu tam mieszkać.

Kiedy przechodził koło baru Fife and Drum, z szafy grającej popłynęła melodia:

*Na południe od Birmingham, na Południu, w Alabamie,
Jest stara knajpa, gdzie ludzie tańczą całą noc,
Ściągają zewsząd, by tańczyć swinga,
Ten południowy taniec, który chce się tańczyć
Aż do wschodu słońca.
Na każdej ulicy, gdzie się spotykają,
Wszyscy cię witają wystrojeni.
Przyłącz się, zapomnij o troskach, przyłącz się do nas,
Znajdziesz tam i mnie. Żegnaj, miasto!
Wyruszam do Tuxedo Junction.*

„WIADOMOŚCI SLAGTOWN”
ROZMAITOŚCI
WYDAWANE PRZEZ PANA MILTONA JAMESA

25 listopada 1950

Znany kawaler z Birmingham żeni się

Panna Electra Greene, córka pana i pani R.C. Greene’ów, została uroczą małżonką pana Artisa O. Peaveya, syna pana i pani George Peaveyów z Whistle Stop w Alabamie.

Ślubu udzielił doktor John W. Nixon, pastor Pierwszego Kościoła Kongresowego, wykonawcą zaś muzyki ślubnej był utalentowany pan Lewis Jones.

Olśniewająca panna młoda

Piękna panna młoda wyglądała niezwykle uroczo w stroju koloru leśnej zieleni, z bursztynowymi dodatkami. Miała na sobie brązowy filcowy kapelusz, rękawiczki i buty do kompletu oraz bukiet z lilii.

Panna Ptaszyca Peavey, siostra pana młodego, zachwycała wełnianą suknią koloru zieleni winogron udrapowaną z przodu, naszyjnikiem z wielobarwnych koralików i wiśniowymi rękawiczkami oraz bucikami.

Barwne wesele

Wesele odbyło się bezpośrednio po ceremonii zaślubin w domu pani Lulu Butterfork, znanej w kręgach salonów piękności, która jest jednocześnie specjalistką od makiażu oraz fryzjerką, a także specjalistką od peruk.

Wielu dobrze znanych mieszkańców Birmingham, którzy bawili na tym barwnym przyjęciu weselnym, mogło skosztować ponczu, lodów i rozmaitych ciast, a także okazać zachwyt na widok wystawionych niezliczonych prezentów ślubnych.

W poniedziałek w nocy, piątego października o jedenastej po kolacji, przyjęcie weselne zostało zaszczycone ognistym tańcem, w którym wodzirejem była pani Toncille

Robinson.

Wydarzenie to było pełne przepychu, o czym przekonała się kawiarnia Mały Savoy, scena wybranych uroczystości, na tę okazję świątecznie udekorowana. Stał w niej długi, suto zastawiony stół pełen rozmaitych potraw. Podano gorącą kolację składającą się z siedmiu dań z drobiu, w której przystawką było wino, zwieńczoną gorącą kawą i deserem.

Para młoda zamieszka w domu panny młodej na Fountain Avenue.

SUPERMARKET PIGLEY-WIGLEY

BIRMINGHAM, ALABAMA

19 maja 1986

Minęło dziewięć długich, ciężkich dni, odkąd Evelyn Couch przeszła na dietę. Dzisiaj obudziła się z uczuciem euforii. Wydawało jej się, że ma pełną kontrolę nad własnym życiem, że jest wysoka i szczupła, a kiedy się poruszała, czuła się gibka i pełna wdzięku. Tych dziewięć dni było niczym wspinaczka na górę, a teraz Evelyn wiedziała, że dotarła do szczytu. Dzisiaj gdzieś w głębi serca czuła, że już nigdy w życiu nie zje czegoś, co nie jest kruchutkie i świeże — czyli takie, jak ona w tej właśnie chwili.

Kiedy weszła do supermarketu, szybko przemknęła koło ciastek, herbatników, białego pieczywa i przejścia numer trzy, w którym stały puszkę i gdzie zawsze spędzała większość swojego czasu na zakupy, natomiast udała się prosto do działu mięsnego, gdzie zażądała piersi kurczaka bez skóry. Potem poszła do działu warzywniczego, który odwiedzała z rzadka i tylko po to, by kupić ziemniaki, i kupiła świeże brokuły oraz cytryny i limonki do wody Perrier. Zatrzymała się na chwilę przy stoisku z gazetami, gdzie kupiła magazyn „Miasto i wieś” z artykułem o Palm Beach, i wreszcie stanęła przy ekspresowej kasie, gdzie została powitana przez ekspedientkę.

— Witam, pani Couch, jak się dzisiaj pani miewa?

— Świetnie, Mozell, a ty?

— Doskonale. Czy to będzie wszystko na dzisiaj?

— Tak.

Mozell podliczyła ceny.

— Bardzo ładnie dzisiaj pani wygląda, pani Couch.

— Dziękuję. Jestem w dobrym nastroju.

— No, to na razie. Życzę miłego dnia.

— Dziękuję i nawzajem.

Kiedy Evelyn wychodziła ze sklepu, przez drzwi z napisem WYJŚCIE wskoczył jakiś chłopak o paskudnej twarzy, świńskich oczkach, w poplamionych spodniach i w podkoszulku, i ją potrafił. Pognał dalej, a Evelyn, której to nie popsulo dobrego humoru, wymruczała pod nosem:

— Co za wychowanie.

Chłopak odwrócił się i z buńczuczną miną odparował:

— Spierdalaj, dziwko!

Po czym poszedł dalej.

Evelyn odjęło mowę. Nienawiść w jego oczach zaparła jej dech w piersiach. Poczuli, że cała drży, i zaczęła płakać. Czuła się zupełnie tak, jakby ją ktoś uderzył. Zamknęła oczy i nakazała sobie zachować spokój. To tylko obcy człowiek. To nic nie znaczy. Nie denerwuj się. Ale im więcej o tym myślała, tym większego nabierała przekonania, że tę sprawę trzeba załatwić. Wyjdzie na zewnątrz, poczeka na niego i powie mu, że tylko chciała wyjaśnić sytuację, nie zamierzała zranić jego uczuć i że jest pewna, że pomyłkowo wszedł przez niewłaściwe drzwi i wpadł na nią niechcący. Była przekonana, że jak tylko mu to wytłumaczy, chłopakowi zrobi się przykro, wszystko dobrze się zakończy, a ona wróci do domu znowu w dobrym nastroju.

Chłopak wyleciał ze sklepu z sześcioma butelkami piwa i przeszedł koło niej. Przyspieszyła kroku i dogoniła go.

— Przepraszam. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że niepotrzebnie się na mnie tak zdenerwowałeś tam, w sklepie. Ja tylko próbowałam...

Rzucił jej spojrzenie pełne odrazy.

— Odchrzań się ode mnie, ty głupia krowo!

Evelyn nie mogła złapać tchu.

— Przepraszam. Jak mnie nazwałeś?

Poszedł dalej, nie zwracając na nią uwagi. Pobiegła za nim, cała we łzach.

— Jak mnie nazwałeś? Dlaczego jesteś dla mnie taki nieprzyjemny? Co ja ci zrobiłam? Nawet mnie nie znasz!

Chłopak otworzył drzwi swojej półciężarówki i Evelyn, cała rozhisteryzowana, chwyciła go za ramię.

— Dlaczego? Dlaczego jesteś dla mnie taki nieprzyjemny?

Odtrącił jej rękę i przyłożył pięść do nosa. Jego oczy i cała twarz pałały nienawiścią.

— Nie pogrywaj ze mną, suko, albo cię kopnę w ten pieprzony łeb, ty tłusta, głupia cipo!

I z tymi słowami odepchnął ją i przewrócił.

Evelyn nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Zakupy rozsypały się wszędzie wokół niej. Dziewczyna z tłustymi włosami i w elastycznej bluzce bez pleców, czekająca na chłopaka, spojrzała w dół na Evelyn i się roześmiała. Chłopak wsiadł do ciężarów-

ki, włączył wsteczny bieg i z piskiem opon wyjechał z parkingu, obrzucając Evelyn stemieniem wyzwisk.

Siedziała na ziemi z krwawiącym łokciem, stara, tłusta i znowu nic niewarta.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

12 grudnia 1941

Wojna wybuchła

Grady Kilgore, który stanął na czele komisji rekrutacyjnej w Whistle Stop, mówi, że-
byście chłopcy przyszli, podpisali się i mieli to z głowy.

Ostatnio koło naszego miasteczka przejeżdżają same pociągi wojskowe i czołgi. Aż
dziw bierze, skąd się one wszystkie biorą i dokąd jadą.

Wilbur mówi, że wojna nie potrwa dłużej niż pół roku. Mam nadzieję, że chociaż ten
jeden raz ma rację.

Kwartet Salonu Fryzjerskiego dla Pań Jolly Belles został zaproszony do udziału w Na-
rodowym Zjeździe Kwartetów Salonów Fryzjerskich dla Pań w Memphis w stanie Ten-
nessee, który się odbędzie wiosną przyszłego roku i na którym nasz kwartet ma wyko-
nać swą najbardziej popularną interpretację *Umoczn pędzel w słońcu i maluj dalej*.

Wielebny Scroggins prosi, by osoba, czy osoby, które podają jego adres i numer tele-
fonu ludziom szukającym whisky, przestały to robić, gdyż jego żona, Arna, jest komple-
tnie załamana nerwowo i w tym tygodniu miała kilka ataków hysterii. Bobby Lee Scrog-
gins zaciągnął się do marynarki. A przy okazji, ten medal wiszący w oknie nad kawiar-
nią jest dla Williego Boya Peaveya, syna Onzell i Dużego George’a, który jest pierwszym
kolorowym żołnierzem z Troutville, który się zaciągnął do wojska.

...Dot Weems.

PS. Wszyscy szykują się do corocznego świątecznego przedstawienia, a z powodu
braku mężczyzn w naszym miasteczku, w roli trzech mędrców zostały obsadzone Opal,
ja i Ninny Threadgoode.

212 RHODES CIRCLE
BIRMINGHAM, ALABAMA

8 sierpnia 1986

Kiedy tamten chłopak z supermarketu tak strasznie ją wyzwiał, Evelyn poczuła, że została naruszona jej intymność. Czuła, że została zgwałcona za pomocą słów. Zawsze starała się unikać takich sytuacji, zawsze się bała, że może się narazić jakiemuś mężczyźnie, zawsze przerażały ją słowa, jakimi by wówczas została obrzucona. Całe życie spędziła, chodząc na paluszkach wokół mężczyzn, jak ktoś unoszący spódnicę, by przejść przez ogrodzenie dla bydła. Zawsze przeczuwała, że, sprowokowane, słowa te mają taką moc, iż gotowe są wybuchnąć i ją zniszczyć.

I w końcu tak się stało. Ona jednak żyła. Zaczęła więc się zastanawiać. Zupełnie jakby akt przemocy tamtego chłopaka zmusił ją do tego, by wreszcie przyjrzała się sobie i zaczęła zadawać pytania, których unikała w lęku przed koniecznością odpowiedzi.

Co to za siła, podstępna groźba, niewidzialny pistolet przystawiony do jej głowy i kontrolujący jej życie... czym jest ten lęk przed byciem obrzuconą wyzwiskami?

Kiedyś była dziewicą, by jej nie wyzwano od puszczalskich i dziwek; wyszła za męża, by jej nie wyzwano od starych panien; udawała orgazm, by jej nie wyzwano od oziębłych; urodziła dzieci, by jej nie wyzwano od bezpłodnych; nie została feministką, by jej nie wyzwano od dziwaczek nienawidzących mężczyzn; nigdy nie narzekała i nie podnosiła głosu, by jej nie wyzwano od zrzęd...

Robiła to wszystko, a jednak ten nieznajomy wpełznął ją do rynsztoka, obrzucając przekleństwami, którymi mężczyźni obrzucają kobiety, gdy są wściekli.

„Dlaczego to zawsze wyzwiska związane z seksem?” — zastanawiała się Evelyn. „I dlaczego kiedy mężczyzna chce obrazić drugiego mężczyznę, nazywa go «babą»? Jak by to była najgorsza rzecz na świecie. Czym sobie na to zasłużyliśmy, żeby nas nazywać «cipami»? Ludzie już nie używają wyzwisk związanych z czarnymi, przynajmniej

nie prosto w twarz. Włosi nie są już Italiańcami czy makaroniarzami, w kulturalnej rozmowie nie ma już Żydków, żółtków, Japońców czy Indiańców. Każdy ma swoją grupę, która protestuje i która go obroni. Ale kobiety wciąż są poniżane przez mężczyzn. Dlaczego? Gdzie jest nasza grupa? To nie fair”. Coraz bardziej się denerwowała. „Szkoda, że nie ma przy mnie Idgie” — pomyślała. „Ona nie pozwoliłaby tamtemu chłopakowi tak mnie zwymyślać. Zakładam się, że to ona by go znokautowała”.

I wtedy przestała się zastanawiać, gdyż — ni z tego, ni z owego — ogarnęło ją uczucie, którego dotąd nie знаła i które ją przeraziło. I tak, dwadzieścia lat później niż większość kobiet, Evelyn Couch wpadła w gniew.

Była wściekła na siebie, że tak się boi. Wkrótce cały ten spóźniony gniew jął się objawiać w dziwny i szczególny sposób. Po raz pierwszy w życiu zapragnęła być mężczyzną. Nie dla przywileju posiadania tego szczególnego wyposażenia, tak drogiego wszystkim mężczyznom. Nie. Pragnęła męskiej siły, by wtedy w supermarkecie móc zgnieść tamtego plugawego śmiecia na papkę. Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby była mężczyzną, przede wszystkim nie używałaby wszystkich tych przekleństw. W swych marzeniach widziała siebie wyglądającą tak jak w rzeczywistości, lecz mającą siłę dziesięciu mężczyzn. Stała się superwoman. I w myślach biła tamtego paskudnego chłopaka, aż wreszcie padał na ziemię cały połamany i krwawiący, błagający o zmiłowanie. Ha!

Tak oto, w czterdziestym ósmym roku życia, narodził się niewiarygodny sekret życia pani Evelyn Couch z Birmingham w stanie Alabama.

Niewiele osób, które widywały tę pulchną, przystojną gospodynię domową w średnim wieku, pochodzącą ze średniej klasy społecznej, robiącą zakupy lub załatwiającą inne codzienne sprawunki, odgadłoby, że w swej wyobraźni bombarduje ona z karabinu maszynowego genitalia gwałcicieli i kopie okrutnych mężów swymi specjalnie zaprojektowanymi butami.

Evelyn wymyśliła nawet dla siebie sekretne imię... imię siejące zgrozę na całym świecie: TOWANDA MŚCICIELKA!

I kiedy Evelyn z uśmiechem załatwiała swoje sprawunki, Towanda zajęta była nękaniami elektrycznym poganiaczem dla bydła mężczyzn molestujących seksualnie dzieci, aż im włosy stawały dęba na głowie. Umieszczała maleńkie bomby w „Playboyu” i „Penthouse”, które eksplodowały przy otwieraniu. Aplikowała handlarzom narkotyków ogromne dawki i zostawiała ich konających na ulicy. Tego lekarza, który powiedział jej matce, że ma raka, zmusiła, by przeszedł nago ulicą, podczas gdy cały świat medyczny, włączając w to dentystów i higienistki, wyszydzał go i rzucał w niego kamieniami. Miłosierna mścicielka zawsze czekała, aż skończył swój pochód i dopiero wtedy miażdżyła mu mózg młotem pneumatycznym.

Towanda potrafiła zrobić wszystko, czego tylko zapragnęła. Cofała się w czasie i jed-

nym ciosem zwałała z nóg apostoła Pawła za to, co napisał: że kobiety powinny siedzieć cicho. Towanda udawała się do Rzymu, spychała z tronu papieża i sadzała na nim zakonnicę, a księży zmuszała do gotowania i sprzątanía. Towanda pojawiała się w programie *Spotkanie z prasą* i na zimno, z krzywym uśmieszkiem i spokojnym głosem zagadywała każdego, aż wszyscy czuli się tak pokonani przez jej błyskotliwość, że z płaczem uciekali z areny. Jechała do Hollywoodu i zarządzała, by wszyscy najpopularniejsi aktorzy występowali z kobietami w swoim wieku, a nie z dwudziestolatkami o idealnych ciałach. Pozwalała, by szczury zjadały wszystkich właścicieli lichych domów czynszowych, którzy zdierali skórę ze swych lokatorów, i wysyłała jedzenie, a także wykaz technik kontroli urodzin zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet, do biednych ludzi z całego świata.

Z powodu swojego wizjonerstwa i intuicji stała się znana jako Towanda Wspaniałomyślna, Naprawiaczka Błędów i Najmiłociwsza Królowa.

Towanda zarządziła, że: w rządzie i na rozmowach pokojowych powinna zasiadać równa liczba mężczyzn i kobiet; ona i jej zespół wybitnych chemików wynajdą lekarstwo na raka i pigułkę, dzięki której można będzie jeść, co się chce i nie tyć; ludzie będą musieli starać się o zezwolenie na posiadanie dzieci i udowodnić, że sprostają finansowo i emocjonalnie ich wychowaniu — nigdy więcej bitych i głodnych dzieci. Jerry Falwell będzie odpowiedzialny za wychowanie wszystkich nieślubnych dzieci pozbawionych domu; nie wolno będzie usypiać kotków i szczeniactków, które teraz dostaną własny stan, może Nowy Meksyk albo Wyoming; nauczyciele i pielęgniarki zaczną dostawać takie samo wynagrodzenie jak zawodowi piłkarze.

Przerwie budowę wszystkich bloków, zwłaszcza tych z dachami z czerwonej dachówki, a Van Johnson dostanie własny program w telewizji... był jednym z ulubieńców Towandy.

Osoby wypisujące obraźliwe napisy na murach zostaną unurzane w kadzi z niezmywalnym tuszem. Dzieciom sławnych rodziców zabroni się pisanía książek. I osobiście dopilnuje, by wszyscy ciężko pracujący, mili mężczyźni i tatusiowie pojechali na wycieczkę na Hawaje i dostali własną motorówkę.

Towanda poszła na Madison Avenue i przejęła kontrolę nad wszystkimi magazynami mody. Wszystkie modelki ważące mniej niż sześćdziesiąt sześć kilogramów zostały zwolnione, a zmarszczki od tej pory stały się modne. W całym kraju została wstrzymana sprzedaż chudego twarogu. To samo dotyczyłoby marchewki.

Ba, zaledwie wczoraj Towanda wmaszerowała do Pentagonu, zabrała wszystkie bomby i pociski i w zamian dała im zabawki, a jej siostry w Rosji zrobiły to samo. Potem wystąpiła w wieczornych wiadomościach o szóstej i rozdała cały budżet armii wszystkim ludziom w Stanach Zjednoczonych powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia. Towanda przez cały dzień była tak zajęta, że wieczorem Evelyn bez sił padała na łóżko.

Nic dziwnego. Dzisiaj wieczorem, kiedy Evelyn robiła kolację, Towanda skazała na śmierć cały pokój producentów filmów porno i zbrojnych wykorzystujących dzieci. A później, kiedy Evelyn zmywała naczynia, Towanda była w trakcie rozwalania jedną ręką całego Środkowego Wschodu, żeby uniknąć trzeciej wojny światowej. I tak, kiedy Ed ryknął ze swej nory, by podać mu kolejne piwo, zanim Evelyn zdążyła ją powstrzymać, Towanda mu odwrzasnęła:

— SPIERDALAJ, ED!

Bardzo cicho wstał ze swojej leżanki i wszedł do kuchni.

— Evelyn, dobrze się czujesz?

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

9 lutego 1943

Wojna nabiera tempa

Moja druga połowa, jak i niemal wszyscy inni na kolei, pracuje na dwie zmiany, jako że przemysł żelazny i stalowy produkują w zdwojonym tempie, więc czuję się strasznie osamotniona. No, ale skoro pomaga Wujowi Samowi i naszym chłopcom, to chyba to jakoś zniosę.

Tommy Glass i Ray Limeway przesyłają pozdrowienia z obozu.

A przy okazji, czy ktoś widział zwycięski ogród Idgie i Ruth koło starego domu Threadgoode'ów? Idgie mówi, że Sipsej wyhodowała jaśka wielkości srebrnej dolarówki. Ja u siebie dorobiłam się zaledwie paru słodkich ziemniaków.

Trzy z członkiń kwartetu Salonu Fryzjerskiego dla Pań Jolly Belles, ja, Biddie Louise Otis i Ninny Threadgoode, pojechały do Birmingham, zjadły kolację w kawiarni Britlinga, a potem poszły na występ naszej Essie Rue Limeway. Film, który tam grali, nawet w połowie nie był tak dobry jak występ w przerwie. Aż pękamy z dumy. Chciałyśmy powiedzieć wszystkim w kinie, że to nasza znajoma. Ninny wręcz odwróciła się do swojego sąsiada i poinformowała go, że Essie Rue to jej szwagierka.

A przy okazji, pamiętajcie, żeby oszczędzać gumę.

...Dot Weems.

PS. Kto powiedział, że jesteśmy słabszą płcią? W zeszłą niedzielę biedny Dwane Glass zemdlał na własnym ślubie i przez całą ceremonię musiała go podtrzymywać panna młoda. Powiedział, że poczuł się o wiele lepiej, kiedy już było po wszystkim. Zaraz po miesiącu miodowym idzie do wojska.

WHISTLE STOP, ALABAMA

12 stycznia 1944

W Birmingham, na wielkim dworcu L & N, orkiestra dęta i tłum złożony z pięćset osób zgromadzili się, by powitać wracających do domu synów, mężów i braci, bohaterów wojennych. Flagi już powiewały, czekając na pociąg o szóstej dwadzieścia z Waszyngtonu.

Dziś jednak pociąg zatrzymał się na pierwszej stacji, dwadzieścia minut drogi od Birmingham, gdzie na końcu peronu stała murzyńska rodzina, czekająca na syna. Z wagonu bagażowego cicho wyniesiono drewnianą trumnę i postawiono ją na wozie, który miał ją zawieźć torami do Troutville.

Artis, Jasper i Ptaszyca szli koło Onzell, Sipsej i Dużego George'a. Gdy mijali Grady'ego Kilgore'a, Jacka Buttsa i chłopców z kolei, wszyscy zdjęli kapelusze i z szacunkiem pochylili głowy. Nie było flag, orkiestry czy medali, nic tylko tekturowa tabliczka na trumnie z napisem P.F.C. W.C.* PEAYEY. Ale po drugiej stronie ulicy, w oknie kawiarni, wisiała flaga i medal oraz tablica z napisem: WITAJ W DOMU, WILLIE BOY...

Ruth, Idgie i Kikutek już pojechali do Troutville, żeby tam czekać na nich z innymi.

Słodki Willie Boy, Cudowny Pocieszyciel Peavey, chłopak, który został przyjęty do Instytutu Tuskegee... ten bystrzak, który miał zostać prawnikiem, przywódca swych ludzi, jasne światło prowadzące z zapadłej dziury w Alabamie do Waszyngtonu. Willie Boy, ten który miał szansę się wybić, zginął po barowej bójce z ręki czarnego żołnierza o nazwisku Winston Lewis, pochodzącego z Newark w stanie New Jersey.

Willie Boy opowiadał o swoim tacie, Dużym George'u, na którego imię w rodzinnych stronach i czarni, i biali zawsze reagowali tak samo: „To dopiero mężczyzna”. Ale

*P.F.C. W.C. — Private First Class Water Closet (ang.) — prywatna klasa pierwsza z toaletą

Winston Lewis powiedział, że każdy, kto pracuje dla białych, zwłaszcza w Alabamie, to nikt tylko podły, głupi, leniwy Wuj Tom. Williego Boya nauczono, że aby przetrwać, nie należy reagować na obelgi i trzeba skrywać nawet najdrobniejsze przejawy agresji czy gniewu. Tamtej jednak nocy, kiedy Winston się tak wyraził, Willie pomyślał o swoim tacie i roztrzaskał butelkę piwa na twarzy żołnierza, który jak długi padł na podłogę.

Następnego wieczoru, kiedy Willie Boy spał, od ucha do ucha podcięto mu gardło. Potem Winston Lewis bez pozwolenia oddalił się ze swej jednostki. Wojsko za bardzo się nie przejęło — byli już przyzwyczajeni do bójek na noże w oddziałach złożonych z kolorowych — i tak Willie Boy wrócił do domu w pudełku.

Na pogrzebie Ruth, Smokey i wszyscy Threadgoodéowie siedzieli w kościele w pierwszym rzędzie, a Idgie wygłosiła mowę w imieniu rodziny. Pastor w kazaniu mówił o Jezusie, który wcześniej wzywa do siebie tylko najukochańsze dzieci, a także o woli wszechmocnego Ojca, który zasiada w niebie na złotym tronie. Cała kongregacja się kołysała, odpowiadając: „Niech się stanie woła Pana”.

Artis odpowiadał z całą resztą i kołysał się na swoim krześle, patrząc, jak jego matka krzyczy z bólu, lecz po mszy nie poszedł na cmentarz. Kiedy Williego Boya spuszczano do zimnego grobu w ziemi z czerwonej gliny, Artis wskoczył do pociągu jadącego do Newark w New Jersey. Szukał niejakiego pana Winstona Lewisa z zamiarem poderżnięcia mu gardła.

...A kongregacja śpiewała: „O Panie, nie przesuwaj mojej góry, lecz daj mi siły, bym mógł się na nią wspiąć...”

Trzy dni później w papierowej torbie, parę ulic od domu Winstona Lewisa, znaleziono jego serce.

„TYGODNIK DOT WEEMS’
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

24 lutego 1944

Kabaret „Izolotka” przebojem sezonu

Klub Dill Pickle wystawił swój coroczny kabaret „Izolotka”, który był najlepszy ze wszystkich do tej pory.

Grady Kilgore wystąpił jako Shirley Temple, która śpiewała *On the Good Ship „Lollipop”*. Ciekawe, czy wszyscy wiedzieli, jakie ładne nogi ma nasz szeryf? A moja druga połowa, Wilbur Weems, śpiewał *Red Sails in the Sunset*. Podobało mi się, ale w końcu nie powinnam oceniać, bo słyszę go codziennie pod prysznicem. Ha! Ha!

Najzabawniejszy skecz przedstawiał wielebnego Scrogginsa, którego grała Idgie Threadgoode, i Vestę Adcock, w którą wcieliła się Pete Tidwell.

Fryzury i makijaż wykonała Opal, a Ninny Threadgoode, Biddie Louise Otis i wasza szczerze oddana uszyły wszystkie kostiumy.

Tak zwanym „niebezpiecznym zwierzem” w skeczu Mutta i Jeffa był nikt inny jak Ring, buldog państwa Hadleyów, który wystąpił w masce gazowej.

Wszystkie zyski zostaną przekazane świątecznemu funduszowi pomocy potrzebującym w Whistle Stop i Troutville.

Chciałabym, żeby ta okropna wojna już się skończyła i żeby było po wszystkim. Wszyscy tęsknimy za naszymi chłopcami.

A przy okazji, wczoraj Wilbur usiłował zaciągnąć się do wojska. Dzięki Bogu, że jest za stary i ma platfusa, bo byśmy mieli kłopoty.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

28 lipca 1986

Evelyn odzyskała wszystkie kilogramy, które straciła, będąc na diecie, plus kilka więcej. Była tak przygnębiona, że nawet nie zauważyła, że pani Threadgoode znowu włożyła sukienkę na lewą stronę. Właśnie były zajęte jedzeniem dwuipółkilogramowego pudełka krówek Divinity, kiedy pani Threadgoode powiedziała:

— Zabiłabym dla odrobiny masła. Ta margaryna, którą tu podają, smakuje jak smalec. Podczas Wielkiego Kryzysu musieliśmy jeść tyle tego paskudztwa, że już nigdy go nie tknę. Obchodzę się więc bez niej i jem suche grzanki, z samą tylko marmoladą jabłkową.

Tak mi przyszło do głowy, że Idgie i Ruth kupiły kawiarnię w 1929 roku, w samym środku Kryzysu, a chyba nigdy nie mieliśmy tam margaryny. A przynajmniej nie mogę sobie tego przypomnieć. Jakie to dziwne, cały świat cierpiał, a w kawiarni te lata Kryzysu były dla mnie tak bardzo radosne, choć oczywiście nie było nam łatwo. Byliśmy szczęśliwi, choć o tym nie wiedzieliśmy.

Wiele nocy spędziliśmy, siedząc w kawiarni i słuchając radia. Słuchaliśmy Fibbera McGee i Molly, Amosa i Andy, Freda Allena... och, nie pamiętam ich wszystkich, ale byli naprawdę dobrzy. Nie, mogę oglądać tych programów, które pokazują w telewizji. Ludzie ciągle tylko strzelają i przeklinają. Fibber McGee i Molly nie krzyczeli na siebie. Amos i Andy trochę wrzeszczeli, ale tak zabawniej. A kolorowi w telewizji nie są ani trochę tak uroczy jak kiedyś. Sipsey chyba schowała Dużego George'a przed ludźmi, gdyby się tak wymądrzał jak tamci.

Nie chodzi tylko o telewizję. Pani Otis któregoś dnia była w supermarkecie i powiedziała jakiemuś kolorowemu chłopakowi, że da mu pięć centów, jeżeli zanieś jej zakupy do samochodu, a on tylko spojrzął na nią spode łba i sobie poszedł. Och, chodzi

też nie tylko o kolorowych. Kiedyś jechałyśmy samochodem i zanim pani Otis wjechała w te wózki z warzywami, kierowcy za nami trąbili, że coś okropnego, a kiedy nas mijali, jeden z nich pokazał nam środkowy palec. Po co się tak brzydtko zachowywać? Nie mam już nawet ochoty przeglądać gazet. Każdy walczy z każdym. Powinni dawać chłopakom jakieś środki uspokajające, żeby ochłonęli na jakiś czas. Tak zrobili z panem Dunawayem. Myślę, że złe wiadomości mają wpływ na ludzi, robią się od nich tacy podli. Kiedy więc pojawia się jakaś wiadomość, nie chcę jej słyszeć.

Ostatnio, od jakichś dziesięciu lat, czy coś koło tego, oglądam programy religijne. Lubię Klub P.T.L. Występuje tam dużo mądrych ludzi. Co jakiś czas wysyłam im pieniądze, jeżeli coś w ogóle mam. A co wieczór, od siódmej do ósmej słucham *Camp Meeting USA*. Lubię jeszcze Oral Roberts i Klub Siedmiuset. Podobają mi się tam prawie wszyscy oprócz tej wymalowanej kobiety, a i ona byłaby w porządku, gdyby cały czas nie płakała. Ojej, ona płacze i jak jest szczęśliwa, i jak jest smutna. Słowo daję, płacze z byle powodu. Tej to dopiero przydałyby się hormony. Nie lubię też tych kaznodziejów, którzy ciągle się wydzierają. Nie rozumiem, po co tak krzyczą, skoro trzymają w ręku mikrofon. Kiedy zaczynają tak wrzeszczeć, po prostu przełączamy kanał.

Powiem ci coś jeszcze: dowcipy w gazetach już wcale nie są śmieszne. Pamiętam, że kiedyś zawsze się można było pośmiać z Gasoline Alley czy Wee Willie Winkle. No i wprost uwielbiałam tego Małego Henry'ego... och, jakie on miał przygody. Myślę, że i ludzie już nie są szczęśliwi, nie tak jak kiedyś. Nie widuje się już zadowolonych twarzy, przynajmniej ja ich nie widzę. Kiedy Frances zaprowadziła nas na deptak, powiedziałam pani Otis: „Pani zobaczy, jakie ci ludzie mają wyschnięte, kwaśne mordki, nawet młodzież”.

— Ciekawe, dlaczego ludzie zrobili się tacy podli... — westchnęła Evelyn.

— Och, tak jest na całym świecie, kochana. Nadchodzi koniec świata. Do dwutyśczonego roku może jeszcze dociągnie, chociaż wątpię. Wiesz, słucham wielu dobrych kaznodziei i wszyscy mówią, że już zbliżamy się do końca. Podobno tak jest napisane w Biblii, w księdze Apokalipsy... Oczywiście nie wiedzą tak naprawdę. Nikt nie wie oprócz naszego dobrego Pana. Nie wiem, jak długo jeszcze pozwoli mi żyć nasz Pan, ale ja już się zbliżam do mety, to się wie. Dlatego właśnie każdy dzień podoba mi się tak bardzo, jakby miał być moim ostatnim. Chcę być gotowa. Dlatego też nic nie mówię na pana Dunaway'a i panią Adcock. Musimy żyć i pozwalać żyć innym. Evelyn czuła, że musi spytać:

— A co z nimi?

— Och, wydaje im się, że się zakochali. Tak mówią. Jaka szkoda, że nie widziałaś, jak się trzymają za rączki i się obcałowują. Córnka pana Dunaway'a odkryła to, przyszła tu i zaczęła grozić, że poda nasz dom do sądu. Wyzwała panią Adcock od ladacznicy!

— O, nie.

— O, tak, kochana... Powiedziała, że pani Adcock usiłuje im ukraść tatusia. Zrobiło się straszne zamieszanie, no i zabrali pana Dunawaya z powrotem do domu. Pewnie się bali, że on i pani Adcock nawiążą romans. Ja myślę, że już tylko mogą sobie o tym pomarzyć. Geneene powiedziała, że pan Dunaway wiele lat temu stracił swoją męską moc i teraz nie mógłby skrzywdzić nawet muchy... no to co by im zaszkodziło trochę się przytulać i pocałować? Vesta ma złamane serce. Aż strach pomyśleć, co teraz zrobi.

Ale powiem ci jedno: trzymają nas tu krótko.

— Na to wygląda — powiedziała Evelyn.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

1 sierpnia 1945

Mężczyzna wpadł do lakieru

Gdybym nie była jego żoną, nigdy bym w to nie uwierzyła... Moja druga połowa była na dworcu przetokowym, gdzie malowali pociągi wojskowe, i wpadła do dwustupięć-dzie-sięciogalonowego zbiornika z lakierem. Udało jej się stamtąd wyleźć, ale lakier zaschł tak szybko, że zanim Wilbur postawił nogę na ziemi, cały się zasklepił i musieliśmy go sprowadzić do domu Opal, żeby wycięła lakier z tego, co zostało z jego włosów. Dobrze, że nie mamy dzieci. Nie mam czasu się martwić o inne dzieciaki.

Czy ktoś zna dobrą niańkę dla męża... ?

Wszyscy strasznie się cieszymy, że wojna już się skończyła. Wczoraj przyjechał do domu Bobby Scroggins, a w zeszły czwartek — Tommy Glass i Ray Limeway. Hurra!

Same dobre wieści. Ninny Threadgoode przyniosła mi czterolistną koniczynę. Powiedziała, że Albert i ona znaleźli trzy takie w ogródku przed domem. Dzięki, Ninny.

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

15 sierpnia 1986

Geneene, czarna pielęgniarka, która szczyliła się tym, że jest twarda jak kamień, choć wcale taka nie była, powiedziała, że jest zmęczona. Pracowała dziś na dwie zmiany i przysłała do ich pokoju, by usiąść choć na minutkę i zapalić papierosa. Pani Otis poszła na zajęcia z malarstwa i rzemiosła, więc pani Threadgoode z radością powitała towarzystwo.

— Znasz tę kobietę, z którą rozmawiam co niedziela?

— Którą kobietę? — spytała Geneene.

— Evelyn.

— Evelyn...

— Taka mała, siwa kobietka przy kości. Evelyn... Evelyn Couch... Synowa pani Couch.

— A, tak.

— Powiedziała mi, że odkąd jeden facet ją zwymyślał w supermarkecie Pigley-Wigley, po prostu znienawidziła ludzi. „Och, kochana” — ja jej na to. „Z nienawiści nigdy nie było nic dobrego” mówię. „Od tego nic, tylko serce zamieni się w kamień. Ludzie są, jacy są i nic tego nie zmieni. Nie uważasz, że gdyby mieli wybór woleliby być inni? Pewnie, że tak. Ludzie są po prostu słabi”.

Evelyn powiedziała, że czasami nawet zaczyna nienawidzić własnego męża. On nic, tylko siedzi i gapi się na te mecze albo gada przez telefon, a ją, bez żadnego powodu, nachodzi ogromna ochota, żeby go walnąć w głowę kijem do baseballa. Biedna Evelyn, sądzi że jest jedyną osobą na świecie, która kiedykolwiek miała brzydkie myśli. Powiedziałam jej, że jej problem to coś naturalnego, co się zdarza parom, które są razem od bardzo dawna.

Pamiętam, kiedy Cleo kupił sobie swój pierwszy aparat na zęby, z którego był tak dumny. Aparat klekotał za każdym razem, kiedy Cleo gryzł, co mi tak działało na nerwy, że niekiedy musiałam odejść od stołu, żeby mu czegoś nie powiedzieć... a kochałam tego mężczyznę jak nikogo na świecie. Niestety, każdy musi przejść przez ten okres, kiedy zaczyna działać drugiemu na nerwy. No i któregoś dnia nie wiem, czy same z siebie przestały mu szczekać, czy po prostu się do tego przyzwyczyłam — w każdym razie któregoś dnia przestało mi to przeszkadzać. Takie rzeczy zdarzają się w najlepszych rodzinach.

Weźmy na przykład Idgie i Ruth. Nigdy nie widziałam, żeby dwoje ludzi było tak związanych ze sobą, ale nawet one przeszły przez trudny okres. Przez jakiś czas Ruth mieszkała u nas. Nigdy się nie dowiedziałam, o co poszło, nigdy też nie pytałam, bo to nie była moja sprawa, ale myślę, że Ruth się nie podobało, że Idgie tak się ciągle włóczyła nad rzeką, gdzie mieszkała Eva Bates. Obawiała się, że Eva wciąga Idgie w pijaństwo. Co zresztą było prawdą.

Ale tak jak powiedziałam Evelyn, każdy ma swoje dziwactwa.

Biedna Evelyn, martwię się o nią. Ta menopauza nieźle jej dała w kość! Mówiła, że nie tylko ma ochotę walnąć Eda w łeb, ale ostatnio miewa fantazje, w których jest ubrana cała na czarno, wychodzi w nocy i zabija złych ludzi z karabinu maszynowego. Wyobrażasz sobie?

„Kochana” — mówię. „Naoglądałaś się telewizji. Masz natychmiast wybić sobie takie myśli z głowy! Poza tym, nie my powinniśmy oceniać innych ludzi. W Biblii jest napisane, czarno na białym, że w dzień Sądu Ostatecznego Jezus zstąpi na ziemię z zastępem anielskim, by osądzić każdego, kto żyw i zmarły”.

Evelyn spytała mnie, kto to jest ten „żyw”, i — wiesz co? — po raz pierwszy w życiu nie wiedziałam, co powiedzieć!

KLUB WĘDKARSKI I RZECZNY

WAGON WHEEL

WARRIOR RIVER, ALABAMA

3 czerwca 1946

Paliły się niebieskie lampki, w środku rozbrzmiewały ludzkie głosy, a nad całą rzeką dudniła muzyka z szafy grającej. Idgie stała na samym środku sali, pijąc piwo Pabst Blue Ribbon i popijając je następnym piwem Pabst Blue Ribbon. Dziś zrezygnowała z whisky, gdyż poprzedniej nocy wypiała tyle, że na jakiś czas mogło jej wystarczyć. Jej przyjaciółka Eva szalała z paroma chłopakami, którzy tego wieczoru powinni być na zebraniu klubu Elks w Gate City. Przeszła koło Idgie i spojrzała na nią.

— Boże święty, dziewczyno, co się z tobą dzieje? Wyglądasz jak jaszczurka na kacu! Hank Williams na całe gardło śpiewał, że z tej samotności chyba niedługo umrze.

— Ruth się wyprowadziła — powiedziała Idgie.

— Co? — Eva natychmiast zmieniła ton.

— Wyprowadziła się. Przeniosła się do domu Cleo i Ninny.

Eva usiadła.

— Matko święta, Idgie, dlaczego ona to zrobiła?

— Jest na mnie wściekła.

— No, tego się domyśliłam. Ale co ty takiego zrobiłaś?

— Okłamałam ją.

— Uu-ła. Co powiedziałaś?

— Powiedziałam jej, że jadę do Atlanty do mojej siostry Leony i Johna.

— I nie pojechałaś?

— Nie.

— A gdzie byłaś?

— W lesie.

— Z kim?

— Sama. Po prostu chciałam trochę pobyć sama — i to wszystko.

— Dlaczego jej nie powiedziałaś?

— Nie wiem. Chyba wkurza mnie, jak ciągle muszę się komuś opowiadać, gdzie jestem. Nie wiem. Zaczęłam się dusić, musiałam wyjechać na jakiś czas. No to ją okłamałam. I to wszystko. Wielkie rzeczy! Grady okłamuje Gladys, a Jack — Mozell.

— No, tak, złotko, ale ty nie jesteś Grady albo Jack... a i Ruth to nie Gladys czy Mozell. Jezu, dziewczyno, patrzeć mi się na to nie chce. Zapomniałaś już, jak wariowałaś, zanim tu przyjechała?

— Tak, ale bywa, że muszę się urwać na jakiś czas. Potrzebuję wolności, wiesz?

— Jasne, że wiem, Idgie, ale musisz na to spojrzeć z jej punktu widzenia. Ta dziewczyna rzuciła wszystko, żeby tu przyjechać. Opuściła swoje rodzinne miasto i wszystkich przyjaciół, z którymi się wychowała — rzuciła to wszystko, żeby być z tobą. Ma tylko ciebie i Kikutka. Wy macie rodzinę i przyjaciół..

— No tak, ale czasami mi się wydaje, że wolą ją ode mnie.

— Słuchaj, Idgie, coś ci powiem. Nie uważasz, że mogłaby tu mieć każdego? Wystarczyłoby tylko, by kiwnęła palcem. Ja bym się na twoim miejscu porządnie zastanowiła, zanim bym tak sobie pofrunęła.

W tej chwili Helen Claypoole, kobieta koło pięćdziesiątki, która i od lat przesiadywała w River Club, podrywając mężczyzn i pijąc ze wszystkim, co się ruszało i co mogłoby jej postawić drinka, wyszła z toalety tak pijana, że wetknęła sobie tył sukienki w majtki i chwiejnym krokiem podeszła do stolika, gdzie czekali na nią jej towarzysze.

Eva wskazała na nią.

— Masz tu wolną kobietę. Nikogo nie obchodzi, gdzie się podziewa i nikt jej nie sprawdza — możesz być tego pewna.

Idgie popatrzyła na Helen z rozmazaną szminką i włosami opadającymi na twarz, patrzącą na mężczyzn przekrwionymi, nie widzącymi oczami.

— Muszę lecieć — powiedziała Idgie. — Muszę to przemyśleć.

— No, przydałoby się.

Dwa dni później Ruth dostała starannie napisany na maszynie liścik: „Jeżeli uwięzisz w klatce dzikie zwierzę, możesz być pewna, że umrze, ale jeżeli wypuścisz je na wolność, w dziewięciu przypadkach na dziesięć wróci do domu”.

Ruth zadzwoniła do Idgie po raz pierwszy od trzech tygodni.

— Dostałam twój liścik i pomyślałam sobie, że może powinniśmy przynajmniej porozmawiać.

Idgie aż zadrżała z radości.

— To byłoby wspaniale. Zaraz tam będę. — I wybiegła, obiecując sobie, że jeśli będzie trzeba, przysięgnie na Biblię Scrogginsa, że już nigdy nie okłamie Ruth.

Kiedy skręciła za róg i zobaczyła dom Cleo i Ninny, przyszła jej do głowy pewna myśl. Co za liścik? Ona przecież nie wysłała żadnego liścika.

„WIADOMOŚCI BIRMINGHAM”

15 października 1947

Jednoręki obrońca prowadzi drużynę do zwycięstwa

Wynikiem 27 do 20 dla Whistle Stop, remisując 20 do 20 przez całą czwartą część, zwycięstwo Whistle Stop nadeszło dzięki zapierającemu dech w piersiach czterdziesto-trzyjardowemu wyścigowi z piłką w wykonaniu jednorękiego obrońcy z Whistle Stop, Buddy’ego (Kikutka) Threadgoode’a.

„Kikutek jest naszym najcenniejszym zawodnikiem” — powiedział dziś w wywiadzie trener Delbert Naves. „Zaważyło tu jego dążenie do zwycięstwa i duch współzawodnic-twa. Pomimo swego kalectwa przyczynił się do zdobycia 33 z 37 planowanych nagród w tym roku. Potrafi w niespełna dwie sekundy przechwycić piłkę w środku pola i za-trzymać ją przy sobie, a jego szybkość i precyzja są zdumiewające”.

Ten czwórkowy uczeń jest również pierwszorzędnym zawodnikiem w drużynie ba-seballa i koszykówki. Jest synem pani Ruth Jamison z Whistle Stop. Kiedy go spytaliśmy, w jaki sposób osiągnął takie mistrzostwo w sporcie, powiedział, że to jego ciocia Idgie, która pomagała go wychowywać, nauczyła go wszystkiego, co wie o futbolu.

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

28 października 1947

Kikutek właśnie wrócił z treningu i wziął sobie coca-colę. Idgie stała za barem, robiąc Smokeyowi Samotnikowi drugą filiżankę kawy, i kiedy ją mijał, powiedziała:

— Chcę z tobą pogadać, młody człowieku.

„Oho” — pomyślał Smokey i schował głowę w placek.

— Co ja takiego zrobiłem? — zapytał Kikutek. — Przecież ja nic nie zrobiłem...

— Tak tylko ci się wydaje, mały — przerwała Kikutkowi, który wówczas miał metr osiemdziesiąt i już się golił. — Chodźmy na zaplecze.

Poszedł za nią powoli i usiadł przy stole.

— Gdzie mama?

— Wyszła do szkoły na zebranie. No, młody człowieku, co takiego powiedziałeś Peggy dziś po południu?

Kikutek zrobił minę niewiniątka.

— Peggy? Jakiej Peggy?

— Wiesz, jakiej Peggy. Peggy Hadley.

— Nic nie powiedziałem.

— Nic nie powiedziałeś.

— Nie.

— To jak myślisz, dlaczego nie więcej jak godzinę temu przysłała do kawiarni, płacząc jak bóbr?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

— A nie prosiła cię, żebyś z nią poszedł po południu na tańce do Sadie Hawkins?

— No, może i tak, nie pamiętam.

— I co jej powiedziałeś?

— Oj, ciociu Idgie, nie chce mi się z nią chodzić na tańce To jeszcze dzieciak.

— Co jej powiedziałaś?

— Powiedziałem, że jestem zajęty, czy coś w tym rodzaju. Zresztą to i tak wariatka.

— Panie szanowny, pytam, co powiedziałaś tej dziewczynie.

— Ojej, tylko żartowałem.

— Żartowałeś, co? A mi się widzi, że odgrywałeś przed swoimi kumplami straszne-
go twardziela.

Wiercił się niespokojnie na krześle.

— Powiedziałeś, żeby wróciła, kiedy sobie wyhoduje cycki, i żeby cię wtedy jeszcze raz poprosiła. Było tak?

Nie odpowiedział.

— Było tak?

— Ciociu Idgie, ja tylko żartowałem.

— No, to masz szczęście, że ci nie dała w twarz.

— Jej brat stał z nami.

— On też ci powinien wkopać w tyłek.

— Ona robi z igły widły.

— Z igły widły? Czy ty masz pojęcie, ile to biedactwo kosztowało nerwów, żeby do ciebie podejść i zaprosić na tańce? A ty jej powiedziałaś coś takiego przy kumplach! Słuchaj, stary. Twoja matka i ja wychowywałyśmy cię nie po to, byś był aroganckim chamem. Jak byś się poczuł, gdyby ktoś tak się odezwał do twojej matki? A gdyby jakaś dziewczyna spytała, kiedy sobie wyhodujesz penis?

Kikutek poczerwieniał.

— Nie mów tak, ciociu Idgie.

— A właśnie, że będę tak mówić. Nie pozwolę, żebyś się zachowywał jak biała hołota. Jeżeli nie chcesz iść na tańce, to masz do tego prawo, ale nie wolno ci się w ten sposób odzywać do Peggy czy jakiegokolwiek innej dziewczyny. Zrozumiano?

— Tak, ciociu.

— Chcę, żebyś natychmiast poszedł do niej i ją przeprosił. I żadnego „ale”. Zrozumiano?

— Tak, ciociu.

Wstał.

— Siadaj. Jeszcze z tobą nie skończyłam!

Kikutek westchnął i z powrotem osunął się na krzesło.

— Co znowu?

— Chcę z tobą o czymś porozmawiać. Chcę, żebyś się dowiedział, co się dzieje z tobą i dziewczynami.

Kikutek nieco się zaniepokoił.

— Jak to?

— Nigdy się nie wtrącałam w twoje życie osobiste. Masz siedemnaście lat i jesteś już mężczyzną, ale twoja matka i ja martwimy się o ciebie.

— Dlaczego?

— Myślałyśmy, że sam z tego wyrośniesz, ale jesteś już za stary na to, żeby przyjaźnić się tylko z kumplami.

— A co jest nie tak z moimi kumplami?

— Nic, tylko, że to sami chłopcy.

— No i?

— Cała masa dziewczyn szaleje za tobą, a ty nigdy z żadną się nie umówiłeś. Bez odpowiedzi.

— Zachowujesz się jak jakiś dupek, kiedy któraś z nich próbuje, z tobą porozmawiać. Widziałam.

Kikutek zaczął wydłubywać dziurę w kratkowanej ceracie na stole.

— Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię... Twój kuzyn Buster już się ożenił, dziecko w drodze, a jest zaledwie rok starszy od ciebie.

— No i?

— A ty nigdy nie zaprosiłeś dziewczyny do kina, a za każdym razem, kiedy w szkole jest potańcówka, ty idziesz na polowanie.

— Lubię polować.

— Ja też. Ale, wiesz, życie nie kończy się na polowaniu i sporcie.

Kikutek znowu westchnął i zamknął oczy.

— Nie lubię robić niczego innego.

— Kupiłam ci ten samochód i wyremontowałam dla ciebie, myślałam, że może będziesz miał ochotę zabrać gdzieś Peggy, ale ty tylko włączysz się nim z kumplami.

— Dlaczego akurat Peggy?

— Peggy czy którąkolwiek inną — nie chcę, żebyś ciągle obijał się sam, jak ten biedny Smokey.

— Nic mu nie jest.

— Wiem, że nic mu nie jest, ale byłoby mu o wiele lepiej, gdyby miał żonę i rodzinę. Co się z tobą stanie, jeżeli zabraknie mnie albo matki?

— Dam sobie radę. Nie jestem głupi.

— Wiem, że dasz sobie radę, ale wolałabym wiedzieć, że masz kogoś, kto cię kocha i kto się tobą zajmie. Jak jeszcze trochę poczekaś, to wszystkie dziewczyny będą zajęte. Co jest nie tak z Peggy?

— Ona jest w porządku.

— Wiem, że ci się podoba. Wysyłałeś jej walentynki, zanim tak zacząłeś zadzierać nosa.

Bez odpowiedzi.

— No, podoba ci się jeszcze któraś?

— Nie.

— Dlaczego?

Kikutek zaczął się skręcać i wreszcie krzyknął:

— PO PROSTU NIE I JUŻ! DAJ MI SPOKÓJ!

— Słuchaj, stary — powiedziała Idgie — może i jesteś twardzielem na boisku, ale to ja zmieniałam ci pieluszki i ja ci mogę wkopać w tyłek! A teraz gadaj.

Kikutek nie odpowiedział.

— O co chodzi, synu?

— Nie wiem, o czym mówisz. Muszę lecieć.

— Siadaj. Nie musisz nigdzie lecieć.

Westchnął i usiadł z powrotem.

— Kikutek, czy tobie się nie podobają dziewczyny? — spytała cicho.

Kikutek odwrócił głowę.

— Neeee, podobają mi się.

— To dlaczego się z którąś nie umówisz?

— Nie jestem jakiś dziwny, czy coś, jeżeli o to się martwisz. Po prostu... — Kikutek zaczął wycierać spocone dłonie o spodnie.

— No, Kikutek, powiedz mi, o co chodzi, synu. Zawsze umieliśmy się dogadać.

— Wiem, ale po prostu dzisiaj nie chcę o tym mówić.

— Wiem, że nie chcesz, ale chcę, żebyś to powiedział. No, o co chodzi?

— Po prostu... Jezu! — Po chwili wymamrotał: — A jakby któraś chciała, żebyśmy to zrobili...?

— To znaczy, gdyby chciała uprawiać z tobą seks?

Kikutek kiwnął głową i wbił wzrok w podłogę.

— No, to uważałabym się za szczęściarza — powiedziała Idgie. — To chyba byłby komplement.

Kikutek starł pot z górnej wargi.

— Synu, masz jakieś fizyczne problemy z, wiesz, z podnoszeniem się? Bo jeżeli tak, to możemy cię zabrać do lekarza i zrobić badania.

Kikutek potrząsnął głową.

— Nie. To nie to. Nic mi nie jest, robiłem to z tysiąc razy.

Idgie zdumiała się tą liczbą, ale zachowała spokój i powiedziała:

— No, przynajmniej wiemy, że nic ci nie jest.

— No tak, nic mi nie jest, tylko, że, no, nie robiłem tego z nikim... no, wiesz... zawsze tylko sam.

— Nic ci od tego nie będzie, ale może powinieneś spróbować z którąś z dziewczyn?

Nie wierzę, że nie miałeś okazji – taki przystojny chłopak jak ty.

— No, miałem okazję. Ale nie o to chodzi... po prostu... – Głos mu się załamał. — Po prostu...

— Po prostu co, synu?

Nagle nie mógł już wytrzymać i gorące łzy pociekły mu po twarzy. Podniósł wzrok i spojrzał na Idgie.

— Ja się po prostu boję, ciociu Idgie. Normalnie się boję.

Jedyną rzeczą, jakiej Idgie nie podejrzewała, było to, że Kikutek, zawsze taki odważny, mógłby się czegoś bać.

— Czego się boisz, synu?

— No, boję się, że na nią upadnę albo przez tę rękę stracę równowagę, albo może po prostu nie będę wiedział, jak to się robi. No, wiesz, mógłbym jej zrobić krzywdę, czy coś... Nie wiem.

Unikał jej wzroku.

— Kikutek, spójrz na mnie. Czego się naprawdę boisz?

— Już ci powiedziałem.

— Boisz się, że dziewczyna mogłaby cię wyśmiać, tak?

Wreszcie, po chwili, wybuchł.

— Tak, chyba tak. — Po czym ukrył twarz w dłoniach, wstydząc się łez.

W tej chwili Idgie serce stopniało i zrobiła coś, co zdarzało się jej bardzo rzadko: wstała, objęła go i zaczęła kołysać jak dziecko.

— Och, kochanie, nie płacz. Wszystko będzie dobrze, aniołku. Nic ci nie będzie. Ciocia Idgie nie pozwoli, żeby stało ci się coś złego. Nie, nie. Zawiodłam cię kiedyś?

— Nie, ciociu.

— Nic się nie stanie mojemu chłopczykowi. Ja na to nie pozwolę. — Przez cały czas kołysała Kikutka, czując bezradność i próbując się zastanowić, czy zna kogoś, kto mógłby mu pomóc.

W sobotę wczesnym rankiem Idgie zawiozła Kikutka nad rzekę, gdzie tak często bywała wiele lat temu, i przez bramę z pomalowanego na biało koła wagonu podjechała pod domek z otoczonym siatką gankiem. Tam go zostawiła.

Drzwi domku otworzyły się i wyszła z nich świeżo wykąpana i wyperfumowana kobieta o rdzawych włosach i oczach koloru zielonego jabłuszka.

— Chodź, złotko — zaprosiła Kikutka, gdy Idgie odjechała.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

30 października 1947

Brawo dla Kikutka Threadgoode’a

Kikutek Threadgoode, syn Idgie Threadgoode i Ruth Jamison, doczekał się obszernej wzmianki w „Wiadomościach Birmingham”. Gratulacje. Wszyscy jesteśmy z niego niezmiernie dumni, ale nie wchodźcie do kawiarni, jeżeli nie macie ochoty przez godzinę słuchać opowieści Idgie o meczu. W życiu nie widziałam dumniejszego rodzica. Po meczu cała drużyna i cheerleaders zostali w kawiarni poczęstowani hamburgerami.

Moja druga połowa nie ma wyczucia mody. Któregoś popołudnia wróciłam do domu, czując się niezwykle sztywnie w nowej siateczce na włosy, którą kupiłam w salonie Opal, a on na to, że moja głowa wygląda jak jagnięce wymię w siatce na muchy... A w dniu naszej rocznicy zabrał mnie do Birmingham na spaghetti, wiedząc, że jestem na diecie... Mężczyźni! Źle z nimi, ale bez nich jeszcze gorzej.

A przy okazji, przykro nam z powodu pecha Artisa O. Peaveya

...Dot Weems.

SLAGTOWN, ALABAMA

17 października 1949

Artis O. Peavey mieszkał ze swoją drugą żoną, była panną Madeline Poole, która była zatrudniona jako służąca pierwszej klasy. Pracowała u rodziny na ekskluzywnej Highland Avenue. Mieszkali w jej domu na Tin Top Alley numer 6, w południowej części miasta. Tin Top Alley składała się zaledwie z sześciu rzędów drewnianych szop o cynowych dachach i brudnych podwórkach, z których większość była przyozdobiona wannami, w których zasadzono wielobarwne kwiaty mające nieco rozweselić monotonną szarość drewna szop.

Ich nowy dom stał zaledwie o krok od ich ostatniego adresu. Poprzednio mieszkali w starej służbówce na tyłach domu, którego adres brzmiał po prostu Alley G numer 2.

Artisowi okolica wydawała się niezwykle przyjemna. Jedną przecnicę dalej był Magnolia Point, gdzie mógł sterczeć przed wystawami i odwiedzać mężów innych służących. Wczesnym wieczorem, po kolacji złożonej zwykle z resztek po białych, siadywali na gankach i nieraz jedna rodzina zaczynała śpiewać, a wkrótce po kolei dołączały się do niej inne. Rozrywki nie brakowało, gdyż ściany były takie, że można było słuchać radia czy gramofonu sąsiada. Kiedy Bessie Smith śpiewała na czyjejś victrolu *Nie mam nikogo*, współczuli jej wszyscy na Tin Top Alley.

W okolicy było wiele atrakcji towarzyskich, a Artisa zapraszano na wszystkie. Był najbardziej lubianym mieszkańcem w alei, zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Co noc przynajmniej raz czy dwa razy smażono wieprzowinę albo przyrządzano pieczeń... a jeżeli pogoda była brzydka, można było po prostu usiąść pod żółtą latarenką na ganku i słuchać, jak deszcz bębni o cynowe dachy.

Tego jesiennego popołudnia Artis siedział na ganku, zapatrzony w cienką smużkę niebieskiego dymu unoszącego się z papierosa, szczęśliwy, bo Joe Louis został mi-

strzem świata, a drużyna basebalowa z Birmingham, Black Barons, w tym roku wygrała wszystkie mecze. W pewnej chwili aleją przybiegł w podskokach chudy, wynędzniały żółty piesek, węszący za czymś do jedzenia. Należał do After* Johna, przyjaciela Artisa, nazwanego tak, gdyż urodził się po swym bracie, Johnie. Piesek podbiegł do stopni ganku i dostał swoją dzienną dawkę pieszczot.

— Nic dziś dla ciebie nie mam, brachu.

Żółty piesek lekko się rozczarował i odszedł w poszukiwaniu resztek chleba czy choćby jakiejś zieleniny. Wielki Kryzys jeszcze się tu nie skończył, a i psom dał się we znaki.

W tej chwili Artis zobaczył, że nadjeżdża półciężarówka rakarza, z której wysiadł mężczyzna w białym mundurze i z siecią. Tył samochodu był już załadowany szczekającymi psami, które miały tego pecha, że je złapano tego popołudnia.

Mężczyzna zagwizdał na psa, który biegł ulicą.

— Chodź tu, psie... no, chodź.

Przyjazny, niczego nie podejrzewający pies podbiegł do niego i w sekundę później znalazł się w sieci, którą rakarz zarzucił sobie na plecy.

Artis zszedł z ganku.

— Hej tam, panie. Ten pies do kogoś należy.

Mężczyzna się zatrzymał.

— Jest twój?

— Nie, nie jest mój. Należy do After Johna, więc nie może pan go zabierać, o nie.

— Nic mnie nie obchodzi, do kogo należy, nie ma numerka przy obroży, więc go zabieramy.

Drugi mężczyzna, który siedział w samochodzie, wysiadł i stanął obok. Artis zaczął go błagać, gdyż wiedział, że jak raz ten pies dostanie się do miejskiego schroniska, to za diabła nie da się go stamtąd wyciągnąć — zwłaszcza, jeśli się było czarnym.

— Bardzo pana proszę, ja zawołam After Johna. Pracuje w Five Points u pana Freda Jonesa, robi lody. Pan pozwoli mi go wezwać.

— Masz telefon?

— Nie, ale mogę pobiec do sklepu. To mi zajmie jedną minutkę. — Artis prosił coraz żarliwiej. — Och, proszę, After John to prosty chłopak, którego nie chce żadna baba. Ma tylko tego psa. Nie wiem, co zrobi, jak się coś stanie temu psu. Kto wie, czy się nie zabije.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie, a większy powiedział:

— Dobra, ale jak cię nie będzie za pięć minut, odjeżdżamy. Słyszysz?

Artis ruszył biegiem.

*After (ang.) – po

— Tak, psze pana, za minutkę się wróć.

Biegając, przypomniał sobie, że nie ma dziesięciu centów, więc zaczął się modlić, żeby pan Leo, Włoch, który prowadził sklep, pożyczył mu dziesiątaka. Zdyszany wpadł do sklepu i zobaczył pana Leo.

— PANIE LEO, PANIE LEO, PAN DA DZIESIĄTAKA... WYWOŻĄ PSA AFTER JOHNA... CZEKAJĄ NA MNIE. PROSZĘ, PANIE LEO...

Pan Leo, który nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział Artis, kazał mu się uspokoić i wytłumaczyć wszystko jeszcze raz, ale zanim Artis zdobył monetę, przy telefonie już stał jakiś biały chłopak.

Artis, cały oblany potem, przestępował z nogi na nogę. Wiedział, że nie może wyprosić tego faceta. Jedna minuta... dwie...

Artis jęknął.

— Jezu Chryste.

Wreszcie pan Leo zastukał w szklaną ściankę kabiny.

— Kończ pan już!

Mężczyzna niechętnie pożegnał się ze swym rozmówcą i odwiesił słuchawkę.

Kiedy wyszedł, Artis wskoczył do kabiny i uświadomił sobie, że nie zna numeru.

Mokrymi i drżącymi rękami zaczął kartkować książkę telefoniczną wiszącą na łańcuszku.

— Jones... Jones... Boże... Jones... Jones... całe cztery strony... Fred B.... O Jezu, to jego mieszkanie...

Zaczął od początku w książce z telefonami firm.

— Pod czym szukać... Lody? Cukiernia? — Nie mógł znaleźć. Zadzwoił do informacji.

— Informacja — powiedział rześki głos białej kobiety. — Słucham, w czym mogę pomóc?

— Yyy, psze pani... Yyy, szukam telefonu Freda B. Jonesa.

— Przepraszam, czy może pan powtórzyć nazwisko?

— Tak, psze pani, pan Fred Jones z Five Points. — Serce waliło mu jak oszałałe.

— Mam z pięćdziesięciu Fredów Jonesów, proszę pana. Czy zna pan ulicę?

— Nie, psze pani, ale on mieszka w Five Points.

— Mam trzech Fredów Jonesów na terenie Five Points... Życzy pan sobie wszystkie trzy numery?

— Tak, psze pani.

— Poszukał w kieszeniach ołówka, a telefonistka już zaczynała dyktować...

— Pan Fred Jones, 18th South, 68799, pan Fred Jones, 141 Magnolia Point, 68745 i pan Fred C. Jones, 15th Street, numer 68721...

Nie znalazł nic do pisania, a telefonistka się rozłączyła. Z powrotem do książki tele-

fonicznej. Ledwo oddychał. Pot zalewał mu oczy, wszystko zamazując. Cukiernia... Apteka... Lodziarnia... Jedzenie... Dostawy... JEST! Jest, Fred B. Jones, Dostawy, 68715...

Wepchnął monetę do szczeliny i wykręcił numer. Zajęte. Spróbował raz jeszcze. Zajęte... zajęte...

— Jezu Chryste.

Po ośmiu próbach Artis nie wiedział już, co robić, więc pognął z powrotem do rarkrzy. Wypadł z za rogu i, dzięki Bogu, stali tam jeszcze, oparci o samochód. Przywiąza-
li psa sznurem do klamki.

— Wezwałeś go? — spytał ten duży.

— Nie, psze pana — odparł, dysząc. — Nie mogłem go dorwać, ale gdyby mnie pa-
nowie mogli podwieźć do Five Points, mógłbym...

— Nie, nie, tego nie zrobimy. I tak już zmarnowaliśmy przez ciebie dużo czasu,
chłopcze. — Zaczął odwiązywać psa i pakować go na tył samochodu.

Artis był w rozpaczy.

— Psze pana, pan nie może tego zrobić.

Sięgnął do kieszeni i zanim któryś z mężczyzn się zorientował, dziesięciocentyme-
trowym sprężynowcem przeciął na pół sznurek, którym był związany pies, i wrzasnął:

— Scat!

Odwrócił się i zobaczył, jak wdzięczny pies czmychnął za róg. Uśmiechał się, kiedy
dostał kijem w lewe ucho.

DZIESIĘĆ LAT ZA PRÓBĘ MORDERSTWA URZĘDNIKA PAŃSTWOWEGO ZA
POMOCA ŚMIERCIONOŚNEGO NARZĘDZIA. Byłoby trzydzieści, gdyby ci dwaj
mężczyźni byli biali.

BIRMINGHAM, ALABAMA

1 września 1986

Ed Couch wrócił do domu w czwartek wieczorem i powiedział, że miał w biurze za-
targ z kobietą, która jest „prawdziwym łamaczem jaj”, i że żaden z mężczyzn nie chce
z tego powodu z nią pracować.

Następnego dnia Evelyn poszła na deptak kupić podomkę dla Dużej Mamy i kiedy
jadła lunch w kawiarni Pioneer, następująca myśl niespodzianie przysła jej do głowy:
Co to jest łamacz jaj?

Często słyszała, jak Ed używa tego określenia, a poza tym jeszcze: „Ona mi chce
urwać jaja” i „Musiałem sobie osłaniać jaja”.

Dlaczego Ed tak się bał, że ktoś mu urwie jaja? Zresztą, cóż to takiego? Dwa małe wo-
reczki ze spermą w środku. Mężczyźni jednak tak się z nimi cackają, jakby to były naj-
ważniejsze rzeczy na świecie. Mój Boże, Ed o mało co nie umarł, kiedy się okazało, że
jedno jądro ich syna nie wisi prawidłowo. Lekarz powiedział, że będzie mógł mieć dzie-
ci, ale Ed zachowywał się tak, jakby się stało jakieś nieszczęście i chciał wysłać syna do
psychiatry, żeby się nie nabawił kompleksów jako mężczyzna. Przypomniało jej się, że
sobie wtedy pomyślała, że to takie głupie... jej piersi nigdy się w pełni nie wykształciły,
a jakoś nikt nie uważał, że potrzebna jest jej pomoc.

Ed jednak miał rację, mówiąc, że Evelyn nie rozumie, co to znaczy być mężczyzną.
Dostał dosłownie jakiegoś ataku, kiedy chciała wysterylizować ich kota Valentine, któ-
ry zapłodnił rasową syjamkę z drugiej strony ulicy.

„Odcinając mu jaja, równie dobrze mogłabyś go uśpić!” — powiedział.

Co do tego nie było żadnych wątpliwości — miał hysia na punkcie jaj.

Przypomniała sobie, jak kiedyś pochwalił tę samą kobietę z biura, kiedy ta nie dała
się zastraszyć szefowi. Chwalił się, jaka to z niej kobieta z jajami. Kiedy jednak teraz

o tym myślała, zastanawiała się: „Co siła tej kobiety ma wspólnego z anatomią Eda?” Nie powiedział: „Rany, ta to ma jajniki”, tylko stwierdził, że ma jaja. Pomyślała, że w jajnikach są jajeczka, czyż więc nie powinny być równie ważne, co sperma? I kiedy ta kobieta przekroczyła granicę oddzielającą posiadanie normalnych jaj od posiadania jaj nadzwyczajnych? Biedna kobieta. Jeżeli chce jakoś dać sobie radę, będzie musiała przez całe życie utrzymywać równowagę swych wyimaginowanych jaj. Równowaga to wszystko. Ale co z wielkością? Nigdy dotąd nie słyszała, by Ed coś mówił o wielkości. Była to druga rzecz, na której tak zależało mężczyznom, doszła więc do wniosku, że nie ma to aż takiego znaczenia. W świecie liczyło się tylko to, by mieć jaja. I wtedy w jednej chwili uderzyła ją oczywista prawda. Miała wrażenie, że ktoś przeciągnął po jej kręgosłupie ołówkiem i postawił kropkę nad „i” na jej głowie. Usiadła wyprostowana na krześle, wstrząśnięta, że ona, Evelyn Couch z Birmingham w stanie Alabama, natknęła się na odpowiedź. Nagle zrozumiała, co musiał czuć Edison, kiedy odkrył elektryczność. Oczywiście! Najważniejszą rzeczą na świecie jest to, by... mieć jaja! Nic dziwnego, że zawsze czuła się jak samochód bez klaksonu w korku.

To była prawda. Te dwie małe kulki otwierają drzwi do wszystkiego. Są kartą kredytową, której potrzebowała, by posuwać się do przodu, by być wysłuchaną, by ją traktowano poważnie. Nic dziwnego, że Ed zawsze chciał mieć syna.

Potem nagle objawiła jej się druga prawda. Kolejna smutna, odwieczna prawda: ona nie ma jaj i nigdy ich mieć nie będzie. Była skazana na życie bez jaj. „Chyba że — pomyślała — chyba że liczą się też jaja w najbliższej rodzinie”. W jej rodzinie były cztery... Eda i Tommy’ego... Nie, zaraz... sześć, wliczając kota. Nie, chwileczkę, skoro Ed tak bardzo ją kocha, to może by dał jej jedno? Transplantacja jaja... Właśnie. A może uda jej się zdobyć dwa od anonimowego dawcy? O tak, kupi dwa jaja od jakiegoś zmarłego mężczyzny, schowa je do pudełka, zacznie je zabierać na ważne spotkania i będzie nimi walić w stół, żeby mieć posłuch. Może nawet kupi cztery...

Nic dziwnego, że chrześcijaństwo zdobyło taką popularność. Jezus i apostołowie... A jak wliczyć Jana Baptystę, to razem mieli 14 par, czyli 28 sztuk!

Och, teraz wszystko stało się takie proste. Jak mogła być taka ślepa i nic nie widzieć?

Tak, na Boga, dokonała tego. Poznała tajemnicę, którą kobiety od tylu stuleci próbowały rozgryźć...

OTO ODPOWIEDŹ...

Czyż Lucille Bali nie jest największą gwiazdą w telewizji?

Triumfalnie grzmotnęła o stół szklanką mrożonej herbaty i krzyknęła:

— TAK! TO JEST TO!

Wszyscy w kawiarni odwrócili się i spojrzeli na nią.

Evelyn cichutko dokończyła swój lunch i pomyślała: „Lucille Bali? Może Ed ma rację. Chyba zwariowałam”.

„TYGODNIK DOT WEEMS’
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

10 czerwca 1948

Dotacje na rzecz nowych piłek

W tym roku klub Dill Pickle wyda przyjęcie weselne bez kobiet na rzecz zakupu nowego zestawu piłek dla drużyn futbolu, koszykówki i baseballu szkoły średniej. Podczas tego niezwykłego wieczoru przesłiczną panną młodą będzie nasz szeryf Grady Kilgore, a Idgie — panem młodym. Julian Threadgoode, Jack Butts, Harold Vick, Pete Tidwell i Charlie Fowler będą druhami. Uroczystość ta odbędzie się w szkole średniej, 14 czerwca o godzinie siódmej wieczorem. Bilety po 20 centów dla dorosłych i 5 centów dla dzieci.

Na organach grać będzie Essie Rue Limeway.

Przybywajcie! Zamierzam tam być, jako że moja druga połowa, Wilbur, będzie dziewczynką sypiącą kwiatki.

Moja druga połowa i ja poszliśmy do kina, gdzie obejrzelśmy *Tajemnicę morderstwa Gracie Allen*. Film jest zabawny, ale wybierzcie się, zanim o siódmej zmienią ceny biletów.

A przy okazji, wielbny Scroggins powiedział, że ktoś postawił jego meble ogrodowe na dachu.

...Dot Weems.

WIĘZIENIE KILBEY ATMORE, ALABAMA

11 lipca 1948

Artis O. Peavey został wysłany do więzienia Kilbey, lepiej znanego jako Mordercza Farma, za grożenie nożem tamtym rakarzom, i sześć miesięcy zajęło Idgie i Grademu wyciągnięcie go stamtąd.

— Cholernie dobrze, że już wychodzi. Mógłby tam nie wytrzymać kolejnego miesiąca — powiedział Grady w drodze do więzienia.

Grady wiedział, co mówi, gdyż kiedyś był tam strażnikiem.

— Rany, jeżeli strażnicy go nie dorwą, to zrobią to inni więźniowie. Widziałem, jak przywoici ludzie przemieniali się tam w zwierzęta. Faceci żonaci i dzieciaci zmieniali się nie do poznania i zabijali się o jakiegoś pięknisia... Każda noc pod celą była koszmar, ale kiedy nadchodziła pełnia, to ratuj się, kto może. Wszyscy wariowali i dźgali nożem, kogo popadnie. Następnego dnia rano musieliśmy wynosić z dwudziestu pięciu sztywniaków. W tym miejscu strażnik różni się od więźnia tylko tym, że ma pistolet. Większość z tych strażników to proste chłopcy... chodzą do kina na filmy z Tomem Mixem albo Hootem Gibsonem, a potem wracają do domu i jeżdżą po farmie, machając pistoletami i udając kowbojów. Niektórzy są jeszcze gorsi niż więźniowie. Dlatego odszedłem. Widziałem ludzi, którzy potrafili pobić czarnucha na śmierć tylko po to, żeby się czymś zająć. Mówię ci, po jakimś czasie to miejsce nieźle daje w kość, a podobno teraz, kiedy sprowadzili tam tych chłopaków ze Scottsborough, porobiło się jeszcze gorzej.

Idgie była już zmartwiona nie na żarty i żałowała, że nie mogą jechać szybciej.

Kiedy przejechali przez bramę, za którą była droga prowadząca do budynku dla mężczyzn, zobaczyli setki więźniów w surowych pasiakach, pracujących łopatami i motykami na podwórzu, i strażników, którzy, dokładnie tak jak mówił Grady, zaczęli się popi-

sywać, gdy tylko zobaczyli samochód. Jeździli w kółko na koniach, zerkając przy tym na nich. Idgie pomyślała sobie, że większość z nich wygląda na nieco niedorozwiniętych, kiedy więc przyprawdzili Artisa, z ulgą stwierdziła, że chłopak jest cały i zdrowy.

Choć ubranie miał pomięte, jego włosy były jedwabiście miękkie. Artis jeszcze nigdy nie ucieszył się tak na czyjś widok. Nie widać było blizn od bicia na jego plecach ani guzów na głowie. Kiedy szli do samochodu, szczyrzył zęby od ucha do ucha. Wracał do domu...

W drodze powrotnej Grady powiedział:

— No, Artis, teraz ja jestem za ciebie odpowiedzialny, więc zachowuj się i nie pakuj się już w żadne tarapaty. Zrozumiano?

— Tak, psze pana. Nie chcę już tam wracać, psze pana.

Grady spojrział na jego odbicie w tylnym lusterku.

— Ciężko było, co?

— Tak, psze pana, letko nie było... oj, nie. — Roześmiał się Artis.

Kiedy jakieś cztery godziny później zobaczyli w oddali zarys huty stali w Birmingham, Artis ucieszył się jak dziecko i chciał wysiadać z samochodu.

Idgie usiłowała go przekonać, żeby najpierw pojechał do domu, do Whistle Stop.

— Twoja mama, tata i Sipsej czekają na ciebie.

On jednak tak prosił, żeby chociaż na parę godzin pojechali do Birmingham, że w końcu zawieźli go na 8th Avenue North, gdzie zażądał, by go wypuścili.

— Proszę cię, postaraj się szybko wrócić do domu, bo oni naprawdę na ciebie czekają... obiecujesz? — zapytała Idgie.

— Tak, psze pani, obiecuję — powiedział Artis i pognał ulicą, śmiejąc się z radości, że wrócił na stare śmieci.

Jakiś tydzień później pojawił się w kawiarni z włosami lśniącymi jak szkło, wyglądając niezwykle szykownie w nowiusieńkim kapeluszu od Revela zaprojektowanym w Harlemie z wyjątkowo szerokim paskiem, który dostał w prezencie od uradowanej jego powrotem Madeline.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

7 września 1986

W tym tygodniu Evelyn i Ninny miały w menu chrupki kukurydziane, coca-colę i czekoladowe ciasteczka z orzechami domowej roboty.

— Kochanie, szkoda, że cię tu nie było dziś rano, ominęło cię niezłe przedstawienie. Jemy sobie śniadanie, podnosimy głowy znad talerzy, a tu stoi Vesta Adcock w bułce z otrębami na głowie i tańczy przed nami taniec hula. To był dopiero widok! Biedny stary pan Dunaway tak się zdenerwował, że musieli mu dać coś na uspokojenie i zaprowadzić do jego pokoju. Geneene, ta mała czarna pielęgniarka, — kazała jej usiąść i zjeść bułkę. Mamy je jeść codziennie, żebyśmy nie dostali zaparcia. Kiedy człowiek się posuwa w latach, wysiada mu układ trawienny.

Pochyliła się i wyszeptała:

— Niektórzy z tych starych tutaj puszczają wiatry, nawet o tymi nie wiedząc.

Ninny wypięła łyk coli.

— Wiesz, wiele osób stąd nie chce mieć kolorowych pielęgniarek. Jeden powiedział, że kolorowi w głębi duszy nienawidzą białych i że jak tylko te pielęgniarki będą miały okazję, to nas wymordują podczas snu.

Evelyn stwierdziła, że to idiotyczne.

— Też tak sobie pomyślałam, ale to twoja teściowa tak powiedziała, więc się zamknęłam.

— No, nie dziwię się.

— Och, tak jest nie tylko z nią. Zdziwiłabyś się, ile osób tutaj myśli w ten sposób. Ja jednak nie uwierzyłam w to ani na minutę. Przez całe życie obracałam się wśród czarnych. Kiedy umarła mama Threadgoode i położono ją w salonie, wyglądaliśmy tego popołudnia przez okno i, jedna po drugiej, na boczne podwórko, pod okno, przyszły

wszystkie czarne kobiety z Troutville i zaczęły śpiewać jedną ze swych starych murzyńskich pieśni religijnych: *Kiedy pójdę do nieba, usiądę i odpocznę przez chwilę...* Och, nigdy tego nie zapomnę. W życiu nie słyszałam, żeby ktoś tak śpiewał, ciągle jeszcze przechodzą mnie dreszcze, kiedy sobie o tym pomyślę.

Na przykład Idgie, w Troutville miała równie wielu przyjaciół, co w Whistle Stop. Zawsze wygłaszała tam mowę na pogrzebie, kiedy umarł ktoś z jej znajomych. Kiedyś powiedziała mi, że woli niektórych z Troutville od pewnych białych: „Ninny, zły czaruch to nic dobrego, ale podły biały jest gorszy od psa”.

Oczywiście nie mogę tak powiedzieć o każdym, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś był tak przywiązany do drugiego człowieka jak Onzell do Ruth. Ruth była jej pieśzcoszką i wszyscy o tym wiedzieli. Onzell nigdy by nie pozwoliła, żeby ktoś niepokoił Ruth.

Pamiętam, jak kiedyś Idgie poszła w tango, upiła się i nie wróciła na noc. Onzell następnego dnia powiedziała jej: „No, panienko Idgie coś panience powiem... Panienska Ruth już raz wzięła i odeszła bez słowa i równie dobrze może se pójść i drugi raz, a ja jej tylko pomogię się pakować”. Idgie bez słowa wyszła z kuchni. Wiedziała, że lepiej nie narażać się Onzell, zwłaszcza gdy sprawa dotyczy Ruth.

Mimo wszystko potrafiła być twarda. Musiała, chcąc wychować tyle dzieciaków i pracować cały dzień w kawiarni. Kiedy Artis czy Ptaszyca zaczynali dawać się jej we znaki, wyrzucała ich za drzwi, nie przerywając przy tym krojenia biszkopta. Kiedy jednak w grę wchodziła Ruth, Onzell była potulna jak owieczka. A kiedy Ruth dostała tego straszliwego raka na narządach kobiecych i musiała jechać do Birmingham na operację, Onzell pojechała ze mną i z Idgie. Wszystkie trzy siedziałyśmy w poczekalni, kiedy wszedł lekarz. Nawet nie zdjął czapki i kitla, tylko od razu powiedział: „Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale nic nie mogę dla niej zrobić”. Rak zaatakował również trzustkę, a jak się ma guza trzustki, to już koniec. Powiedział więc, że tylko ją zaszyl z powrotem o zostawił sączek.

Zabrałyśmy ją do domu Threadgoode'ów i położyłyśmy w jednej z sypialni na górze, żeby jej było wygodnie, i od tej chwili Onzell wprowadziła się do jej pokoju i ani na krok nie odeszła od jej łóżka. Idgie chciała wynająć pielęgniarkę, ale Onzell nawet nie chciała o tym słyszeć. W tym czasie wszystkie jej dzieci były już odchowane, ale Duży George musiał gotować sam dla siebie.

Biedna Idgie i Kikutek całkiem się załamali. Nic, tylko siedzieli na dole jak w jakimś transie. Ruth odeszła tak szybko i, och, tak strasznie cierpiała. Próbowwała to ukrywać, ale było widać, jak się męczy. Onzell była przy niej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, podawała jej lekarstwa, a podczas ostatniego tygodnia nie wpuszczała do niej nikogo oprócz Idgie i Kikutka. Mówiła, że Ruth błagała ją, żeby nikt jej nie zobaczył w tak okropnym stanie.

Nigdy nie zapomnę, co Onzell mówiła, stojąc pod tamtymi drzwiami — że panna Ruth to prawdziwa dama i zawsze wie, kiedy wyjść z przyjęcia, a i teraz, dopóki ona tu jest, nie będzie żadnego wyjątku. Dotrzymała słowa. Duży George, Kikutek i Idgie byli w lesie, szukając szyszek sosnowych do jej pokoju, kiedy Ruth umarła, i zanim wrócili do domu, już ją zabrano. Onzell zadzwoniła do doktora Hadleya, który wysłał karetkę i zaraz zawieziono ciało Ruth do domu pogrzebowego w Birmingham. Cleo i ja zeszliśmy z nią na dół, a kiedy wnieśli ją do karetki, doktor Hadley powiedział: „Idź do domu, Onzell. Ja z nią pojadę i wszystkim się zajmę”.

No i, kochana, Onzell wyprostowała się i powiedziała doktorowi Hadleyowi: „O nie, psze pana, tutaj jest moje miejsce!”, weszła z nim do karetki i zamknęła za sobą drzwi. Spakowała suknię Ruth i kosmetyki i nie opuściła domu pogrzebowego, dopóki Ruth nie wyglądała tak, jak Onzell tego chciała.

Nikt mi więc nie powie, że kolorowi nienawidzą białych. O nie! Widziałam zbyt wielu miłych czarnych, żeby w to uwierzyć.

Dosłownie wczoraj powiedziałam Cleo, że moglibyśmy przejechać się pociągiem do Memphis, żeby odwiedzić Jaspera i sprawdzić, jak mu się wiedzie. Pracuje w wagonie restauracyjnym.

Evelyn popatrzyła na swoją przyjaciółkę i zrozumiała, że znowu wszystko jej się poplątało.

WHISTLE STOP, ALABAMA

7 lutego 1947

Tego deszczowego poranka Onzell poprosiła Kikutka i Idgie, by poszli do lasu nad rzekę i przynieśli trochę szyszek sosnowych do pokoju Ruth. Obmywała twarz Ruth wilgotną ściereczką.

— Niech panienska się trzyma, niezadługo będzie po wszystkim.

Ruth spróbowała się uśmiechnąć, ale z jej oczu wyzierało potworne cierpienie. Teraz już nie było od niego wytchnienia, snu, ulgi.

Onzell, członek założyciel kościoła baptystów Góra Syjonu i czołowa śpiewaczka w chórze Alleluja, która wierzyła całym sercem i duszą w litościwego Boga, podjęła pewną decyzję. Żaden Bóg, a już z pewnością nie jej słodki, najdroższy Jezus, który umarł za nasze grzechy i ukochał nas ponad wszystko, nigdy nie chciał, by ktoś tak cierpiał. Z czystym sumieniem dała więc Ruth tę morfinę, którą zbierała odrobinka po odrobinie. Patrzyła, jak ciało Ruth rozluźnia się po raz pierwszy od wielu tygodni, po czym usiadła przy łóżku, ujęła jej wyschniętą, małą dłoń i zaczęła się kołysać i śpiewać.

*Już niedługo... jest taka kraina świetlista,
Widzimy ją oczami wiary...
A Ojciec nasz czeka na drodze,
Powiedzie nas do domu.
Tam, już niedługo... spotkamy się na pięknym brzegu,
Już niedługo...*

Onzell śpiewała z zamkniętymi oczami, czuła jednak, jak pokój wypełnia się świa-

tłem słonecznym, które rozdarło chmury. Od jego ciepła z jej oczu trysnęły łzy radości. Zasłaniając lustro i zatrzymując zegar przy łóżku, dziękowała słodkiemu Jezusowi za to, że zabrał pannę Ruth do domu.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

10 lutego 1947

Odeszła nasza ukochana przyjaciółka

Jutro kawiarnia będzie zamknięta w związku z pogrzebem pani Ruth Jamison, która zmarła podczas weekendu.

Msza pogrzebowa odbędzie się jutro w kościele baptystów. W kwestii dokładnej godziny proszę kontaktować się z wielbnym Scrogginsem. Do tej pory zmarła będzie w Domu Pogrzebowym Johna Rideouta w Birmingham.

Będzie nam brakowało jej pełnego uroku zachowania i uśmiechniętej buzi. Każdy, kto znał „pannę Ruth”, pogrąży się w żałobie. Wyrazy współczucia i miłości dla Idgie i Kikutka.

...Dot Weems.

SUPERMARKET PIGLEY-WIGLEY

BIRMINGHAM, ALABAMA

13 września 1986

W soboty, kiedy Evelyn Couch szła na zakupy, zawsze brała dużego forda LTD Eda, bo było w nim więcej miejsca. Trudno się go jednak parkowało, musiała więc czekać przez pięć minut na miejsce na parkingu, gdyż akurat jakiś staruszek ładował zakupy do samochodu, potem kolejne trzy minuty, zanim wsiadł, znalazł kluczyki i wreszcie się wycofał. Kiedy już miała wjechać na miejsce, zza rogu wyłonił się nieco poobijany, czerwony volkswagen i wpakował się na jej miejsce. Wsiadły z niego dwie chude, żujące gumę nastolatki w dżinsach z poobcinanymi nogawkami i gumowych klapkach i, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki, przeszły tuż koło niej.

Evelyn otworzyła okno i powiedziała do tej, która miała na sobie podkoszulek z napisem ELVIS ŻYJE:

— Przepraszam, ale czekałam na to miejsce, a wy je zajęłyście przede mną.

Dziewczyna spojrzała na nią z głupim uśmiechem i odparła:

— Spójrzmy prawdzie w oczy, jestem młodsza i szybsza niż pani. — Po czym obie poczłapały do sklepu w swych butach na gumowe paski.

Evelyn popatrzyła na volkswagena z naklejonym napisem Z DROGI, CHAMY.

Dwadzieścia minut później dziewczyna i jej koleżanka wyszły ze sklepu w sam raz na czas, by zobaczyć, jak ich wszystkie cztery felgi fruują po parkingu, kiedy Evelyn gruchnęła w volkswagena, cofnęła się i walnęła weń raz jeszcze. Zanim rozhisteryzowane dziewczyny dobiegły do samochodu, Evelyn zdążyła go prawie zupełnie zmiażdżyć. Ta wysoka wpadła w szal, zaczęła się drzeć i szarpać za włosy.

— Jezu! Pani zobaczy, co pani zrobiła! Zwariowała pani?!

Evelyn wychyliła się z okna i powiedziała spokojnie:

— Spójrzmy prawdzie w oczy, złotko, jestem starsza i mam większe ubezpieczenie.

— Po czym odjechała.

Ed, który pracował w agencji ubezpieczeniowej, miał, jak się okazało, ogromne ubezpieczenie, nie mógł jednak zrozumieć, jak Evelyn mogła niechcący sześć razy potrącić czyjś samochód. Evelyn kazała mu się uspokoić i nie robić z tego wielkiej afery. Wypadki chodzą po ludziach. Prawda zaś była taka, że rozwalenie samochodu tej dziewczyny sprawiło jej wielką radość. Ostatnio nie czuła gniewu; ale potrafiła się uspokoić tylko wtedy, gdy przebywała z panią Threadgoode i kiedy nocami przenosiła się myślami do Whistle Stop. Towanda zaczynała przejmować kontrolę nad jej życiem i gdzieś, w głębi serca Evelyn, zadzwonił mały alarm i Evelyn zrozumiała; że znalazła się w niebezpieczeństwie stanięcia na krawędzi, skąd nie ma już powrotu.

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

9 maja 1949

Tego wieczoru Grady Kilgore, Jack Butts i Smokey Samotnik siedzieli w kawiarni, chichocząc. Siódmy tydzień pod rząd udawało im się podłożyć petardę w samochodzie wielbego Scrogginsa. Kiedy jednak Kikutek wyszedł z pokoju na zapleczu, wystrojony w swój niebieski garnitur i niebieską muszkę, zamilkli i postanowili trochę się z niego ponabijać.

Grady pomachał do niego.

— Bileter, gdzie jest moje miejsce?

— Ej, chłopaki, zostawcie go w spokoju — wtrąciła się Idgie. — Moim zdaniem wygląda bardzo elegancko. Ma randkę z Peggy Hadley, córką lekarza.

— Och, panie doktorze...! — krzyknął głupim tonem Jack.

Kikutek wziął sobie coca-colę i posłał Idgie paskudne spojrzenie. Gdyby nie ona, nie musiałby iść na Bankiet dla Zakochanych z Peggy Hadley, dziewczynką, w której kiedyś się durzył, co mu jednak już przeszło. Peggy była od niego dwa lata młodsza i nosiła okulary. Ignorował ją przez całą szkołę średnią. W chwili jednak, gdy odkryła, że wrócił na lato z technikum w Georgii, przyszła do kawiarni i spytała Idgie, czy Kikutek nie poszedłby z nią na Bankiet dla Zakochanych, organizowany dla starszych klas, na co Idgie z wdzięcznością się zgodziła. Jako gentleman pomyślał sobie, że od jednej nocy nie umrze — chociaż w tej właśnie chwili wcale nie był tego taki pewien.

Idgie podeszła do lodówki w kuchni i podała mu bukiet maleńkich różyczek.

— Masz, poszłam dziś do dużego domu i zerwałam parę. Weź je dla niej. Twoja matka uwielbiała te maleństwa.

Przewrócił oczami.

— Boże! Ciociu Idgie, może w ogóle byś poszła zamiast mnie? Już i tak zaplanowałam

cały wieczór. — Odwrócił się do bandy przy stole. — Hej, Grady? Chcesz iść?

Grady pokręcił głową.

— Z ochotą, ale Gladys by mnie zabiła, gdyby mnie zobaczyła z młodszą kobietą. Nie masz pojęcia, jak to jest. Poczekaj, aż będziesz starym, żonatym człowiekiem, jak ja, chłopcze. Poza tym nie jest ze mnie już taki kogut jak kiedyś.

— Jakby w ogóle kiedyś był z ciebie kogut — wtrącił Jack.

Wszyscy się zaśmiali, a Kikutek podszedł do drzwi.

— No, leć. Pewnie potem się zobaczymy.

Co roku, po bankiecie, wszystkie dzieciaki zbierały się w kawiarni, a i dzisiejszy wieczór nie stanowił wyjątku. Kiedy weszła Peggy, taka ładna w białej, ażurowej sukience, z różowymi miniaturowymi różyczkami przypiętymi do ramienia, Idgie powiedziała:

— Dzięki Bogu, że nic ci nie jest. Strasznie się o ciebie martwiłam.

Peggy spytała, dlaczego się zamartwiała.

— Nie słyszałaś, co się w zeszłym tygodniu przydarzyło jednej dziewczynie z Birmingham? — spytała Idgie. — Była tak podekscytowana na Bankiecie dla Zakochanych, że kiedy pozowała do zdjęcia, ni z tego, ni z owego zajęła się ogniem. Przypadek spontanicznego samozapłonu. W ciągu paru sekund było po wszystkim. Zostały z niej tylko buty na szpilkach. Jej chłopak musiał ją zabrać do domu w manierce.

Peggy, która uwierzyła w całą tę historię, wykrzyknęła:

— Och, Idgie, nabijasz się ze mnie!

Kikutek ucieszył się, kiedy wieczór się skończył i skierowali się do domu. Fakt, że rok wcześniej był gwiazdą gry w futbol, czynił z niego bohatera w oczach młodszych chłopców, którzy się na niego gapili, i dziewcząt, które piszczały i chichotały, kiedy powiedział „cześć” albo w ogóle cokolwiek. Zatrzymał samochód przed domem Peggy i już miał wysiąść, obejść wóz dokoła i otworzyć drzwiczki z jej strony, kiedy Peggy zdjęła okulary, pochyliła się i popatrzyła na niego tymi ogromnymi, piwnymi, krótkowzrocznymi oczami Susan Hayward i powiedziała:

— No, to dobranoc.

Spojrzał w jej oczy, uświadamiając sobie, że nigdy dotąd ich nie widział: aksamitne, brązowe jeziora, w których mógł zanurkować i popływać. Siedział blisko niej i czuł odurzający zapach perfum White Shoulders. W tej chwili przemieniła się w Rite Hayworth z Gildy, nie — Lane Turner z *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*. A kiedy ją pocałował, przeżył najbardziej podniecającą chwilę w swoim życiu.

Tego lata regularnie paradował w niebieskim garniturze. W nim też jesienią tego samego roku brał ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego w Columbus w stanie Georgia. Idgie powiedziała mu wtedy tylko:

— A nie mówiłam?

Potem Peggy musiała tylko zdjąć okulary i spojrzeć na niego, i już było po nim.

BIRMINGHAM, ALABAMA

24 maja 1949

Czarna średnia i wyższa klasa socjety Birmingham była u swego szczytu, a „Wiadomości Slagtown” wciąż donosiły o działalności ponad setki klubów towarzyskich. Im jaśniejsza skóra, tym lepszy klub. Pani Blanche Peavey, żonie Jaspera, która miała równie jasną jak on skórę, właśnie przyznano tytuł prezesa słynnego Królewskiego Towarzystwa i Oszczędnościowego Klubu dla Dam, organizacji, której członkowie mieli tak jasną karnację, że coroczne zbiorowe zdjęcie grupy kiedyś pomyłkowo pojawiło się w gazecie dla białych. Jasper został ponownie wybrany na Wielkiego Wicekanclerza prestiżowego klubu Rycerze Pytii, więc rzeczą jak najbardziej naturalną było, że jego najstarsza córka, Clarissa, została w tym roku wyróżniającą się debiutantką i że zgłoszono ją do Koalicji Jasnej Skóry. Z jej rudozłotymi włosami, cerą o barwie brzoskwini z mlekiem i zielonymi oczami, została uznana za ulubioną debiutantkę.

W dniu Balu Debiutantów Clarissa poszła do miasta, żeby kupić na tę okazję jakieś wyjątkowe perfumy. Wjechała na drugie piętro główną windą dla białych, jak to już zrobiła parę razy, kiedy sama była w mieście, wiedząc, że inni przedstawiciele jej rasy jeżdżą windą towarową. Wiedziała, że rodzice zabiliby ją za to, że jest w mieście, udając białą — udawanie bowiem, choć zawsze zachęcali ją do tego, by zadawała się tylko z osobami o jaśniejszej karnacji, uważane było za niewybaczalny grzech. Miała już jednak dosyć spojrzeń czarnych, kiedy poprzednio jeździła windą towarową, a poza tym się śpieszyła.

Piękna kobieta w niebieskiej wełnianej sukience, stojąca za ladą, była bardzo usłużna i grzeczna dla Clarissy.

— Czy zna pani White Shoulders?

— Nie, psze pani, chyba nie.

Pochyliła się nad stojącą na ladzie buteleczką..

— Proszę spróbować te. Bardzo popularne są Shalimar, ale myślę, że mogą być dla pani nieco zbyt ciężkie — z pani jasną cerą i w ogóle.

Clarissa powąchała uperfumowany nadgarstek.

— Och, wspaniałe! Ile kosztują?

— Cena okazjna, osiem uncji za dwa dziewięćdziesiąt osiem. Powinny pani wystarczyć przynajmniej na pół roku.

— W takim razie je wezmę.

Pani za ladą była zadowolona.

— Myślę, że doskonale do pani pasują. Płaci pani gotówką czy czekiem?

— Gotówką.

Kobieta wzięła pieniądze i odeszła na bok, by opakować pudełko.

Clarissie przyglądał się jakiś czarny mężczyzna w kapeluszu i płaszczu w kratkę. Przypomniawszy sobie zdjęcie w gazecie. Podszedł do niej.

— Przepraszam, jesteś córką Jaspera, nie?

Ogarnięta przerażeniem Clarissa udawała, że go nie słyszy.

— Jestem wujek Artis, brat twojego tatusia.

Artis, który wypił kilka głębszych i nie zorientował się, że Clarissa udaje białą, położył jej dłoń na ramieniu.

— To ja, wujek Artis, mała... nie poznajesz mnie?

Sprzedawczyni, która wyszła zza rogu, zobaczyła Artisa i zaskrzeczała:

— ZOSTAW JĄ! — Podbiegła do Clarissy i objęła ją. — NATYCHMIAST JĄ ZOSTAW... HARRY! HARRY!

Przybiegł kierownik piętra.

— Co się stało?

Wciąż obejmując Clarissę, sprzedawczyni wrzasnęła tak, żeby usłyszało całe piętro:

— TEN CZARNUCH NAPASTOWAŁ MOJĄ KLIENTKĘ! DOTYKAŁ JEJ! WIDZIAŁAM!

— STRAŻ! — wrzasnął kierownik i odwrócił się do Artisa ze zwężonymi oczami.

— Dotknąłeś tę białą kobietę, człowieku?

Artis był zaszokowany.

— Ale, psze pana, to moja siostrzenica.

Usiłował mu wytłumaczyć, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, strażnik już był przy nim, wykręcił mu rękę do tyłu i poprowadził do tylnych drzwi.

Sprzedawczyni pocieszała Clarissę.

— Już dobrze, kochana, ten czarnuch był albo pijany, albo nienormalny.

Grupa sprzedawczyń, które zgromadziły się wokół nich, również okazywała jej współczucie:

— To tylko pijany czarnuch... Widzicie, co wyprawiają, jak się jest dla nich miłym?

Artis, który otarł sobie ręce i kolana, gdy go wyrzucono na betonowy chodnik za sklepem, złapał tramwaj jadący do południowej części miasta i wszedł za drewnianą tablicę z napisem KOLOROWI. Usiadł, zastanawiając się, czy to rzeczywiście była Clarissa.

Parę lat później, kiedy Clarissa wyszła za mąż i urodziła dzieci, przyszła do kawiarni Brittlings, gdzie pracował, nosząc tace, i dała mu napiwek. Nie poznała go jednak, a i on jej nie rozpoznał.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

10 sierpnia 1954

Nieszczęścia chodzą parami

Albo się starzeję, albo zwariowałam... Moja druga połowa, Wilbur, trzy dni pod rząd przychodził do domu, skarżąc się na ból głowy... a czy jest coś gorszego od mężczyzny, którego coś pobolewa? Pewnie dlatego rodzimy dzieci... Ja sama miałam straszne bóle głowy przy czytaniu gazety, więc wczoraj rano wybrałam się do Birmingham na badanie oczu. Okazało się, że noszę okulary Wilbura, a on moje. Następnym razem kupimy sobie w innych oprawkach.

Nie czuję się najgorzej. Podobno któregoś dnia był pożar w salonie piękności Opal, a Biddie Louise Otis, która wtedy była podłączona do maszyny robiącej trwałą ondulację, zaczęła się drzeć, bo myślała, że to jej głowa się pali. Ptaszyca, pomocnica Opal, ugasiła ogień i wszystko skończyło się dobrze.

Pamiętajcie o głosowaniu. Grady Kilgore nie ma żadnego rywala, ale sprawicie mu przyjemność, głosując na niego.

A przy okazji, Jasper Peavey znowu został wydrukowany w „Wiadomościach Kolejowych”, więc Duży George i Onzell mają powód do dumy.

...Dot Weems.

PS. Klub Dill Pickle znowu wystawił swój coroczny kabaret i znowu było niesamowicie. Moja druga połowa znowu śpiewała Red Sails in the Sunset. Przepraszam, moi drodzy... jakoś nie mogę go zmusić, żeby nauczył się czegoś nowego.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

14 września 1986

Evelyn i pani Threadgoode spacerowały za domem, kiedy przeleciał nad ich głowami klucz gęsi kanadyjskich, gęgających radośnie na jesiennym niebie.

— Och, Evelyn, nie chciałabyś polecieć razem z nimi? Ciekawe, dokąd fruną.

— Och, na Florydę, a może na Kubę.

— Myślisz?

— Tak mi się wydaje.

— Nie miałabym nic przeciwko Florydzie, ale za nic w świecie nie poleciałabym na Kubę. Smokey zawsze mawiał, że te gęsi to jego kumple, a kiedy go pytałam, dokąd tak ciągle wędruje, mówił: „Idę tam, dokąd lecą dzikie gęsi...”

Obserwowały je, dopóki ich nie straciły z oczu, po czym podjęły spacer.

— Lubisz kaczki?

— Są ładne.

— Ja je po prostu uwielbiam. Można by powiedzieć, że zawsze miałam słabość do ptactwa.

— Co?

— Do ptactwa. No wiesz — drób, takie z piórami, ptaki, kurczaki, koguty.

— Aha.

— Cleo i ja co rano piliśmy kawę na ganku za domem, patrzyliśmy, jak słońce się podnosi, i słuchaliśmy ptaków... zawsze wypijaliśmy jakieś trzy czy cztery filiżanki dobrej, gorącej kawy Red Diamond i jedliśmy grzanki z galaretką brzoskwińową albo z zieloną papryką i rozmawialiśmy — to znaczy ja gadałam, a on słuchał. Do naszego domu przylatywało tyle ślicznych ptaszków: drozdy, kardynały i najpiękniejsze gołębi-ce... Teraz już nie ma takich ptaków.

Któregoś dnia Cleo wychodząc z domu, pokazał mi dobre, stare kosy, siedzące na drucie telefonicznym przed domem i powiedział: „Uważaj, co dziś będziesz mówić przez telefon, Ninny. Wiesz, że one podsłuchują. Słyszą przez stopy”. — Spojrzała na Evelyn. — Myślisz, że to prawda?

— Nie. Jestem pewna, że panią nabierał, pani Threadgoode.

— No, może i tak, ale za każdym razem, kiedy chciałam komuś powiedzieć przez telefon jakąś tajemnicę, najpierw wyglądałam zza drzwi i sprawdzałam, czy tam nie siedzą. Nie powinien był mi tego mówić, wiedząc, jak bardzo lubię trajkotać przez telefon. Godzinami rozmawiałam z każdym w mieście.

W pewnym okresie mieliśmy w Whistle Stop aż dwustu pięćdziesięciu mieszkańców. Ale kiedy wstrzymali większość pociągów, ludzie rozpierzchli się po świecie jak ptaki na wietrze... Wyjechali do Birmingham, czy gdzieś, i już nigdy nie wrócili.

Tam, gdzie była kawiarnia, postawili Big Maca, a przy szosie wybudowali supermarket, do którego pani Otis tak lubiła chodzić — dlatego że zbierała kupony. Ja tam jednak nigdy nie mogłam znaleźć niczego, co mi było potrzebne, a tamtejsze światła strasznie mnie raziły w oczy, więc chodziłam sobie do Troutville do sklepu spożywczego Ociego, gdzie mogłam dostać dosłownie wszystko. — Pani Threadgoode nagle zamilkła. — Och, Evelyn, czujesz...? Ktoś robi pieczeń!

— Nie, kochana — powiedziała Evelyn. — Ktoś chyba pali liście.

— Dla mnie pachnie jak pieczeń. Lubisz pieczeń, prawda? Ja uwielbiam. Dałabym milion dolarów za taką pieczeń, jaką robił Duży George, i za kawałek cytrynowego placzka na zimno Sipsey. Duży George przyrządzał najlepszą pieczeń. Gotował ją w wielkim, starym, żelaznym garze, na tyłach kawiarni, a jej zapach czuć było wiele kilometrów dalej, zwłaszcza jesienią. Czułam ją przez całą drogę do domu. Smokey mówił, że kiedyś jechał pociągiem i wyczuł ją dwadzieścia kilometrów od Whistle Stop. Ludzie ściągali aż z Birmingham, żeby jej spróbować. A gdzie ty i Ed chodzicie na pieczeń?

— Głównie do Golden Rule albo do Olliego.

— Nie są źli, ale choćbyś nie wiadomo, co mówiła, kolorowi robią lepszą pieczeń niż ktokolwiek na świecie.

— Większość rzeczy robią lepiej — zauważyła Evelyn. — Chciałabym być czarna.

— To znaczy kolorowa?

— Tak.

Pani Threadgoode była zupełnie zbita z pantałyku.

— Jezu, kochana, ale dlaczego? Większość z nich chce być biała. Ciągłe próbują sobie wybielić skórę i wyprostować włosy.

— Już nie.

— No, może nie teraz, ale kiedyś tak. Dziękuj Bogu, że stworzył cię białą. Nie rozumiesz, dlaczego ktoś chciałby być kolorowy, skoro nie musi.

— Och, nie wiem, oni po prostu lepiej sobie radzą... lepiej się bawią, czy co. Ja zawsze czułam się... no... trochę sztywna, a oni zawsze wyglądają tak, jakby się świetnie bawili.

Pani Threadgoode na chwilę się zamyśliła.

— Może to i prawda, potrafią się świetnie bawić i umieją się rozluźnić, kiedy tylko chcą, ale mają też swoje smutki — jak my wszyscy. Nie ma nic smutniejszego od murzyńskiego pogrzebu. Krzyczą i zachowują się, jakby ktoś im wydzierał serce z piersi. Myślę, że o wiele gorzej znoszą cierpienie niż my. Trzech mężczyzn musiało podtrzymać Onzell, kiedy chowali Williego Boya. Zupełnie oszalała i próbowała za nim wskoczyć do grobu. W życiu już bym nie chciała pójść na taki pogrzeb.

— Wiem, że wszystko ma swoje dobre i złe strony — powiedziała Evelyn. — Ale i tak jakoś im zazdroszczę. Po prostu chciałabym być tak wolna i otwarta jak oni.

— No, o tym nic mi nie wiadomo — powiedziała pani Threadgoode. — Mnie tam do szczęścia brakuje tylko kawałka pieczeni i placka.

WHISTLE STOP, ALABAMA

15 października 1949

Ptaszyca Peavey miała szesnaście lat, kiedy wpadł jej w oko Le Roy Grooms. Od razu zrozumiała, że to mężczyzna stworzony dla niej, i tak też mu powiedziała. Pracował jako kucharz w „Półksiężycu”, który przejeżdżał przez Whistle Stop w drodze do Nowego Jorku przez Atlantę. Rok później urodziła się im dziewczynka, którą Le Roy nazwał Almondine, na cześć dania z pstrąga, które widniało w menu wagonu restauracyjnego pulmana.

Le Roy był przystojnym, dobrodusznym chłopakiem, który dużo podróżował i po drodze miał wiele postojów, a kiedy Ptaszyca odkryła, że zamieszkał w Nowym Orleanie z niemal białą, choć niezupełnie, wysoką, żółtą Mulatką, mało nie umarła z żalu.

Była zrozpaczona, kiedy zobaczyła reklamy w „Wiadomościach Slagtown”:

TWOJA SKÓRA JEST ZBYT CIEMNA?

CHCESZ MIEĆ NIESKAZITELNA CERĘ?

Wypróbuj wybielacz skóry doktora Freda Palmera.

JASNA SKÓRA, AŻ CHCE SIĘ CAŁOWAĆ

Mężczyźni podziwiają piękną, gładką skórę. Wypróbuj

MAŚĆ SUKCESU, *by w ciągu pięciu dni*

mieć jaśniejszą, piękniejszą skórę.

PIĘKNO ZACZYNA SIĘ OD JASNEJ TWARZY

Więc ukaż całe swe piękno za pomocą

wybielającego kremu do twarzy.

MASZ ZBYT POSKRĘCANE WŁOSY?

*Współczesna nauka położy kres mocno skręconym,
sztywnym, przylegającym do skóry lokom.
Będziesz mieć cudownie piękne, proste, jedwabiste włosy,
używając Wspaniałej Płukanki do włosów czarnych i siwych.
Wypróbuj Relaxę... a będziesz mieć proste włosy
w ciągu siedmiu dni.*

Pożegnaj się z

KRĘCONYMI WŁOSAMI.

*Jeżeli twoje włosy są krótkie i mocno skręcone,
jeszcze dzisiaj kup ROZPROSTOWYWACZ.
Na pewien czas zmusza włosy do rozprostowania.*

Ptaszyca wypróbowała wszystkie te preparaty, i jeszcze trochę, ale po miesiącu nadal była czarną jak węgiel, krętowłosą pomocnicą fryzjerki z Whistle Stop, a Le Roy był w Nowym Orleanie ze swą wysoką, żółtą dziewczyną.

Zaprowadziła córeczkę do Sipsey, wróciła do domu, położyła się do łóżka i zaczęła umierać z miłości.

Nikt nic nie mógł zrobić. Opal przychodziła ją odwiedzać i błagała, żeby Ptaszyca wróciła do pracy w salonie piękności, ta jednak nie ruszyła się z łóżka, piła dżin Turkey i na okrągło nastawiała tę samą płytę. Sipsey mówiła, że byłoby lepiej dla Ptaszycy, gdyby Le Roy umarł, zamiast żyć z inną kobietą, gdyż po dwóch miesiącach picia dżinu Turkey, Ptaszycy nic a nic się nie poprawiło.

Na szczęście słowa Sipsey okazały się prorocze, gdyż pan Le Roy Grooms opuścił ten świat i odszedł do innego, gdy dostał mocno w skroń żelazną zabawką-śmieciarką, należącą do jednego z synków wysokiej żółtej kobiety. Kiedy Ptaszyca dostała tę tragiczną wiadomość, wyszła z łóżka, poszła do łazienki, umyła twarz i przygotowała sobie śniadanie złożone z jajek, szynki, kaszy z sosem, biszkoptów z masłem i syropem Eagle Brand oraz wypijała trzy filiżanki parującej kawy. Wzięła kąpiel, ubrała się, posmarowała włosy oliwką Dixie Peach, nachyliła się do lustra, by nałożyć potrójną warstwę mandarynkowo-pomarańczowej szminki, skierowała się do drzwi i powędrowała do Birmingham.

Po tygodniu wróciła z młodym mężczyzną o zdziwionym spojrzeniu, w plecionym kapeluszu z zielonym piórkiem i brązowym gabardynowym garniturze.

KOŚCIÓŁ BAPTYSTÓW
IMIENIA MARTINA LUTHERA KINGA
1049 4TH AVENUE NORTH BIRMINGHAM, ALABAMA

21 września 1986

Evelyn obiecała pani Threadgoode, że zanieśie jej troski Panu i poprosi Go, by jej pomógł w tej ciężkiej godzinie. Niestety nie wiedziała, gdzie jest Pan. Ona i Ed nie byli w kościele, odkąd dorosły ich dzieci, dzisiaj jednak rozpaczliwie potrzebowała pomocy, czegoś, na czym mogłaby się oprzeć, ubrała się więc i pojechała do kościoła prezbiteriańskiego na Highland Avenue, którego kiedyś byli wiernymi. Kiedy jednak tam przyjechała, z jakiegoś powodu pojechała dalej i, ni z tego, ni z owego, znalazła się na drugim końcu miasta, na parkingu przez kościołem baptystów imienia Martina Lutera Kinga — największego kościoła kolorowych w Birmingham — zachodząc w głowę, co tam, do diabła, robi. Może to dlatego, że przez tyle miesięcy słuchała opowieści o Sipsey i Onzell. Nie miała pojęcia.

Przez całe życie uważała się za liberała. Nigdy nie użyła słowa „czarnuch”. Jej kontakty z czarnymi były jednak takie same, jak u większości białej klasy średniej przed latami sześćdziesiątymi — ograniczały się głównie do własnych służących lub służących znajomych.

Kiedy była mała, niekiedy zabierała się z ojcem, gdy ten podwoził ich służącą do południowej części miasta, gdzie mieszkała. Było to zaledwie dziesięć minut drogi, ale jej się wydawało, że jedzie do innego kraju: muzyka, ubrania, domy... wszystko tam było inne. Na Wielkanoc jechali tam, żeby obejrzeć nowiuteńkie świąteczne stroje: róże, fioloty i żółcie oraz kapelusze z piórkiem do kompletu.

Oczywiście w domach pracowały tylko czarne kobiety. Za każdym razem, gdy w pobliżu pojawiał się czarny mężczyzna, jej matka dostawała histerii, zaczynała krzyczeć i otulała się szczerlnie szlafrokiem, bo „w pobliżu jest kolorowy!” Do tej pory Evelyn nie czuła się swobodnie, gdy gdzieś nieopodal byli czarni mężczyźni. Poza tym podejście

jej rodziców do czarnych niczym się nie różniło od podejścia innych białych w tamtych czasach. Uważali, że czarni to w większości zabawni i cudowni, dziecinni ludzie, którymi trzeba się opiekować. Wszyscy mieli do opowiedzenia jakieś śmieszne historyjki o tym, co zrobiła albo powiedziała ich służąca, i kręcili głowami, zdumieni, że czarni mają tyle dzieci. Większość z nich oddawała im swoje stare ubrania i resztki ze stołu i pomagała w trudnych chwilach. Kiedy jednak Evelyn nieco podrosła, przestała jeździć do południowej części miasta i niewiele myślała o czarnych. Była zbyt zajęta własnym życiem.

Tak więc, w latach sześćdziesiątych, kiedy zaczęły się kłopoty, była, jak i większość białych w Birmingham, wstrząśnięta. Wszyscy się zgadzali, że to „nie nasi czarni” są przyczyną tych kłopotów, że to agitatorzy z zewnątrz, którzy zostali przysłani z Północy. Powszechnie zgadzano się co do tego, że „nasi kolorowi są szczęśliwi”. Wiele lat później Evelyn zastanawiała się, gdzie wtedy miała głowę i dlaczego nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje na drugim końcu miasta. Kiedy Birmingham ostro skrytykowano w prasie i telewizji, ludzie byli zdezorientowani i zdenerwowani. Nie wspomniano o ani jednym z tysięcy przypadków sympatii między obiema rasami.

Dwadzieścia pięć lat później Birmingham miało czarnoskórego burmistrza, a w 1975 roku Birmingham, znane jako Miasto Nienawiści i Strachu, zostało określone przez magazyn „Look” mianem Miasta Wszystkich Amerykanów. Mówiono, że zbudowano wiele mostów i że czarni, którzy kiedyś wyjechali na Północ, teraz zaczynają wracać do domu. Wszyscy mieli za sobą długą drogę.

Evelyn wiedziała o tym wszystkim, a mimo to, kiedy tak siedziała na kościelnym parkingu, zdumiona była liczbą cadillaców i mercedesów wjeżdżających i parkujących obok niej. Słyszała, że w Birmingham są bogaci czarni, ale nigdy dotąd ich nie widziała. Kiedy tak przyglądała się zgromadzonym wiernym, niespodziewanie ogarnął ją dawny lęk przed czarnymi mężczyznami. Spojrzała na drzwi samochodu, żeby się upewnić, czy są zamknięte, i już się szykowała do odjazdu, kiedy koło niej przeszedł ojciec, matka i dwoje dzieci — wszyscy roześmiani. I wtedy wróciła do rzeczywistości i się uspokoiła. Po paru minutach zebrała całą swoją odwagę i weszła do kościoła. Nawet kiedy śniadoliczy szwajcar uśmiechnął się do niej, powiedział „dzień dobry” i poprowadził wzdłuż nawy, wciąż się trzęsła. Serce waliło jej przez całą drogę do ławki, a kolana miała miękkie jak z waty. Miała nadzieję, że usiądzie z tyłu, lecz on zaprowadził ją do środkowego rzędu. Chwilami pot lał się z niej litrami i brakowało jej tchu. Przyglądało jej się parę osób. Kilkoro dzieci odwróciło się na swoich miejscach i zaczęło się na nią gapić. Uśmiechnęła się, one jednak nie odwzajemniły się tym samym. Już miała wychodzić, kiedy do jej rzędu wszedł jakiś mężczyzna z kobietą i usiadł koło niej. Utknęła więc w samym środku, jak zawsze zresztą. Po raz pierwszy w życiu była otoczona samymi czarnymi.

W jednej chwili stała się białym brzuchem węża, nie pokolorowaną stroną w książ-

ce, bladym kwiatem w bujnym ogrodzie. Młoda żona koło niej była olśniewająco piękna i ubrana w stroje, jakie Evelyn widziała tylko w magazynach mody. W swej perłowszarej garsonce i butach z wężowej skóry i torebką do kompletu mogłaby być wysokiej klasy modelką z Nowego Jorku. Kiedy Evelyn rozejrzała się po kościele, okazało się, że nigdy w życiu nie widziała w jednym miejscu tylu pięknie ubranych ludzi. Mężczyźni nadal ją krępowali — ich spodnie były zbyt obcisłe jak na jej gust — więc skupiła się na kobietach.

W końcu przecież zawsze podziwiała ich siłę i troskliwość. Często zastanawiała się, jak mogą tak bardzo kochać białe dzieci i z taką delikatnością i troską opiekować się białymi starcami. Ona chyba tak nie potrafiła. Obserwowała, jak się z sobą witają, podziwiała ich cudowną i absolutną swobodę oraz to, że poruszają się tak płynnie z naturalnym wdziękiem — nawet ci mocniej zbudowani. Wolałaby, żeby żaden z nich nigdy się na nią nie zdenerwował, ale strasznie by chciała zobaczyć, jak ktoś wyzywa któregoś z nich od tłustych krów. Uświadomiła sobie, że przez całe życie patrzyła na czarnych, lecz nigdy tak naprawdę ich nie widziała. Ich kobiety były przystojne: szczupłe, brązowe dziewczęta o kościach policzkowych jak u egipskich królowych i te duże, imponujące kobiety o piersiach jak balony. Trudno sobie wyobrazić, że ci ludzie kiedyś próbowali wyglądać jak biali... Muszą się teraz śmiać ze swoich przodków, z tych białych piosenkarzy z klasy średniej, którzy usiłują śpiewać jak czarni, i z białych dziewczyn we fryzurach afro. Role się odwróciły ...

Evelyn zaczęła się rozluźniać i poczuła się nieco swobodniej. Spodziewała się, że wewnątrz kościoła będzie wyglądać całkiem inaczej. Kiedy się rozejrzała, doszła do wniosku, że mógłby to być jeden z dziesiątków kościołów dla białych w Birmingham. W tej chwili nagle zabrzmiał dźwięk organów i dwustu pięćdziesięciu członków chóru w jaskrawoczerwonych i jasnobrązowych szatach, wstało i zaczęło śpiewać z siłą i mocą, która niemal zwała ją z ławy:

O, szczęśliwy dniu...

O, szczęśliwy dniu...

Kiedy Jezus zmył me grzechy...

Nauczył mnie, jak się modlić i śpiewać...

I cieszyć się każdym dniem...

O, szczęśliwy dniu...

O, szczęśliwy dniu...

Kiedy Jezus zmył me grzechy...

O, szczęśliwy, szczęśliwy dniu...

Kiedy usiedli z powrotem, pastor Portor, ogromny mężczyzna o głosie, który wypeł-

niał cały kościół, podniósł się z krzesła i rozpoczął kazanie zatytułowane „Radość kochania Boga”. Evelyn czuła, jak dreszcz emocji przechodzi przez cały kościół. Nauczając, odrzucał swą masywną głowę do tyłu, krzyczał i śmiał się z radości. A cała kongregacja i organy akompaniowali mu i odpowiadali tym samym.

Myliła się. Tu nie było tak jak w kościołach dla białych, a już na pewno nie tak jak na tych suchych, bezkrwistych kazaniach, do których była przyzwyczajona. Jego entuzjazm był zaraźliwy i rozprzestrzeniał się niczym ogień po całej sali. Zapewniał ich, z wielkim i potężnym przekonaniem, że jego Bóg nie jest Bogiem mściwym, lecz Bogiem dobroci... miłości... miłosierdzia... i radości. Zaczął tańczyć, paradować i wyśpiewywać swe kazanie pod niebiosa, a pot perlił się na jego błyszczącej twarzy, którą co jakiś czas ocierał białą chustką, którą trzymał w prawej dłoni.

Kiedy tak śpiewał, odpowiadał mu cały kościół:

— NIE ZAZNASZ RADOŚCI, DOPÓKI NIE POKOCHASZ SWEGO BLIŹNIEGO...

— O, tak, Panie.

— KOCHAJ SWOICH WROGÓW...

— Tak, Panie.

— PORZUĆ STARE ŻALE...

— Tak, Panie, porzuć.

— PORZUĆ TEGO STAREGO DIABŁA, ZAZDROŚĆ...

— Tak, Panie.

— BÓG WYBACZA...

— Tak, Panie, wybacz.

— DLACZEGO TY TEGO NIE POTRAFISZ...?

— Masz rację, Panie.

— BŁĄDZIĆ JEST RZECZĄ LUDZKĄ... WYBACZAĆ — BOSKĄ...

— Tak, Panie.

— NIE MA ZMARTWYCHWSTANIA DLA CIAŁ, KTÓRE TOCZY ROBAK GRZECZHU...

— Nie, Panie.

— ALE BÓG MOŻE CIĘ WZNIEŚĆ DO GÓRY...

— Tak, może.

— OCH, JAK DOBRY JEST NASZ BÓG...

— Tak, Panie.

— JAKIEGO PRZYJACIELA MAMY W JEZUSIE...

— O, tak, Panie.

— MOŻESZ BYĆ OCHRZCZONY I OBRZEZANY, ALE TO NIC NIE ZNACZY, JEŻELI NIE CHODZISZ W CHWALE...

— Nie, Panie.

— DZIĘKI CI, JEZU! DZIĘKI CI, JEZU! BOŻE WSZECHMOGĄCY! CHWALIMY TWE IMIĘ TEGO RANKA I DZIĘKUJEMY CI, JEZU! ALLELUJA! ALLELUJA! JEZU!

Kiedy skończył, cały kościół zakrzyknął „Amen!” i „Alleluja!”, a chór znowu zaczął śpiewać, aż cała sala zadrżała...

— CZY OBYLIŚCIE SIĘ WE KRWI... OCZYSZCZAJĄCEJ DUSZĘ... WE KRWI BARANKA... OCH, POWIEDZCIE, SŁODKIE DZIECI... CZY OBYLIŚCIE SIĘ WE KRWI...

Evelyn nigdy nie była religijną osobą, lecz tego dnia wstała ze swojego miejsca i wzniosła się wysoko ponad strach, który ją dotąd przygważdżał do ziemi. Poczuła, jak jej serce się otwiera i wypełnia zachwytem nad cudem życia. Uniosła się do ołtarza, gdzie biały Jezus, blady i wychudzony, w ciernistej koronie, spojrział na nią z krucyfiksu i powiedział:

— Wybacz im, moje dziecko, nie wiedzą bowiem, co czynią...

Pani Threadgoode miała rację. Oddała swe troski Panu, a on jej ulżył w cierpieniu. Evelyn wzięła głęboki oddech i ogromny ciężar żalu i nienawiści unióśł się w powietrze, zabierając z sobą Towandę. Była wolna! I w tej samej chwili wybaczyła chłopakowi z supermarketu, lekarzowi swojej matki i dziewczynom na parkingu... a także sobie. Była wolna. Wolna — jak większość tych ludzi tutaj, którzy przeszli przez swoje cierpienie i nie pozwolili, by nienawiść i strach zabiły ducha miłości.

W tej samej chwili pastor Portor wezwał wiernych do tego, by podali ręce swoim sąsiadom. Piękna młoda kobieta, która siedziała koło niej, podała jej dłoń i powiedziała:

— Niech cię Bóg błogosławi.

Evelyn uścisnęła jej dłoń i odparła:

— Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Kiedy wychodziła z kościoła, odwróciła się i rozejrzała po raz ostatni. Może przyszła tu dzisiaj, mając nadzieję, że się dowie, jak to jest być czarnym. Teraz zrozumiała, że nigdy się tego nie dowie, tak samo, jak jej przyjaciele stąd nigdy się nie dowiedzą, jak to jest być białym. Wiedziała, że już nigdy tu nie wróci. To ich miejsce. Ale po raz pierwszy w życiu poczuła radość. Prawdziwą radość. I to właśnie radość widziała w oczach pani Threadgoode, ale wtedy jej nie rozpoznała. Wiedziała, że już nigdy może jej nie poczuć. Doznała jej jednak i już nigdy w życiu nie zapomni tego uczucia. Byłoby cudownie, gdyby mogła powiedzieć wszystkim w kościele, jak wiele ten dzień dla niej znaczył.

Byłoby cudownie również, gdyby Evelyn wiedziała, że tą młodą kobietą, która podała jej dłoń, była najstarsza córka Jaspera Peaveya, portiera z pociągu pulmanowskiego, któremu, tak samo jak jej, powiodło się.

„WIADOMOŚCI SOUTHERN RAILROAD”

1 czerwca 1950

Kolejarz miesiąca

„Jego jedynym celem jest dopilnować, by ludzie byli zadowoleni, i uprzyjemnić im podróż. Nie przeoczcie tego wyróżniającego się pracownika kolei, poklepcie po plecach kolejarza miesiąca”.

Tymi słowami pasażer „Srebrnego Półksiężycy”, Cecil Laney, opisał portiera wagonu pulmanowskiego, Jaspera Q. Peaveya. Ten genialny portier otrzymuje same pochwały odkąd, mając siedemnaście lat, zaczął pracować na kolei jako bagażowy na stacji dworca w Birmingham w Alabamie. Od tamtej pory był kucharzem, kierowcą wózka bagażowego, portierem na dworcu, kelnerem w wagonie restauracyjnym, portierem w salonce, a w 1935 roku dostał awans na portiera wagonu pulmanowskiego. W 1947 został prezesem oddziału Bractwa Portierów Wagonów Sypialnych w Birmingham.

Pan Laney pisze dalej: „Uprzejmość Jaspera widoczna jest już w chwili, gdy pasażer wsiada do pociągu. Dokłada wszelkich starań, by bagaże pasażerów zostały właściwie załadowane, i przez całą podróż z szerokim, zawsze obecnym, wesołym uśmiechem wyświadcza drobne przysługi, by jak najbardziej uprzyjemnić pasażerom podróż. Na parę minut zanim pociąg wjedzie na stację, zawsze ogłasza: «Mniej więcej za pięć minut będziemy w... Chętnie pomogę państwu wynosić bagaże».

Jest naszym zaufanym przyjacielem, uważnym gospodarzem, czujnym strażnikiem, zapewnia nam wszelkie wygody i służy pomocą. Opiekuje się dziećmi i wspiera strapione matki. Jest nad wyraz kurtuazyjny, pomocny i sprawny, za co wdzięczni mu są wszyscy pasażerowie. Niełatwo znaleźć takiego człowieka w obecnych czasach”.

Jasper jest świeckim pastorem w kościele baptystów przy Szesnastej Ulicy w Birmingham i ojcem czterech córek: dwie z nich są nauczycielkami, jedna uczy się w szko-

le pielęgniarstwa, a najmłodsza planuje wyjechać do Nowego Jorku i studiować muzykologię.

Gratulacje dla Jaspera Q. Peaveya, naszego wyróżniającego się kolejarza miesiąca.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

27 sierpnia 1955

Zamknięcie dworca przetokowego

Oczywiście wszystkim nam bardzo przykro, że dworzec przetokowy ma być zamknięty. Teraz, gdy wycofano większość pociągów, tracimy i wielu naszych przyjaciół, którzy przeprowadzają się do innych miast. Możemy tylko mieć nadzieję, że pociągi znowu zaczną jeździć. To niesprawiedliwe przy tak niewielkiej liczbie pociągów, które przejeżdżają przez nasze miasteczko.

Grady Kilgore, emerytowany urzędnik kolei L & N, mówi, że kraj nie może istnieć bez pociągów i że to tylko kwestia czasu, zanim rząd zda sobie z tego sprawę. Ja wam mówię, że spółka L & N wkrótce się opamięta i z powrotem puści je w trasę.

Najpierw Georgia Pacific Seaboard, a teraz L & N. Wytrzymała tylko Southern Railroad... Wygląda na to, że nikt już nie chce pasażerów.

Doszły nas słuchy, że być może zostanie zamknięta również kawiarnia. Idgie mówi, że interes kiepsko idzie.

A przy okazji, moja druga połowa twierdzi, że miała przez dziesięć dni ośmiodniowe zapalenie płuc... Ci mężczyźni!

...Dot Weems.

OBRZEŻA ROANOKE W WIRGINII

WAGON PULMANOWSKI NR 16

23 grudnia 1958

Jasper Peavey siedział przez całą noc w pociągu, który sunął przez zasypaną śniegiem okolicę, a światło księżyca iskrzyło się na białych polach, które mijali. Za lodowato zimnym oknem trzaskał mróz, ale wewnątrz było ciepło i przytulnie. W takich chwilach czuł się najbezpieczniej, najbardziej swobodnie. Już żadnych uśmiechów... nic, tylko cisza. Na każdym postoju migwały czerwone i zielone światła, a wczesnym rankiem światła zaczęły się pojawiać, jedno po drugim, w małych miasteczkach.

Miesiąc mu został do emerytury z niezłą pensyjką od Southern Railroad. Jasper przyjechał do Birmingham rok po swoim bracie, Artisie, i chociaż byli bliźniakami i obu prawo uznawało za Murzynów, wiedli całkowicie odmienny tryb życia.

Jasper kochał swego brata, prawie go jednak nie widywał.

Artis szybko znalazł miejsce pomiędzy energicznymi, rzutkimi mieszkańcami 4th Avenue North, gdzie dzień i noc grano gorącą muzykę. Jasper wynajął mieszkanie w chrześcijańskim domu czynszowym cztery ulice dalej i uczęszczał do szesnastego kościoła baptystów od pierwszej niedzieli swego pobytu w Birmingham. To właśnie tam pannie Blanch Maybury wpadł w oko ten gładkolicy chłopak z piegami po matce. Blanch była jedyną córką pana Charlesa Maybury, poważanego obywatela, dobrze znanego wychowawcy i dyrektora średniej szkoły dla czarnych, i poprzez nią Jasper automatycznie został przyjęty do ekskluzywnej wyższej średniej klasy czarnych.

Kiedy się pobrali, ojciec Blanch był rozczarowany brakiem formalnej edukacji i korzeni Jaspiera, lecz z nawiązką wynagrodził mu to jego kolor skóry i maniery.

Po ślubie Jasper ciężko pracował, a podczas gdy Artis wydawał pieniądze na ubrania i kobiety, on siedział w zimnych, zaszczurzonych hotelach robotniczych, które spółka zapewniała portierom na wyjeździe. Oszczędzał, aż wreszcie on i Blanch mogli się wy-

brać do sklepu z pianinami i kupić instrument za gotówkę. Pianino w domu — to było coś. Jasper dziesięć procent zarobków oddawał kościołowi, a w Penny Saving Bank dla czarnych założył sobie konto oszczędnościowe na edukację dzieci. Nigdy nie tknął ani kropli alkoholu, nie pożyczył ani grosza i nigdy nie popadł w długi. Był jednym z czarnych w Birmingham, którzy wprowadzili się do Enon Ridge, później znanego jako Dynamitowe Wzgórze. Kiedy Klan wysadził w powietrze ceglane domy Jaspera i kilku jego sąsiadów, niektórzy wyjechali, lecz on został. Zniósł wiele lat: „Hej, Sambo”, „Hej, chłopcze”, „Hej, George”, opróżniania sopluczek, czyszczenia butów i noszenia tyłu bagażu, że nie mógł spać z bólu w plecach i ramionach. Często płakał z upokorzenia, kiedy coś zostało skradzione i urzędnicy kolei najpierw przeszukiwali przedziały portierów. Odpowiadał: „Tak, psze pana”, „Tak, psze pani”, uśmiechał się, przynosił rozwrzeszczanym komiwojażerom alkohol w środku nocy, białe kobiety go poniżały, a dzieci nazywały „czarnuchem”, biali konduktorzy traktowali go jak śmieć, a inni portierzy kradli mu napiwki. Sprzątał wymiociny po obcych ludziach i setki razy przejeżdżał przez Cullman County, gdzie stała tablica z napisem CZARNUCHU... LEPIEJ ZASŁOŃ SOBIE TWARZ. Zniósł to wszystko. Ale...

Polisa pogrzebowa dla jego rodziny została spłacona, przeprowadził całą czwórkę dzieci przez college i żadne z nich nie będzie musiało żyć z napiwków. Ta jedna myśl podtrzymywała go na duchu przez wszystkie te trudne, łamiące kark lata.

To — i pociągi. Jeżeli jego brat, Artis, był zakochany w mieście, to Jasper kochał pociągi. Pociągi z ciemnymi, wypolerowanymi, mahoniowymi klubowymi wagonami wyłożonymi boazerią i z pluszowymi czerwonymi fotelami. Pociągi ze swymi poetyckimi imionami... Pociąg z miejscówkami „Zachód Słońca”... „Królewska Palma”... „Nowy Orlean”... „Latający Spodek”... „Ognista Mucha”... Pociąg z miejscówkami „Zmierzch”... „Palmetto”... „Czarny Diament”... „Piękność Południa”... „Srebrna Gwiazda”...

A tej nocy jechał „Wielką Srebrną Kometą”, tak smukłą i opływową jak srebrna rurka... jadącą z Nowego Orleanu do Nowego Jorku i z powrotem, jednym z tych wspaniałych pociągów, które jeszcze kursowały. Opłakiwał każdy z nich, gdy, jeden po drugim, były zdejmowane z rozkładów jazdy i rzucane na pożarcie rdzy na jakimś dworcu przetokowym — niczym umierający starzy arystokraci, antyczne relikty minionych czasów. Dzisiaj czuł się jak jeden z tych pociągów... poza torami... niemodny... dawno po czasach swej świetności... bezużyteczny.

Zaledwie wczoraj podsłuchał, jak jego wnuk, Mohammed Abdul Peavey, mówił swojej matce, że nie chce nigdzie chodzić ze swoim dziadkiem, bo się wstydzi, kiedy ten się płaszczy przed białymi i śpiewa w kościele te swoje stare murzyńskie gospelsy.

Dla Jaspera było jasne, że jego czas się już skończył i że, podobnie jak jego starzy przyjaciele, on sam rdzewieje gdzieś na bocznicach. Żałował, że wszystko nie ułożyło się inaczej. Wybrał jedyną drogę, jaką potrafił przejść. Ale przeszedł.

HOTEL ST. CLAIR
(NAJNOWOCZEŚNIEJSZY HOTEL W BIRMINGHAM)
411 2ND AVE. NORTH
BIRMINGHAM, ALABAMA

23 grudnia 1965

Smokey był po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko zabitego deskami dworca kolei L & N, w pokoju hotelowym, który może i był najnowocześniejszy przed trzydziestoma pięcioma laty, lecz teraz stało w nim tylko łóżko, krzesło i czterdziestowatowa żarówka na drucie. W pokoju byłoby ciemno jak w kopalni, gdyby nie blade żółte światło, które wpadało przez okienko nad wysokimi, grubo polakierowanymi, brązowymi drzwiami.

Smokey Samotnik siedział sam, paląc papierosa i wyglądając przez okno na zimną, mokrą ulicę w dole, wracając myślami do czasów, kiedy wokół księżycy był wianuszek małych gwiazdek, a wszystkie rzeki i whisky były słodkie. Kiedy mógł nabrać w płuca świeżego powietrza, nie kaszląc przy tym. Kiedy Idgie, Ruth i Kikutek mieszkali za kawiarnią i jeździły jeszcze wszystkie pociągi. Te czasy, czasy niezwykle, tak odległe... a w jego pamięci na wyciągnięcie dłoni...

Wspomnienia te wciąż żyły w jego pamięci i dzisiaj siedział, szukając ich i jak zwykle łapczywie wypatrując światła księżycowego. Raz na jakiś czas łapał promień, dosiadał go i czuł się jak w bajce. W jego głowie na okrągło grała ta sama stara melodia:

*Kółeczka dymu
Dokąd odchodzą ?
Kółeczka dymu, które puszczam ?
Te niebieskie kręgi, które
Wciąż mi o tobie przypominają...*

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

22 września 1986

Kiedy Evelyn Couch weszła do saloniku, pani Threadgoode spała i nagle zaczęła wyglądać na swój wiek. Evelyn uświadomiła sobie, jak stara jest jej przyjaciółka i to ją przestraszyło. Otrząsnęła się.

— Pani Threadgoode!

Pani Threadgoode otworzyła oczy, przyglądała włosy i od razu zaczęła mówić.

— Och, Evelyn. Długo tu jesteś?

— Nie, dopiero przysłam.

— Nigdy nie pozwól, żebym przespała dzień odwiedzin. Obiecujesz?

Evelyn usiadła i podała przyjaciółce papierowy talerz z kanapką z pieczenią i kawałek ciasta cytrynowego na zimno, widelec i serwetkę.

— Och, Evelyn! — Pani Threadgoode usiadła. — Gdzieś ty to dostała? W kawiarni?

— Nie. Zrobiłam to specjalnie dla pani.

— Naprawdę? Niech cię Bóg błogosławi.

Evelyn zauważyła, że od paru miesięcy jej przyjaciółce coraz bardziej mieszają się czasy, przeszłość przeplata się z terażniejszością, i że pani Threadgoode czasami mówi do niej „Cleo”. Niekiedy przyłapywała się na tym i śmiała się, ale ostatnio coraz rzadziej.

— Przepraszam, że tak przysnęłam. Nie tylko ja; wszyscy tutaj są zmęczeni.

— A co, nie może pani spać w nocy?

— Kochana, tutaj od tygodni nikt nie śpi. Vesta Adcock zaczęła po całych nocach telefonować. Dzwoni do wszystkich — od prezydenta do burmistrza. Wczoraj w nocy zadzwoniła do królowej Anglii, żeby się na coś poskarżyć. Stroszy się jak jakiś stary kocur i wariuje przez całą noc.

- A dlaczego nie zamknie za sobą drzwi?
- Zamyka.
- No, to dlaczego jej nie zabiorą telefonu z pokoju?
- Kochana, już to zrobili, ale ona o tym nie wie, ciągle dzwoni.
- Mój Boże! Czy ona... zwariowała?
- No, możemy to ująć w ten sposób — powiedziała uprzejmie pani Threadgoode.
- Ona żyje na tym świecie, ale w nim nie przebywa.
- Tak. Chyba ma pani rację.
- Złotko, napiłabym się czegoś zimnego do tego placka. Mogłabyś mi coś przynieść? Poszłabym sama, ale mam za słaby wzrok, żeby dojrzeć otwór na monety.
- Och, oczywiście. Przepraszam, powinnam była spytać.
- Masz tu pięć centów.
- Och, pani Threadgoode, niech pani nie będzie niemądra. Sama kupię pani napój. Jezu kochany.
- Nie. Evelyn, weź te pieniądze... nie musisz na mnie wydawać forsy — nalegała.
- Nie wypiję, jeżeli nie pozwolisz mi zapłacić.
- Wreszcie Evelyn wzięła te pięć centów i, jak zawsze, kupiła zań napój za siedemdziesiąt pięć centów.
- Dziękuję, kochana... Evelyn, czy ja ci kiedyś mówiłam, że nienawidzę brukselki?
- Nie. Dlaczego nie lubi pani brukselki?
- Trudno powiedzieć. Po prostu nie lubię. Ale poza tym uwielbiam wszystkie inne warzywa. Chyba że są zamrożone albo w puszcze. Lubię świeżą słodką kukurydzę, fasolkę szparagową i stary, dobry groch, no i smażone zielone pomidory.
- Wiedziała pani, że pomidor to owoc? — spytała Evelyn.
- Naprawdę? — zdziwiła się pani Threadgoode.
- Jasne.
- Pani Threadgoode była wstrząśnięta.
- No nie. Przez tyle lat, przez całe moje życie myślałam, że to warzywa... podawałam je jako warzywa. Pomidor to owoc?
- Tak.
- Jesteś pewna?
- O, tak. Pamiętam to z lekcji gospodarstwa domowego.
- Nie mieści mi się to w głowie, więc będę udawać, że nigdy o tym nie usłyszałam. Ale brukselka to warzywo, prawda?
- O, tak.
- No, dobrze. Teraz czuję się lepiej... A co z fasolką szparagową? Chyba mi nie powiesz, że i to jest owoc?
- Nie, to warzywo.

— No, dobra. — Zjadła ostatni kawałek ciasta, przypomniała sobie coś i się uśmiechnęła.

— Wiesz, Evelyn, zeszłej nocy miałam przepiękny sen. Był taki rzeczywisty. Śniło mi się, że mama i tata Threadgoode'owie stoją na frontowym ganku starego domu i machają do mnie, żebym przyszła... a zaraz potem na ganek wychodzi Cleo i Albert i wszyscy Threadgoode'owie zaczynają mnie wołać. Strasznie chciałam do nich iść, ale wiedziałam, że nie mogę. Powiedziałam im, że nie mogę przyjść, dopóki pani Otis nie poczuje się lepiej, i wtedy mama rzekła tym swoim słodkim głosem: „Pośpiesz się, Ninny, bo wszyscy na ciebie czekamy”.

Odwróciła się do Evelyn.

— Niekiedy po prostu nie mogę się doczekać, kiedy pójdę do nieba. Po prostu nie mogę się doczekać. Najpierw poszukam tam Kolejowego Billa — nigdy nie odkryto, kim był. Oczywiście musiał być kolorowy, ale jestem przekonana, że poszedł do nieba. Evelyn, myślisz, że tam będzie?

— Na pewno.

— Jeżeli ktoś zasługuje na niebo — to on. Mam tylko nadzieję, że będę wiedziała, że to on, kiedy go zobaczę.

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

3 lutego 1939

W porze lunchu kawiarnia była aż po brzegi zapchana kolejarzami, więc Grady poszedł pod kuchenne drzwi i wrzasnął:

— Przygotuj mi stertę tych smażonych zielonych pomidorów i trochę mrożonej herbaty, dobra, Sipsej? Śpieszę się. – Sipsej podała mu talerz i Grady wrócił z lunchem do kawiarni.

Trzydziesty dziewiąty był piątym rokiem pod rząd, od kiedy Kolejowy Bill napadał na pociągi. Kiedy Grady mijał Charliego Fowlera, maszynistę z Southern Railroad, ten go zaczepił:

— Hej, Grady, słyszałeś, że stary Kolejowy Bill zeszłej nocy znowu napadł na pociąg? Czy wy, kolejowe psy, nigdy go nie złapiecie?

Wszyscy się roześmiali, a Grady usiadł przy barze.

— ŚmieJCie się, śmieJCie, ale w tym nie ma nic zabawnego. To znaczy, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni ten sukinsyn napadł w sumie na pięć pociągów.

— Ten czarnuch kręci wami, jak tam sobie chce, co? – Jack Butts zachichotał.

Wilbur Weems, który siedział koło niego, uśmiechnął się i zaczął gryźć wykałaczkę.

— Słyszałem, że wyrzucił cały wagon puszek między nami a Anniston, a czarnuchy pozbierały je jeszcze przed świtem.

— No, ale to nie wszystko — wtrącił Grady. — Ten czarny skurczybyk wyrzucił z tego przeklętego pociągu siedemnaście szynek, które należały do rządu Stanów Zjednoczonych — i to w biały dzień.

Sipsej zachichotała, stawiając przed nim mrożoną herbatę.

Grady sięgnął po cukier.

— Nie ma w tym nic śmiesznego, Sipsej. Z Chicago przyjeżdża inspektor rządowy,

który mi depta po piętach. Mam jechać do Birmingham i się z nim spotkać. Cholera, mamy już sześciu dodatkowych ludzi. Ten sukinsyn pewnie mnie wywali.

— Podobno nikt nie wie, jak on wsiada do tych pociągów i skąd wie, w którym jest jedzenie — powiedział Jack. — I jak wysiada, zanim zdążycie go złapać.

— Grady — dodał Wilbur — podobno nigdy nawet nie byliście na jego tropie.

— No, zeszłej nocy Art Bevins o mało co go nie złapał pod Gate City. Spóźnił się dosłownie o pięć minut, więc dni tego czarnucha są policzone... zapamiętajcie moje słowa.

— Hej, Grady, a może by wysłać Kikutka, żeby wam pomógł? — zaproponowała, przechodząc obok mnie Idgie. — Może on go złapie.

— Idgie, zamknij się i przynieś mi jeszcze trochę tego — powiedział Grady i podał jej talerz.

Ruth stała za barem, licząc resztę dla Wilbura.

— Słowo daję, Grady, a co wam szkodzi. Ci biedacy prawie umierają z głodu. Gdyby nie wyrzucał im węgla, wielu z nich zamarłoby na śmierć.

— W pewnym sensie zgadzam się z tobą, Ruth. Parę puszek fasoli raz na jakiś czas i trochę węgla nie zrobiłoby żadnej różnicy. Ale sytuacja wymyka się spod kontroli. Do tej pory między nami a granicą stanu spółka ustawiła dwunastu nowych ludzi, a ja nocą pracuję na dwie zmiany.

Smokey Samotnik siedział przy drugim końcu baru, pijąc kawę.

— Dwunastu ludzi na jednego starego czarnucha? — odezwał się piskliwym głosem. — To tak jakby strzelać do muchy z armaty, nie?

— Nie przejmuj się. — Idgie poklepała Grady'ego po plecach. — Sipsej mi powiedziała, że nie możecie go złapać dlatego, że on potrafi przemieniać się w lisa czy królika. Uważasz, że to prawda, Grady?

Wilbur chciał się dowiedzieć, jaka jest nagroda.

— Na dzisiaj wynosi dwieście pięćdziesiąt dolarów — odparł Grady. — Pewnie dojdzie do pięciuset, zanim wszystko się skończy.

— Cholera, to kupa pieniędzy... — Wilbur pokręcił głową. — A jak on wygląda?

— No, ludzie, którzy go widzieli, mówią, że to zwykły stary czarnuch w pończosze na głowie.

— Powiedziałbym, że to sprytny czarnuch — dodał Smokey.

— No, może i tak. Ale coś wam powiem. Kiedy dorwiemy tego czarnego skurwysyna, będzie z niego smutny czarnuch. Rany, od tygodni nie spałem we własnym domu.

— Do diabła, Grady — powiedział Wilbur — z tego, co wiem, to nic nowego.

Wszyscy się roześmiali.

A potem, kiedy Jack Butts, który również był członkiem klubu Dill Pickle, powiedział: „No, to fatalnie... Podobno Eva Bates też narzeka” — cała sala wybuchnęła śmie-

chem.

— Jack, wstydź się — skarcił go Charlie. — Nie powinieneś w ten sposób obrażać biednej Ewy.

Grady wstał i rozejrzał się po kawiarni.

— Wiecie, wszyscy tutaj jesteście zwykłymi ignorantami. Po prostu zwykłymi ignorantami!

Podszedł do wieszaka na kapelusze, wziął swój kapelusz i odwrócił się raz jeszcze.

— To miejsce powinno się nazywać kawiarnia Ignorancja. Chyba się przeniosę gdzie indziej.

Wszyscy, włączając w to Grady'ego, zaśmiali się, bo nie było tu dokąd się przenieść. Grady wyszedł i skierował swe kroki do Birmingham.

1520 WILLINA LANE

ATLANTA, GEORGIA

27 listopada 1986

Kikutek Threadgoode, przystojny jeszcze, pięćdziesięciosiedmioletni mężczyzna, był u swej córki Normy na kolacji w Święto Dziękczynienia. Właśnie skończył oglądać mecz futbolowy Alabama-Tennessee i teraz siedział przy stole z mężem Normy, Mackym, ich córką, Lindą, i jej chudym chłopakiem w okularach, który uczył się na kręgarza. Pili kawę i jedli ciasto orzechowe.

Kikutek odwrócił się do chłopaka.

— Miałem wujka, Cleo, który był kręgarzem. Oczywiście nigdy nie zarobił na tym ani grosza... Wszystkich leczył za darmo. No, ale to było podczas Wielkiego Kryzysu i nikt nie miał pieniędzy.

Moja mama i ciocia Idgie prowadziły kawiarnię. Był to tylko mały domek z desek sosnowych, ale coś wam powiem: wszyscy mieliśmy co jeść i nikt, kto przyszedł głodny, nie odszedł z kwitkiem... biały czy czarny. Nigdy nie widziałem, żeby ciocia Idgie odprawiła kogoś od drzwi, znana była też z tego, że dała i kielicha, kiedy ktoś był w potrzebie... Zawsze trzymała buteleczkę w kieszeni fartucha, a mama mawiała: „Idgie, ty tylko wciągasz ludzi w nałóg”. Ale ciocia Idgie, która sama lubiła sobie wypić, odpowiadała: „Ruth, człowiek nie żyje samym chlebem”.

Codziennie pojawiała się u nas dziesięciu czy piętnastu włóczęgów. Oni jednak nie bali się trochę popracować na jedzenie — nie tak jak w dzisiejszych czasach. Grabili podwórze albo zamiatali chodnik. Ciocia Idgie zawsze dawała im jakieś zajęcie, żeby nie zranić ich dumy. Niekiedy wpuszczała ich do pokoju na zapleczu i prosiła, żeby mnie popilnowali — robiła to, by mieli wrażenie, że pracują. Byli to w większości dobrzy ludzie, którzy po prostu mieli pecha. Najlepszym przyjacielem cioci Idgie był taki stary włóczęga, na którego wołali Smokey Samotnik. Jezu, można mu było zawierzyć własne

życie. Nigdy by nie wziął rzeczy, która do niego nie należała.

Ci włóczędzy mieli swój honor. Smokey mówił, że kiedyś podobno złapali jednego, który ukradł z domu jakieś srebra, zabili go na miejscu, a srebra oddali poszkodowanym... Wtedy nie musieliśmy zamykać drzwi na klucz. Ci nowi, którzy teraz włóczą się po kraju, to zupełnie inny gatunek. Zwyczajne obiboki i narkomani, którzy cię obrobiją do ostatniego grosza.

Cioci Idgie nigdy niczego nie zabrali. — Roześmiał się. — Oczywiście może tak było z powodu tej dubeltówki, którą trzymała przy łóżku... Ciocia Idgie była twarda jak stal, nie, Peggy?

— Twardsza — zawołała Peggy z kuchni.

— Oczywiście przeważnie udawała groźną, ale jeżeli coś jej się nie spodobało, potrafiła się wściec jak wszyscy diabli. Wiecznie toczyła wojnę z takim starym kaznodzieją z kościoła baptystów, gdzie mama uczyła w szkółce niedzielnej, i często doprowadzała go do białej gorączki. Był abstynentem i któregoś niedzieli wypomniął z ambony pijaństwo jej przyjaciółki, Evy Bates. Idgie tak się wściekła, że nie mogła mu tego wybaczyć. Za każdym razem, kiedy do miasteczka przyjeżdżał ktoś obcy i chciał kupić whisky, wyprowadzała go z kawiarni, wskazywała dom starego wielebnego Scrogginsa i mówiła: „Widzisz ten tam zielony dom? Idź tam i zapukaj do drzwi. Ten facet ma najlepszy alkohol w całym stanie”. Wskazywała jego dom i wtedy, kiedy chłopaki szukali czego innego.

Peggy wyszła z kuchni i usiadła.

— Kikutek, nie opowiadaj im tego.

Roześmiał się.

— No, ale przecież to prawda. Zawsze podkładała mu świnię. Ale, jak mówię, lubiła, żeby ludzie myśleli, że jest złym człowiekiem... wewnątrz była miękka jak pianka. Jak wtedy, gdy syn kaznodziei, Bobby Lee, został aresztowany... to ją wtedy wezwano, by go odebrała.

Bobby pojechał do Birmingham z dwoma czy trzema chłopakami, spił się i zaczął ganiać po korytarzu w samej bieliźnie, i wyrzucać z siódmego piętra balony z wodą. Tylko że napełnił je atramentem i trafił żonę jakiejś szychy z rady miejskiej, która szła do hotelu na imprezę.

Wydobycie go z więzienia kosztowało ciocię Idgie dwieście dolarów i następne dwieście za usunięcie nazwiska Bobby'ego z rejestru, żeby nie figurował w aktach i żeby jego tatuaż się nie dowiedział... Pojechałem tam z nią. W drodze powrotnej ostrzegła go, że jeżeli komukolwiek powie, co zrobiła, odstrzeli mu, wiecie co. Nie mogła znieść myśli, że ktoś mógłby się dowiedzieć, że zrobiła dobry uczynek, zwłaszcza dla syna kaznodziei.

Cała paczka z klubu Dill Pickle była taka. Odwalali kawał dobrej roboty, o której nikt nie wiedział. Ale najśmieszniejsze w całej tej historii jest to, że Bobby Lee został wybit-

nym prawnikiem i w końcu prokuratorem generalnym gubernatora Folsoma.

Jego córka, Norma, przyszła, by pozbierać resztę naczyń.

— Tatusiu, opowiedz im o Kolejowym Billu.

Linda posłała swej matce rozpaczliwe spojrzenie.

— Kolejowy Bill? — powiedział Kikutek. — Boże, naprawdę chcecie posłuchać o Billu?

Chłopak, który wolałby dokądś zabrać Linde, powiedział:

— Tak, proszę pana, strasznie chciałbym usłyszeć tę historię.

Macky uśmiechnął się do swojej żony. Słyszeli tę opowieść setki razy i wiedzieli, że Kikutek uwielbiają opowiadać.

— Było to w czasie Wielkiego Kryzysu. Człowiek, którego nazywano Kolejowym Billem, w jakiś sposób dostawał się do pociągów z dostawami rządowymi i wyrzucał wszystko kolorowym. Potem wyskakiwał, zanim ktokolwiek zdążył go złapać. Ciągnęło to się przez lata i wkrótce kolorowi zaczęli opowiadać o nim legendy. Twierdzili, że widzieli, jak przemieniał się w lisa i biegł czterdzieści kilometrów po ogrodzeniu z drutem kolczastym na górze. Ci, którzy rzeczywiście go widzieli, mówili, że miał na sobie długi, czarny płaszcz i czarną pończochę na głowie. Ułożyli nawet o nim piosenkę... Sipsey mówiła, że co niedziela wszyscy modlili się w kościele, żeby Bóg zachował w opiece Kolejowego Billa.

Kolej ustanowiła ogromną nagrodę za jego głowę, ale w Whistle Stop nie było ani jednej osoby, która by go wydała, nawet gdyby ktokolwiek wiedział, kim on jest. Wszyscy się dziwowali i snuli domysły.

Ja sobie wbiłem do głowy, że Kolejowym Billem jest Artis Peavey, syn naszego kucharza. Miał odpowiednie rozmiary i był szybki jak błyskawica. Śledziłem go dzień i noc, ale nigdy nie mogłem go przyłapać. Miałem wtedy z dziewięć czy dziesięć lat i oddałbym wszystko, aby zobaczyć go w akcji.

Któregoś ranka, o świcie, musiałem wyjść do toalety. Byłem na wpół śpiący i kiedy wszedłem do łazienki, zobaczyłem tam mamę i ciocię Idgie przy kranie z wodą. Mama spojrzała na mnie, zaskoczona, i powiedziała: „Zaczekaj chwileczkę, kochanie” i zamknęła drzwi.

Powiedziałem: „Mamo, pośpiesz się, już nie mogę!” Wiecie, jakie są dzieciaki. Usłyszałem, jak rozmawiają i wkrótce wyszły. Ciocia wycierała sobie ręce i twarz. Kiedy wszedłem do łazienki, urny walka była pełna pyłu węglowego. A na podłodze, za drzwiami, leżała czarna pończocha.

Nagle zrozumiałem, dlaczego tak często widziałem, jak ona i stary Grady Kilgore, detektyw kolejowy, szepczą po kątach. To on ją informował o rozkładach pociągów... i to moja ciocia Idgie wskakiwała do pociągów.

— Och, dziadku, jesteś pewien, że to prawda? — spytała Linda.

— Oczywiście, że to prawda. — Zwrócił się do Macky'ego: — Mówiłem ci kiedyś, co zrobiła, kiedy Wilbur i Dot Weems się pobrali i pojechali w podróż poślubną do wielkiego hotelu w Birmingham?

— Nie, chyba nie.

— Kikutek, nie opowiadaj tej historii przy dzieciach — powiedziała Peggy.

— Nie martw się, to nic takiego. No, w każdym razie stary Wilbur był członkiem klubu Dill Pickle. Zaraz po ślubie ciocia Idgie i cała banda wsiedli do samochodu, najszybciej jak mogli, pojechali do Birmingham i przekupili recepcjonistę w hotelu, żeby ich wpuścił, do apartamentu dla nowożeńców i porozkładali na całym łóżku różne śmieszne przedmioty... Bóg jeden wie, co...

— Kikutek... — ostrzegła go Peggy.

— Do diabła, nie wiem, co tam było. — Roześmiał się. — W każdym razie wsiedli potem do samochodu i pojechali do domu, a kiedy Wilbur i Dot wrócili, spytali Wilbura, jak mu się podobał apartament dla nowożeńców w Redmont. Okazało się, że trafili do innego hotelu, a jakaś inna biedna para młoda przeżyła największy szok w swoim życiu.

— Wyobrażacie sobie? — Peggy pokręciła głową.

Norma wychyliła głowę z okienka w kuchni.

— Tatusiu, opowiedz im o tych zębaczach, które łowiliście w Warrior River.

Kikutkowi od razu rozjaśniła się twarz.

— Nie dalibyście wiary, jak wielkie były te zębacze. Pamiętam, że któregoś dnia padało i zębacz tak mocno mnie ugryzł, że ściągnął mnie z brzegu i musiałem się z nim szamotać, żeby mnie nie wciągnął do wody. Dookoła waliły pioruny, a ja walczyłem o życie, ale wreszcie po jakichś czterech godzinach wyciągnąłem z wody tego potwora i, słowo daję, ważył chyba z dziesięć funtów, albo i więcej, i był taaaki długi...

I Kikutek wyciągnął swą jedną rękę.

Chudy przyszyły kręgarz siedział z głupią miną, starając się zorientować, jak długi był ten zębacz.

Linda, wyczerpana, oparła dłoń na biodrze.

— Och, dziadku.

Norma tylko zachichotała w kuchni.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

28 września 1986

Tego dnia zjadały się kilkoma daniami: coca-colą, chipsami ziemniaczanymi Golden Flake, a na deser — na prośbę pani Threadgoode — figami Newtons. Pani Threadgoode powiedziała Evelyn, że pani Otis dla dobrego trawienia przez ubiegłe trzydzieści lat jadła trzy figi Newtons dziennie.

— Ja je jem, bo lubię ich smak. Ale powiem ci, co jest dobre. Kiedy byłam w domu i nie chciało mi się gotować, szłam do sklepu Ociego i kupowałam paczkę tych małych bułeczek, które się odgrzewało w piekarniku, polewałam je syropem Log Cabin i to jadłam na kolację. Nie kosztują tak dużo. Powinnaś je kiedyś spróbować.

— A ja lubię, pani Threadgoode, te mrożone bułeczki z miodem.

— Bułeczki z miodem?

— Tak. Smakują jak cynamonowe. Wie pani.

— Och, uwielbiam cynamonowe bułeczki. Może byśmy je kiedyś zjadły, co?

— Dobrze.

— Wiesz, Evelyn, tak się cieszę, że nie jesteś już na tej swojej diecie. To surowe jedzenie by cię zabiło. Nie chciałam ci przedtem tego mówić, ale pani Adcock nieomalże umarła od tych diet odchudzających. Jadła tak dużo surowego jedzenia, że z ostrymi bólami brzucha zabrali ją do szpitala i musieli zrobić operację. Mówiła, że kiedy lekarz badał jej wnętrzności, wziął do ręki wątrobę, żeby się przyjrzeć z bliska, a ona upadła na podłogę i odbiła się z pięć razy, zanim ją złapali. Pani Adcock mówi, że z tego powodu od tamtej pory ma straszne bóle w krzyżu.

— Uch, pani Threadgoode, chyba jej pani nie wierzy, co?

— No, tak mówiła wczoraj przy kolacji.

— Kochanie, ona sobie to wszystko wymyśliła. Wątroba jest przyczepiona do ciała.

— Może coś jej się pokręciło, może to była nerka, czy coś innego, ale na twoim miejscu nie jadłabym już tych surowych rzeczy.

— No, dobrze, pani Threadgoode, skoro pani tak mówi. — Evelyn ugryzła kawałek chipsa. — Pani Threadgoode, chciałam panią o coś spytać. Czy mówiła mi pani kiedyś, że niektórzy uważali, że Iddie kogoś zabiła? A może tylko mi się wydawało, że pani tak powiedziała?

— O, nie, kochana, mnóstwo ludzi tak myślało. Zwłaszcza kiedy ją i Dużego George'a oskarżono o morderstwo w Georgii...

Evelyn była wstrząśnięta.

— Naprawdę?

— Nie opowiadałam ci o tym?

— Nie, nigdy.

— Och... No, to było coś okropnego! Pamiętam dokładnie ten poranek. Zmywałam właśnie naczynia, słuchając Klubu śniadaniowego, kiedy do domu przyszedł Grady Kilgore i spytał o Cleo. Wyglądał tak, jakby ktoś umarł. Powiedział: „Cleo, wolałbym sobie uciąć prawą rękę, niż zrobić to, co zaraz zrobię, ale muszę aresztować Iddie i Dużego George'a pod zarzutem popełnienia przestępstwa i chciałbym, żebyś poszedł ze mną.

Wiesz, Iddie była jednym z jego najlepszych przyjaciół, więc mało się nie skręcił, że musiał to zrobić. Powiedział Cleo, że zrezygnowałby ze swego urzędu, ale pomyślał sobie, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby Iddie miał zaaresztować jakiś obcy.

Cleo spytał: „Boże drogi, Grady, a co ona takiego zrobiła?” Grady powiedział, że ona i Duży George są podejrzani o to, że w trzydziestym zamordowali Franka Bennetta. Ja nawet nie wiedziałam, że on nie żyje, zaginął, czy coś takiego.

— Skąd im przyszło do głowy, że zrobiła to Iddie i Duży George? — spytała Evelyn.

— Zdaje się, że Iddie i Duży George parę razy grozili mu, że go zabiją, a policja w Georgii miała zeznania, więc kiedy znaleźli jego ciężarówkę, musieli ich wezwać...

— Jaką ciężarówkę?

— Franka Bennetta. Szukali jakiegoś topielca i przy okazji znaleźli w rzece tę ciężarówkę, niedaleko domu Evy Bates, więc się dowiedzieli, że w trzydziestym był w okolicach Whistle Stop.

Grady był wściekły, że jakiś przeklęty głupek był na tyle niemądry, żeby zadzwonić do Georgii i podać im numer znaleziony na mandacie... Ruth nie żyła już od ośmiu lat, a Kikutek i Peggy pobrali się i przeprowadzili do Atlanty, więc musiało to być gdzieś w pięćdziesiątym piątym lub szóstym.

Następnego dnia Grady zabrał Iddie i Dużego George'a do Georgii. Pojechała z nimi też Sipsey; nikt jej tego nie mógł wybić z głowy. Iddie nie pozwoliła, by pojechał jeszcze ktoś inny, więc musieliśmy wszyscy zostać w domu i czekać. Grady starał się zachować wszystko w tajemnicy. Nawet jeżeli ktoś w mieście wiedział o tym, to i tak nikt nie plot-

kował... Dot Weems wiedziała, ale nigdy niczego na ten temat nie wydrukowała w swojej gazecie.

Pamiętani, że w tym tygodniu, kiedy się odbyła rozprawa, Albert i ja pojechaliśmy do Troutville, żeby posiedzieć z Onzell, która była przerażona, bo wiedziała, że jeżeli oskarżą Dużego George'a o zamordowanie białego człowieka, skończy na elektrycznym krześle, zupełnie jak pan Pinto.

W tej chwili do pokoju weszła pielęgniarka Geneene i usiadła, żeby zapalić i nieco odetchnąć.

— Geneene, to moja przyjaciółka, Evelyn, ta, która tak ciężko przechodzi menopauzę — powiedziała pani Threadgoode.

— Miło mi.

— Mnie również.

Pani Threadgoode zaczęła opowiadać Geneene, jaka to jej zdaniem Evelyn jest ładna, i spytała, czy Geneene nie uważa, że Evelyn powinna sprzedawać kosmetyki Mary Kay.

Evelyn miała nadzieję, że Geneene wyjdzie i pani Threadgoode będzie mogła dokończyć swoją opowieść, ale się nie doczekała. Kiedy przyszedł po nią Ed, była rozczarowana, bo teraz musiała czekać cały tydzień, by usłyszeć, jak się skończyła rozprawa. Wychoząc, powiedziała:

— Niech pani zapamięta, na czym stanęłyśmy.

Pani Threadgoode spojrzała na nią nie rozumiejącym wzrokiem.

— Na czym stanęłyśmy? Chodzi ci o Mary Kay?

— Nie. O rozprawę.

— A, tak. To dopiero było coś...

SĄD OKRĘGOWY VALDOSTA, GEORGIA

24 lipca 1955

Zbierało się na burzę i powietrze w sali sądowej było parne i duszne. Idgie odwróciła się i rozejrzała po sali. Pot spływał jej po plecach. Jej adwokat, Ralph Root, przyjaciel Grady'ego, poluzował sobie krawat i spróbował zaczerpnąć powietrza. Był to trzeci dzień rozprawy i wszyscy mężczyźni, którzy znajdowali się w salonie fryzjerskim tego dnia, gdy Idgie groziła śmiercią Frankowi Bennettowi, już zeznawali. Na miejscu dla świadka siedział teraz Jake Box. Odwróciła się ponownie i zaczęła szukać Smokeya Samotnika. Gdzie on się, do diabła, podziewał? Grady wysłał mu wiadomość, że Idgie ma problemy i potrzebuje jego pomocy. Coś było nie tak. Powinien już tu być. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie umarł.

W tej chwili Jake Box wskazał na Dużego George'a i powiedział:

— To on. To ten, który groził Frankowi nożem, a ta kobieta była z nim.

Cały Sąd Okręgowy zamruczał niespokojnie, usłyszawszy, że czarny groził białemu. Grady Kilgore wiercił się na swoim krześle. Sipsej, jedyna czarna na sali oprócz Dużego George'a, siedziała na balkonie, jęczała i modliła się za swego synka, chociaż ten wtedy miał prawie sześćdziesiąt lat.

Nawet nie zadając sobie trudu, żeby przesłuchać Dużego George, oskarżyciel przeszedł od razu do zadawania pytań Idgie, która zajęła miejsce dla świadka.

— Czy znała pani Franka Bennetta?

— Nie, proszę pana.

Jest pani tego pewna?

— Tak, proszę pana.

— Siedzi pani tu i wmawia mi, że nigdy nie poznała mężczyzny, którego żona, Ruth Bennett, przez osiemnaście lat była pani współniczką w interesach?

— Zgadza się.

Pokręcił kciukami zatkniętymi za kamizelkę i odwrócił twarz do ławy przysięgłych.

— Twierdzi pani, że nie była pani w salonie fryzjerskim w Valdoście w sierpniu tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku i że nie doszło tam do gwałtownej wymiany zdań, w której groziła pani śmiercią Frankowi Bennettowi, mężczyźnie, którego pani nie znała?

— To byłam ja, zgadza się. Myślałam, że chciał pan wiedzieć, czy się kiedykolwiek poznaliśmy i odpowiedź brzmi „nie”. Groziłam mu śmiercią, ale nigdy, że tak powiem, nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

Ci na sali, którym nie podobał się pompatyczny oskarżyciel, roześmiali się.

— A więc, innymi słowy, przyznaje pani, że groziła Frankowi Bennettowi odebraniem życia?

— Tak.

— Czy to nieprawda, że we wrześniu dwudziestego dziewiątego roku przyjechała pani do Georgii ze swym kolorowym i wyjechała, zabierając żonę i dziecko Franka Bennetta?

— Tylko żonę, dziecko przyszło na świat później.

— Kiedy?

— W normalnym terminie, po dziewięciu miesiącach.

Sala znowu wybuchła śmiechem. Brat Franka, Gerald, rzucił jej z pierwszego rzędu wściekłe spojrzenie.

— Czy to prawda, że krytykowała pani charakter Franka Bennetta przed jego żoną i wmawiała jej, że nie ma on kośćca moralnego? Czy przekonywała ją pani, że Bennett nie nadaje się na męża?

— Nie, proszę pana, ona sama o tym wiedziała.

Znowu śmiech.

Oskarżyciel zaczynał się rozgrzewać.

— Czy zmusiła ją pani nożem do wyjazdu do Alabamy?

— Nie musiałam. Była już spakowana i gotowa do wyjazdu, kiedy tam przyjechalismy.

Zignorował ostatnie stwierdzenie.

— Czy nie jest prawdą, że Frank Bennett przyjechał do Whistle Stop w Alabamie, próbując odzyskać tych, którzy prawnie należeli do niego — żonę i maleńkie dziecko — i że pani ze swym kolorowym zabiłście go, by zapobiec jej powrotowi do szczęśliwego domu i nie pozwoliliście oddać dziecka ojcu?

— Nie, proszę pana.

Oskarżyciel, który był ogromnym mężczyzną o ptasiej klatce piersiowej, nadał się jak balon.

— Czy jest pani świadoma tego, że zniszczyła pani najświętszą rzecz na tej ziemi — chrześcijański domz kochającym ojcem, matką i dzieckiem? Że zbezczeszczyła pani święty związek małżeński mężczyzny i kobiety, związek usankcjonowany przez Boga w kościele baptystów Morning Dove w Valdoście, zawarty pierwszego listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku? Że zmusiła pani chrześcijankę do złamania boskiego prawa i ślubów małżeńskich?!

— Nie, proszę pana.

— Domyślam się, że przekupiła pani tę biedną, słabą kobietę, obiecując jej pieniądze i alkohol, i że ta chwilowo straciła panowanie nad zmysłami, a kiedy przyjechał mąż, by ją zabrać do domu, czyż nie zamordowała go pani z zimną krwią, by przeszkodzić jej wyjazdowi? — Odwrócił się i krzyknął: — GDZIE PANI BYŁA NOCĄ TRZYNASTEGO GRUDNIA TYSIĄC DZIEWIĘĆSET TRZYDZIESTEGO ROKU?!

Idgie zaczęła się strasznie pocić.

— Byłam w domu matki, w Whistle Stop.

— Kto był z panią?

— Ruth Jamison i Duży George. Pojechał z nami tamtej nocy.

— Czy Ruth Jamison może o tym zaświadczyć?

— Nie, proszę pana.

— Dlaczego?

— Zmarła osiem lat temu.

— A pani matka?

— Ona też nie żyje.

Oskarżyciel stracił nieco pewność siebie. Na chwilę stanął na czubkach palców, po czym znowu obrócił się na pięcie do ławy przysięgłych.

— A więc, panno Threadgoode, spodziewa się pani, że dwunastu inteligentnych ludzi uwierzy w to, chociaż dwóch świadków nie żyje, a jedyny żyjący to kolorowy, który pracuje u pani i był z panią tego dnia, gdy uprowadziła pani Ruth Bennett z jej szczęśliwego domu, i który jest znany jako bezwartościowy kłamliwy czarnuch? Prosi pani tych ludzi, by uwierzyli jej na słowo, tylko dlatego, że pani tak mówi?

Chociaż Idgie była zdenerwowana, oskarżyciel nie powinien był tak znieważać Dużego George'a.

— Zgadza się, ty zidiociały, nadęty, czerwonodupy skurwysynu.

Cała sala eksplodowała, a sędzia na próżno walił młotkiem.

Tym razem jęknął Duży George. Błagał ją, by nie zeznawała na rozprawie, ale Idgie była zdecydowana dać mu alibi na tę noc. Wiedziała, że jest jego ostatnią deską ratunku. Biała kobieta miała o wiele większe szansę na wywinięcie się, zwłaszcza jeżeli jego alibi zależało od zeznań innego Murzyna. Nie zamierzała pozwolić, by Duży George poszedł do więzienia — nawet gdyby miało od tego zależeć jej życie. A mogło.

Rozprawa rozwijała się niepomysłnie dla Idgie i kiedy ostatniego dnia niespodziewany świadek wkroczył na salę, zrozumiała, że gorzej już być nie może. Sunął przez salę pobożniejszy i bardziej świątobliwy niż kiedykolwiek... jej stary zaprzysiężony wróg, człowiek, którego męczyła przez tyle lat.

„To już koniec” — pomyślała.

— Jak się pan nazywa?

— Wielebny Herbert Scroggins.

— Pański zawód?

— Pastor kościoła baptystów w Whistle Stop.

— Proszę położyć prawą dłoń na Biblii.

Wielebny Scroggins poinformował go, że dziękuje, ale przyniósł własną Biblię, położył na niej dłoń i przysiągł mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mu dopomóż Bóg.

Idgie była zdezorientowana. Uświadomiła sobie, że to jej własny adwokat go tu ściągnął. Dlaczego najpierw jej nie spytał o zdanie? Powiedziałyby mu, że ten człowiek nie powie o niej nic dobrego. Było jednak za późno i wielebny już stanął na miejscu dla świadków.

— Pastorze Scroggins, czy może pan powiedzieć wysokiemu sądowi, dlaczego zadzwonił pan do mnie wczoraj wieczorem i co mi pan powiedział?

Wielebny odchrząknął.

— Tak. Zadzwoniłem, żeby panu powiedzieć, że mam informacje dotyczące pobytu Idgie Threadgoode i George’a Pullmana Peaveya w nocy trzynastego grudnia trzydziestego roku.

— Czy ona i jej kolorowy byli tej nocy w domu jej matki, jak to zostało zasugerowane wcześniej podczas rozprawy?

— Nie, nie byli.

„O, cholera” — pomyślała Idgie.

— Twierdzi pan, pastorze Scroggins, że panna Threadgoode kłamała, podając miejsce swojego pobytu tamtej nocy? — ciągnął go za język jej adwokat.

Wielebny zacisnął wargi.

— Cóż, proszę pana, jako chrześcijanin nie mogę powiedzieć na pewno, czy kłamała, czy też nie. Myślę, że pokręciły jej się daty. — Otworzył Biblię na ostatniej stronie i zaczął czegoś szukać. — Od wielu lat mam zwyczaj zapisywania w Biblii dat działalności mojego kościoła i co do tamtej nocy mogę udowodnić, że trzynasty grudnia był początkiem corocznego zjazdu wiernych naszego kościoła na terenach obozu baptystów. Była tam też siostra Threadgoode ze swym wynajętym robotnikiem, George’em Peaveyem, który odpowiedzialny był za bufet — tak samo jak podczas ubiegłych dwudziestu lat.

Oskarżyciel aż podskoczył.

— Protestuję! To niczego nie oznacza. Morderstwo mogło się zdarzyć kiedy indziej, w ciągu następujących kilku dni.

Wielebny Scroggins spojrział na niego wściekle, po czym zwrócił się do sędziego:

— No, właśnie, wysoki sędzie, nasze zgromadzenie trwa trzy dni i trzy noce.

— Czy jest pan pewien, że panna Threadgoode tam była?

Wielebny Scroggins wyglądał na urażonego tym, że ktoś śmiał wątpić w jego słowa.

— Oczywiście, że była. — Zwrócił się do ławy przysięgłych: — Siostra Threadgoode może się poszczycić stuprocentową obecnością na wszystkich zajęciach naszego kościoła i jest wiodącą śpiewaczką w naszym chórze.

Po raz pierwszy w życiu Idgie odjęło mowę. Przez wszystkie te lata członkowie klubu Dill Pickle kłamali i opowiadali bajki wierząc, że są w tym nie do pokonania, a Scroggins w ciągu pięciu minut tak ich zawstydził. Był tak przekonujący, że sama niemal mu uwierzyła.

— Mamy w naszym kościele tak dobrą opinię o siostrze Threadgoode, że przyjechała tu autobusem cała kongregacja, żeby zaświadczyć o jej niewinności. — Po tych słowach otworzyły się drzwi i sala wypełniła się najdziwniejszymi typami, jakie kiedykolwiek chodziły po tej ziemi: byli tam i Smokey Samotnik, i Jimmy Węzłogłowy Harris, Al Żelazny Brzuch, Sackett Włamywacz, Inky Pardue, Bo Weevil Jake, Elmo Williams, Willy Dzika Świnia, i tak dalej, i tak dalej... a wszyscy prościutko z salonu piękności Opali w pożyczonych ubraniach... Było to zaledwie paru z wielu włóczęgów, których Idgie i Ruth karmiły przez tyle lat i których Smokey zdążył skrzyknąć na czas.

Jeden po drugim stawali na miejscu dla świadków i zeznawali stanowczo, przypominając sobie z najdrobniejszymi szczegółami ten zjazd nad rzeką w grudniu 1930 roku. I wreszcie przysłała siostra Eva Bates w kapeluszu z kwiatami i z torebką. Zajęła miejsce dla świadków i niemal doprowadziła ławę przysięgłych do łez opowieściami o tym, jak to siostra Threadgoode pierwszej nocy tego zgromadzenia pochyliła się nad nią i jak to Bóg dotknął jej serca, gdy słuchała natchnionego kazania wielebnego Scrogginsa na temat zła, whisky i żądz grzesznego ciała.

Chudy, niski sędzia o szyjce cienkiej jak ręka nawet nie zadał sobie trudu, żeby spytać przysięgłych o werdykt. Walnął młotkiem i zwrócił się do oskarżyciela:

— Percy, z czym ty do mnie przyszedłeś? Przede wszystkim nie znaleziono ciała. Po drugie mamy zaprzysiężonych świadków, których zeznań nikt nie może kwestionować. Nie mamy nic. Ja ci mówię, że ten Frank Bennett się gdzieś upił, wjechał do rzeki i już dawno zjadły go ryby. Nazwijmy to przypadkową śmiercią. To właśnie mamy — sprawę przypadkowej śmierci.

Raz jeszcze walnął młotkiem, mówiąc:

— Sprawa oddalona.

Sipsej zaczęła tańczyć na balkonie, a Grady westchnął z ulgą.

Sędzia, czcigodny Curtis Smoote, doskonale wiedział, że w połowie grudnia nie było żadnego trzydniowego zjazdu. A z miejsca, w którym siedział, widział też, że kaznodzieja nie miał żadnej Biblii między okładkami książki, na którą przysięgał. Rzadko widywał tylu paskudnych włóczęgów, których najwyraźniej naprędce wyszorowano. A poza tym, dosłownie przed paroma tygodniami, przedwcześnie zmarła sędziemu córka, która wiodła psi żywot na przedmieściach Birmingham, do czego przyczynił się Frank Bennett, więc naprawdę go nie obchodziło, kto zamordował tego skurwysyna.

Kiedy już było po wszystkim, wielebny Scroggins podszedł do Idgie i uściskał jej dłonie.

— Do zobaczenia w niedzielę w kościele, siostró Threadgoode. — Mrugnął do niej i wyszedł.

Jego syn, Bobby, dowiedział się o rozprawie, zadzwonił do ojca i opowiedział mu, jak go Idgie kiedyś wyciągnęła z więzienia. Tak więc Scroggins, którego przez tyle lat doprowadzała do szewskiej pasji, wstawił się za nią.

Idgie przez dłuższy czas była oszołomiona całą sprawą. Jadąc do domu, zdołała jednak powiedzieć:

— Wiecie, tak sobie myślę. Nie wiem, co gorsze — iść do więzienia czy do końca życia musieć być miłą dla jakiegoś klechy.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

9 października 1986

Evelyn bardzo się dzisiaj śpieszyła, żeby wreszcie pojechać do Rose Terrace. Przez całą drogę popędzała Eda, żeby jechał szybciej. Jak zawsze wpadła do Dużej Mamy, żeby ją poczęstować bułeczką z miodem, i jak zawsze Duża Mama odmówiła, mówiąc: „Jak to zjem, pochoruję się jak pies. Nie mam pojęcia, jak ty możesz jeść to lepkie paskudztwo”.

Evelyn przeprosiła i pośpieszyła korytarzem do saloniku dla gości. Pani Threadgoode, która tego dnia miała na sobie jaskrawą zieloną sukienkę w kwiaty, powitała Evelyn radosnym:

— Szczęśliwego Nowego Roku!

Evelyn usiadła, zaniepokojona.

— Kochanie, to dopiero za trzy miesiące. Jeszcze nie było Bożego Narodzenia.

Pani Threadgoode się roześmiała.

— Wiem, ale pomyślałam sobie, że popchnę trochę czas do przodu. Zabawię się. Wszyscy ci staruszkowie tutaj są tacy ponurzy, snują się, że coś okropnego.

Evelyn podała pani Threadgoode poczęstunek.

— Och, Evelyn, czyżby to były bułeczki z miodem?

— Jasne, że tak. Pamięta pani, jak o nich mówiłam?

— Czyż nie wyglądają wspaniale? — Podniosła jedną. — No, zupełnie jak pączki z kremem Dixie. Dziękuję, kochana. Jadłaś kiedyś pączka z kremem Dixie? Są lekkie jak piórko. Zawsze mówiłam Cleo: „Cleo, jeżeli gdzieś znajdziesz pączki z kremem Dixie, przynieś mi i Albertowi z tuzin. Sześć z lukrem i sześć z marmoladą”. Lubiłam też te plecione. Wiesz, te, co wyglądały jak warkocz. Zapomniałam, jak się nazywają...

Evelyn już się nie mogła doczekać.

— Pani Threadgoode, proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło na rozprawie.

— Masz na myśli rozprawę Idgie i Dużego George'a?

— Właśnie.

— No, to dopiero było coś. Wszyscy się zamartwialiśmy na śmierć. Myśleliśmy, że już nigdy nie wrócą do domu, ale w końcu zostali uniewinnieni. Cleo powiedział, że ponad wszelką wątpliwość udowodniono, gdzie się znajdowali w czasie popełnienia morderstwa, więc nie mogli tego zrobić. Powiedział, że jedynym powodem, dla którego Idgie zgodziła się stanąć przed sądem, była ochrona kogoś innego.

Evelyn przez chwilę się zastanawiała.

— A kto jeszcze mógłby chcieć go zabić?

— Kochana, nie jest to kwestia tego, kto chciał, ale kto by to zrobił. Oto jest pytanie. Niektórzy mówią, że mógł to być Smokey Samotnik. Inni, że to Eva Bates i jej banda znad rzeki — Bóg wie, jacy to byli twardziele. No i ci z klubu Dill Pickle, którzy tak się trzymali razem. Trudno powiedzieć... No i jeszcze oczywiście... — pani Threadgoode zawiesiła głos — ...jeszcze była Ruth.

Evelyn była zdumiona.

— Ruth? Ale gdzie ona była tej nocy, kiedy popełniono morderstwo? Na pewno ktoś wie.

Pani Threadgoode pokręciła głową.

— No, właśnie, kochana. Tego nikt nie jest pewien. Idgie mówi, że była z Ruth w dużym domu u mamy Threadgoode, która była chora. I ja jej wierzę. Ale są tacy, którzy mają wątpliwości. Wiem tylko, że Idgie prędzej z ochotą położyłaby się w grobie, zanim pozwoliłaby, żeby imię Ruth było kojarzone z morderstwem.

— Czy kiedykolwiek odkryto, kto to zrobił?

— Nie, nigdy.

— No, jeżeli nie zrobili tego Idgie i Duży George, to jak pani myśli — kto go zabił?

— Pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary, co?

— Nie chciałyby pani wiedzieć?

— Pewnie, że bym chciała, kto by nie chciał? To jedna z wielkich tajemnic tego świata. Ale, kochana, nikt tego nie będzie wiedział poza tą osobą, która to zrobiła, i Frankiem Bennettem. A wiesz, co powiadają... zmarli trzymają język za zębami.

ŚRÓDMIEJSKA MISJA RATUNKOWA

JIMMY'EGO HATCHERA

345 23RD AVENUE SOUTH

BIRMINGHAM, ALABAMA

23 stycznia 1969

Smokey Samotnik siedział na brzegu żelaznego łóżka w misji, kaszląc przy pierwszym papierosie tego dnia. Po zamknięciu kawiarni Smokey przez jakiś czas wędrował po kraju. Potem dostał pracę jako kucharz w wagonie restauracyjnym numer jeden w Birmingham, ale pił w pracy i został zwolniony. Dwa tygodnie później brat Jimmy znalazł go bez życia pod wiaduktem na Szesnastej Ulicy i przyprowadził do misji. Smokey był już zbyt stary, by się włóczyć, zdrowie miał słabe i wypadły mu prawie wszystkie zęby. Brat Jimmy i jego żona umyli go i nakarmili i od tej pory na następnych piętnaście lat Misja Śródmiejska stała się jego domem. Brat Jimmy był dobrym człowiekiem. Sam kiedyś był pijakiem, ale, jak mówił, przeżył długą podróż „od Jacka Danielsa do Jezusa” i postanowił poświęcić swe życie innym nieszczęśliwym i potrzebującym pomocy. Powierzył Smokeyowi opiekę nad kuchnią. Jedzenie składało się głównie ze zbywających mrożonek z darów. Stałym punktem w jadłospisie były paluszki rybne i tłuczone kartofle, nikt się jednak nie skarżył.

Kiedy nie pracował w kuchni albo nie był pijany, Smokey spędzał czas na górze, pijąc kawę i grając w karty z innymi mężczyznami. Wiele się tu napatrzyło... Pewien mężczyzna z jednym kciukiem spotkał tu swego syna, którego nie widział od dnia jego narodzin. Ojciec i syn, obaj w dołku, wylądowali w tym samym miejscu. Widział mężczyzn, którzy niegdyś byli bogatymi lekarzami i prawnikami, i jednego, który był senatorem w stanie Maryland. Smokey spytał raz Jimmy'ego, co sprawiło, że tacy ludzie stoczyli się. „Większość z nich w jakiś sposób się rozczarowała — odparł Jimmy — zwłaszcza w stosunku do kobiet. Mieli kobietę, stracili ją albo nigdy nie spotkali takiej, jakiej potrzebowali... no i zagubili się w tym, i zaczęli się włóczyć. Wielką rolę odgrywa tu stara, dobra whisky. Ale powiedziałbym, że przez wszystkie te lata, kiedy patrzyłem, jak jedni

odchodzą, a drudzy przychodzą, rozczarowanie było głównym źródłem nieszczęścia”.

Przed sześcioma miesiącami Jimmy umarł, rozpoczęto renowację śródmieścia Birmingham i misja ratunkowa miała być rozebrana. Smokey musiał się wkrótce wynieść. Nie wiedział jeszcze, dokąd...

Zszedł na dół. Na zewnątrz był chłodny, czysty dzień i niebieskie niebo, postanowił więc się przejść. Minął budę z hot dogami Gusa i poszedł Szesnąstą Ulicą. Przeszedł koło starego dworca i pod Tęczowym Wiaduktem, a potem ruszył torami kolejowymi, aż wreszcie złapał się na tym, że idzie w stronę Whistle Stop. Zawsze był tylko waga-bundą, włóczęgą, rycerzem drogi, nieudacznikiem. Wolnym duchem, który wiele razy jadąc nocą w wagonie towarowym, widział spadające gwiazdy. Jego pojęcie o tym, jak się wiedzie krajowi, określała wielkość niedopałków, które zbierał z chodników. Oddychał świeżym powietrzem w drodze z Alabamy do Oregonu. Naoglądał się rozmaitości, wyprawiał różne rzeczy, nie należał do nikogo. Ot, jeszcze jeden włóczęga, jeszcze jeden pijak. On jednak, Smokey Jim Phillips, wieczny nieudacznik, kochał jedną jedy-ną kobietę i był jej wierny przez całe życie. To prawda, że spał z wieloma żalonymi ko-bietami w marnych hotelikach, w lesie, na dworcach, żadnej jednak nie potrafił poko-chać. Dla niego istniała tylko ta jedna. Pokochał ją w chwili, gdy zobaczył ją w kawiarni, w tej kwiecistej sukience z organdy, i nigdy nie przestał kochać. Kochał ją, gdy było mu niedobrze, gdy rzygał w uliczce za jakimś barem albo leżał na wpół żywy w domu noclegowym, otoczony ludźmi z otwartymi ranami i w alkoholowym delirium, wrzeszczącymi i walczącymi z wyimaginowanymi owadami czy szczurami. Kochał ją pod-czas tych nocy, gdy dopadał go ulewny, mroźny, zimowy deszcz, a on miał na sobie tyl-ko cienki kapelusz i skórzane buty, mokre i stwardniałe jak stal. Albo wtedy, gdy wylądował w szpitalu dla weteranów i stracił płuco, albo kiedy pies rozszarpał mu pół nogi lub gdy siedział w Wigilię w Armii Zbawienia w San Francisco, a obcy ludzie klepali go po ramieniu, częstując wyschniętym indykiem i papierosami. Kochał ją każdej nocy, le-żąc w łóżku w misji, na cienkim materacu z jakiegoś zamkniętego szpitala, patrząc, jak miga zielony neon z napisem JEZUS ZBAWIA i słuchając pijackich wrzasków na dole i odgłosów tłuczonego szkła. W takich złych chwilach zawsze zamykał oczy, wracał do kawiarni i widział ją, jak się do niego uśmiecha. Ciągle stawała mu przed oczami... Ruth śmiejąca się z Idgie... stojąca za barem, tuląca Kikutka... odgarniająca włosy z czoła...

„Smokey, nie uważasz, że powinieneś się dziś przykryć jeszcze jednym kocem? Po-dobno ma być mróz. Smokey, wolałabym, żebyś tak nie znikał, martwimy się, gdy cię nie ma...”

Nigdy jej nie dotknął, nie licząc uściśnięcia dłoni. Nigdy jej nie pocałował i nie przy-tulił, lecz zawsze był jej wierny. Potrafiłby dla niej zabić. Była z tych kobiet, dla których się zabija. Na myśl o tym, że ktoś lub coś mogłoby ją skrzywdzić, robiło mu się niedo-brze.

W całym swoim życiu ukradł jedną, jedyną rzecz. Zdjęcie Ruth zrobione w dniu otwarcia kawiarni. Stała przed domem, trzymając dziecko, a drugą ręką osłaniając oczy przed słońcem. Zdjęcie to zwiedziło kawał świata. Podróżowało w kopercie, którą przypiął do koszuli od wewnątrz, żeby go nie zgubić.

Nawet po śmierci wciąż żyła w jego sercu. Dla niego nigdy nie mogła umrzeć. Dziwne. Przez wszystkie te lata niczego się nie domyślała. Idgie wiedziała, ale nie pisnęła ani słowa. Nie należała do osób, które się wyśmiewają z czyjejś miłości. Robiła, co mogła, żeby go odnaleźć, kiedy Ruth się rozchorowała, ale on był daleko, w drodze. Kiedy w końcu wrócił, Idgie zaprowadziła go na jej grób. Rozumieli nawzajem swoje uczucia. Zupełnie jakby od tej pory razem byli w żałobie. Nigdy jednak o tym nie rozmawiali. Ci, którzy cierpią, mówią najmniej.

RUTH JAMISON

1898-1946

BÓG WEZWAŁ JĄ DO DOMU

„WIADOMOŚCI BIRMINGHAM”

Czwartek 26 stycznia 1969, strona 38

Mężczyzna zamarł na śmierć

W środę wczesnym rankiem koło torów kolejowych, milę na południe od Whistle Stop, znaleziono ciało jeszcze nie zidentyfikowanego białego mężczyzny w wieku około 75 lat. Mężczyzna, ubrany jedynie w kombinezon i cienką kurtkę, najwyraźniej nocą zamarł na śmierć. Przy ciele nie znaleziono żadnego dowodu tożsamości, poza zdjęciem kobiety. Przypuszcza się, że był przejezdny.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

9 grudnia 1956

Zamknięcie poczty

Teraz, gdy zamknięto kawiarnię i salon piękności, powinnam była się domyślać, że będę następna. Poczta ma być zamknięta, a cała korespondencja będzie przesłana na pocztę w Gate City. To będzie dla mnie smutny dzień. Nadal jednak zbieram wiadomości, więc dzwońcie do mnie lub wpadajcie do mojego domu albo przekazcie je mojej drugiej połowie, jeśli go gdzieś spotkacie.

Odkąd Essie Rue gra na organach w Dreamland Roller Rink w północnym Birmingham, ona i jej mąż, Billy, zastanawiają się nad przeprowadzką. Mam nadzieję, że tego nie zrobią... Wyjechał już Julian i Opal. Ze starej paczki zostałam tylko ja, Ninny Threadgoode i Biddie Louise Otis.

Przykro mi was poinformować, że w tym tygodniu ktoś się włamał do domu Vesty Adcock i ukradł jej figurki ptaków z chińskiej porcelany oraz trochę drobnych z szuflady.

Gdyby tylko to... W Boże Narodzenie byłam na cmentarzu, żeby położyć kwiaty na grobie matki, i ktoś mi ukradł z samochodu torebkę. Czasy się zmieniły. Zastanawiam się, co za człowiek był zdolny do czegoś takiego.

A przy okazji, czy jest coś smutniejszego niż zabawki na grobie?

...Dot Weems.

DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

ROSE TERRACE

OLD MONTGOMERY HIGHWAY

BIRMINGHAM, ALABAMA

12 października 1986

Evelyn wstała wcześniej, poszła do kuchni i zaczęła przygotowywać poczęstunek dla pani Threadgoode. Podgrzała talerz, zanim wyjechali do domu spokojnej starości, owi-
nęła go w aluminiową folię i włożyła do torby podtrzymującej temperaturę, żeby potra-
wa była gorąca i świeża. I znowu kazała Edowi pędzić przez miasto, jak tylko mógł naj-
szybciej.

Staruszka już czekała. Evelyn poprosiła ją, żeby zamknęła oczy, i wtedy odwinęła
z folii talerz, i odkręciła pokrywkę ze słoika z mrożoną herbatą miętową.

— Dobrze. Teraz może pani spojrzeć.

Kiedy pani Threadgoode zobaczyła, co ma na talerzu, aż klasnęła w ręce, podniecona
jak dziecko na Gwiazdkę. Stał przed nią talerz doskonale usmażonych zielonych pomi-
dorów i świeżej, białej jak śmietanka kukurydzy, sześć plasterków bekonu, miska fasol-
ki szparagowej i cztery wielkie, lekkie i puszyste maślane biszkopty. Evelyn mało się nie
rozpląkała, kiedy zobaczyła, jaka uradowana jest jej przyjaciółka. Poprosiła panią Thre-
adgoode, żeby jadła, póki gorące, przeprosiła ją na minutkę i poszła korytarzem na po-
szukiwanie Geneene. Dała jej sto dolarów w kopercie i dwadzieścia pięć do ręki i po-
prosiła, by Geneene podczas jej nieobecności dopilnowała, żeby pani Threadgoode do-
stawiała do jedzenia to, co lubi.

— Nie chcę żadnych pieniędzy, kochana — powiedziała Geneene. — Ona jest jedną
z moich ulubienic. Niech się pani nie martwi, pani Couch. Zaopiekuję się nią.

Kiedy wróciła, talerz pani Threadgoode był już pusty.

— Och, Evelyn. Nie mam pojęcia, czym sobie zasłużyłam, że mnie tak rozpieszczasz.
To było najpyszniejsze jedzenie od czasów zamknięcia kawiarni.

— Zasługuje pani na to, żeby ją rozpieszczać.

— No, nie wiem. Nie wiem, dlaczego jesteś dla mnie taka dobra, ale doceniam to. Wiesz, że doceniam. Co wieczór dziękuję Bogu i proszę Go, żeby miał nad tobą pieczę.

— Wiem.

Evelyn wzięła ją za rękę i w końcu powiedziała, że na jakiś czas wyjeżdża z miasta, ale jak wróci, będzie miała dla niej niespodziankę.

— Och, uwielbiam niespodzianki. Czy jest większa niż pojemnik na chleb?

— Nie mogę powiedzieć. Wtedy nie byłaby to niespodzianka, prawda?

— Chyba nie... No, to pośpiesz się i wracaj szybko, bo wiesz, że teraz będę się cały czas zastanawiać. Czy to muszla? Jedziesz na Florydę? Opal i Julian kiedyś mi przysłali muszlę z Florydy.

Evelyn pokręciła głową.

— Nie, to nie muszla. Proszę mnie nie pytać. Musi pani poczekać i zobaczyć sama.

Podawała jej kawałek papieru i powiedziała:

— Ma tu pani mój numer telefonu i adres. Proszę mi dać znać, kiedy będzie mnie pani potrzebowała, dobrze?

Pani Threadgoode obiecała, że w razie czego da znać, i trzymała jej rękę, aż do chwili gdy Evelyn musiała już iść. Potem podeszła do drzwi, przy których czekał Ed.

— Jak się pani dzisiaj miewa, pani Threadgoode? — spytał.

— Och, świetnie, kochany... Najadłam się smażonych zielonych pomidorów i fasolki od naszej kochanej dziewczyny.

Evelyn przytuliła ją na pożegnanie i w tej chwili podeszła do nich jakaś kobieta o wypukłej klatce piersiowej i w lisach.

— Będziecie musieli się stąd wynosić — obwieściła donośnym głosem. — Mój mąż i ja właśnie kupiliśmy to miejsce i wszyscy mają się wynieść do szóstej!

Poszła dalej korytarzem, terroryzując po drodze wszystkie staruszki.

Evelyn spojrzała na panią Threadgoode.

— Vesta Adcock?

Pani Threadgoode pokiwała głową.

— Tak, to ona. Biedaczce brakuje piątej klepki.

Evelyn roześmiała się i pomachała na pożegnanie. Jej przyjaciółka odmachala jej i krzyknęła za nią:

— Pośpiesz się... No i przyślij starszej pani pocztówkę, dobrze?

UNITED AIRLINES LOT 763

Z BIRMINGHAM DO LA

14 października 1986

Przed siedmioma laty Evelyn Couch robiła zakupy na promenadzie i właśnie przechodziła koło centrum radiowo-telewizyjnego Goldboro, kiedy w jednym z telewizorów na wystawie zobaczyła jakąś grubą kobietę, która wydała jej się dziwnie znajoma. Próbowwała ją rozpoznać i zorientować się, co to za program. Kobieta zupełnie jakby patrzyła wprost na nią. I wreszcie ją olśniło: Boże drogi, przecież to ja. Patrzyła na samą siebie w monitorze telewizyjnym. Była przerażona.

Wtedy to po raz pierwszy uświadomiła sobie, jaka jest gruba. Tyła stopniowo przez wiele lat, no i teraz zaczęła wyglądać dokładnie jak jej własna matka. Wypróbowała każdą dietę znaną człowiekowi, ale żadnej nie potrafiła utrzymać. Nie udało jej się nawet z dietą ostatniej szansy, choć próbowała dwa razy. Raz nawet przyłączyła się do klubu, ale tak się zmordowała wbijaniem się w ten okropny kostium gimnastyczny, że poszła do domu spać.

W artykule, który przeczytała w „Cosmopolitan”, było napisane, że teraz lekarze mogą odsysać tłuszcz z ciała człowieka, i poszłaby i na to, gdyby tak bardzo nie bała się lekarzy i szpitali. Robiła więc wszystkie zakupy w Stout Shop i cieszyła się za każdym razem, kiedy zobaczyła kobietę grubszą od siebie. Aby uczcić ten fakt, zazwyczaj chodziła do naleśnikarni dwie przecznice dalej. Jedzenie stało się jedyną rzeczą, na którą się cieszyła, a cukierki, ciastka i placki były jedyną słodyczą jej życia...

Ale teraz, po tylu miesiącach cotygodniowego odwiedzania pani Threadgoode, wszystko zaczęło się zmieniać. Ninny Threadgood sprawiła, że Evelyn poczuła się młoda. Zaczęła patrzeć na siebie jak na kobietę, która ma przed sobą jeszcze pół życia. Jej przyjaciółka naprawdę wierzyła, że Evelyn mogłaby sprzedawać kosmetyki Mary Kay. Nikt dotąd nie dawał wiary, że potrafiłaby coś robić, nikt nie pokładał w niej żadnych nadziei — a już najmniej sama Evelyn. Im więcej pani Threadgoode mówiła o tym i im więcej Evelyn o tym myślała, tym bardziej hamowała się Towanda walcząca w jej umy-

śle ze światem, i Evelyn zaczęła widzieć siebie jako szczupłą i szczęśliwą — za kierownicą różowego cadillaca.

A w tę niedzielę, gdy poszła do kościoła baptystów imienia Martina Luthera Kinga, wydarzył się cud: po raz pierwszy od miesiący nie miała ochoty zabić siebie lub kogoś innego i zrozumiała, że pragnie żyć. Tak więc, wciąż uwznioślona tym doświadczeniem, wykrzesła z siebie całą odwagę, na jaką było ją stać, i wzięwszy pięciomiligramową tabletkę valium, poszła do lekarza. Okazało się, że to czarujący, młody mężczyzna, który zbadał ją w taki sposób, że niewiele z tego zapamiętała — poza tym, że nie znalazł niczego poważnego. Miała niski poziom estrogenu — tak jak podejrzewała pani Threadgoode. Tego samego popołudnia dostała swoją pierwszą receptę na Premarin, 0,625 mg, i prawie natychmiast poczuła się lepiej. Miesiąc później przeżyła potężny orgazm, który śmiertelnie wystraszył biednego Eda.

Dziesięć dni później Ed pojechał na szkolenia do YMCA.

W ciągu dwóch tygodni od otrzymania Kuferka Piękności Mary Kay przestudiowała i skończyła swój *Podręcznik doskonałego startu*, podpisała umowę konsultanta Mary Kay i zaczęła prowadzić zajęcia z pielęgnacji skóry. Wkrótce, na specjalnej uroczystości, dyrektor okręgowy Mary Kay podarował jej specjalną szpilkę „Doskonałego Startu”, którą odtąd nosiła z dumą. Raz nawet zapomniała zjeść lunch...

Sprawy potoczyły się szybko, jednak nie tak szybko, jak by tego chciała Evelyn. Podjęła więc pięć tysięcy dolarów ze wspólnego konta, spakowała walizkę i właśnie dzisiaj znalazła się w samolocie lecącym na wczasy odchudzające w Kalifornii, czytając broszurę, którą jej przysłali, tak podniecona jak pierwszego dnia w szkole.

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA WCZASOWICZA

7.00:	Godzina szybkiego marszu, na przemian w mieście i na łonie natury
8.00:	Kawa i 3 uncje nie solonego soku pomidorowego
8.30:	Gimnastyka na przebudzenie przy dźwiękach I'm So Excited Pointer Sisters
9.00:	Zajęcia rozciągające i usprawniające przy użyciu piłek, pałek i hula-hoopów
11.00:	Zabawy w wodzie przy użyciu piłek i kół do pływania
12.00:	Lunch... 250 kalorii
13.00:	Czas wolny na masaż i pielęgnację twarzy, stóp i dłoni gorącym olejem
18.00:	Kolacja... 275 kalorii

19.30: Zajęcia z malarstwa i rzemiosła... Pani Jamie Higdon uczy malowania martwej natury (tylko sztuczne owoce).

PIĄTKI: Pani Alexander Bagge uczy nas, jak zrobić z ciasta doniczkę (niejadalną)

WHISTLE STOP, ALABAMA

7 listopada 1967

Hank Roberts właśnie skończył dwadzieścia siedem lat i był właścicielem spółki budowlanej. Tego ranka on i jego długowłosa kumpel, Travis, rozpoczęli nową robotę. Duży, żółty buldożer hałasował, kopiąc grunt przy starym domu Threadgoode'ów na Pierwszej Ulicy. Szykowali się do postawienia czerwonej przybudówki koło kościoła baptystów. Travis, który tego dnia wypalił już dwa skręty, łąził, kopiąc ziemię butem i mamrocząc coś pod nosem.

— Rany, co za gówno. Rany, ale to ciężkie i tłuste...

Hank przerwał pracę, żeby zjeść lunch, i Travis zawołał do niego:

— Hej, stary, patrz, jakie gówno!

Hank podszedł i spojrzał na ziemię, którą dopiero co wykopał. Pełno w niej było rybich łbów, z których zostały głównie rzędy małych, ostrych ząbków, oraz wyschniętych czaszek wieprzów i kurczaków zjedzonych na kolację przez ludzi, których już nikt nie pamiętał. Hank był chłopakiem ze wsi przyzwyczajonym do takich widoków, więc tylko rzucił okiem i powiedział:

— No, ale numer.

Poszedł z powrotem na swoje miejsce, usiadł, otworzył czarne, blaszane pudełko na lunch i wgryzł się w jedną z kanapek. Travis, wciąż wstrząśnięty tym, co odkryli, dalej grzebał w ziemi. Zaczął trącać butem kości, czaszki i zęby.

— Jezu Chryste! Jest tego chyba z kilkaset! Co one tu robią?

— O rany, a skąd ja mam wiedzieć?

— Cholera, bracie, jakieś to dziwne.

Hank, który już miał tego dosyć, zawołał:

— Kurde, to tylko kupa świńskich głów! Przestań świrować!

Travis kopnął coś i aż zamarł. Po jakiejś minucie powiedział dziwnym tonem:

— Hej, Hank.

— Co?

— Widziałeś kiedyś świński łeb ze szklanym okiem?

Hank wstał, podszedł i spojrział.

— No — powiedział. — Niech mnie.

KAWIARNIA WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

13 grudnia 1930

Ruth i Idgie wyszły z kawiarni i udały się do dużego domu, żeby odwiedzić mamę Threadgoode, która była chora. Przyszła Sipsej, aby posiedzieć z dzieckiem, jak to często bywało. Dziś przyprowadziła ze sobą Artisa, jedenastoletniego bliźniaka o niebieskich dziąsłach, żeby ją potem odprowadził do domu. Był z niego diabeł wcielony, ale nie mogła mu się oprzeć. Była ósma i Artis spał na łóżku. Sipsej słuchała radia i jadła resztki chleba z melasą.

— „...a teraz twórcy nowego Rinso Blue z sodą proponują państwu...”

Na zewnątrz słychać było tylko szelest liści, gdy pod kawiarnię ze zgaszonymi światłami podjechała czarna półciężarówka z rejestracją Georgii. Dwie minuty później pijany Frank Bennett kopnięciem otworzył tylne drzwi i wszedł przez kuchnię do pokoju na zapleczu. Skierował broń na Sipsej i ruszył w stronę kołyski. Sipsej wstała, chcąc wziąć dziecko, lecz Bennett chwycił ją za tył sukienki i rzucił na drugi koniec pokoju.

Doskoczyła do niego znowu i rzuciła się na niego:

— Zostaw pan to dziecko! To dziecko panienki Ruth!

— Łapy przy sobie, czarnuchu. — Uderzył ją kolbą strzelby tak silnie, że zemdląła, a z ucha popłynęła jej krew.

Artis się obudził, krzyknął: „Babciu!” i podbiegł do niej, a w tym czasie Frank Bennett wziął dziecko i wyszedł przez tylne drzwi.

Tej nocy była pełnia. W sam raz tyle światła, żeby Frank trafił do swojej ciężarówki. Otworzył drzwi i położył dziecko — które nie wydało z siebie ani jednego dźwięku — na przednim fotelu, a sam zaczął się pakować do środka, gdy wtem usłyszał za sobą jakiś od głoś... jakby coś ciężkiego uderzyło w pień drzewa opatulony kołdrą. Odgłos ten wydał z siebie trzykilowy rondel, który walnął go w głowę pokrytą gęstymi irlandz-

kimi włosami; ułamek sekundy, a rozłupałby mu czaszkę. Bennett nie żył już, gdy padał na ziemię. Sipsey skierowała się do domu z dzieckiem.

— Pókim żywa, nikt nie zabierze tego dzieciaka, o nie.

Frank Bennett nie wziął pod uwagę, że Sipsey zdoła się podnieść z podłogi. Nie wiedział również, że ta chuda, mała czarna kobieta od jedenastego roku życia potrafiła unieść trzykilowe rondle, dwa naraz. Popęłnił śmiertelny błąd.

Kiedy Sipsey mijala Artisa, który z przerażenia aż zamarł, ten dostrzegł, że jego babcia ma jakąś dzikość w oczach.

— Leć po Dużego George'a — powiedziała. — Zabiłam białego. Zabiłam go!

Artis powoli i na palcach podszedł do Franka leżącego koło ciężarówki i gdy pochylił się, żeby mu się lepiej przyjrzeć, zobaczył szklane oko połyskujące w świetle księżyca.

Pognał torami kolejowymi tak szybko, że zapomniał oddychać i o mało co nie zemdlał, zanim dotarł do domu. Duży George spał, ale Onzell jeszcze krzątała się w kuchni.

Wpadł do środka, trzymając się za bok, gdzie go złapała kolka i ciężko dysząc.

— Muszę się zobaczyć z tatusiem!

— Lepiej nie budź tatusia, synku, bo da ci w skórę... — powiedziała Onzell. Ale Artis już był w sypialni i szarpał za ramię swego olbrzymiego tatę.

— Tatusiu! Tatusiu! Wstawaj! Musisz iść ze mną!

Duży George aż podskoczył.

— Co? Co ci jest, synu?

— Nie mogę ci powiedzieć. Babcia chce, żebyś przyszedł do kawiarni!

— Babcia?

— Tak! I to zaraz! Powiedziała, żebyś przyleciał zaraz!

Duży George zaczął nakładać spodnie.

— Lepiej, żeby to nie był dowcip, synu, bo dostaniesz lanie.

Onzell, która stała w drzwiach, słuchając, chciała włożyć coś na siebie i pójść z mężem, ale Duży George kazał jej zostać w domu.

— Chyba nie jest chora, co? — spytała Onzell.

— Nie, mała, nie jest chora. Ale ty tu lepiej zostań.

Do salonu wszedł zaspany Jasper.

— Co...?

— Nic, kochanie, wracaj do łóżka... i nie obudź Willy'ego Boya — powiedziała Onzell.

Kiedy odeszli już spory kawałek od domu, Artis powiedział:

— Tatusiu, babcia zabiła białego.

Księżyc właśnie zachodził za chmury i Duży George nie widział twarzy syna.

— To ja cię zabiję, chłopcze, jak się okaże, że kręcisz.

Sipsej stała na podwórku, kiedy tam dotarli. Duży George schylił się i poczuł zimną rękę Franka, wystającą spod prześcieradła, którym przykryła go Sipsej. Wstał i oparł ręce na biodrach. Znowu spojrzął i ciało i pokręcił głową.

— Hmmm. Hmmm. No, rzeczywiście to zrobiłaś, mammo.

Duży George co prawda kręcił głową, ale w tym samym czasie podejmował pewną decyzję. W Alabamie nie było ratunku dla czarnego, który zabił białego, więc nawet nie pomyślał o tym, żeby zrobić co innego niż to, co musiał zrobić.

Podniósł ciało Franka, zarzucił je sobie na ramię, powiedział: „No, chodź, stary”, zaniósł je na tylne podwórko i włożył do drewnianej szopy. Położył je na brudnej podłodze i nakazał Artisowi:

— Zostań tu, dopóki nie wrócę, chłopcze, i masz się stąd nie ruszać. Muszę się pozbyć tej ciężarówki.

Jakąś godzinę później, kiedy Idgie i Ruth wróciły do domu, dziecko było z powrotem w łóżeczku i słodko spało. Idgie zawiozła Sipsej do domu i powiedziała, że bardzo się martwi o chorą mamę Threadgoode, Sipsej zaś nawet nie pisnęła ani słowem, jak były bliskie utraty dziecka.

Artis całą noc został w szopie, zdenerwowany i podekscytowany, kołysząc się do przodu i do tyłu. Gdzieś koło czwartej nad ranem już nie mógł wytrzymać: otworzył nóż i w tych egipskich ciemnościach uderzył ciało leżące pod prześcieradłem — raz, dwa, trzy, cztery razy, i jeszcze raz, i jeszcze.

Kiedy o świcie zaskrzypiały otwierane drzwi, Artis aż się zsiusiał ze strachu. Był to jego tatuś. Koło Wagon Wheel zepchnął ciężarówkę do rzeki i całe dwadzieścia kilometrów szedł pieszo.

Kiedy Duży George ściągnął z Franka prześcieradło i powiedział: „Musimy spalić jego ciuchy”, obaj stanęli jak wryci.

Słońce właśnie zaczynało się przebijać przez szpary między drewnianymi listewkami. Artis spojrzął na Dużego George’a oczami wielkimi jak talerze i z otwartą buzią, i powiedział:

— Tatusiu, ten biały nie ma głowy.

Duży George znowu pokręcił głową.

— Hmmm... Hmmm... Hmmm... — Jego matka odcięła Frankowi Bennettowi głowę i gdzieś ją zakopała.

Zatrzymał się tylko na tyle, by przyjąć do wiadomości ten potworny fakt, po czym powiedział:

— Synku, pomóż mi z tymi ciuchami.

Artis nigdy dotąd nie widział nagiego białego człowieka. Frank był cały różowobiały — zupełnie jak te wieprze, które gotowali i z których zlazły włosy. Duży George podał

mu prześcieradło i zakrwawione ubranie i kazał mu pójść do lasu i zakopać je głęboko, a potem wrócić do domu i nie puszczać pary z gęby. Nikomu. Nigdzie. Nigdy.

Kiedy Artis kopał dziurę, nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Miał swoją tajemnicę. Potężny sekret, którego nie zdradzi do końca życia. Coś, co będzie mu dodawać sił, gdy poczuje się słaby. Coś, o czym wie tylko on i sam diabeł. Na myśl o tym uśmiechał się radośnie. Nigdy już nie będzie musiał czuć gniewu, cierpienia, i poniżenia. Był inny. Zawsze będzie na uboczu. Własnymi rękami zadźgał białego człowieka...

A za każdym razem, gdy biały sprawi mu jakąś przykrość, Artis uśmiechnie się w duchu i pomyśli: „Raz już jednego z was zadźgałem”. O wpół do ósmej Duży George już zaczął bicie wieprzy i wstawił wodę w wielkim, czarnym, żelaznym kotle — nieco wcześniej jak na tę porę roku, ale nie za wcześnie.

Później tego samego popołudnia, kiedy Grady i dwóch detektywów z Georgii wypytywali jego tatusia o zaginionego białego mężczyznę, Artis o mało nie zemdlał, kiedy jeden z nich podszedł i zajrzał do kotła. Był pewien, że detektyw dostrzegł rękę Franka Bennetta podskakującą wśród gotującej się wieprzowiny. Ale najwyraźniej tak się nie stało, bo dwa dni później ten gruby z Georgii powiedział George'owi, że to najlepsza pieczeń, jaką kiedykolwiek jadł, i spytał, jaka jest jej tajemnica.

Duży George uśmiechnął się i odparł:

— Dziękuję panu. Jej tajemnicą jest sos.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

10 listopada 1967

W ogrodzie znaleziono czaszkę

Gratulacje dla naszej nowej gubernator, pani Lurleen Wallace, która odniosła polityczne zwycięstwo nad swoim rywalem. Wyglądała uroczko na inauguracji, a swojemu mężowi, George'owi, obiecała dolara rocznie, jeżeli zgodzi się zostać jej doradcą numer jeden... Życzymy szczęścia, Lurleen. Niemal równie ekscytujące, co zwycięstwo naszej nowej pani gubernator, było czwartkowe odkrycie ludzkiej czaszki na pustej działce koło starego domu Threadgoode'ów.

Koroner z Birmingham stwierdził, że nie należała do Indianina. Nie jest aż tak stara, ma szklane oko i została odcięta od reszty ciała. Koroner mówi, że to paskudna sprawa. Każdy, kto ma w rodzinie zaginionego ze szklanym okiem, proszony jest o skontaktowanie się z „Wiadomościami Birmingham”. Albo ze mną, ja to zrobię za was. Oko jest niebieskie.

Moja druga połowa w zeszłą sobotę zrobiła mi głupi dowcip. Mój kochany mąż dostał ataku serca i mało nie wystraszył swojej biednej żony na śmierć. Lekarz powiedział, że zawał nie był aż tak poważny, ale Wilbur musi rzucić palenie. Mam więc w domu wielkiego, naburmuszonego niedźwiedzia, którego muszę niańczyć. Pan Weems przez ubiegły tydzień dostawał śniadanie do łóżka. Jeżeli któryś z was, starych pajaców, chciałby pomóc mi go rozweselić, to zapraszam... tylko nie przynóście papierosów, bo będzie starał się je od was wyłudzić. Wiem dobrze, ukradł mi paczkę. Pewnie sama będę musiała rzucić palenie.

Kiedy poczuje się lepiej, zabieram go na wakacje.

...Dot Weems.

HOTEL DE LUXE
POKOJE DLA PANÓW
8TH AVENUE NORTH
BIRMINGHAM, ALABAMA

2 lipca 1979

Jeden kolorowy gentleman wypytywał o drugiego kolorowego gentlemana, który siedział w holu, śmiejąc się.

— Czy ten czarnuch zwariował, czy co? Z czego on się tak śmieje? Przecież nikt z nim nie rozmawia.

Brązowy, dziobaty mężczyzna z recepcji odparł:

— Och, on nie musi z nikim rozmawiać. Już dawno temu zupełnie sfiksował.

— Co on tu robi?

— Ponad dwa lata temu przywiozła go tu jakaś kobieta.

— A kto płaci rachunki?

— Ona.

— Hmmmmmm...

— Przychodzi tu codziennie rano i go ubiera, a wieczór kładzie go spać.

— Wygodne życie.

— No.

Artis O. Peavey, o którym rozmawiano, siedział na starej i czerwonej kanapie, z której przez liczne rozdarcia i rozcięcia wyłaziła wata. Jego mętne, brązowe oczy utkwione były w ściennym zegarze z różowym neonem dookoła. Oprócz niego na ścianie wisiała jeszcze reklama papierosów ukazująca atrakcyjną czarnoskórą parę palącą salema i twierdzącą, że dym z niego jest tak orzeźwiający jak powiew górskiego wiatru. Artis odrzucił głowę do tyłu i znowu się roześmiał pokazując parę niebieskich dziąseł tam, gdzie kiedyś połyskiwały złote zęby.

Dla świata pan Peavey siedział w lichym holu hotelowym na ręczniku dostarczo-
nym mu przez kierownictwo, znany był bowiem z tego, że często moczy się w gumowe

majtki, które co rano zakładała mu kobieta. Dla pana Artisa O. Peaveya jednak był znowu rok 1936... i w tej właśnie chwili Artis szedł 8th Avenue North, ubrany w fioletową kurtkę ze skóry rekina, cytrynowożółte buty do kostki za pięćdziesiąt dolarów, z włosami świeżo wypomadowanymi tak, że wyglądały jak czarny lód. A pod rękę tej sobotniej nocy trzymała go panna Betty Simmons, na której cześć, jak to opisano w kolumnie towarzyskiej „Wiadomości Slagtown”, mahoniowe Birmingham wznosiło toast najpiękniejszymi kryształowymi kieliszkami.

Właśnie minęli Masonie Hali i skierowali się na Ensley, by wsiąść do nocnego tramwaju jadącego do sali balowej Tuxedo Junction, gdzie miał grać Count Basie — czy może Cab Calloway?

Nic dziwnego, że się śmiał. I chwala Bogu, że nie pamiętał złych czasów, gdy bycie „czarnuchem” w sobotnią noc nie należało do przyjemności. Te długie, ciężkie noce w Kilbey, gdzie go bili, kopali i dźgali nożem strażnicy i więźniowie, gdzie człowiek musiał spać z jednym okiem otwartym i być gotowym w jednej chwili zabić albo zginąć... Ostatnio umysł Artisa zaczął przypominać Frolic Theater. Wyświetlał tylko lekkie komedie i romanse, w których grał on i cała gama brązowych, czekoladowych i cynamonowych piękności o rozkołysanych biodrach i roziskrzonych oczach...

Zabębnił palcami o niegdyś lśniącą, a teraz matową, chromowaną poręcz kanaipy i znowu się roześmiał. Film odtwarzany w jego umyśle tym razem pokazywał pobyt w Chicago, po którym Artis stał się ważną figurą dzięki temu, że wciąż opowiadał o słynnych wykonawcach, których tam widział — o Ethel „Mamie Fasolce Szparagowej” Waters, o grupie Inkspots, o Lenie, Louisie... Teraz potrafił zapomnieć o wszystkich obelgach i o tym, jak biali w swych umysłach zaprzeczali jego męskości. A jednak to ten brak akceptacji popchnął go do działania — tylko po to, by udowodnić, że jest mężczyzną.

Chcesz białą kobietę ?

Nigdy nie pożądałem żadnej białej kobiety! Obchodziły mnie co najwyżej żółte.

Podobały mu się te duże i czarne... im czarniejsza jagoda, tym słodszy jej sok. Większość z nich mogła go nazywać tatusiem... Uśmiechał się i kłaniał przed białymi, ale to go nigdy nie martwiło — miał bowiem swoją tajemnicę...

Tak, życie było słodkie: kobiety, ważne rozmowy, Rycerze Pytii, Jego Wysokość, powaga prawa, prawa ustanawiane na gankach, najlepsze męskie wody kolońskie, kobiety w brzoskwiniowych szatach z satyny i obwieszonych klejnotami sukniach aż do ziemi, w brązowych kapelusikach i płaszczach z kołnierzami obszytymi fioletowym, kasztanowym i zielonym futerkiem, kobiety o barwie północy, które całowały na dobranoc, cygara, które podróżowały z Kuby, złoty zegarek, który zakładało się na godzinke albo po to, by komuś zaimponować... dobre czasy w Black Shadow Lounge. Wybiel sobie skórę, zbliż się trochę do białych. Jesteś biały, facet z ciebie wspaniały! Jesteś brązo-

wy, chłop z ciebie morowy! Żółtawy? Chłopak z ciebie klawy. Ale jeśliś czarny, los twój marny... los twój mamy.

Teraz akcja filmu przeskoczyła do lat pięćdziesiątych. Artis stał przed drogerią Masonie Tempie, pobrząkując drobniakami w kieszeni. Dotyk i brzęk monet nigdy nie robił na nim wrażenia. Nie prześladowało go pragnienie, by harować jak wół w zamian za zielone papierki. Był szczęśliwy, mając kieszeń pełną lśniących dziesięcio- i dwudziestopięciocentówek wygranych w tajemniczej grze znanej na ciemnych uliczkach jako Galopujące Kropki, Siedem-do-dziesięciu, Oczy Węża. Ale najczęściej drobne te dostawał od jakiejś roznamiętnionej partnerki.

Kiedy wreszcie, mając osiemdziesiąt lat, z powodu naturalnego osłabienia organizmu i zmęczenia materiału, stracił swe męskie siły, w Slagtown niejedna dama była rozczarowana. Był towarem tak rzadkim i drogocennym: mężczyzną kobiety.

Akcja nabiera tempa, obrazy i dźwięki pojawiają się coraz szybciej.

Stupięćdziesięciokilowa kobieta trzęsie się i krzyczy w kościele... i w łóżku... O JEZU, SZYBCIEJ, SZYBCIEJ!... Pan Artis O. Peavey i pewna liczba kobiet składają śluby małżeńskie... Artis siedzi w kawiarni Agate i rozmawia ze swoją przyjaciółką, Baby Shephard... „Ta baba walnęła mnie w łeb”... „To był chyba mąż”... „Biłbym się o ciebie, Odetto, ale kiedy facet ma w łapie coś ciężkiego, to nie ma się co wygłupiać”... „Daj mi jedno piwo”... „Mam świat w słoiku i stoper w dłoni”... „Nie jesteś jedyną ostrygą w gulaszu!... Niebieskie Cienie i Białe Gardenie... bursztynowe fiki do papierosów... Demony Jazzu profesora Fessa Whatleya... Masz zmartwienia? Cukierki miętowe Feena... Maleńka Księżniczka... sala balowa Fairyland Park... Hartley Toots zamordowany w autobusie... Ożeniłem się z nią bez mojej, że tak powiem, zgody... „Ta kobieta mnie zdominowała”... Nikt nie chce cię znać, kiedy ci się nie wiecie... Uważaj... Nie jedź tam... o, nie, biali się wściekną... rozzłoszczą... Nie, nie jestem jednym z nich, szefie, to straszne łobuzy... Tak, pszepana... „Wynocha z tego autobusu!”

Artis trzy razy zatupał i, jak w bajce, film się zmienił. Teraz Artis jest małym chłopcem, a jego mama gotuje w kuchni na zapleczu kawiarni... *Och, nie płacz się mamie pod nogami, dostaniesz ścierkę po głowie... Jest i Ptaszyca, i Willie Boy... i słodki Jasper... jest i babcia Sipsey, która macza chleb z mąki kukurydzianej w miodzie... panna Idgie i panna Ruth... traktują cię jak białego... I Kikutek... i Smokey Samotnik...*

Staruszek, który przed chwilą był tak podenerwowany, zaczyna się uśmiechać i rozluźniać. Na zapleczu kawiarni pomaga tacie przyrządzać pieczeń... i jest szczęśliwy... mamy swoją tajemnicę.

Tatuś daje mu kawałek pieczeni i chłopiec biegnie ją zjeść do lasu, gdzie jest chłodno i zielono, a sosnowe igły są takie miękkie...

Dziobaty mężczyzna w hotelowym holu podszedł do uśmiechniętego Artisa O. Pe-

aveya, który ucichł i znieruchomiał.

— Co panu jest?

Aż podskoczył.

— Jezu Chryste! Ten czarnuch nie żyje! — Odwrócił się do znajomego w recepcji.

— To nie wszystko, zlał się na podłogę!

... Ale Artis był już wtedy w lesie, zjadając się pieczenią.

KLUB „ZAWSZE SZCZUPLA”

MONTECITO, KALIFORNIA

5 grudnia 1986

Evelyn była na wczasach odchudzających już prawie dwa miesiące i zrzuciła dwanaście kilo. Przybyło jej jednak gdzie indziej. Odnalazła swoją grupę, grupę, której szukała przez całe życie. Były w niej wszystkie te psy na słodycze: pucołowate gospodynie domowe, rozwódki, samotne nauczycielki i bibliotekarki, a każda miała nadzieję na rozpoczęcie nowego życia jako szczuplejsza, zdrowsza osoba.

Nie przypuszczała, że to będzie taka dobra zabawa. Dla Evelyn Couch i jej współtowarzyszek w tonażu w tej chwili najważniejszą rzeczą było, jaki ekscytujący niskokaloryczny deser dziś wieczorem poda kucharz. Czy będzie to lekkie ciasto z dyni, 55 kalorii w jednej porcji? A może nie tuczająca owocowa pianka, tylko 50 kalorii? A może dziś dostaną swój ulubiony przysmak, dietetyczną babeczkę, 80 kalorii w jednej? Evelyn nigdy nie przyszło do głowy, że na myśl; o aerobiku aż dusza będzie się jej radować i że zawsze to ona będzie za wcześnie przychodzić na zabawy w wodzie.

Wydarzyło się tu jednak jeszcze coś, o czym nigdy nie mogła nawet marzyć. Stała się bardzo lubianą osobą, o której towarzystwa wszyscy zabiegali! Kiedy do klubu przyjeżdżały nowe, od razu je pytano: „Poznałaś już tę uroczą panią z Alabamy? Koniecznie musisz z nią porozmawiać, ma prześliczny akcent i niezwykłą osobowość!”

Evelyn nigdy nie uważała się za zabawną czy mówiącą z uroczym akcentem, a jednak teraz wyglądało na to, że za każdym razem, kiedy się odezwała, inne kobiety aż piszczały ze śmiechu. Evelyn cieszyła się swoją nowo odkrytą sławą i wieczorami zabawiała wszystkich przy kominku. Jej najbliższe trzy przyjaciółki były gospodyniami domowymi z Thousand Oaks, jedna miała na imię Dorothy, a dwie — Stella. Stworzyły własny, prywatny klub grubasów i ślubowały, że do końca życia raz w roku będą się spotykać. Evelyn była pewna, że dotrzymają przysięgi.

Po zajęciach z rozciągania i elastyczności, przebrała się w nowy, błękitny dres do joggingu i przystanęła koło recepcji, żeby odebrać pocztę. Ed sumiennie wysyłał jej wszystkie reklamówki i zazwyczaj nie dostawała żadnej ważnej korespondencji, ale dzisiaj zobaczyła list ze stemplem Whistle Stop w Alabamie. Otworzyła go, zastanawiając się, ktoż to może stamtąd do niej pisać.

Droga pani Couch!

Z przykrością zawiadamiam, że w zeszłą sobotę, około 6.30 rano, pani znajoma, pani Cleowa Threadgoode, odeszła od nas. Mam parę rzeczy, które zapewne chciałaby pani dostać. Mój mąż i ja chętnie przywieziemy je do Birmingham, może je też pani odebrać – jak pani wygodnie. Proszę do mnie zadzwonić pod numer 555-7760. Jestem i tu przez cały dzień.

*Z poważaniem
Jonnie Hartman
sąsiadka*

Nagle Evelyn przestała się czuć uroczo i zapragnęła wrócić do domu.

WHISTLE STOP, ALABAMA

8 kwietnia 1986

Evelyn zaczekała do pierwszego ciepłego dnia wiosny, zanim pojechała do pani Hartman. Jakoś nie mogła znieść myśli o tym, że zobaczy po raz pierwszy Whistle Stop w samym środku zimy. Zadzwoiła do drzwi i wkrótce ukazała się w nich sympatycznie wyglądająca kobieta o brązowych włosach.

— Och, pani Couch, proszę wejść. Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Pani Threadgoode tyle mi o pani opowiadała, że czuję się tak, jakbyśmy się już znały.

Zaprowadziła Evelyn do nieskazitelnie czystej kuchni, gdzie już wcześniej przygotowała dwie filiżanki do kawy, a na zielonym, plastikowym stoliku położyła świeżo upieczone ciasto.

— Przykro mi było, że musiałam do pani napisać ten list, ale pomyślałam, że będzie pani chciała wiedzieć.

— Doceniam to. Nie miałam pojęcia, że wyjechała z Rose Terrace.

— Wiem. Jej przyjaciółka, pani Otis, zmarła jakiś tydzień po pani wyjeździe.

— O nie. Nie wiedziałam... Ciekawe, dlaczego pani Threadgoode nic mi nie powiedziała.

— Ja jej mówiłam, że powinna, ale ona odparła, że pani jest na wakacjach i nie trzeba pani niepokoić. Taka już była, zawsze pomyślała o drugim człowieku...

Po śmierci jej męża wprowadziliśmy się do domu obok, więc znam ją pewnie ze trzydzieści lat, i ani razu nie słyszałam, żeby się skarżyła, a życia nie miała łatwego. Jej syn, Albert, był jak dziecko! Ale codziennie wstawiała bez słowa skargi, goliła go, kąpała i posypywała talkiem, a potem zakładała pas przepuklinowy. Traktowała go jak małe dziecko, nawet kiedy był już dojrzałym mężczyzną... Nie ma dziecka, które by tak ktoś kochał jak ona Alberta Threadgoode'a. Niech ją Bóg błogosławi. Bardzo za nią tęsknię

i wiem, że pani też.

— Tak, mnie również jej brakuje i czuję się po prostu okropnie, że nie byłam przy śmierci. Może mogłabym coś zrobić, wezwać lekarza, czy coś.

— Nie, kochana. Nic pani nie mogła zrobić. Ona nie była chora. W niedzielę zabie-raliśmy ją do kościoła, a ona zawsze czekała na nas, już ubrana, na ganku. Ale w tamtą niedzielę, kiedy mieliśmy jechać, jej tam nie było. Więc Ray, mój mąż, poszedł i kopnął w drzwi, ale nie odpowiedziała, więc wszedł i po paru minutach wyszedł sam. Spyta-łam: „Ray, gdzie jest pani Threadgoode?”, a on odpowiedział: „Kochanie, pani Thread- goode nie żyje”, usiadł na schodach i zaczął płakać. Umarła we śnie. Naprawdę wierzę, że wiedziała, że jej czas jest już blisko, bo za każdym razem, kiedy u niej byłam, mówi-ła: „No, Jonnie, gdyby coś mi się stało, chcę, żeby Evelyn dostała te rzeczy”. Miała o pa- ni bardzo wysokie mniemanie. Ciągłe panią wychwalała i mówiła, że jest pewna, że któ- regoś dnia przyjedzie tu pani i zabierze ją na przejażdżkę swoim nowym cadillakiem. Biedactwo, kiedy umarła, nie pozostawiła po sobie prawie nic oprócz paru drobiazgów. No, właśnie, pójdę po nie.

Pani Hartman wróciła z obrazem przedstawiającym nagą huśtającą się dziewczynę, z niebieskimi bąbelkami w tle, pudełko od butów i wek wypełniony czymś, co przypo- minało żużel.

Evelyn wzięła słoik.

— A cóż to takiego?

— To jej kamienie żółciowe. — Roześmiała się pani Hartman. — Bóg jeden wie, dla- czego chciała je pani dać.

Evelyn otworzyła pudełko. W środku znalazła świadectwo urodzenia Alberta, dy- plom Cleo ukończenia Szkoły Kręgarskiej Palmeta w Davenport, Iowa, z 1927 roku i około piętnastu programów pogrzebowych. Potem znalazła kopertę pełną zdjęć. Na pierwszym był mężczyzna i chłopczyk w marynarskim ubranku, siedzący na półksię- życu. Następne pochodziło z 1939 roku i było szkolną fotografią małego blondynka, na odwrocie był napis: Kikutek Threadgoode, 10 lat. Potem ujrzała portret rodziny Thread- goode’ów, zrobiony w 1919 roku. Miała wrażenie, że to jej starzy znajomi. Od razu roz- poznała Buddy’ego z tymi roziskrzonymi oczami i szerokim uśmiechem. Była tam też Essie Rue, bliźniaki i Leona upozowana na królową... i mała Idgie ze swym drewnianym kogucikiem. A w tyle, w długim, białym fartuchu, stała Sipsej, z bardzo poważną miną. Tuż pod spodem znalazła fotografię młodej kobiety w białej sukience, stojącej na tym samym podwórku, osłaniającej oczy przed słońcem i uśmiechającej się do osoby, któ- ra robiła zdjęcie. Evelyn pomyślała, że z tymi długimi rzęsami i uroczym uśmiechem to chyba najślicznieszka dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziała. Nie mogła jej jednak roz- poznać. Spytała panią Hartman, czy wie, kto to.

Pani Hartman włożyła okulary, które wisiały na łańcuszku na jej szyi, i przez chwilę,

zaintrygowana, przyglądała się zdjęciu.

— Och, już wiem, kto to! To jej przyjaciółka, która tu mieszkała przez jakiś czas. Była z Georgii... Ruth jakaś tam.

„Boże święty — pomyślała Evelyn — Ruth Jamison”. Fotografia na pewno została zrobiona pierwszego lata, w czasie jej pobytu w Whistle Stop. Spojrzała na nią raz jeszcze. Nigdy jej nie przyszło do głowy, że Ruth była tak piękna.

Następne zdjęcie przedstawiało siwowłosą kobietę w myśliwskiej czapce, siedzącą na kolanach świętego Mikołaja. Na odwrocie było napisane: Wesołych Świąt, 1956

Pani Hartman wzięła od niej zdjęcie i się roześmiała.

— Och, to ta wariatka Idgie Threadgoode. Kiedyś prowadziła tu kawiarnię.

— Znała ją pani?

— A kto jej nie znał! Och, to dopiero była łobuzica, nie wiadomo było, z czym wyskoczy za chwilę.

— Pani Hartman, proszę spojrzeć, to zdjęcie pani Threadgoode. Zdjęcie zrobiono w centrum, w sklepie Lovemana, chyba przed dwudziestoma laty. Pani Threadgoode była już siwa i wyglądała prawie dokładnie tak, jak wtedy, gdy ją Evelyn widziała po raz ostatni. Pani Hartman wzięła zdjęcie do ręki.

— Niech ją Bóg błogosławi. Pamiętam tę sukienkę. Była ciemnogranatowa w białe kropki. Nosila ją chyba ze trzydzieści lat. Mówiła, że chce, by po jej śmierci wszystkie ubrania oddać biednym. Biedaczka, naprawdę nie miała niczego, co by warto zostawić, tylko stary płaszcz i parę sukienek do chodzenia po domu. Zabrali tych parę mebli poza huśtawką na ganku. Naprawdę nie mogłam jej oddać. Przesiadwała na niej dzień i noc, czekając na przejeżdżające pociągi. Nie mogłam jej oddać obcym. Dom zostawiła naszej córce, Terry.

Evelyn dalej wyjmowała z pudełka różne rzeczy.

— Pani Hartman, niech pani spojrzy, to stare menu z kawiarni Whistle Stop. Pocho dzi chyba z lat trzydziestych. Te ceny są niewiarygodne! Pieczeń za dziesięć centów... a cały obiad za trzydzieści pięć centów! Kawalek placka za pięć!

— Nieźle. Teraz, żeby sobie kupić przyzwoity obiad, trzeba wydać pięć, sześć dolarów, nawet w stołówce, no i doliczają za napoje i ciasto.

Zanim skończyła oglądać, Evelyn znalazła zdjęcie Idgie w okularach ze sztucznym nosem, stojącej z czterema głupkowatymi facetami przebranymi po wariacku. Pod spodem był napis: klub Dill Pickle... kabaret „Izolotka”, 1942. Wpadła jej też w ręce wielkanocna kartka od Cleo, pocztówki, które Evelyn wysyłała jej z Kalifornii, menu z wagonu pulmanowskiego Southern Railroad z lat pięćdziesiątych, do połowy zużyta szminka, powielony na kserokopiarce Psalm 90 i szpitalna opaska z napisem:

Pani Cleowa Threadgoode,
lat osiemdziesiąt sześć.

A na samym dniu pudełka Evelyn znalazła kopertę zaadresowaną do pani Evelyn Couch.

— Niech pani spojrzy, napisała do mnie list. — Otworzyła go i przeczytała:

Evelyn!

Zostawiam ci parę oryginalnych przepisów Sipsej, które spisałam. Dały mi tyle radości, że pomyślałam sobie, że ci je przekażę, zwłaszcza ten na smażone zielone pomidory.

Kocham cię, moja droga, maleńka Evelyn. Bądź szczęśliwa. Ja jestem.

*Twoja przyjaciółka
Cleowa Threadgoode*

— Niech ją Bóg błogosławi — powiedziała pani Hartman. — Chciała to pani oddać.

Evelyn ze smutkiem starannie złożyła list i włożyła wszystko z powrotem do pudełka. „Mój Boże” — pomyślała. „Przez osiemdziesiąt sześć lat chodziła po tym świecie żywa, oddychająca istota i tylko tyle z niej zostało, pudełko od butów pełne starych papierów”.

Spytała panią Hartman, jak trafić do miejsca, w którym kiedyś stała kawiarnia.

— To zaledwie parę przecznic dalej. Chętnie z panią pójdę, jeśli sobie pani życzy.

— Byłoby wspaniale, gdyby pani mogła.

— Jasne. Wyłączę tylko fasolkę i wstawię pieczeń do piecyka, i już jestem gotowa.

Evelyn włożyła zdjęcie i pudełko do samochodu i w oczekiwaniu na panią Hartman poszła na podwórko pani Threadgoode. Podniosła głowę i roześmiała się; wysoko na srebrnej brzozie wciąż tkwiła ta miotła, którą pani Threadgoode ponad rok temu rzuciła w sójki, a na drutach telefonicznych siedziały kosy, które pani Threadgoode podejrzewała o podsłuchiwanie jej rozmów. Dom wyglądał dokładnie tak, jak go opisywała, wszędzie, aż po zniszczone krzaki kaliny, stały doniczki z geranium.

Kiedy pani Hartman wyszła, pojechały parę przecznic dalej i Evelyn zobaczyła miejsce, w którym kiedyś, zaledwie siedem metrów od torów kolejowych, stała kawiarnia. Tuż obok był mały budynek z cegły, również opuszczony, lecz Evelyn udało się rozpoznać w oknie wyblakły szyld: SALON PIĘKNOŚCI OPAL. Wszystko było tak, jak to sobie wyobrażała.

Pani Hartman pokazała jej miejsce, w którym kiedyś stał sklep taty Threadgoode, a gdzie teraz wybudowano drogerię Rexall z klubem Elków na piętrze.

Evelyn spytała, czy mogłaby zobaczyć Troutville.

— Jasne, kochana, jest tuż za torami.

Kiedy przejeżdżały przez tę maleńką dzielnicę murzyńską, Evelyn była zaskoczona, że Troutville jest takie małe — składało się z zaledwie kilku ulic i maleńkich, zniszczonych szop. Pani Hartman pokazała jej domek, na którego ganku stały wyblakłe, zielone,

blaszane krzesła, i powiedziała, że tam mieszkali Duży George i Onzell, zanim przeprowadzili się do Birmingham do swojego syna, Jaspera.

W drodze powrotnej zobaczyła sklep spożywczy Ociego przyrośnięty do boku walcącego się, drewnianego rozklekotanego domu, niegdyś pomalowanego na błękitny kolor. Front sklepu był oblepiony wyblakłymi, starymi szyldami z lat trzydziestych, zachęcającymi: PIJ PIWO IMBIROWE BUFFALO ROCK... DOJRZEWAŁO MILION MINUT ALBO I DŁUŻEJ...

Evelyn nagle przypomniała sobie coś z dzieciństwa.

— Pani Hartman, jak pani myśli, mają tu wodę sodową z sokiem truskawkowym?

— Jasne, że tak.

— Mogłybyśmy wejść?

— Oczywiście, mnóstwo białych robi tu zakupy.

Evelyn zaparkowała i weszły. Pani Hartman podeszła do staruszka w białym podkoszulku i szelkach i zaczęła mu krzyczeć do ucha:

— Ocie, to jest pani Couch. Była przyjaciółką Ninny Threadgoode!

W chwili gdy Ocie usłyszał jej nazwisko, oczy mu zabłyśły, wstał, podbiegł do Evelyn i ją przytulił. Evelyn, której nigdy w życiu nie tulił czarny mężczyzna, była kompletnie zaskoczona. Ocie zaczął trajkotać, ale nie zrozumiała z tego ani słowa, bo nie miał zębów.

— Złotko, to nie jest jej córka! — krzyknęła znowu pani Hartman. — To jej przyjaciółka, pani Couch z Birmingham...

Ocie dalej się uśmiechał od ucha do ucha. Pani Hartman pogrzebała w automacie z zimnymi napojami i wyciągnęła wodę sodową z sokiem truskawkowym.

— Proszę!

Evelyn chciała zapłacić, ale Ocie ciągle powtarzał coś, czego nie mogła zrozumieć.

— On mówi, żeby pani schowała pieniądze, pani Couch. Mówi, że to prezent od niego.

Evelyn nieco się spieszyła, ale podziękowała Ociem, który zaprowadził je do samochodu, przez cały czas gadając i uśmiechając się.

— PA, PA! — krzyknęła pani Hartman. Odwróciła się do Evelyn. — Jest głuchy jak pień.

— Domyślam się. Jakoś dziwnie się czuję po tym przytulaniu.

— No, wie pani, miał bardzo wysokie mniemanie o pani Threadgoode. Znał ją od małego.

Kiedy wracały przez tory, pani Hartman powiedziała:

— Kochana, jeżeli skręcimy w następną ulicę, to pokażę pani stary dom Threadgoode'ów.

Zobaczyła go w chwili, gdy skręciły za róg: wielki, piętrowy, biały, drewniany dom

z gankiem, który opasywał go dokoła. Rozpoznała go ze zdjęć.

Zaparkowała i wysiadły.

Większość okien była powybijana i zabita deskami, a drewno na ganku było wkleśnięte i przegniłe, więc nie mogły nań wejść. Wyglądało to tak, jakby cały dom lada chwila miał runąć. Obeszły go dokoła.

— Jaka szkoda, że zostawili go na taką poniewierkę — zauważyła Evelyn. — Kiedyś musiał być piękny.

— W swoim czasie był to najładniejszy dom w Whistle Stop — zgodziła się pani Hartman. — Ale wszyscy Threadgoode'owie już wyjechali, więc pewnie niedługo zostanie rozebrany.

Kiedy weszły na tylne podwórko, były zaskoczone tym, co zobaczyły. Stara krata oparta o tył domu była cała porośnięta tysiącami maleńkich różowych różyczek kwitnących tak, jakby nie miały pojęcia, że mieszkańcy domu już dawno temu wyjechali.

Evelyn zajrzała przez zbitą szybę i zobaczyła połamany, polakierowany na biało stół. Ciekawe, ile biszkoptów pokrojono na tym stole.

Odwiozła panią Hartman do domu i podziękowała jej za towarzystwo.

— Och, cała przyjemność po mojej stronie. Odkąd przestały tędy jeździć pociągi, już prawie nikt nas nie odwiedza. Przykro mi, że musiałyśmy się spotkać w tak smutnych okolicznościach, ale bardzo się cieszę, że panią poznałam, i proszę, żeby pani tu wracała, kiedy tylko będzie pani miała ochotę.

Chociaż było już późno, Evelyn postanowiła raz jeszcze przejechać koło starego domu. Zapadał zmierzch i kiedy jechała ulicą, światła jej reflektorów oświetliły okna w taki sposób, że ogarnęło ją wrażenie, iż w środku są ludzie... i mogłaby przysiąc, że nagle usłyszała, jak Essie Rue bębni na starym pianinie w salonie... *Dziewczęta z Buffalo, wyjdźcie dziś w nocy, wyjdźcie dziś w nocy...*

Evelyn zatrzymała samochód i zastanawiając się, dlaczego ludzie muszą się starzeć i umierać, zaczęła tak szlochać, jakby miało jej pęknąć serce.

„TYGODNIK DOT WEEMS”
(TYGODNIOWY BIULETYN WHISTLE STOP W ALABAMIE)

25 czerwca 1969

Trudno jest się żegnać

Ze smutkiem zawiadamiam, że to ostatnie wydanie naszego biuletynu. Odkąd zabrałam moją drugą połowę na wakacje na południe Alabamy, wbił sobie do głowy, żeby tam zamieszkać. Znaleźliśmy już miejsce w zatoce, więc za parę tygodni będziemy się wyprowadzać. Ten stary bałwan będzie teraz mógł łowić ryby dzień i noc. Wiem, że go rozpieszczam, ale pomimo paskudnego charakteru, to całkiem fajny staruszek. Nie wiem, co powiedzieć na pożegnanie, więc nie będę się zbyt rozwodzić. Oboje wychowaliśmy się w Whistle Stop i przeżyliśmy tu wiele wspaniałych chwil, i mieliśmy wielu cudownych przyjaciół. Większość jednak już się wyprowadziła. To miejsce nie jest takie jak kiedyś, a teraz, przy tych wszystkich nowoczesnych autostradach, trudno powiedzieć, gdzie się kończy Birmingham, a zaczyna Whistle Stop.

Kiedy sięgam pamięcią wstecz, widzę, że po zamknięciu kawiarni serce naszego miasteczka po prostu przestało bić. To dziwne, że taka dziura potrafiła tak zbliżyć do siebie ludzi.

No, przynajmniej mamy wspomnienia, a ja mam jeszcze mojego stareńskiego ukochanego.

...Dot Weems.

PS. Jeżeli będziecie kiedyś w Fairhope w Alabamie, wpadnijcie do nas. Będę siedziała na ganku za domem, skrobiąc ryby.

CMENTARZ W WHISTLE STOP

WHISTLE STOP, ALABAMA

19 kwietnia 1988

Na Wielkanoc, dwa lata po śmierci pani Threadgoode, Evelyn postanowiła wybrać się na cmentarz. Kupiła piękny bukiet lilii, wsiadła do swojego nowego, różowego cadillaca i przypięła sobie czternastokaratową wysadzaną szlachetnymi kamieniami broszkę w kształcie trzmiela ze szmaragdowymi oczami, którą również dostała w nagrodę.

Rano była na późnym śniadaniu ze swą paczką od Mary Kay, teraz zaś było późne popołudnie. Większość ludzi już odwiedziła cmentarz i wróciła do domu, a na grobach pozostały wielobarwne świąteczne dekoracje.

Evelyn musiała trochę pokrążyć, zanim wreszcie znalazła grób rodzinny Threadgoode'ów. W pierwszym grobie leżała Ruth Jamison. Evelyn weszła w przejście między mogiłami i znalazła tam duży, podwójny nagrobek z rzeźbą anioła.

WILLIAM JAMES
THREADGOODE
1850-1929

ALICE LEE CLOUD
THREADGOODE
1856-1932

UKOCHANI RODZICE
NIE STRACILIŚMY ICH,
LECZ ODESZLI PIERWSI
TAM, GDZIE WSZYSCY ZNOWU SIĘ SPOTKAMY

Obok był napis:

JAMES LEE (BUDDY) THREADGOODE
1898-1919
ODSZEDŁ PRZEDWCZEŚNIE,
LECZ MIESZKA W NASZYCH SERCACH

Odnalazła groby Edwarda, Cleo i Mildred, ale nie mogła znaleźć mogiły swej przyjaciółki i już zaczynała wpadać w panikę. Gdzie była pani Threadgoode?

Wreszcie, w pierwszym rzędzie od dołu po prawej stronie zobaczyła:

ALBERT THREADGOODE
1930-1978
NASZ ANIOŁ NA ZIEMI
WRESZCIE BEZPIECZNY W RAMIONACH JEZUSA

Zajrzała z tyłu i w końcu znalazła:

PANI VIRGINIA (NINNY) THREADGOODE
1899-1986
ODESZŁA DO DOMU

Wszystkie wspomnienia i urok tej starszej pani w jednej chwili przypomniały się Evelyn i uświadomiła sobie, jak bardzo za nią tęskni. Łzy ciekły jej po twarzy, gdy układała kwiaty. Potem zajęła się wyrywaniem chwastów, które wyrosły wokół grobu. Pocięła się myślą, że jedno jest pewne: jeżeli niebo rzeczywiście istnieje, to pani Threadgoode z pewnością w nim jest. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie stąpać po tej ziemi dusza tak czysta i nietknięta... Wątpiła w to.

Jakie to dziwne. Poznawszy panią Threadgoode, przestała się bać starości i umierania, a śmierć już nie wydaje jej się czymś tak odległym. Dzisiaj wręcz miała wrażenie, że pani Threadgoode stoi tuż obok niej.

Evelyn zaczęła cichutko mówić do swojej przyjaciółki:

— Przepraszam, że nie przyjechałam tu wcześniej, pani Threadgoode. Nie ma pani pojęcia, ile razy o pani myślałam i ile razy pragnęłam z panią porozmawiać. Tak strasznie było mi przykro, że się z panią nie spotkałam, zanim pani umarła. Nigdy w życiu bym nie pomyślała, że już nigdy pani nie zobaczę. Nawet nie miałam okazji pani podziękować. Gdyby pani nie rozmawiała ze mną co tydzień, nie wiem, co bym zrobiła.

Przerwała na chwilę, po czym zaczęła mówić dalej:

— Kupiłam tego różowego cadillaca. Myślałam, że mnie uszczęśliwi, ale, wie pani, przejażdżka bez pani to już nie to. Zawsze marzyłam, że przyjadę po panią i wybierzemy się na niedzielną przejażdżkę albo do Olliego na pieczeń.

Podeszła z drugiej strony do nagrobka i dalej mówiła, wyrywając chwasty:

— Poproszono mnie, abym zaczęła pracować w szpitalu uniwersyteckim z grupą zdrowia psychicznego... i chyba się na to zgodzę. — Roześmiała się. — Powiedziałam Edowi, że dlaczego nie miałabym pracować dla chorych cierpiących na chorobę, która i mnie dotknęła w przeszłości?

Nie uwierzy pani, ale jestem już babcią. I to podwójną. Janice urodziła dwie dziewczynki. A pamięta pani matkę Eda, Dużą Mamę? Przenieśliśmy ją do Meadowlark Manor. Podoba jej się tam o wiele bardziej, a i ja się cieszę... Po pani śmierci nie cierpiałam jeździć do Rose Terrace. Kiedy byłam tam ostatnim razem, Geneene powiedziała mi, że Vesta Adcock wariuje jak zawsze, nadal oplakując wyjazd pana Dunaway.

Wszyscy za panią tęsknią: Geneene, pani sąsiedzi, Hartmanowie... Byłam tam i dostałam to, co mi pani zostawiła, i ciągle korzystam z tych przepisów. Och, przy okazji, zrzuciłam dwadzieścia jeden i pół kilo, odkąd mnie pani ostatnio widziała. Zostało mi jeszcze dwa i pół.

Co tu jeszcze... W zeszłym miesiącu zmarł pani przyjaciel, Ocie, ale pewnie już pani o tym wie. Aha, wiedziałam, że muszę pani powiedzieć jeszcze o czymś.

Pamięta pani to zdjęcie, na którym jest pani w niebieskiej sukience w kropki, zdjęcie zrobione u Lovemana? Oprawiłam je i postawiłam na moim specjalnym stoliku w salonie. Kiedy zobaczyła je jedna z moich klientek, powiedziała: „Evelyn, wyglądasz dokładnie jak twoja matka...!” Niesamowite, prawda, pani Threadgoode?

Evelyn opowiedziała przyjaciółce wszystko, co jej się przypomniało z minionego roku, i nie odeszła, dopóki nie była pewna, że pani Threadgoode wie, że u niej wszystko naprawdę w porządku.

Uśmiechnięta i szczęśliwa wracała do samochodu, lecz po drodze zatrzymała się jeszcze przy grobie Ruth.

Było tam coś, czego wcześniej nie zauważyła. Na nagrobku stał szklany słoik pełen świeżego miodu i pęk niedawno ściętych maleńkich różyczek. Koło słoika leżała koperta zaadresowana wąskimi bazgrołami:

DLA RUTH JAMISON

Evelyn, zdumiona, wzięła kopertę do ręki. W środku była staroświecka kartka wielkanocna z obrazkiem przedstawiającym dziewczynkę trzymającą koszyk pełen różnorodnych pisanek. Rozłożyła kartkę:

DLA TAK KOCHAN EJ, NIEZWYKŁ EJ OSOBY,
CO DOBRA JEST WIELCE WE WSZYSTKIM, CO ROBI
NAJSZCZERSZA, NAJŚMIELSZA, KOCHANA I MIŁA
OBYŚ JUŻ ZAWSZE TAKĄ BYŁA!

Była podpisana:

*Zawsze będę pamiętać.
Twoja przyjaciółka,
Zaklinaczka Pszczół.*

Evelyn stała z kartką w ręku i rozglądała się po cmentarzu, ale nikogo tam nie było.

„WIADOMOSCI BIRMINGHAM”

17 marca 1988

Zaginiecie starszej kobiety

Pani Vesta Adcock, osiemdziesięcioletnia rezydentka domu spokojnej starości Rose Terrace, wczoraj wyszła poza teren ośrodka, mówiąc wcześniej, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza, i nie wróciła. Kiedy ją ostatnio widziano, miała na sobie różowy kaftanik z kordonku i lisy, puszyste, niebieskie kapcie i mogła mieć czerwoną szlafmycę oraz czarną torebkę wyszywaną koralikami.

Kierowca autobusu zapamiętał, że osoba odpowiadająca temu opisowi wsiadła do autobusu nieopodal domu wczoraj wieczorem i poprosiła o podwiezienie.

Jeżeli ktoś widział osobę odpowiadającą powyższemu rysopisowi, proszony jest o skontaktowanie się z panią Virginią Mae Schmitt, dyrektorką domu spokojnej starości, numer telefonu 555-7760.

Syn zaginionej, pan Earl Adcock, junior, z Nowego Orleanu powiedział, że jego matka miewa okresy dezorientacji.

„WIADOMOŚCI BIRMINGHAM”

20 marca 1988

Starsza pani odnaleziona w miłosnym gniazdku

Pani Vesta Adcock, osiemdziesięcioletnia kobieta, która cztery dni temu wyszła z domu spokojnej starości Rose Terrace, została odnaleziona w motelu Bama w East Lake. Jej towarzysz, pan Walter Dunaway, lat osiemdziesiąt, z Birmingham, dostał lekkiego ataku apopleksji i dziś rano został przyjęty na obserwację do szpitala uniwersyteckiego.

Pani Adcock poprosiła, by ją odwieziono do domu spokojnej starości, i była bardzo przygnębiona, gdyż, jak powiedziała: „Walter nie jest takim mężczyzną, za jakiego go uważałam”.

Stan zdrowia pana Dunawaya jest obecnie zadowolający.

AUTOSTRADA 90
MARIANNA, FLORIDA

22 maja 1988

Bill i Marion Nealowie i ich ósmioletnia córeczka, Patsy, mieli za sobą cały dzień podróży, gdy zatrzymali się przy tablicy koło drogi, która polecała: ŚWIEŻE JAJKA, MIÓD, ŚWIEŻE OWOCE I WARZYWA, ŚWIEŻE ZĘBACZE, ZIMNE NAPOJE.

Byli spragnieni, więc Bill skręcił i zawrócił. Kiedy wysiedli, nikogo tam nie było, ale pod wielkim dębem, tuż koło postoju, zobaczyli dwóch staruszków. Jeden z nich wstał i ruszył w ich stronę.

— Cześć. W czym mogę pomóc?

Kiedy Marion usłyszała głos, uświadomiła sobie, że to nie staruszek, lecz staruszka o śnieżnobiałych włosach i brązowej, osmaganej wiatrem skórze.

— Poprosimy trzy coca-cole.

Patsy gapiła się na słoiki z miodem ustawione w szeregu na półce. Kiedy staruszka otwierała trzy pokryte szronem cole, Patsy wskazała na jeden ze słoików z miodem i spytała:

— Co jest w tych słoikach?

— To jest plaster miodu, prosto z ula. Nie widziałas jeszcze czegoś takiego?

Patsy była zafascynowana.

— Nie, psze pani.

— Skąd jesteście?

— Z Birmingham — odpowiedziała Marion.

— Coś takiego. Kiedyś mieszkałam w małym miasteczku tuż po drugiej stronie. Pewnie nigdy o nim nie słyszeliście: Whistle Stop.

— Pewnie, że słyszeliśmy — wtrącił Bill. — Kiedyś były tam dworce przetokowe. Pamiętam też, że był tam taki bar z pieczenią.

— Zgadza się. — Uśmiechnęła się staruszka.
Bill wskazał na szyld.
— Nie wiedziałem, że tutaj macie zębacze.
Spojrzała na blondyneczkę, żeby sprawdzić, czy słucha.
— W zeszłym tygodniu złowiłam jednego, ale był tak wielki, że nie mogliśmy go wyciągnąć z wody.
— Naprawdę? — zapytała z niedowierzaniem Patsy.
Oczy staruszki rozbłysły.
— Naprawdę. Prawdę mówiąc, ten zębacz był tak ogromny, że jak go sfotografowaliśmy, to samo zdjęcie ważyło dwadzieścia kilo.
Dziewczynka przechyliła główkę na bok, próbując to zrozumieć.
— Na pewno?
— Pewnie, że na pewno. Ale ty mi nie wierzysz... — Odwróciła się i zawołała do starszego mężczyzny na podwórku: — Hej, Julian! Idź do domu i przynieś mi to zdjęcie zębacza, którego złowiliśmy w zeszłym tygodniu!
— Nie mogę... — odparł leniwie. — Jest dla mnie za ciężkie. Jeszcze sobie połamię ręce...
— A widzisz?
Bill się roześmiał, a Marion zapłaciła za napoje. Już mieli odjeżdżać, kiedy Patsy pociągnęła mamę za sukienkę.
— Mamo, możemy kupić słoik miodu?
— Kochanie, mamy mnóstwo miodu w domu.
— Proszę, mamo, ale nie mamy plastra miodu, proszę...
Marion przez chwilę popatrzyła na nią i w końcu się poddała.
— Po ile ten miód?
— Miód? Zobaczmy. — Staruszka zaczęła liczyć na palcach, po czym powiedziała:
— Nie uwierzy pani, ale macie fart, bo akurat dzisiaj... jest za darmo.
Patsy miała oczy jak spodki.
— Naprawdę?
— Naprawdę.
— Och, nie mogę pani nie zapłacić — zaprotestowała Marion. — Może chociaż coś bym pani podarowała?
Staruszka pokręciła głową.
— Nie, jest za darmo. Wygraliście go uczciwie. Nie wiedzieliście, ale tak się składa, że wasza córeczka jest w tym miesiącu moim milionowym klientem.
— NAPRAWDĘ?
— Naprawdę, milionowym.
Marion uśmiechnęła się.

— No, skoro pani nalega. Patsy, co się mówi?

— Dziękuję.

— Proszę bardzo. I, słuchaj, Patsy, jeżeli jeszcze kiedyś będziesz w tych stronach, pamiętaj, żeby do mnie wpaść, słyszysz?

— Tak, psze pani, zajrzę.

Kiedy odjeżdżali, Bill przycisnął klakson, a dziewczynka pomachała na pożegnanie. Staruszka stała na poboczu i machała, dopóki samochód nie zniknął jej z oczu.

PRZEPISY SIPSEY

POLECANE PRZEZ EYELYN COUCH

BISZKOPTY MAŚLANE

2 filiżanki mąki
2 łyżeczki proszku do pieczenia
pół filiżanki oleju
ćwierć łyżeczki sody
2 łyżeczki soli
1 filiżanka maślanek

Wymieszaj suche składniki. Dodaj olej i rozmieszaj dokładnie, aż masa będzie gładka. Dodaj maślanek, ciągle mieszając. Rozwałkuj na cienkie ciasto i wytnij herbatniki. Piecz w wysmarowanej tłuszczem formie w gorącym piekarniku, aż nabiorą złocistego koloru.

Ulubione Ptaszycy!

CHLEB Z MĄKI KUKURYDZIANEJ

3/4 łyżeczki sody oczyszczonej
1 łyżeczka soli
1 ½ filiżanki maślanek
1 jajko
2 filiżanki mąki kukurydzianej
1 łyżka stołowa stopionego tłuszczu z bekonu

Rozpuść sodę w maślanec. Wymieszaj mąkę z solą, jajkiem i maślanek. Dodaj ciepły, stopiony tłuszcz z bekonu. Wlej masę do żelaznej foremki i piecz w gorącym piekarniku.

Taki dobry, że można zwariować

CIASTO Z KREMEM KOKOSOWYM

1 filiżanka maślanek
3 żółtka
2 filiżanki pasteryzowanego mleka
1/3 filiżanki cukru
1/4 łyżeczki soli
1 filiżanka utartego kokosa
2 1/2 łyżki stołowej mąki kukurydzianej
1 łyżeczka wanilii albo rumu
1 łyżka stołowa stopionego masła
1/4 łyżeczki gałki muszkatołowej

22-centymetrowa forma do ciasta

Ubij żółtka. Stopniowo dodawaj cukier, sól, mąkę kukurydzianą i masło. Wlej mleko i wymieszaj. Gotuj na parze, mieszając aż do zgęstnienia. Dodaj wiórki kokosowe i schłodź. Dodaj zapach i gałkę muszkatołową i wlej masę do formy. Przykryj pianą z białek i piecz 15-20 minut w gorącym piekarniku.

Mniam, mniam.

CIASTO ORZECHOWE

22-centymetrowa forma do ciasta
1 łyżeczka wanilii
1/4 łyżeczki soli
2 filiżanki posiekanych orzechów
3 jajka

*1 filiżanka cukru,
2 łyżki stołowe masła
1 filiżanka lekkiego syropu kukurydzianego
1 łyżka stołowa mąki*

Wyłóż formę posiekanymi orzechami. Połącz cukier, syrop kukurydziany, mąkę, wanilię i sól i dobrze wymieszaj. Dodawaj po jednym jajku, za każdym razem dokładnie mieszając. Wlej masę do wyłożonej orzechami formy i pocętkuj masłem. Piecz przez godzinę w gorącym piekarniku.

Ciasto grzechu warte — ulubione Kikutka.

KURCZAK SIPSEY SMAŻONY NA SPOSÓB POŁUDNIOWY

*1 odpowiedniej wielkości forma
mleko
sól i pieprz
1 ½ filiżanki przesianej mąki*

Potnij kurczaka na porcje. Dokładnie natrzyj solą i pieprzem. Niech przez chwilę poleży. Potem przez około pół godziny mocz go w mleku. Włóż kurczaka, mąkę, trochę soli i pieprzu do torby i potrząśnij mocno, aż kurczak w całości pokryje się mieszaniną. Piecz na złocisty kolor w gorącym tłuszczu. Większe kawałki zostaw w tłuszczu nieco dłużej niż mniejsze.

Żegnaj, panie Kurczaku.

KURCZAK Z KLUSKAMI

*2 filiżanki białej mąki
2/3 filiżanki mleka
3 łyżeczki sody oczyszczonej
1/3 filiżanki oleju
1 łyżeczka soli
1 garnek potrawki z kurczaka*

Wymieszaj mąkę, sodę oczyszczoną i sól. Potem dodaj mleko i olej. Wkładaj masę po jednej łyżce do gotującej się potrawki, gotuj przez 15 minut, często odwracając kluski.

Tak lekkie, że mogą unieść się w powietrze.

SMAŻONA SZYNKA Z CZERWONYM SOSEM

Pokrój szynkę na plastry grubości około pół centymetra. Smaż na wolnym ogniu na ciężkiej patelni, aż zrumieni się po obu stronach. Podczas smażenia z obu stron lekko posyp cukrem. Zdejmij szynkę, a potem dodaj do tłuszczu około pół filiżanki zimnej wody albo filiżankę kawy. Niech się gotuje, aż sos zrobi się czerwony. Wymieszaj i polej nim szynkę.

Pycha!

KASZA

2 łyżki stołowe masła

5 filiżanek wrzątku

1 filiżanka mamałygi

1 łyżeczka soli

Dodaj masło i sól do wrzątku. Powoli wymieszaj z mamałygą. Przykryj i gotuj na wolnym ogniu przez 30-40 minut do takiej konsystencji, jaką lubisz.

Żadnych kłopotów z zaparciem.

SMAŻONY ZĘBACZ

1 kilogram zębaczka oczyszczonego i obranego ze skóry

1/2 filiżanki mąki

sól i pieprz

1/2 filiżanki mąki kukurydzianej

3 łyżki stołowe tłuszczu z bekonu albo oleju

Wytrzyj rybę wilgotną ściereczką. Wymieszaj mąkę, sól, pieprz i mąkę kukurydzia-

ną. Obtocz pana Zębacza w tej panierce i smaź na gorącym tłuszczu z bekonu, aż się zarumieni z jednej strony. Potem go odwróć i zrumień po drugiej stronie. Całkowity czas przyrządzenia trwa od 8 do 10 minut.

Dzięki Bogu za zębacza!

SOS MLECZNY

Weź gorący sos z kurczaka lub kotletów wieprzowych. Na każde trzy łyżki stołowe sosu dodaj trzy łyżki stołowe mąki i wymieszaj dokładnie. Gotuj, mieszając, aż nabierze jasnobrązowego koloru. Stopniowo dodawaj 1 1/2 do 2 filiżanek gorącego mleka. Gotuj i mieszaj, aż sos zgęstnieje.

Pasuje do wszystkiego.

KOTLETY WIEPRZOWE Z SOSEM

4 plastry bekonu
4 duże, grube kotlety wieprzowe
sól i pieprz
1 1/2 filiżanki mleka
1/3 filiżanki mąki

Najpierw usmaź bekon, potem obtocz kotlety w mące z solą i pieprzem. Zostaw reszkę mąki. Usmaź kotlety na brązowy kolor na gorącym, roztopionym bekonie. Zmniejsz ogień, przykryj patelnię i smaź, aż kotlety staną się miękkie — około pół godziny. Wymieszaj reszkę mąki z tłuszczem i smaź aż do zbrązowienia. Polej kotlety mlekiem i duś, aż sos zgęstnieje.

Duży George potrafił zjeść osiem na raz.

FASOLKA SZPARAGOWA

1 ugotowana szynka z kością
kilo fasolki szparagowej
parę kawałków ostrej papryki
1 łyżeczka cukru, brązowego lub granulowanego
sól do smaku

Włóż szynkę z kością do garnka i dodaj wody tak, żeby przykryła fasolkę. Zagotuj. Oczyszczyć fasolkę i połam albo potnij na odpowiednie długości. Wrzuć do garnka z cukrem i papryką. Gotuj na średnim ogniu przez godzinę.

Wesoła fasolka... aż miło ją zjeść.

GROSZEK SIPSEY

1 ¼ filiżanki suszonego grochu
4 filiżanki wody lub 8 plastrów bekonu
1 kawałek solonej wieprzowiny
1 posiekana cebula imiała czerwona papryczka

Włóż wszystkie składniki do garnka i gotuj na wolnym ogniu aż do zmięknięcia — około 3 godzin.

Jeszcze lepszy następnego dnia!

KUKURYDZA ZE ŚMIETANKĄ

6 kolb słodkiej białej kukurydzy
1/2-1 filiżanka mleka
2 łyżki stołowe masła z wodą
sól i pieprz

Zetnij kukurydzę z kolby, a potem oskrob kolbę wierzchem noża. Ugotuj z masłem w niezbyt wysokiej temperaturze i powoli dodaj mleko z wodą oraz sól i pieprz do smaku. Mieszaj przez 10 minut, aż nabierze odpowiedniej gęstości.

Zdrowa.

JASIEK

1 kwarta świeżej fasolki
1 kawałek solonej wieprzowiny

*sól i pieprz do smaku lub
6 plastrów bekonu*

Dodaj wodę tak, żeby zakryła fasolkę. Niech się zagotuje, a potem dusi aż do zmięknięcia. Dodaj sól i pieprz do smaku.

Prosto ze zwycięskiego ogrodu.

KANDYZOWANE SŁODKIE ZIEMNIAKI

*1/3 filiżanki masła
2/3 filiżanki paczkowanego brązowego cukru
6 średnich ugotowanych, obranych i pokrojonych na plasterki słodkich ziemniaków
1/2 łyżeczki soli
1/3 filiżanki wody
2 szczypty cynamonu*

Na ciężkiej patelni albo w rynience podgrzej razem masło i brązowy cukier, aż się roztopią i połączą. Dodaj pokrojone w plasterki słodkie ziemniaki i obracaj je, aż z obu stron pokryją się syropem i zarumienią. Dodaj sól, wodę i cynamon, przykryj i gotuj na wolnym ogniu, aż ziemniaki zmiękną.

Słodsze od cukierków.

SMAŻONY ZĘBACZ

Umyj porządnie zębacza i odetnij łeb, ogon i grzbiet. Potnij na kawałki długości około 1,5 centymetra. Obtocz w mące kukurydzianej i smaż w gorącym tłuszczu z bekonu, aż się zrumienią i nabiorą chrupkości. Osusz na bibule, posyp solą i pieprzem i podawaj na gorąco.

Lepsze niż prażona kukurydza.

RZEPA Z KAPUSTĄ

Umyj porządnie kapustę, odetnij z liści korzenie i łodygi. Usmaż szynkę z kością, ja-

kiś tłuszcz lub bekon. Dodaj warzywa, strączek czerwonej papryki, sól, pieprz i cukier do smaku. Przykryj dokładnie i gotuj, aż warzywa zmiękną. Osusz i ułóż na tacy. Zachowaj wywar. Podawaj go jako sos, w którym można maczać chleb kukurydziany.

Uleczy wszystkie twoje bóle!

SMAŻONE ZIELONE POMIDORY

1 średni zielony pomidor na osobę
tłuszcz z bekonu
pieprz
sól
biała mąka kukurydziana

Pokrój pomidory na plastry o grubości około pół centymetra, posyp je solą, pieprzem, a potem obtocz z obu stron w mące. W dużej rynience podgrzej tyle bekonu, by przykrył dno, i smaź pomidory, aż po obu stronach się lekko zrumienią.

Niebo w gębie!

SMAŻONE ZIELONE POMIDORY Z SOSEM MLECZNYM

3 łyżki stołowe tłuszczu z bekonu
4 twarde zielone pomidory pokrojone na plastry o grubości ok. centymetra
ubite jajka
ususzone okruszki chleba
mąka
mleko
sól
pieprz

Podgrzej tłuszcz z bekonu na ciężkiej patelni. Umocz pomidory w jajkach, a potem w okruszkach chleba. Powoli smaź je w tłuszczu, aż zbrązowieją po obu stronach. Ułóż pomidory na talerzu. Na każdą łyżkę stołową tłuszczu, który został na patelni, dodaj jedną łyżkę stołową mąki i dobrze wymieszaj. Potem dodaj jedną filiżankę ciepłego mleka i gotuj aż do zgęstnienia, ciągle mieszając. Dodaj sól i pieprz do smaku. Polej sosem pomidory i podawaj na gorąco.

Najlepsze, co może być.